

MARCIN BRUCZKOWSKI

BEZSENNOŚĆ W TOKIO

Marcin Bruczkowski

BEZSENNOŚĆ W TOKIO

Wydawnictwo Znak

Podziękowania

- ☯ moja mama, Magdalena Bruckowska, która wbrew znacznemu oporowi materii nauczyła mnie pisać charakterystyki bohaterów utworów;
- ☯ moja żona, Kit Fui Bruckowski, bez której ta książka nie byłaby kompletna, bo ja nie byłbym kompletny;
- ☯ Hanna Gumulińska, Marcin Pabich i Paweł Bruckowski, autorzy wszystkich udanych zdjęć;
- ☯ Dorota Koman, Grażyna Szadkowska, Andrzej Rosner, Bogna Rosińska i Jakub Kulasa – dziękuję za wyjątkowy profesjonalizm, mądrość, cierpliwość i zaangażowanie;
- ☯ dr Arkadiusz Jabłoński, Andrzej Sajkiewicz, Michał Ptaszyński i Junko Ueda, autorzy konsultacji japonistycznych (jeśli jakiegokolwiek błędy pozostały, oznacza to, że autor nadęty pychą danych fragmentów NIE skonsultował);
- ☯ Hiroe Jabłońska, specjalistka od spraw fudosanowych i autorka najlepszego *okonomiyakina* zachód od Morza Japońskiego;
- ☯ Basia Gomes i Michał Bruckowski, konsultanci rusycystyczni; Renata Borecka, autorka kilku znakomitych pomysłów;
- ☯ wszyscy czytelnicy, którzy do mnie pisali i piszą ze strony www.marcin.bruckowski.com z pomysłami, pytaniami, opiniami i pozdrowieniami (to motywuje!);
- ☯ wszyscy przyjaciele z Japonii, którzy mimo całkowicie przypadkowej zbieżności imion bądź nazwisk (naprawdę), stali się pierwszą inspiracją do spisania moich przygód w Kraju Wschodzącego Gajdzina.

お世話に
なっております！

Rozdział 1



ここはどこ？

私は誰？

Co ja tutaj robię?

(W wolnym przekładzie autora).

Tokio by night

Co ja tutaj robię?

Myśl ta nie ma – wbrew pozorom – podstaw filozoficznych ani muzycznych, a jedynie odnosi się do spostrzeżenia, że pedałując cały czas mniej więcej prosto, dotarłem do punktu wyjścia, czyli małego, ciemnego zaułka na tyłach sklepu monopolowego, prawdopodobnie w dzielnicy Kanamechō [czyt. kanamecioo]. Prawdopodobnie, bo po dwóch latach spędzonych w Japonii moja znajomość tego piekielnego pisma jest jeszcze chwiejna: czytam ze trzysta znaków, a to zdecydowanie za mało. Coś na tym sklepie jest napisane i nawet drugi znak od lewej wygląda jakoś znajomo... – może to *nama*, czyli surowy? Czy tak się pisze Shinamachi?

Ulica, oczywiście, nie ma nazwy; jest na to za mała. Najbliższa ulica godna przyznania jej nazwy i umieszczenia na małej mapie Tokio, którą mam w kieszeni, jest jakieś pół kilometra stąd. Nie wiadomo tylko, w którą stronę. No nic, jadę dalej, coś trzeba zrobić z tak pięknie rozpoczętą nocą. Nie pierwszy raz zgubiłem się w tym labiryncie wąskich uliczek; i na pewno nie ostatni, nie ma się czym przejmować.

Dzisiejsza nocna włóczęga ma, jak zwykle, cel krajoznawczy, a raczej: tokioznawczy. Tym razem chcę zidentyfikować lokalną świątynię w sąsiedniej dzielnicy: Kotake Mukaihara. Tokio składa się z setek małych dzielnic, które sto lat temu były wioskami i do dzisiaj zachowały swój wiejski charakter. W takiej wiosce jest zwykle miejscowa świątynia i festiwal uliczny związany z jej corocznym świętem. Jest łaźnia publiczna, ulica handlowa, mikroskopijny park i jeszcze mniejszy cmentarz. Wioska to najlepsze określenie, i tak właśnie tokijskie dzielnice nazywają cudzoziemcy.

Wskakuję na siodło i już mam ruszać, kiedy w jednej z bocznych alejek okalających sklep dostrzegam coś obiecującego: auto mat z napojami. Zawsze warto sprawdzić – do tajników sztuki przetrwania na tokijskiej ulicy należy wiedza, że w każdej wiosce można znaleźć jeden automat, który – dziw nad dziwy – jest zepsuty, czyli można w nim kupić piwo, sake, czasem japońską whisky (paskudztwo) albo japońską wódkę (wyjątkowe paskudztwo) dwadzieścia cztery godziny na dobę. Podjeżdżam bliżej – JEST! Ciemne przyciski: można kupić piwo. Normalnie wszystkie przyciski do wybierania różnych puszek z piwem zgodnie z

wymogami prawa japońskiego powinny być od godziny 23.00 podświetlone czerwonym znakiem

販売停止,

czyli wyłączone.

Koło mnie taki automat jest przy sklepie rodziców Eriko, uczennicy mojej dawnej szkoły języka angielskiego. Eriko opowiedziała mi kiedyś, że to nie przez przypadek (co zawsze podejrzewałem) automat jest „zepsuty”. Po prostu w ten sposób miejscowy sklepikarz sprzedaje w ciągu doby więcej puszek. Kiedy przychodzi kontrola, to się go naprawia, po czym za parę dni, dziwnym trafem, psuje się automat przy innym sklepie...

Nie istnieje nic piękniejszego niż pierwszy łyk lodowatego asahi super dry w ciepłą, parną, tokijską noc.

Pokrzepiony na ciele i duchu kupuję jeszcze jedną puszkę (220 jenów, raz się żyje) i odjeżdżam szukać dalszych przygód. Daleko nie zajechałem. Dwóch miejscowych policjantów, leniwie pedałując na swoich stalowych rumakach, wyraźnie kieruje się z drugiego końca ulicy w tę stronę. Szybko przebiegam w myśli rejestr moich w miarę aktualnych grzechów, ale poza pożądaniem paru koleżanek, które nie moje są, nic nie przychodzi mi do głowy. Na szczęście picie piwa na ulicy nie jest w Japonii zakazane, nawet o drugiej nad ranem. Gorzej może z jazdą na rowerze w stanie wskazującym, ale kolega prawnik, z którym trenuję kendo, twierdzi, że w prawie japońskim nigdzie nie ma mowy o dozwolonym poziomie promili we krwi rowerzystów.

Pan policjant zeskakuje z siodła i elegancko salutuje:

- Dzień dobry!
- A witam, witam szanownych panów funkcjonariuszy. Piękna noc.
- Co szanowny pan tutaj robi?
- Właśnie sam zadawałem sobie to pytanie, ale generalnie rzecz biorąc, zwiedzam.
- Zwiedza pan? To znaczy... jako turysta?
- Zwiedzam. Ten rejon gminy Toshima wydaje mi się niezwykle atrakcyjny turystycznie.

- Na rowerze?
- Na rowerze.
- Ma pan wyłączone przednie światło, to niebezpieczne.
- Jest wyłączone, bo stoję w miejscu.
- Aaa, no tak, prawda.



Bardzo Szeroka Ulica (ale nie tak, żeby dać jej nazwę). Nieodłączny element japońskiego pejzażu – wszechobecne kable.

Zapada cisza. Policjant sięga myślą do zbioru doświadczeń życiowych kierujących

ludzkimi reakcjami w różnych sytuacjach, ale nie znajduje tam nic, co by pomogło mu obrać dalszy kierunek rozmowy z przedstawicielem obcej cywilizacji.

– Lubi pan piwo? – pyta w końcu, widząc w mojej ręce puszkę asahi super dry.

– Tak w ogóle to niespecjalnie, ale japońskie piwo jest najlepsze na świecie, więc nie sposób go nie lubić.

Ewidentnie udzieliłem nareszcie kulturowo zrozumiałej odpowiedzi. Szeroki uśmiech obu funkcjonariuszy rozładowuje sytuację.

– No to dobrej nocy, smacznego i proszę na siebie uważać. Gdzie pan mieszka?

– W Senkawa 3-*chōme*¹, blisko stacji metra linii Yūrakuchō.

– My jesteśmy z posterunku Kanamechō. Jest pan teraz w 1*chōme*, Senkawa jest w tamtą stronę. Dobrej nocy! Gdyby zauważył pan coś podejrzanego, proszę do nas przyjechać.

– A cóż podejrzanego można zobaczyć w tym najspokojniejszym mieście świata?

– Noo... coś. Nigdy nic nie wiadomo.

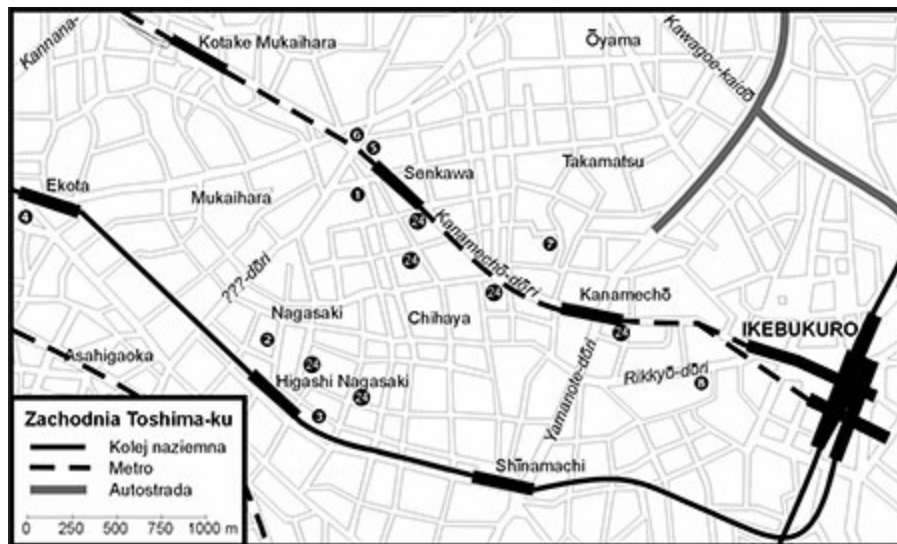
– Świetnie pan mówi po japońsku! – rzuca drugi.

Waham się przez ułamek sekundy, czy udzielić odpowiedzi kulturowo poprawnej: „Nieeee, ależ skąd, ja tak tylko troszeczkę rozumiem...”, czy alternatywnej, kierowanej do autochtonów wykazujących się pewną dozą tak zwanego jaja: „Dziękuję, pan też!”.

Wybieram to drugie i udaje się. Śmieją się i odjeżdżają. Sympatyczni młodzi ludzie. Szkoda, że ich nie zapytałem, czy trenują kendo (wszyscy policjanci trenują kendo) i czy by nie wpadli kiedyś do mnie na piwo po treningu. No nic, nareszcie wiem, gdzie jestem i gdzie mam jechać, więc jadę. Wezmę sobie kilka kaset z wypożyczalni wideo i jakoś dotrwam do rana, chyba że demon bezsenności, który męczy mnie tutaj od paru lat, akurat dziś się zlituje i zasną przed piątą.

Wypożyczalnia już blisko i już się cieszę na małą pogawędkę z wyjątkowo przyjaznym studentem, który pracuje tam nocami, kiedy ręce automatycznie zaciskają się na hamulcach: brat gajdzin²! Gajdzin robiący coś mało gajdzińskiego: toczący po ulicy mały wózek, na którym piętrzą się jakieś kolumny i wzmacniacze.

- Cześć! Jestem Marcin.
- Sean. Jak się masz.
- Miło cię poznać. Mieszkasz w tej okolicy?
- Tak. A ciebie to nawet widziałem na ulicy w Higashi Nagasaki.



1. Moje pierwsze mieszkanie. Rozmiar: 4,5 maty, czyli 6,9 m².
2. Moje drugie mieszkanie. Luksus, czyli 15 m i własne WC!
3. Tu mieszkał Sean.
4. Karaoke-bar The Pub, czyli wodopój Marcina i Seana.
5. MosBurger – najlepsza 24-godzinna burgerownia w okolicy.
6. Moja ulubiona wypożyczalnia wideo (koło stacji Senkawa są trzy, a koło Higashi Nagasaki cztery).
7. Biblioteka publiczna. W tej okolicy się zgubiłem i poznałem Seana. Gdzieś tam jest „zepsuty” automat z piwem.
8. Uniwersytet Rikkyō przy ulicy Rikkyō, wpisany w dzieje Marcina i Seana z powodu:
 - a) urody studentek
 - b) akrobatycznego zjazdu dwóch gajdzinów na jednym zdezelowanym rowerze (patrz rozdział 3);
 - c) faktu, że tu studiowała Yuna (patrz rozdział 9).
24. Sklepy 24-godzinne (Family Mart, Seven Eleven, itd.). Tak naprawdę w tym rejonie jest ich o wiele więcej – zaznaczyłem tylko te, do których często chodziłem, kiedy mieszkalem w Senkawa, a potem w Higashi Nagasaki.

Przemyka mi przez myśl, że parę lat temu nie miałem zwyczaju podchodzić do nieznajomych na ulicy i się im przedstawiać, a teraz wydaje mi się to normalne – oczywiście jeśli jest to gajdzin. My, cudzoziemcy, stanowimy w Japonii osobne społeczeństwo w społeczeństwie. Są wśród nas bogaci biznesmeni i biedni studenci, ale łączy nas jedno – stanowimy dla mieszkańców tej wyspy takie samo kuriozum, jakbyśmy mieli zielone różki i właśnie zeszli z pokładu UFO. Sto lat kontaktu z Zachodem niewiele zmieniło. A z tego płynie samotność i wyobcowanie. Pewnie dlatego zupełnie obcy sobie gajdzini pozdrawiają

się zwykle na ulicach niczym wędrowcy w wysokich Tatrach.

Pyzata fizjonomia i śpiewny akcent nie pozostawiają wątpliwości, więc strzelam:

– Irlandczyk?

– Kiedy ostatnio sprawdzałem, w istocie byłem Irlandczykiem – odpowiada Sean z szerokim uśmiechem. – A ty, chyba Niemiec?

– Blisko, ale trochę na wschód.

– Aha, Polska. Co tutaj robisz?

– Odpowiadanie na to pytanie staje się dzisiejszej nocy moim stałym zajęciem, ale cóż, opowiem ci wszystko, tylko może gdzieś usiądziemy? Pedaluję już po tej dzielnicy od dwóch godzin.

– Słuchaj, ja muszę dotachać te kolumny do domu i jeszcze wrócić po telewizor.

– ?

– No wiesz, elektronika na ulicy...

– ?

– A więc nie wiesz... Jak długo w Japonii?

– Dwa lata, a ty?

– Aaa, weteran... I nie wiesz o ulicznej elektronice? No nic, zaraz ci wytłumaczę. Ja jestem tutaj dopiero od paru miesięcy, ale jeden miejscowy gajdzin mnie wtajemniczył. Już tu nie mieszka, ale był moim mentorem w tych pierwszych, ciężkich dniach...

– OK, to zrobmy tak: przejdę się z tobą, pomogę ci to nosić. I tak nie mam co robić, męczy mnie bezsenność. A ty opowiadaj o tej elektronice.





Pyzata fizjonomia Irlandczyka

Ruszamy. Ja prowadzę rower, a Sean, górujący nade mną kawał wesołego Irlandczyka w moim chyba mniej więcej wieku (24 lata), z pozorną niedbałością wprawia w ruch wózek towarowy obciążony piramidą sprzętu hi-fi.

– OK, więc w Japonii jest masa bogatych ludzi, którzy co dwa lata kupują sobie najnowszy sprzęt, telewizory, magnetowidy, różne takie. Coś trzeba zrobić ze starym sprzętem, a że w tak zamożnym społeczeństwie nie ma rynku elektroniki używanej, zadanie wyrzucenia go na śmietnik przypada żonie, czyli gospodyni domowej. Gospodyni, jak sama nazwa wskazuje, jest gospodarna i nie może przeboleć opłat za wywóz tzw. Dużych Śmieci, czyli mebli, telewizora itp. Co więc robi? Z nastaniem zmroku wymyka się chyłkiem z domu i zanoszą stary sprzęt parę ulic dalej, zazwyczaj na próg najbliższego sklepu z elektroniką.

– I co dalej? – pytam zafascynowany.

– Są trzy wyjścia: albo sprzęt chwyci handlarz starzyzną, bo jednak trochę takich jeszcze się ostało i mają tu i ówdzie swoje budki, albo nikt go nie weźmie i rano sklep musi zamówić wywózkę Dużych Śmieci. Albo też sprzęt przygarnie do swego serca...

– Biedny gajdzin!

– Tak jest! Czy ty wiesz, co udało mi się dotąd znaleźć? Mam już trzeci telewizor kolorowy, stereo (właściwie dwa pełne zestawy: Technics i Yamaha, wolę brzmienie yamaha),

dwa magnetowidy: betamax i VHS, a teraz wieziemy moje najlepsze jak dotąd kolumny hi-fi, czterodrożne. Może chcesz wzmacniacz Sony? Mam ich parę!

– No, ale... tak z ulicy? To są śmieci... Pewnie brudne...?

– Stary, jakie śmieci?! Nie znasz japońskich gospodyń? Wszystko czyściutkie, w pełni sprawne, w idealnym stanie! Popatrz: z tyłu tego wzmacniacza przyklejony jest pilot w woreczku plastikowym, a w drugim woreczku instrukcja obsługi! Kiedyś nawet znalazłem odtwarzacz CD z ważną gwarancją!



Gajdzinów nie stać może na meble, ale na brak piwa, pięknych kobiet i sprzętu hi-finie narzekamy.

– I po to ten wózek?

– Dokładnie. Pożyczam go od jednego sklepikarza z mojej wioski, bo mam dość noszenia tego złomu na plecach. Sklepiarz myśli, że cały czas przeprowadzam się ze starego mieszkania i nocą wożę tym wózkiem moje graty, a ja nie wyprowadzam go z błędu.

Jestem pod wrażeniem. Miałem się już za starego wygę japońskiej ulicy, za mistrza przetrwania w tej miejskiej dżungli, gajdzina weterana, który zna każdą ciemną uliczkę i każdy mroczny zaułek, wie, gdzie zjeść śniadanie za darmo i jak najtaniej ogrzać mieszkanie zimą, słowem, uważałem się za szacownego maestro sztuki przeżycia w warunkach ekstremalnych,

który powinien dawać wykłady początkującym gajdzinom – a tutaj? Byle młokos odsłonił mi nowy aspekt japońskiej rzeczywistości, którego nawet nie podejrzewałem. Fakt, nieraz widziałem jakieś kawałki sprzętu w bramie sklepu z elektroniką, jakoś mi jednak nie przyszło do głowy, żeby im się przyjrzeć.

– Słuchaj, to niebywała historia. Chylę czoło przed bratem gajdzinem. Czy myślisz, że pod tym sklepem znalazłby się jakiś telewizorek...? Mój stracił ostatnio kolory, ma zresztą tylko czternaście cali, dostałem go w prezencie od sąsiada, studenta Uniwersytetu Waseda, kiedy się wyprowadzał.

– Spoko! Godzinę temu była tam dwudziestocalowa toshiba z pilotem. Odniesiemy moje kolumny, wrócimy, konkurencja mała. Poza nami w okolicy mieszka tylko jeden gajdzin, ale on ma już trzy telewizory. Jest co prawda jeszcze miejscowy handlarz starzyzną, ale on wychodzi na łowy później. Ma budkę na rogu Kanamechō-dōri i takiej ulicy bez nazwy, co prowadzi do biblioteki publicznej w Takamatsu. Przechodziłem tam parę razy – dziadek od miesiąca ma wciąż ten sam towar, więc chyba biznes kiepsko się kręci. Zresztą, trudno mu się dziwić: gajdzinów tu tyle, co kot napłakał, a Japończyk przecież starzyzny nie kupi. No, może jakiś student; ja podejrzewam, że ten dziadek cały zarobek ma w kwietniu, kiedy w Japonii zaczyna się rok akademicki i świeży narybek zagnieżdża się w akademikach. Chętnie bym się zresztą dowiedział, gdzie jest taki akademik, damski, rzecz oczywista...

– Sean, nie wiem, jak ci się odwdzińczyć! Mogę ci zdradzić, gdzie jest „zepsuty” automat z piwem. Dziś znalazłem.

Okazało się, że Sean nic nie wiedział o „zepsutych” automatach z piwem i innych tajnikach przemysłu monopolowego, co mocno podbudowało moje samopoczucie. Cóż, człowiek uczy się przez całe życie. Należy się cieszyć, że nauczyłem się czegoś nowego – wiedza to potęga. A szczególnie wiedza o automatach z piwem w wiosce, gdzie najbliższy sklep nocny jest o całe pół kilometra od domu. Kto wie, może kiedyś napiszę książkę o Japonii i przyda się jak znalazł? Podręcznik dla początkujących gajdzinów? To jest myśl.

Gadając wesoło, docieramy do domu, gdzie na piętrze Sean wynajmuje mieszkanie. Taszczymy po stromych, metalowych schodkach ogromne kolumny.

– Jak ty będziesz tego słuchał? Myślałem, że może mieszkasz w betonie, wiesz, grube

ściany... A to mieszkanie drewniane jako i moje, a więc ściany grubości kartki papieru i o podobnych właściwościach izolacyjnych. Twój gospodarz cię zabije, kiedy wyprodukujesz choćby ułamek decybeli, do których te kolumny są zdolne.

– Neeee, moja gospodyni jest stara i głucha. Muszę krzyczeć, żeby mnie zrozumiała. Poza tym ona całymi godzinami skanduje te swoje modlitwy buddyjskie, zwariować można. Tym sprzętem będę mógł to skutecznie zagłuszyć.

Wzdycham ze zrozumieniem. Pod moją pierwszą kwaterą też mieszkała skandująca staruszka. Do dziś mi się czasem śni to niegłośne, ale monotonne i wwiercające się w mózg *mu ci ja ku mu to ku i mu sio to ko bo di sa ta e han ya ha ra mi ta ko* (haust powietrza) *sin mu ke ge mu ke ge ko mu u ku fu...*

Po zdeponowaniu sprzętu Sean lekko zarzuca ważący dobre dziesięć kilo wózek na plecy i ruszamy pod sklep z elektroniką na łowy – po telewizor dla mnie. Na wschodzie pojawia się słaba łuna nadchodzącego dnia. A Tokio nadal śpi. Nocą na ulicy zawsze miałem to głupie poczucie, że jestem zupełnie sam w tym dziesięciomilionowym molochu. Sam, nie licząc czasami spotykanych policjantów na rowerach. Cóż, gajdzin musi umieć być samotny, bo samotnym jest się tutaj nawet w tłumie.

Sean wygląda na równego gościa, cieszę się, że w wiosce pojawił się nowy obcokrajowiec.

Telewizor stoi w bramie miejscowego sklepu, który w ojczyźnie określiłbym mianem AGD. Jest szczelnie zawinięty w plastik, umyty pod spodem(!); pilot przyklepiony na górze taśmą; kabel elegancko zwinięty, związany gumką, podczepiony z tyłu. Sean patrzy na niego krytycznym okiem, po czym wyciąga z kieszeni mały, elektroniczny woltomierz.

– ?

– No przecież nie będziemy tego tachać, jeśli ma przepalony zasilacz. To się, niestety, zdarza coraz częściej. Co się dzieje z tym narodem? Świat schodzi na psy.

Na szczęście wstępne badanie wypada pomyślnie i telewizor ląduje na wózku Irlandczyka.

– Słuchaj, a ty go nie potrzebujesz, w końcu pierwszy go znalazłeś...

– Nie wygłupiaj się, jutro pewnie będzie tu stał następny. Poza tym mój najnowszy

magnetowid jest Sony, więc preferuję telewizory Sony, żeby móc je obsługiwać tym samym pilotem. Wiem, wiem, nie rób takiej miny, ja również na początku nie mogłem w to uwierzyć. Przyzwyczajasz się i też się zrobisz wybredny. Dokąd teraz?

– Czekaj, może ja go sam zawiozę, a wózek odstawię ci jutro? Jest już późno, a właściwie wcześnie, a ty pewnie idziesz jutro do pracy?

– Nieee, mam parę lekcji angielskiego po południu, wyśpię się. Chodź, pokażesz mi, gdzie mieszkasz.

Po dwudziestu minutach docieramy do Senkawa. Muszę przyznać, że jestem wdzięczny za pomoc, bo ogromna krzepa Irlandczyka czyni transport telewizora na moje pierwsze piętro błahostką, a bydlę (telewizor, nie Irlandczyk) jest ciężkie, aż miło. Od razu włączam i *voilà* – piękny obraz, ostry jak żyłeta, kolory jak z bajki. Ale ekstra prezent sprawiła mi jakaś gospodyni, która nie może pewnie teraz spać, nękana wyrzutami sumienia, że nielegalnie wystawiła na ulicę Duży Śmieć, nie płacąc za jego wywóz.

Sean się żegna, ale na piątkowy wieczór umawiamy się na mały pubbing.

Już prawie jasno. Spać się nie chce, więc wyskakuję do pobliskiej wypożyczalni wideo. Takahashi-san³ jest jeszcze na swojej warcie, chociaż minę ma mętłą, chyba zaraz zaśnie. Na mój widok zrywa się i woła:

– Aaa, Marcin-san! Mam!

– Cześć Takahashi-san, co masz?

– No ten film, o który pytasz od dwóch tygodni. „Casablanca” z Humphreym Bogartem.

Po japońsku brzmi to: Kasaburanka oraz Hampuri Bogāto.

– To cudownie, strasznie ci dziękuję! Lecę oglądać, mam nowy telewizor.

– Kupiłeś? Jaki?

– Nie kupiłem, znalazłem na ulicy. Odjazdowa, dwudziestocalowa toshiba z pilotem. Wpadnij kiedyś, to ci pokażę.

Na twarzy kolegi Takahashiego maluje się skomplikowana gęstwa uczuć, bo dla przyzwoitego Japończyka branie czegoś z ulicy jest co najmniej strasliwym *faux pas*, a dla co

wrażliwszych hańbą zasługującą pewnie na rytualne samobójstwo. Z drugiej strony wiadomo jednak, że gajdzini nie są normalnymi ludźmi i nie wolno do nich stosować kryteriów etycznych i społecznych zarezerwowanych dla *homo sapiens japonicus*. Po chwili ta druga świadomość zwycięża i Takahashi-san przyznaje się:

– Wiesz, kiedy byłem studentem, to też wziąłem telewizor z ulicy. Jeszcze czarno-biały. Strasznie się tego wstydziłem i przez długi czas oglądałem na nim programy z wyłączonym dźwiękiem, żeby sąsiedzi nie zapytali, skąd mam nowy telewizor...

– Bo ty jesteś taki przyzwoity człowiek, że to aż nieprzyzwoite – śmieję się.

– Nieee, tylko nieśmiały... – mamrocze Takahashi, rumieniąc się, co w innym miejscu i narodzie mogłoby być oznaką zniewieścienia, ale nie tutaj. Co kraj, to obyczaj.

– Proszę, oto twój film. Należy się sto dwadzieścia jenów. Daj kartę, to ci podbiję.

– Proszę. Notabene kaseta kosztowała sto dwadzieścia jenów wczoraj, kosztuje tyle dzisiaj, i o ile nie nadejdzie w międzyczasie koniec świata w postaci kolejnego trzęsienia ziemi, będzie tyle samo kosztowała jutro, więc po co ty właściwie zawsze mi to mówisz?

– No wiesz... tak TRZEBA powiedzieć... Ty jesteś szanownym klientem...

– No dobra, dobra, nie obrażaj się. Tak tylko pytałem. Wiesz, że jestem *henna* gajdzin (gajdzin, czyli dziwak).

– He, he... no pewnie, że wiem... Dobrej nocy!

– Nocą to już trudno nazwać, ale dobra będzie na pewno – dzięki temu filmowi. Naprawdę bardzo ci dziękuję, że mi go przytrzymałeś. Jesteś równy chłop. Następnym razem kupię ci piwo. Trzymaj się!

Kolejny przystanek – MosBurger, czyli jedna z moich nocnych jadłodajni. Zamawiam podwójnego mosburgera z serem i siadam w pozycji strategicznej, tzn. z widokiem na niezwykle apetyczną studentkę, która jako jedyny klient tej burgerowni (poza mną) uczy się czegoś przy swoim stoliku. Wyciągam z kieszeni mapę. Zwiedziłem dzisiaj kawał miasta. Nanoszę przybliżoną lokalizację „zepsutego” automatu z piwem – nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać.

Po chwili przybiega kucharz i kłaniając się w pas, wręcza mi koszyk z mosburgerem i

frytkami. Na tym właśnie polega wyższość MosBurgera nad McDonald'sem i Burger Kingiem, nie mówiąc o Wendy's i paru innych, mniejszych sieciach: w MosBurgerze kanapki robi się wyłącznie na zamówienie, nic nie jest przygotowywane z góry. Zabieram się do jedzenia. Przydałoby się jeszcze jedno piwo, ale w MosBurgerze kosztuje ono dwa razy tyle, co w sklepie nocnym Seven Eleven, sto metrów dalej, więc chyba sobie odpuszczę.

Na dworze już całkiem jasno, Tokio powoli budzi się do życia. Jeszcze nikogo nie widać, ale słysząc pomruk budzącego się miasta. O tej porze na większych ulicach pojawiają się ciężarówki dowożące towary do sklepów. W miejscu, gdzie metr kwadratowy ziemi kosztuje pewnie więcej niż cała Warszawa, sklepy nie mają zaplecza i wszystko trzeba dowozić na bieżąco. Kiedy idę główną ulicą mojej wioski, pozdrawia mnie miejscowy handlarz ryb, który podnosi właśnie metalowe żaluzje swojego sklepu i przygotowuje się do przyjęcia furgonetki ze świeżym towarem – to znaczy jeszcze parę godzin temu pławiącym się wesoło w Pacyfiku. Obok właściciel sklepu z warzywami spłukuje asfalt. Ten z kolei udaje, że mnie nie widzi. Może podejrzewa, że wracam do domu z jakiegoś grubszego łajdactwa i chce mi oszczędzić wstydu bycia rozpoznanym?

Wbiegam po schodkach do domu i dokonawszy takich ablucji, jakich da się dokonać w zlewie (własna łazienka jest luksusem, na który jeszcze długo nie będzie mnie stać), wyciągam z szafy materac, *futon* i pościel, po czym przystępuję do japońskiego rytuału zamiany pokoju dziennego na sypialnię, który polega na skonstruowaniu sobie legowiska w kącie pokoju. A właściwie na środku pokoju. A właściwie to na jedno wychodzi...

Magnetowid połyka wyczekaną kasety z „Casablancą”. Wciskam na uszy słuchawki, żeby Humphrey Bogart nie pobudził moich sąsiadów, i sięgam po pilota. Życie nie jest złe.

Budzę się – lekki i rześki – o godzinie 12.00. W sam raz, żeby zdążyć z konwersją mojej sypialni na szkołę języka angielskiego. Polega to na złożeniu pościeli, *futonu* oraz materaca, wrzuceniu ich do szafy i na rozstawieniu na uzyskanym w ten sposób imponującym obszarze dwóch metrów kwadratowych czterech składanych krzesełek z wbudowanymi blatami do pisania. Szybkie śniadanko – złożone z *onigiri* (trójkąt z ryżu rozmiaru kanapki, nadziany tuńczykiem i zawinięty w wodorosty) oraz miseczki zupy *miso* (zwanej przeze mnie Zupą z Misia) i jestem gotów na przyjęcie moich pierwszych klientów. Dzisiaj są to dzieci, cztery wesołe szkraby w wieku sześciu lat.



To nie fotomontaż – boczne uliczki są naprawdę takie wąskie. Ponoć już w XII wieku narzekali na to kierowcy riksza.

Lekcja mija jak z bicza strzelił, dzieci w rekordowym czasie opanowują piosenkę „Bingo”, w czym zagrzewam je do boju, akompaniując na gitarze. Modlę się w duchu, żeby mojej gospodyni nie było w domu, bo hałas jest niezły. Do tej pory nie miałem, co prawda, problemów, ale zakładam, że skoro ja słyszę, jak gospodyni kraje w kuchni szczypiorek, to ona tym bardziej słyszy, jak ja gram na gitarze, nie mówiąc już o chóрку entuzjastycznych głosików piejących o farmerze i jego psie B-I-N-G-O.

Dziś koniec miesiąca – dzieci przynoszą zapłatę dla Pana Nauczyciela. Jedno po drugim

wręcza mi białą kopertę z banknotami. Dawanie komuś pieniędzy luzem jest w Japonii nie do pomyślenia. Dziękuję im i częstuję herbatnikami na do widzenia. Dzieci są przebojowe: otwarte, wesołe, psotne, nie ma w nich nic ze śmiertelnej powagi nastolatków, które szkoła zdążyła już nauczyć, że życie to nie zabawa.

Potem jeszcze jedna lekcja z panem Tsubarashim i jedna z dwiema studentkami z Uniwersytetu Rikkyō. Wreszcie szybki obiad. O 19.00 dzwonię do Seana.

– Witam wielce szanownego brata gajdzina! Poznaliśmy się wczoraj...

– Cześć, Marcin! Co ty, myślisz, że mam sklerozę, czy jak? Ładny dzień, nieprawda? Jak tam telewizor? Działa? Co robisz? Jakies plany na wieczór? Ja robię badania.

– Badania czego? – pytam, lekko oszołomiony ilością pytań, jaką Seanowi udaje się zadać zaledwie w 10 sekund.

– Tego jeszcze nie wiem, ale już wiem gdzie – w pubach i barach w Ekota. Jeśli masz czas, to chodźmy razem.

I tak znajduję się przed Ekota, czyli stacją metra położoną o jakieś trzy wioski od mojej. Sean przyjeżdża z Ikebukuro⁴, miał tam lekcję.

– Cześć, Sean. No to gdzie idziemy? Znasz tę okolicę? Tylko błagam, nic drogiego...

– Spokojna głowa, u mnie też krucho z zasobami wszechmocnego jena. Jest tutaj taki mały pub o oryginalnej nazwie The Pub, byłem w nim raz z moim uczniem.

Po minucie jesteśmy w barze pod małym budynkiem biurowym przy jednej z bocznych uliczek Ekota. Schodzi się tam bardzo wąskimi schodkami, a potem typowo: bar, salka w kształcie litery L na jakieś siedem stolików i, oczywiście, nieodłączna scena do karaoke. Na ten widok krzywię się, ale Sean uspokaja:

– Nie zaczną śpiewać przed dziewiątą, a poza tym tutaj mało kto przychodzi, jest spokój. I tanio.

Rozsiadamy się przy jednym ze stolików. Targany straszliwymi wątpliwościami właściciel, barman i kelner w jednej osobie wyraźnie zastanawia się, czy nas wyrzucić, czy wezwać policję, czy też może zapytać, czego chcemy się napić. Z gajdzinami przecież nigdy nic nie wiadomo. Może odstraszą normalnych gości? A może wypiją całe zapasy piwa,

połamię krzesła, podpalę maszynę do karaoke i wyjdę, nie płacąc? W końcu, w nagłym przypływie brawury, postanawia postawić wszystko na jedną kartę.

– Czym mogę służyć?

– Ma pan jakieś zestawy? – pyta Sean dość łamaną japońszczyzną.

– Tak, mamy zestaw: dwa piwa plus przekąski za siedemset pięćdziesiąt jenów.

Zamawiamy. Przekąski okazują się paskami suszonej ryby i orzeszkami. Kelner odchodzi, trochę już uspokojony – gajdzini wyglądają spokojnie i zamówili zestawy (jap. *setto*), a więc zachowują się jak prawdziwi ludzie. Nawet próbują mówić po ludzku. Nie wiadomo, oczywiście, co robią, gdy wypiją całe to piwo, ale cóż, z drugiej strony będzie się można pochwalić dziś w nocy żonie, że w barze byli prawdziwi gajdzini. A to przecież modnie i światowo...

Sean wychyla duszkiem połowę pierwszej szklanki swojego zestawu.

– Noo... nareszcie. Miałem zabiegany dzień.

– Rozumiem, że jesteś nauczycielem angielskiego?

– Nie, właściwie to jestem dziennikarzem.

– Wow! Dla kogo piszesz?

– Różnie. Wolny strzelec, rozumiesz. W tej chwili piszę dla irlandzkiej gazety, mam tam cotygodniową kolumnę z Tokio.

– Dasz przeczytać?

– Mogę dać, ale gazeta jest po irlandzku, wiesz, celtycka, nie angielska.

Moje zaciekawienie wzrasta. Znałem wielu Irlandczyków, ale żaden nie władał irlandzkim na tyle, żeby móc w nim pisać artykuły. Okazuje się, że Sean ukończył szkołę w tym języku i choć na co dzień mówi ze swoimi rodzicami i licznym rodzeństwem po angielsku, to irlandzki jest jego drugim językiem.

– Zaczynam rozumieć, dlaczego musisz uczyć angielskiego...

– Dokładnie. Jeden artykuł tygodniowo nie opłaciłby nawet mojego piwa. Ale wysyłam

też różne szkice z Tokio do tygodników anglojęzycznych. Pewnego dnia na pewno mnie docenią. Jeszcze kiedyś zobaczysz moje nazwisko na pierwszych stronach „Newsweeka”. A ty uczysz angielskiego od rana do wieczora?

– Nie, ja też nie. Tak naprawdę to kończę studia, ale żeby przeżyć, co drugi dzień pracuję w firmie komputerowej, a w pozostałe uczę angielskiego. Trochę tłumaczę. No i trudno mówić o pracy od rana do wieczora, bo z tym rankiem to u mnie kiepsko.

– No właśnie – ożywia się Sean – co ty robisz, jeżdżąc nocą rowerem po Tokio?

– Bezsenność. Właściwie przesunięty rytm czasu – robię się śpiący o piątej nad ranem, śpię do południa. To mój problem od chwili przyjazdu do tego kraju.

– Może jeszcze żyjesz w czasie europejskim? – pyta Sean, szczerząc zęby.

– Po dwóch latach? Nie wygłupiaj się. A może? Kto wie. Bo widzisz, mój problem nie jest unikalny. Kilku gajdzinów, których miałem okazję znać, cierpiało na tę samą przypadłość.

Sean sygnalizuje barmanowi, że jesteśmy gotowi na drugie połowy naszych zestawów, czyli na drugie piwo.

– A ja, mój drogi Marcinie, to ci zazdroszczę. Bo ja usiłuję dowiedzieć się czegoś ciekawego o Japończykach i Japonii, a jak wiadomo, wszystko, co ciekawe, dzieje się w mieście po zmroku. Ale mam lekcje rankami i w nocy śpię... A gdybym mógł tak jak ty powalać się po mrocznych alejkach tych metropolitańskich wiosek, poznać ciemną podszewkę japońskiej rzeczywistości... Ach, marzenie dziennikarza. Odkryć coś, o czym jeszcze nikt nie napisał...

– Sean – odpowiadam w nagłym przypływie natchnienia – będę twoim okiem w ciemności. Zdam ci szczegółowe raporty z tego, co przeżyłem. Odchyle przed tobą zasłonę tajemnicy, która okrywa miasto po zmroku. Wszystko, co ci pozostanie, to przełożyć to na irlandzki i przefaksować do Dublina.

– Zaiste, prawdą jest, co mówił mój tata, że nie masz lepszego przyjaciela nad Polaka – mówi Sean, szczerze wzruszony. – W takim razie czuję się w obowiązku postawić ci następny zestaw.

– Jak z obowiązku, to nie, dziękuję – śmieję się. – Ale jak z chęci szczerzej, to wołaj

barmana...

I tak nam upływa czas. Po godzinie połowa stolików jest już zajęta przez autochtonów i zaczyna się karaoke. Sean, zainspirowany swoim piątym piwem, prosi barmana o menu piosenek.

– Sean, czy naprawdę musimy...? – pytam, zaniepokojony.

– Jasne, inaczej będziemy aspołeczni – odpowiada Irlandczyk.

– Społeczni to my tutaj nigdy nie będziemy, a mnie Bozia pokarała kiepskim głosem i dobrym uchem, a więc słyszę, że fałszuję, ale nic na to nie mogę poradzić. Gdybym miał dobry głos, tobym nie fałszował. Gdybym miał kiepskie ucho, tobym fałszował, ale bym tego nie słyszał. A tak? Najgorsza możliwa kombinacja.

– Trudno – Sean jest nieugięty. – Wszystkiego trzeba w życiu spróbować.

Daję za wygraną. Dla mnie karaoke to aż nadto dobrze znany obowiązek społeczny, między innymi z comiesięcznej popijawy firmowej, ale dla Seana, który jest tu dopiero od paru miesięcy, stanowi to pewnie egzotyczną nowość.

Po chwili jesteśmy na scenie z parą mikrofonów i odtwarzamy „Bridge Over Troubled Water” [po japońsku brzmi to: *bridździ ołbaa traburudu wotaa*] Simona i Garfunkela. Obrzydliwe, metaliczne, elektroniczne echo, szczerze domieszane do naszych głosów przez maszynę do karaoke, skutecznie maskuje moje niedociągnięcia. Szóste piwo (czyli końcówka trzeciego zestawu) maskuje je jeszcze lepiej. Poza tym – Simon i Garfunkel też fałszowali.

Dostajemy brawa od wszystkich stolików i po darmowym piwie od barmana. Noc należy zaliczyć do udanych.

Kiedy o pierwszej nad ranem wracam z łaźni i przymierzam się do kolejnej rundy po okolicach na moim stalowym rumaku, czuję coś dziwnego. Nie do wiary, jestem śpiący! Tak wcześniej? No nic, trzeba to wykorzystać. Nocnym okiem Seana będę jutro, przede mną cały weekend. Wyciągam materac i *futon* z szafy, rzucam się na nie z ulgą. Życie, o dziwo, znowu okazało się nie być złe.

Rozdział 2



暁の霜に風呂屋が門を
たたく哉

Mroźny poranek
u wrót publicznej łaźni
gajdzin cuchnący.

Parafraza haiku pióra Issa (1794).

O gospodarzach i gospodyniach

Coś tu jest nie tak. Coś jest zdecydowanie, całkowicie, bezwzględnie nie tak. Wrzucam do plastikowej miski mydło, szampon i ręcznik, chwytam miskę pod ramię i wychodzę z łaźni, usiłując zrozumieć, co się właściwie zdarzyło. I dlaczego.

Było tak: poszedłem dzisiaj do łaźni jak co dzień. Około jednej trzeciej mieszkań w tej dzielnicy nie ma łazienek, więc łaźnie są dosłownie co krok. Moja jest po prostu najbliżej, około

200 metrów. No więc jak zawsze wszedłem i ruszyłem do części męskiej, gdzie dostałem mój numerek i obowiązkowe kapcie, złożyłem ubranie w szafce i udałem się do myjni, czyli pomieszczenia, gdzie siada się na malutkim, plastikowym stołku, po czym myje z pomocą mydła (własnego) i prysznic. Jak na razie wszystko w porządku.

Chociaż nie, zaraz – nikt się do mnie nie odezwał ani mnie nie zaczepił, a ludzie zazwyczaj nawiązują ze mną w myjni rozmowę. Niektórzy podglądają ukradkiem, ciekawi, czy prawdą są powszechne mity o ogromnej włochatości gajdzinów, nie mówiąc o imponujących ponoć rozmiarach ich narządów rozrodczych. Inni otwarcie nawiązują rozmowę, zawsze ciekawi, czy jestem Amerykaninem (wszyscy wiedzą, że cudzoziemiec równa się Amerykanin, nieprawdaż?), co robię w łaźni publicznej, jak długo jestem w Japonii, czy mi się tutaj podoba i jak mi smakuje japońskie jedzenie. A dziś – ściana milczenia. Jakby wszyscy udawali, że mnie nie widzą.

Poważne problemy zaczęły się jednak później. Wyszedłem ja sobie z myjni do łaźni właściwej, czyli pomieszczenia z wannami, żeby zgodnie z tysiącletnią tradycją pomoczyć się w gorącej wodzie. Właściwie wannami trudno to nazwać, to są raczej takie małe baseny. Również zgodnie z tradycją zasłaniałem się skromnie malutkim ręcznikiem, zwanym po japońsku uroczą *modeschi taoru*. Wybrałem największą wannę – było w niej dziś tylko pięć osób – i zacząłem się zanurzać, powoli, bo woda była BARDZO gorąca. W tym samym momencie wszyscy lokatorzy wanny z kamiennymi twarzami zaczęli się podnosić i śpiesznie wychodzić z wody! Usiadłem, zaalarmowany, i rozejrzałem się wkoło. Ewidentnie moje

pojawienie się w wodzie wywołało masowy exodus.

Wylazłem z wanny, ociekając wodą, i zacząłem kierować się w stronę drugiej. W oczach jej lokatorów wyczytałem zamiar natychmiastowej dezercji, gdybym tylko spróbował się zbliżyć do wody.

– Ale ja się umyłem... – bąkam, totalnie zbity z tropu.

Odpowiada mi kamienne milczenie.

Czy uchyliłem w czymś świętej japońskiej etykiety? Chyba nie, chodzę przecież do łaźni od dwóch lat i nigdy nie było problemów. Na pewno nie pomyliłem kapci łaźniennych z kapciami do WC, co oczywiście byłoby obrazą boską i ludzką, a przy okazji przyczyną rozlicznych chichotów. Dziś, niestety, nikt nie chichotał. Odniosłem raczej wrażenie, że wszyscy udają, że jestem niewidzialny.

Wpadam do domu i dzwonię do Seana. Znamy się już od paru tygodni i niejedną zestaw zamówiliśmy w okolicznych pubach.

– Cześć, Sean, słuchaj, byłeś dziś w swojej łaźni?

– Czekaj, właśnie miałem do ciebie dzwonić. Tak, byłem, ale nie wszedłem: przed wejściem wisi tabliczka z napisem, że gajdzinów nie wpuszczają!



Ciężkie życie gajdzina *non grata*. Tutaj, na szczęście, nie wolno nam tylko parkować.

– Cooooo???

– Dokładnie! A u ciebie to samo?

– Aż tak źle nie jest, ale ostracyzm wannowy też nie był specjalnie przyjemny – opowiadam Seanowi o moich niedawnych przejściach.

– Co się mogło stać? Może Ameryka wypowiedziała Japonii wojnę?

– Nie wiem, ale powiem ci, co w tej sytuacji robi dziennikarz.

– Chcesz robić wywiady na ulicy? Sądząc z reakcji bywalców mojej łaźni, nikt ci nic nie powie...

– Nie, jest szybsza metoda – chwytam gazetę.

– OK, oddzwonię do ciebie.

Szybko przebieram się z *hakamy* (czyli rodzaju piżamy, w której naród tradycyjnie udaje się do łaźni) w normalne ubranie i zaczynam przetrząsać stosy moich papierów. Jest: dzisiejsza edycja „The Daily Yomiuri”. Gazeta ma zaledwie szesnaście stron, jako że jest skróconym, anglojęzycznym wydaniem dziennika „Yomiuri Shinbun” przeznaczonym dla gajdzinów. Już na drugiej stronie znajduję artykuł, który dość dobrze może uzasadniać nasze perypetie:

Kobe. 37-letnia mieszkanka Kobe, u której w zeszłym tygodniu stwierdzono wirus HIV, przyznała się, że już po zarażeniu tą straszną chorobą współżyła seksualnie z 27 japońskimi mężczyznami. Kobieta zaraziła się podczas stosunku z cudzoziemcem, marynarzem z Australii. Administrator szpitala zawiadomił władze, które podjęły kroki w celu ostrzeżenia wszystkich mężczyzn, którzy mogli zostać zakażeni w wyniku kontaktów seksualnych z tą kobietą.

(„Yomiuri Shinbun”)

Wszystko jasne – do Japonii zawitał AIDS. Kraj do tej pory bardzo dumny z tego, że miał zero przypadków zakażeń HIV, nagle wkroczył w nową erę. A jak wiadomo, AIDS równa się cudzoziemcy. Ciężki będzie teraz los gajdzina w łaźni. Ale wiem już, co zrobię, przynajmniej dzisiaj. Chwytam za telefon.

– Sean, już wiem, co się stało, i wiem, gdzie możesz się umyć. W czasie moich nocnych wędrówek rowerowych trafiłem na jakąś boczną ulicę w Higashi Nagasaki i znalazłem tam kabiny kąpielowe. Wrzucasz sto jenów i masz za to pięć minut gorącej wody pod prysznicem. Kabiny są lśniąco czyste, codziennie myte i dezynfekowane. To bliżej ciebie niż mnie, więc

zaraz wskoczę na rower i przyjadę, OK?

Dwadzieścia minut później maszerujemy z Seanem do kabin w Higashi Nagasaki. On też znalazł artykuł o pani z Kobe, ale nie dostrzegł w nim przyczyny naszych zgryzot:

– Przecież ta kobieta, wiadomego zresztą zawodu, wyznała historię bliższych spotkań trzeciego stopnia z Japończykami, a nie z gajdzinami!

– Sean, zaśpiewałbym ci piosenkę „Oj naiwny, naiwny, naiwny, naiwny jak ćma”, tylko byś jej nie zrozumiał... Japońskie gazety, pisząc o wszystkich możliwych negatywnych zjawiskach społecznych, uwielbiają sugerować, kto jest temu wszystkiemu winien – oczywiście OBCOKRAJOWCY. Kto zaraził panią z Kobe? Obcy marynarz. Gdzie narodził się AIDS? Oczywiście za granicą. Gdyby nie źli, niedobrzy, rozpustni cudzoziemcy, to zdrowy, szlachetny i cnotliwy japoński naród NIGDY nie nabawiłby się tej klątwy! – peroruję, natchniony.

– Zaraz, zaraz, co do tych cnót, to ta pani z Kobe chyba była Japonką...? – z przewrotnym błyskiem w oku zauważa Sean.

– A, przepraszam, czy to było gdzieś napisane? Przecież wiadomo (a przynajmniej tak twierdzą oficjalne statystyki), że dziewięćdziesiąt procent prostytutek to gajdzinki: Filipinki, Tajki, Koreanki i Rosjanki, pracujące tutaj nielegalnie na wizach „artystycznych”, czyli dla tancerek.

Skręcamy z ulicy targowej w wąską dróżkę na tyłach świątyni. Po prawej cmentarz rozmiaru dziesięciu metrów kwadratowych.

– No, to fakt, ale – kapituluję po chwili – gdyby ona nie była Japonką, to gazeta z całą pewnością nie omieszkaby o tym napisać. Ale zaraz, kto mówi, że ona była prostytutką? Przecież ona mogła mieć po prostu wielu mężów!

Sean odpowiada mi tylko długim i wymownym spojrzeniem i na tym kończymy temat, bo dotarliśmy właśnie do kabin. Są trzy – i w nocy, kiedy je mijalem, nigdy nie były zajęte, teraz zajęte są dwie, więc Sean szybko wskakuje do ostatniej.

Przedemną kilka minut czekania, bo nie mam co robić z wieczorem; może Sean da się namówić na jakieś piwko. Jest gorąco i parno. Inwestuję ¥100 w puszkę mrożonej kawy z

mlekiem ze stojącej na brzegu ulicy maszyny. Po naciśnięciu guzika migają kolorowe diody – to rodzaj gry losowej: kiedy diody się zatrzymają w określonej pozycji, można dostać drugi napój za darmo. Prawa rachunku prawdopodobieństwa jednak w moim przypadku nie działają, bo kupując średnio jeden napój dziennie, przez dwa lata powinienem chyba już coś wygrać, a jeszcze nigdy mi się nie udało. Ale Takahashi-san twierdzi, że w samym zeszłym roku wygrał dwa razy, więc chyba to mój brak szczęścia.

Z pierwszej kabiny wychodzi – na oko – dwudziestoletnia niewiasta, z mokrymi włosami i w lekko mokrej koszulce. Migdałowe oczy, drobny nosek, śliczne usta, nogi do samej ziemi i co lepsze – a w tym kraju rzadkie i cudowne – ma nawet biust... Panienka znika za rogiem ulicy, a ja obserwuję z wielkim zainteresowaniem, ale już nie dziewczynę, tylko Seana, który zdążył ukończyć swoje ablucje i stoi przed kabiną z szeroko rozdziawionymi ustami i wybałuszonymi oczami.



Wszechobecne automaty z napojami i wszechobecne atrakcje (w rozumieniu Seana).

– Eee, widziałem ładniejsze – mówię lekceważąco, jak przystało na starego wygę.

– Chyba w twoich snach – dyszy Irlandczyk. – Platoński ideał kobiety, na imię ci Japonka...

– Dobra, dobra, nie przesadzaj, poznam cię z moją uczennicą Keiko Matsunami, to zobaczysz platoński ideał, który żyje i przychodzi do mnie na lekcje dwa razy w tygodniu. Chodźmy, muszę kupić coś do jedzenia.

Idziemy wąskimi uliczkami Higashi Nagasaki, które dziś przybrane są lampionami i

papierowymi kwiatami – widocznie nadchodzi miejscowy festiwal uliczny. Trzeba się dowiedzieć kiedy – festiwal to wspaniała rzecz. Gdy mijamy miejscowy sklepik z nieruchomościami, czyli *fudōsan*, coś każe mi się zatrzymać.

– Zaczekaj, Sean, chciałbym sprawdzić, czy w tej okolicy są mieszkania do wynajęcia.

– Sprzykrzyło ci się w Senkawa?

– Senkawa jest OK, ale nie ma tam miejscowej świątyni, nie ma takiej głównej ulicy z masą sklepików, wiesz, nie jest to typowa wioska. Ale przede wszystkim – nie ma kabin kąpielowych...

– No coś ty, cała ta histeria z AIDS szybko przeminie!

– Ja wiem, ale jakoś... chyba nie będę już nigdy chciał iść do tej mojej łaźni. A w ogóle to byłeś u mnie, gdy nieśliśmy ten telewizor, widziałeś, jaki rozmiar ma moje mieszkanie.

– No fakt, cztery i pół maty... Ja mam pokój o rozmiarze sześciu mat.

– No widzisz, a mnie się nawet marzy coś w rodzaju cztery i pół plus sześć, i z własnym WC! O własnej łazience chyba nie ma co marzyć... A może?

– Ty burżu! – śmieje się Sean. – No dobrze, zobaczmy. Ja, co prawda, nic nie rozumiem z tych ogłoszeń, ale może mi wyjaśnisz i wyjdzie z tego jakiś artykuł do mojej irlandzkiej gazety?

– Proszę bardzo, tylko pamiętaj o tantiemach dla mnie...

Cała szyba sklepiku z nieruchomościami jest zalepiona ogłoszeniami, które wyglądają mniej więcej tak:

①	アパート	③	6畳LDK + 4.5畳	②	
	家賃		¥39,000	⑥	
⑧	敷金	2ヶ月	礼金	2ヶ月	⑦
⑨	築年	12年	入居	即入	⑩
	交通	西武池袋線〔東長崎〕駅 歩5分			⑤
	設備	WC・シューズBOX・クローゼット			④
	住所	豊島区、長崎 5 - 12 - 4、〒172			⑪

1. Podstawowa informacja: czy to dwupiętrowy dom drewniany (*apāto*, od angielskiego *apartment*), czy wyższy, z betonu (*mansion*). Za *mansion* płaci się duuużo, dużo więcej. W *apāto* jest WC (albo i nie – u mnie w Senkawa są dwa wspólnie używane WC na pięć małych mieszkań), ale łazienka rzadko. Natomiast w *mansionie* zawsze jest łazienka, a w jednym z pokoi może być nawet luksus nad luksusami: klepka zamiast *tatami*, czyli maty ze sprasowanej słomy ryżowej. Osobiście wolę *tatami*, ale klepka ma tę zaletę, że można na niej postawić prawdziwy stół i krzesła.

2. Rozmiary pokoi. Jednostka powierzchni to mata *tatami*. Standardowa japońska mata podłogowa ma 90 na 180 cm, czyli 1,6 metra kwadratowego. To mieszkanie ma dwa pokoje: cztery i pół maty (7,4 m²) i 6 mat (9,7 m²). Jest to więc typowa kwatera (17 m²) dla rodziny z dzieckiem czy dwójką dzieci.

3. Tutaj widać, czego możemy oczekiwać po mieszkaniu: LDK to skrót od angielskiego *Living-Dining-Kitchen* opisującego funkcje większego pokoju: jest on połączeniem pokoju dziennego z kuchnią i jadalnią. W praktyce w kącie pokoju jest po prostu minikuchnia, czyli jedna szafka ze zlewem, druga na kuchenkę gazową oraz miejsce na lodówkę. Ten mniejszy pokój to będzie więc sypialnia (sądząc z rozmiaru mieszkania – dla trzech osób albo rodziny z dwójką dzieci).

4. „Dodatki funkcjonalne”: ubikacja, szafka na buty, szafa wnękowa na pościel.

5. Najbliższa linia metra i nazwa stacji oraz co bardzo ważne: ile jest minut (piechotą) od stacji.

6. Jeszcze ważniejsze: miesięczny czynsz... Tutaj: 39 tysięcy jenów, czyli około 1400 zł.

7. Na wypadek, gdyby ktoś pomyślał, że wystarczy mieć w kieszeni niecałe 4 *many*⁵, aby się tu wprowadzić: to jest *reikin*, czyli bezzwrotna opłata. Tutaj w wysokości dwóch czynszów.

8. *Shikikin*, czyli kaucja – też dwa czynsze. Kaucja jest zwrotna, choć zwykle nie w całości, bo po paru latach gospodarz odejmie z niej trochę na koszty drobnych napraw związanych ze zużyciem mieszkania. Należy wtedy tylko się modlić, żeby nie potracił za wymianę mat *tatami*, bo to naprawdę drogie.

9. Wiek budynku – pozwala ocenić, czy to lśniący nowością domek (wiek od 0 do mniej więcej 7 czy 8 lat), czy rozpadająca się rudera (powyżej 15 lat). W tym wypadku coś pośrodku.

10. Kiedy będzie się można wprowadzić? Tutaj – natychmiast.

11. Adres. Jak zauważył mój kolega, gdyby w Polsce umieszczano w ogłoszeniu adres, to co drugi spryciarz udałby się prosto do gospodarzy, omijając agenta...

12. Czego w tym ogłoszeniu nie wymieniono (bo dla Japończyka rozumie się samo przez się), to ostatnia opłata – prowizja agenta. Kolejny miesiąc czynszu...

Sean jest pod wrażeniem i pilnie notuje. Ja wczytuję się w ogłoszenia i widzę kilka obiecujących. Jest wczesny wieczór, ale agent jeszcze pracuje. Wchodzimy do środka.

– Dobry wieczór, czy mogę się dowiedzieć o mieszkania do wynajęcia w tej okolicy?

– Niestety, nie mamy żadnych.

– Żadnych?

– Żadnych.

– A te wszystkie ogłoszenia na zewnątrz?...

– Jest mi niezmiernie przykro.

Wychodzimy. Sean jest skonfundowany.

– Czy ja dobrze zrozumiałem, co on powiedział? Że NIC nie ma?

– Niestety – wzdycham – dobrze zrozumiałeś.

– Ale...

– OK, zaraz ci wytłumaczę. To dłuższa historia. Ale czekaj, tutaj jest knajpa, da się wtrząchnąć miskę ryżu z kotлетem za czterysta jenów. Idziemy?

Wchodzimy i siadamy za ladą. Restauracja jest tak mała i wąska, że wszystkie siedzenia są przy ladzie – na stoliki w ogóle nie ma miejsca. Bardzo wesoła (i ładna) kelnerka przyjmuje zamówienie, po czym kucharz, chyba jej brat (widać podobieństwo rodzinne), przyrządza nam wieczorną strawę. A ja ruszam do wyjaśnień.

– Widzisz, Sean, nie we wszystkich *fudosanach gajdzini* są, że tak powiem, mile widziani. To nawet nie winą agentów. Po prostu wielu gospodarzy, czyli właścicieli takich mieszkań do wynajęcia, stawia twardy warunek: „Wynajmuję tylko Japończykom”.

– Czy oni aż tak nas nie lubią?

– To nawet nie to. Po prostu się boją. Boją się masy rzeczy, a miejscowa prasa sensacyjna pomaga te obawy rozdmuchać. Boją się więc, że nas nie rozumieją (jak wiadomo, gajdzin nie umie mówić po japońsku). Boją się, że będziemy chodzić po pokojach w kapciach do WC. Boją się, że nie uszanujemy świętych mat *tatami* i wejdziemy na nie w zabłoconych butach. Boją się, że wynajmą mieszkanie jednemu gajdzinowi, a po tygodniu będzie już w nim mieszkało jego dwunastu kuzynów z Pakistanu. Boją się naszej bezpośredniości, bezczelności, inności... no wiesz, chyba wczoraj tutaj nie przyjechałeś.



Rozłamujemy pałeczki i atakujemy nasz ryż.

Sean smętnie kiwa głową.

– Pamiętam, u mnie też nie było wesoło. Ale gospodyni, mimo że stara i przygłucha, jest OK. Oczywiście moja *sponsā*⁶ musiała

jej długo tłumaczyć (bolało ją potem gardło przez tydzień), że ja jestem grzeczny, cichy, spokojny i nie mam dwunastu kuzynów w Pakistanie.

– Więc sam widzisz. A w tym *fudosanie*, gdzie przed chwilą byliśmy, właściciel mógł mieć właśnie takie złe doświadczenie. Może jakiś gajdzin nie płacił czynszu i nie chciał się dać

usunąć? Japońskie prawo broni wynajmującego i nie pozwala zbyt łatwo wyrzucić go na bruk, to też poważne źródło strachu dla gospodarzy i gospodyń.

Nasze jedzenie jest już gotowe, więc rozłamujemy drewniane pałeczki i atakujemy ryż, ku wielkiej ucieście dziadka spożywającego swoją porcję w kącie. Po chwili przychodzi spodziewana pochwała naszych niezwykłych jak na gajdzina (według japońskiej opinii) umiejętności trzymania pałeczek, na co odpowiadam standardowo, że szanowny dziadek też doskonale daje sobie radę ze swoimi pałeczkami. Tym razem nie trafiłem, bo dziadek jest skonsternowany i ewidentnie nie rozumie, że to miał być dowcip, więc na wszelki wypadek chichocze grzecznie. Ja też się do niego uśmiecham i następuje pełne zbratanie dusz.

W końcu Sean odkłada pałeczki, przeciąga się i mówi:

– No to co zrobisz z tym mieszkaniem?

– Że w jednym *fudosanie* mnie nie chcą, to nie znaczy, że we wszystkich. Między Higashi Nagasaki a Kanamechō jest ich pięć.

– Ty naprawdę znasz okolice!

– Cóż, to mój demon bezsenności gna mnie nocami po tutejszych uliczkach. Myślę, że mógłbym oprowadzać wycieczki po dużej części gminy Toshima, a nawet południowych rubieżach Nerima-ku i Itabashi-ku: Kanamechō, Senkawa, Nishi Nagasaki, Higashi Nagasaki, Ekota, Kotake Mukaihara, Takamatsu, Ōyaguchi... Jest już po siódmej, ale jeszcze mogą być otwarte. Jak nie masz co robić, to możesz mi potowarzyszyć.

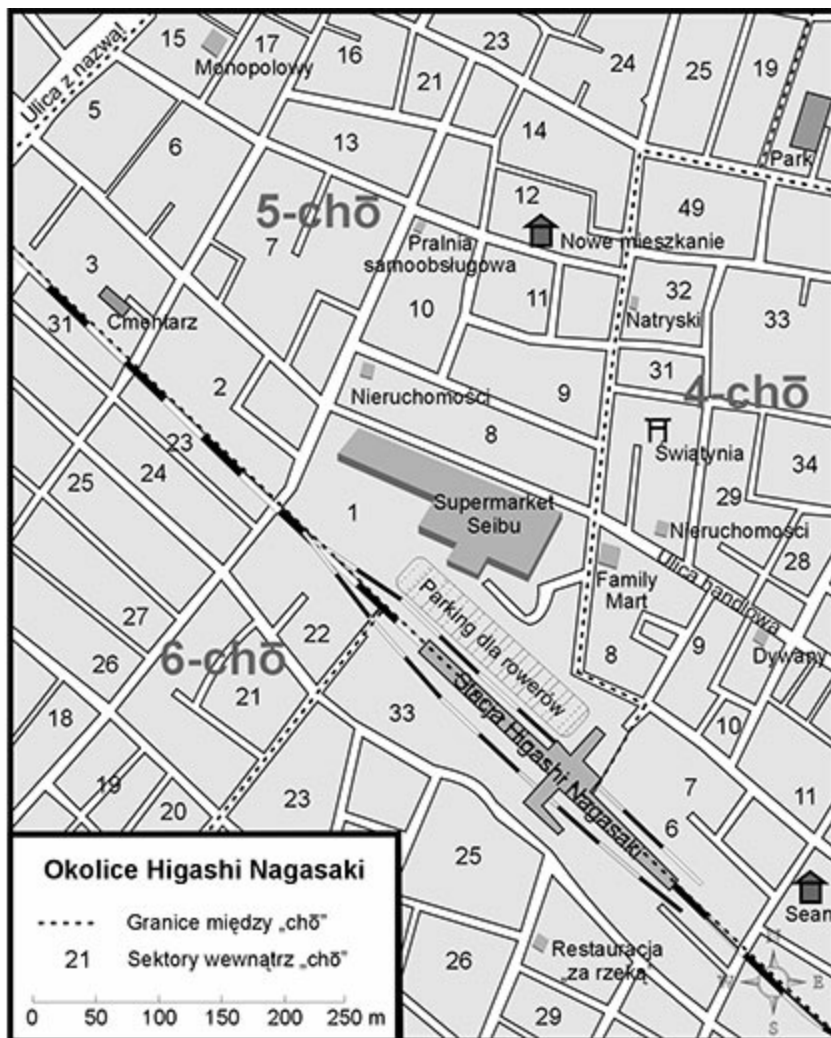
– Pewnie, to świetny materiał do mojej gazety!

Płacimy i ruszamy w drogę. Następny przystanek: mały *fudōsan* na rogu głównej ulicy i tej prowadzącej na stację. Wchodzimy.

– Dobry wieczór! Szukam mieszkania w Higashi Nagasaki.

– Student?

– Właściwie kończę już studia i pracuję. Teraz mieszkam w Senkawa, ale wie pan, mam tylko cztery i pół maty, chciałbym coś ciut większego...



Mój adres: Nagasaki 5-12-4, Ogawa-so, 2F-1, Toshima-ku, Tokyo 172.



– Rozumiem. Pana budżet?

To brzmi zachęcająco. Facet jest uprzejmy i nie boi się gajdzina.

– Chciałbym coś do trzech *manów*...

Agent wertuje grube zeszyty ze wszystkimi aktualnymi ofertami. Po chwili mówi:

– Taak, mamy tutaj kilka ofert, które powinny pana zainteresować. Czy mam dzwonić do właścicieli?

– Tak, bardzo proszę!

Agent wykręca numer i zaczyna:

– Dobry wieczór, tutaj sklep z nieruchomościami w Higashi Nagasaki *1chōme*. Proszę mi łaskawie wybaczyć, że zajmuję czas szanownej pani. Mam klienta zainteresowanego pani mieszkaniem, ale jest to cudzoziemiec...

Drętwieję. Teraz wszystko się wyjaśni.

– Tak. Tak, rozumiem. Tak, dziękuję bardzo – odkłada słuchawkę. – Niestety, to mieszkanie nie jest już dostępne.

Czytaj: gospodyni przestraszyła się gajdzina.

Po chwili scenariusz się powtarza, ale tym razem rozmowa jest dłuższa, a mina agenta coraz bardziej pogodna, więc i ja zaczynam mieć nadzieję. Mieszkanie, w sprawie którego trwają negocjacje, jest trochę ponad mój budżet: 4 *many* (około 1400 zł) miesięcznie. Pewnie dlatego, że to tylko 5 minut od stacji. Dwa pokoje: sypialnia 4,5 maty oraz LDK (salono-jadalnio-kuchnia) 6 mat. Jest WC. Dla mnie – luksus.

Po chwili agent przykrywa dłonią słuchawkę i pyta:

– Czy mówi pan po japońsku?

Ignoruję fakt, że jakby nie było, rozmawiamy w tym języku od 15 minut, i odpowiadam pokornie:

– Nie najlepiej, ale porozumieć się umiem, nie będzie problemów.

Następuje dalsza konwersacja, z której zresztą nie wszystko rozumiem: agent jest bardzo grzeczny, a zawilości form grzecznych, grzeczniejszych, jeszcze grzeczniejszych, uniżonych, płaszcących się u stóp i takich, w których mówiący kopie pod sobą dołek, posypuje się piaskiem i poklepuje po głowie łopatką, są dla mnie jeszcze nie do przebicia. W końcu nie jestem z wykształcenia japonistą, tylko anglistą.

Wreszcie jednak słuchawka znowu zostaje zakryta i padają tak wyczekiwane słowa:

– Właściciel będzie zaszczycony możliwością spotkania się z panem. Jaki termin panu odpowiada?

– A co by pan powiedział na... teraz?

Agent marszczy się lekko. Jacy ci gajdzini w gorącej wodzie kąpani. Wraca do rozmowy.

– Właściciel pana oczekuje. Tak się składa, że ja już miałem zamykać. Przejdę się z panem i pokażę drogę. To blisko.

Zgadzam się ochoczo, równie podniecony jak Sean, który z zapalem notuje coś w swoim reporterskim zeszycie. Agent zamyka sklep na kłódkę i rusza z nami. Przeżywam moment paniki: czy nie powinienem był umówić się na jutro i przyjść z moim *sponsą*? Szansa, że ktoś zgodzi się wynająć mieszkanie cudzoziemcowi bez sporej dozy perswazji ze strony jakiegoś szacownego japońskiego obywatela mówiącego eleganckim i wykształconym językiem, jest bardzo niska. A mój *sponsā* mówi bardzo pięknie, jest profesorem fizyki na jednym z tutejszych uniwersytetów. Ale już za późno. Bogu dzięki, że poszedł ze mną agent.

Domek faktycznie jest bardzo blisko. Doskonale – tylko sto metrów od kabin kąpielowych, które zaledwie parę godzin temu poddały mi myśl o przeprowadzce!

Jest to typowy, japoński dom rodzinny. Parter i jedno piętro. Na pewno zbudowany był dla dużej rodziny, ale z czasem dzieci wyprowadziły się od rodziców i została pusta przestrzeń. W takich wypadkach część pokoi na piętrze przerabia się na mieszkanie do wynajęcia: polega to na usunięciu drzwi prowadzących do tych pokoi oraz wybiciu w ścianie domu wejścia, do którego dobudowuje się prowadzące z zewnątrz metalowe schodki. W środku wystarczy jeszcze skonstruować minikuchnię oraz, jeśli stawiamy na standard światowy, własne WC i *voilà* – komfortowy apartament gotowy dla chętnych. I zasobnych w gotówkę.

Agent dzwoni do drzwi wejściowych. Po chwili rozsuwa je pani w średnim wieku. Kłaniam się w pas i cały czas zgięty podaję obiema rękami moją wizytówkę. Kątem oka widzę uznanie w oczach całej trójki: gospodyni, agenta i Seana. Ja dziękuję w myśli bogom, że wziąłem ze sobą portfel. Człowiek, jak wiadomo, składa się tutaj z ciała, duszy i wizytówki.

Gospodyni zaprasza nas do środka. Robię wielką demonstrację ze zdejmowania butów w przedpokoju, aby zaprezentować potencjalnego lokatora jako Gajdzina Ucywilizowanego, który wie, że wejście do domu w butach jest daleko gorszym przestępstwem niż np. wyniesienie jego zawartości pod osłoną zmroku. W istocie, pewien znajomy policjant opowiadał mi, że niejednego japońskiego włamywacza ujęto, ponieważ zostawił przed wejściem do mieszkania swoje buty, a kiedy został przestraszony, wyskoczył przez okno – i w skarpetach daleko nie uciekł.



Domy: nowy i stary (ten po prawej), ustawione w przepisowej odległości, czyli na wyciągnięcie ręki, po to, żeby móc oglądać wiadomości w telewizorze sąsiadów.

Stoimy w przedpokoju i zaczyna się wypytywanie: skąd jestem, co tu robię, ile mam lat, jak mi się podoba Japonia... Kiedyś chyba będę musiał nagrać odpowiedzi i odtwarzać je przy takiej okazji z kieszonkowego magnetofonu. Notabene w tym ciągłym wypytywaniu nie ma nic japońskiego, dokładnie na to samo skarżył mi się Japończyk mieszkający w Polsce.

– Czy chciałby pan obejrzeć mieszkanie? – pyta gospodyni.

– Tak, bardzo proszę i ogromnie dziękuję – odpowiadam z ukłonem. Oczy gospodyni mówią: „Ten młody człowiek umie się zachować. Co nie znaczy, oczywiście, że jako gajdzin

nie zamorduje nas tutaj wszystkich oraz nie spali domu. Ale cóż, trzeba iść z duchem czasu; może powinnam dać mu szansę?"

Wchodzimy po wąskich, stromych schodkach na metalową galeryjkę biegnącą wzdłuż tylnej ściany domu. Prowadzą z niej drzwi do dwóch mieszkań; naprzeciwko nich jest galeryjka osłonięta plastikowym ekranem – to przed oczami ciekawskich, to znaczy lokatorów następnego budynku odległego o jakieś trzy metry. Mieszkanie jest czyste i robi na mnie znakomite wrażenie. Szukając mojej obecnej kwatery w Senkawa, byłem już w mieszkaniach tak brudnych i zniszczonych, że termin „slumsy” byłby dla nich niezасłużonym zaszczytem.

– Jest tutaj niezwykle czysto i ładnie – zwracam się do gospodyni.

– Ogromnie panu dziękuję. To bardzo skromne mieszkanie – odpowiada gospodyni, spuszczając oczy, ale widzę, że jest zadowolona.

Trochę żałuję, że w rozsuwanych oknach nie ma przezroczystych szyb, ale to luksusy zarezerwowane raczej dla *mansionów*. W *apāto* okna są z szyb półprzezroczystych, fakturowych, takich jak w drzwiach do pokoi mieszkania moich dziadków na warszawskim Mokotowie, gdzie się urodziłem i wychowałem. Chodzi tutaj o prywatność, a trochę też o osłabienie wrażenia koszarnej ciasnoty: gdyby okna były przezroczyste, jedynym widokiem byłyby okna sąsiadów. Odległe o dwa metry. A czasem o metr...

– Czy w mieszkaniu jest może ogrzewanie gazowe? – pytam gospodyni.

– Niestety, bardzo przepraszam.

– Nie, nie, to nie szkodzi – śpieszę zapewnić. – Naprawdę wszystko jest znakomite.

Zwracam jeszcze uwagę na prawie nowe maty na podłodze – to ważne, bo oznacza, że jak się będę wyprowadzał, to gospodyni nie każe mi płacić za wymianę mat. Tego jednak już nie mówię, żeby nie okazać zbyt wiele entuzjazmu. Mogłoby to wpłynąć na cenę.

Po licznych ukłonach i zapewnieniach o wzajemnej sympatii ruszamy w drogę. Agent jest bardzo zadowolony, czuje, że dobił targu. Umawiamy się na niedzielę rano w jego sklepie, żeby obgadać szczegóły. Mnie to nawet na rękę, bo naprawdę chcę się jeszcze przespać z ideą nowej kwatery. Trzy godziny temu nie przyszłoby mi nawet do głowy szukać nowego mieszkania! Czy nie gnam z tym za szybko? Czy dam radę płacić czynsz dwa i pół razy

wyższy od obecnego?

– No i jak, Sean, podobало ci się?

– Mieszkanie bomba i blisko mnie, co też ma swoje dobre strony. Ale przede wszystkim ten budynek, co stoi za nim, wiesz, tam gdzie wychodzi twoje okno z kuchni, to jest *apāto* dla dziewcząt!

– Nawet tego nie zauważyłem. Byłem zajęty oglądaniem mieszkania, ale znając ciebie, nie dziwię się, że byłeś zajęty tylko oglądaniem moich przyszłych sąsiadek, zamiast mi doradzić w sprawach stanu ścian i mat na podłodze – odpowiadam zgryźliwie.

– Poza tym nie wszystko zrozumiałem z twojej rozmowy z gospodynią i agentem – ciągnie Sean, niewzruszony. – Czy ty tam pytałeś o gaz?

– A tak, no wiesz, czy mają taki zawór w ścianie do podłączenia piecyka gazowego. Bo jak nie, to będę musiał grzać naftą.

Mina Seana wyraża generalny brak zrozumienia, a ja uświadamiam sobie, że on przyjechał do Japonii wiosną i jego pierwsza zima jest jeszcze przed nim.

– Słuchaj, Sean, jestem wyczerpany psychicznie i fizycznie całym tym polowaniem na mieszkanie. Co byś powiedział na małe piwko? Ja stawiam. Opowiem ci wtedy wszystko, co zawsze chciałeś wiedzieć o ogrzewaniu mieszkań, tylko nie wiedziałeś, że chciałeś, jeśli wiesz, o co mi chodzi, Prosiaczk.

– Tylko nie Prosiaczk, a poza tym Irlandczyka na PIWO nie trzeba namawiać – zaciąga Sean śpiwnie. – Ekota?

– Ekota. Nie mam dziś nerwów na szukanie innego wodopoju i nie chcę ryzykować, że znowu nas gdzieś nie będą chcieli wpuścić, bo mamy za niebieskie oczy...

Wsiadamy do pociągu. Ekota to następna stacja. Przy wyjściu chłopak, który przecina bilety na bramce, pozdrawia mnie wesoło, bo był kiedyś moim uczniem. Akira Miyawaki – bardzo zdolny facet, teraz chyba studiuje w Musasino. Nie wiedziałem, że dorabia jako przecinacz biletów. Dziesięć milionów ludzi w tym mieście, a można wpaść na znajomego, niesamowite.

– Akira, pójdziesz z nami na piwo? To bliźniutko.

– OK – szczerzy zęby. – Ale mam jeszcze czterdzieści pięć minut do końca wachty. Gdzie idziecie?

Wyjaśniam, po czym kierujemy się z Seanem w stronę znajomej uliczki. Zbiegamy po schodkach do The Pub. Barman wita nas uprzejmie i jak zwykle wyjaśnia Seanowi, z czego składa się zestaw, czyli *setto*. Zestaw pewnie będzie zawierał te same orzeszki i te same dwa piwa jeszcze za sto lat, ale on i tak będzie zawsze to wyjaśniał stałym klientom – myślę w zadumie. Coś jak Takahashi-san i jego wideokasety. Niezbadane są tajniki tej egzotycznej kultury.

Zdumiewające, jak wszechstronnym lekarstwem jest japońskie piwo. Pierwsza połowa zestawu już za mną, a czuję się młodszy o cztery bardzo intensywne godziny.



Czym się ogrzewa gajdzin: (od lewej) piecyk naftowy, koleżanka, piecyk elektryczny.

– No to co jest z tym gazem i naftą? – ponagla Sean. – Ja dostałem od mojej *sponsy* mały piecyk elektryczny, myślałem, że wszyscy tak ogrzewają mieszkania.

– Piecyki elektryczne mają swoje zady i walety – odpowiadam. – Strony mocne: wygoda. Strony słabe: prąd jest tutaj pierońsko drogi. Zbankrutujesz, przyjacielu. I będzie ci zimno. Pierwszej zimy miałem dwa piecyki elektryczne po tysiąc trzysta watów każdy. Wiesz, takie ze spiralą i małym, słabiutkim wiatraczkiem, który trochę popycha powietrze przez te spirale. Ale tak naprawdę to było ciepło tylko wtedy, gdy siedział się przed tym piecykiem. No i nie mogłem włączyć obu naraz, bo korki strzelały. A przy jednym robiło się w pokoju plus

piętnaście stopni w nocy. Ciut za zimno jak na mój gust.

– A ja myślałem, że wy, Polacy, jesteście raczej przyzwyczajeni do warunków ekstremalnych...

– Nie, my mamy taki wynalazek, którego Japonia jeszcze nie odkryła: centralne ogrzewanie. Ale wracając do technik przetrwania tokijskiej zimy, piecyków elektrycznych nie polecam, chyba że wykombinujesz, jak ominąć miernik elektryczny. Nie jest to proste, a japońskie więzienia nie są ani wygodne, ani ciepłe. Dużo tańszy jest gaz.

– Dlatego pytałeś?

– Dlatego pytałem. Tylko, niestety, bardzo mało mieszkań jest podłączonych do gazu. Jeśli są, to w ścianie za klapką jest zawór i tam właśnie podłącza się piecyk gazowy.

– No, ale widziałem w tym mieszkaniu kuchenkę gazową.

– To na butlę. Jakbyś próbował podłączyć piecyk i ogrzewać dwa pokoje z takiej butli, toby ci się skończyła po jednym dniu. Nie, żeby ogrzewać gazem, trzeba być podłączonym do takich wielkich butli, które stoją czasem za domem. Nie chciałbym zresztą być w pobliżu, kiedy trzęsie. A jeszcze poczekaj, zobaczysz, jak potrafi trząść. Przez te trzy miesiące, odkąd tu jesteś, był akurat spokój.

– Opowiedz mi o najmocniejszym trzęsieniu ziemi, jakie przeżyłeś – zamawia Sean, z ołówkiem nad swoim reporterskim notesem.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę, teraz mówimy o ogrzewaniu. Do trzęsień ziemi możemy przejść przy drugim zestawie. Więc jest tak... gdzie ja doszedłem?

– Do gazu. Że go nie masz.

– Aha, no tak, więc tym samym dochodzimy do trzeciej, najtańszej formy ogrzewania: nafta. Widziałeś na rogu twojej ulicy i tej, która dochodzi do głównej, sklep z naftą?

– Widziałem. Tylko nie wiedziałem, że to nafta.

– No to teraz już wiesz. Tam ci nalewają naftę do dziesięciolitrowej, plastikowej bańki, którą następnie niesiesz do domu, urywając sobie przy tym ramię. A w domu za pomocą poręcznej pompki zasysasz ją, po czym na zasadzie naczyń połączonych leci już sama do dwu-

albo trzylitrowego, metalowego kanistra. Zakręcasz korek, wkładasz kanister do piecyka, podpalasz piecyk i po dziesięciu minutach masz ciepło jak u Pana Boga za piecem.

– Ale jaja... moi czytelnicy nigdy w to nie uwierzą. W Irlandii panuje głęboko zakorzenione przekonanie, że to jest najnowocześniejszy kraj na świecie.

– No to im jakoś przekaz, że to jest właśnie Azja. Słynna mieszanka tradycji z nowoczesnością. W każdym mieszkaniu magnetowid albo dwa, odtwarzacz płyt laserowych i takie hi-fi, o jakim moja rodzina w Europie nawet nie marzy, ale za to brak łazienki; i metody ogrzewania, które się nie zmieniły od średniowiecza...

W tym miejscu następuje przerwa, ponieważ do baru wkracza Akira. Macham do niego, a on kieruje się w stronę naszego stolika.

– Akira był moim najlepszym uczniem – wyjaśniam z dumą Seanowi.

– A teraz wszystko zapomniał – szczerzy zęby Akira.

Mówimy po angielsku, więc nie jest tak źle z moim wychowankiem.

– Lubicie karaoke? – pyta Akira.

– Tak – odpowiada Sean.

– Nie – odpowiadam ja – ale tutaj jest tanie piwo.

– Tanie piwo to jest to – decyduje Akira i zamawia kufel.

Rzucam się wyjaśnić mu, że taniej jest zamówić zestaw, ale za późno: głuchy na moje nawoływania barman z radosnym błyskiem w oku oddala się, by napełnić kufel za cenę o 20% wyższą niż w zestawie.

– Wiesz, Akira, mówiliśmy o ogrzewaniu mieszkań. Czym ty grzejesz w zimie? – Sean postanawia przetestować moją świeżo przekazaną mu wiedzę.

– Noo, głównie *kotatsu*⁷ – odpowiada Akira.

– Zara, zara, o *kotatsu* nic nie mówiłeś – zwraca się do mnie oburzony Sean.

No, to już przesada. Ten żółtodziób testuje MOJĄ wiedzę? Weterana tokijskiej ulicy? Unoszę się szlachetnym oburzeniem, co nie wiedzieć czemu przyprawia Seana o atak radości.



Kotatsu, czyli przepis na ciepłe nogi. Od góry dwa swetry, a w warunkach ekstremalnych szalik i czapka.



Tradycyjne kotatsu z dziurą w podłodze.

– Wielce szanowny bracie gajdzinie, jeżeli w twoim słowniku kawałek stołu, pod którym wisi kawałek lampy, a wszystko to jest przykryte kołdrą, a na kołdrze leży deska, nazywa się OGRZEWANIEM mieszkania, to faktycznie padam na twarz, biję czołem w klepkę, tfu, matę u twoich stóp i nigdy, nigdy nie będę śmiał w twojej obecności wypowiadać się na temat systemów grzewczych. Tym samym życzę ci wesołych świąt! Tak, nie spadaj na podłogę z uciechy, której przyczyn zupełnie zresztą nie rozumiem, bo właśnie w święta Bożego Narodzenia robi się zimno, tak zimno, że ty, na tej twojej wysepce dogodnie ocieplanej Golsztrmem, nigdy takiego zimna nie zaznałeś. Już widzę ciebie, całe sześć stóp twojej

szanownej długości, drżące i skulone pod *kotatsu*, podczas kiedy w mieszkaniu woda zamarza w rurach, a pod sufitem wiszą sople lodu.

– Czy mogę to zapisać i wysłać do gazety? – pyta Sean, ocierając załzawione oczy.

Wyniosłe milczenie jest jedyną odpowiedzią, jaką mogę go zaszczyścić.

Pierwszy kufel drugiego zestawu, który magicznie wyrasta za chwilę przede mną, w znacznym stopniu łagodzi moje zranione uczucia.

– Owszem, bo będzie to twój ostatni artykuł, dopóki nie zakończysz żywota najbliższej zimy. *Kotatsu*, ty ignoramusie, służy do ogrzewania nóg. Człowiek, niestety, składa się nie tylko z nóg.

– Przepraszam, koledzy, że przerywam, ale może to was zaciekawić: u mojej babci jest prawdziwe *kotatsu*, na węgiel drzewny! – wtrąca Akira.

– I nigdy nie zapaliły ci się skarpetki? – pyta Sean ze śmiertelną powagą.

Prawdą jest, że ja raz tylko widziałem prawdziwe, tradycyjne *kotatsu*, czyli nie absurdalnie niski stolik z grzejącą lampą elektryczną pod blatem, tylko równie absurdalnie niski stolik ustawiony nad dziurą w podłodze, a na dnie tej dziury: malutki piecyk na węgiel drzewny. Było to o tyle wygodne, że można było usiąść po ludzku, spuściwszy nogi do dziury, a nie w siadzie prostym, jaki wymusza elektryczne *kotatsu* stojące na płaskiej podłodze. Tradycyjne *kotatsu* jest oczywiście możliwe tylko w tradycyjnych domach, a to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, w mieszkaniu nie ma na to miejsca. Elektryczny stolik można na noc postawić na sztorc pod ścianą i zrobić miejsce na spanie. Natomiast jeśli jest to dziura w ziemi, to spać na niej raczej się nie da. Po drugie, jeśli mieszkanie jest na piętrze, to wyżej wymienione nogi dyndałyby z sufitu u mieszkańca parteru.

Ten stary dom z tradycyjnym *kotatsu* był w Kioto. Pamiętam, jak co chwila podnosiłem kołdrę i spoglądałem w strachu, czy moje stopy nie są za blisko ognia... Pytanie Seana było więc wbrew pozorom całkiem trafne. Nie żebym miał zamiar się do tego przyznać.

– No cóż, w Japonii wszyscy wiedzą, że wy, nieopierzone żółtodzioby, gajdzini neofici, zostawieni sam na sam z tradycyjnym *kotatsu* doprowadzilibyście nie tylko do pożaru skarpetek, ale pewnie i całego domu.

– Chciałbym łaskawym kolegom zwrócić uwagę na fakt, że ja powiedziałem „głównie” – grzecznie zagaja Akira. – Znaczy, ogrzewam głównie *kotatsu*. Pod *kotatsu* jest bardzo przyjemnie się uczyć. A poza tym ogrzewam klimą.

– Klimą? – pyta podejrzliwie Sean, biedny ignorant.

– Klimą – śpieszę wyjaśnić. – Większość klimatyzatorów ma opcję „odwróconego” trybu pracy. W lecie chłodzą. W zimie grzeją. Rachunki za elektryczność: okropne.

– Aaach, klima... – rozmarzył się Sean. – Już robi się gorąco i parno w nocy, a jak nadejdzie pełne lato? Wolę nie myśleć. Chyba będę spał w lodówce.

– Kiedyś wszyscy będziemy bogaci i będziemy mieli klimy, taki jest porządek świata – odpowiadam filozoficznie. – Właściwie to ja mam od roku klimę, wiecie, taką montowaną w oknie. Bardzo starą. Rzęzi, ale ziębi. Dostałem ją w prezencie od mojej gospodyni. Dobra kobieta. Na początku się mnie bała, a teraz co miesiąc przychodzi pytać, czy mi czegoś nie potrzeba. No, ale teraz myślę o przeprowadzeniu się do dwupokojowego mieszkania i znowu w jednym pokoju będę miał łaźnię turecką. A dwanaście, trzynaście *manów na* nową klimę to ja ni mom.

– Przeprowadzasz się? Gdzie? – zainteresował się Akira.

– Właściwie jeszcze się nie zdecydowałem. Znalazłem coś ciekawego w Higashi Nagasaki. *Apāto*, ale w świetnym stanie. Tylko trochę drogo.

– To koło mnie! Byłoby mi bardzo miło, gdybym mógł ci pomóc. Jeśli będziesz się przeprowadzał, to daj mi znać, przewiozę ci meble.

– Meble? – odpowiadam z goryczą. – Jakie meble? Ty myślisz, że ja jestem kto? Cesarz Hirohito? Ja mam jeden mebel: taki regał, coś w rodzaju półki z blatem do pisania. Kiedy przeprowadzałem się do mojej obecnej kwatery w Senkawa, to przewiozłem go na rowerze.

– Chrzanisz... – Sean zbyt niedawno przybył ze świata, w którym do przeprowadzek służyły ciężarówki.

– Nawet nie wiesz, co można przewieźć rowerem, jeśli nie jest daleko. Stary, ja tak przewiozłem nawet lodówkę, uważasz? Robi się tak: kładziesz mebel płasko, używając siodełka i rączek kierownicy jako trzech punktów podparcia, po czym prowadzisz rower, idąc

obok. Jest to proste jak życiorys Zenka.

– Eee, łatwiej byłoby na moim wózku do wożenia telewizorów – stwierdza Sean. – Wynajmę ci go za darmo. Znaj łaskę pana.

– Ja też ci pomogę nosić rzeczy! – ofiarowuje się Akira.

– Kochani, jacy wy dobrzy... – wzruszam się. – Chyba postawię wam po pół zestawu na łebka.

– Dobrze mówi człowiek z kraju kiełbasy! – woła Sean. – Dlaczego tylko pół?

– Bo właśnie podjąłem decyzję, która pewnie przyprawi mnie o bankructwo. Ale raz kozie śmierć: przeprowadzam się do Higashi Nagasaki.

– Noo, to trzeba uczcić. Pijemy?

– Pijemy!

Rozdział 3



郷に入っては郷に従え

Przestrzegaj obyczajów wioski, do której wkraczasz.

Przysłowie japońskie.

Kraina Żubrówką Płynąca

Otwieram oczy i mrugam, lekko zdezorientowany. W pokoju jest o wiele za jasno. Po sekundzie już wiem, że to nie jest mój pokój, a po dwóch sekundach: że mój, ale nowy, w Higashi Nagasaki. W starym mieszkaniu okno wychodziło na północ, a następny budynek był dwa metry przed nim; tutaj okna wychodzą na wschód i jest całe pięć (pięć!) metrów do następnego domu. O, nieznany luksusie! O, rozpusto lubieżna! Jestem bogaty! Jestem panisko!

Nie, właściwie to jestem bankrutem.

Sympatyczny i uprzejmy pan z *fudosanu* okazał się być również nieugięty, okrutny i bezwzględny wobec biednego gajdzina: zapłaciłem równowartość dwóch czynszów jako *shikikin* (zastaw), dwa czynsze jako *reikin* (oficjalny wyraz wdzięczności) i jeden jako prowizję agenta. Do tego zapłaciłem nowej gospodyni pierwszy czynsz (za lipiec) i *voilà* – w jeden dzień po wprowadzeniu się tu jestem o sześć (sześć!) czynszów uboższy niż wczoraj.

Na szczęście poprzednia gospodyni zobowiązała się zwrócić mi cały *shikikin* – złota kobieta. Nie żeby było tego dużo, niestety: dwa stare czynsze, czyli mniej niż jeden nowy.

Wygrzebuję się z *futon* i idę na obchód nowych włości. W starej kwaterze nie było co obchodzić: jeden pokój. A tutaj mogę iść na spacer do drugiego. Ale luksus. Ale rozkosz...

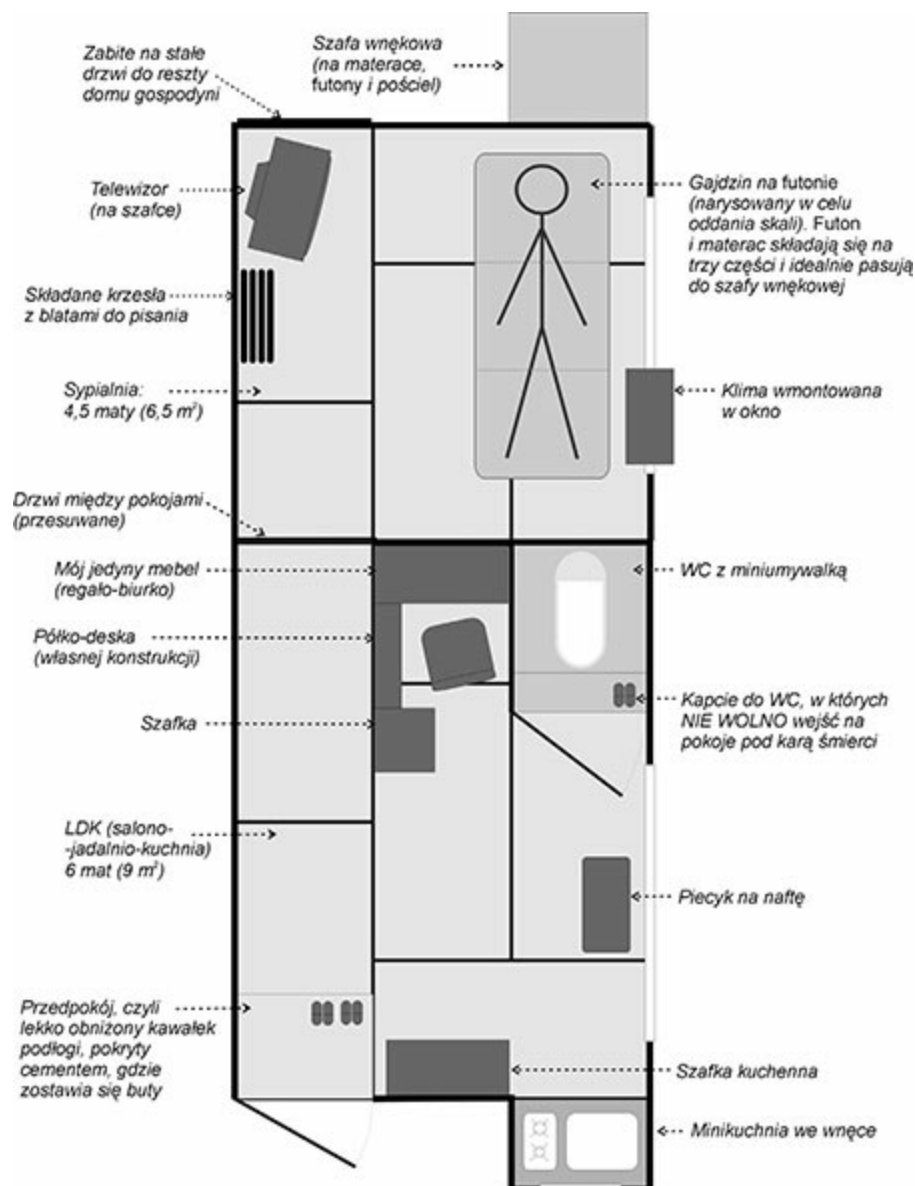
Błyskawicznie składam swoje legowisko i wrzucam je do szafy, aby móc napawać się tymi niezmierzonymi przestrzeniami *tatami*. Ogromne połacie pustej podłogi w dużym pokoju przyprawiają mnie o zawrót głowy. Fakt, że pokój ten jest mniejszy niż łazienka w domu moich dziadków w Warszawie i że położywszy się na podłodze, mógłbym dotknąć nogami jednej ściany, a rękami drugiej, spycham w najdalsze zakątki świadomości.



Gołe ściany mojego *apāto*. Pomocnicy przeprowadzkowi się cieszą, ale ja myślę już o nowym czynszu, *reikinie*, *shikikinie*...

Przeprowadzkę zakończyłem dopiero wczoraj. Parę dni musiałem czekać na przybycie mojego *sponsy* do Tokio. Gajdzinowi nie wolno wynająć mieszkania bez podpisu *sponsy*, który tym samym gwarantuje, że kiedy już zamorduję gospodarzy, przejdę się w butach po *tatami*, po czym spalę dom, on będzie opiekował się dziećmi sierotkami do czasu uzyskania przez nie pełnoletności.

Tak wygląda plan mojego nowego mieszkania:



W przeprowadzce brali udział Sean, Akira Miyawaki i Junko Ueguchi, moja uczennica. Pozostałymi bohaterami byli: rower i wózek do telewizorów Seana. Procesja japońsko-gajdzińska, krocząca przez główną ulicę Higashi Nagasaki z regałem balansującym na rowerze i lodówką jadącą na wózku, wzbudziła taką sensację, że japońska część załogi, straszliwie zawstydzona, wymogła na mnie zmianę trasy na boczne uliczki wioski. Teraz cały sprzęt zwalony jest w sypialni, a przede mną zadanie bojowe: kupić dywany. Na zakupy, jak wiadomo, różnie ruszać we dwóch, więc chwytam za słuchawkę.

– Hej, Sean, idziemy kupować dywany.

– Co? Jak? Dziś sobota! Czy ty wiesz, która godzina?

– Nie marudź, tylko wstawaj. Jest dziesiąta, pogoda... no, powiedzmy, lekko deszczowa,

ale nic to, idziemy.

– Aaa... a po co ci dywany? Będziesz je eksportował do Polski?

– Rozumiem, że jesteś tu za dziesięć minut. Wyjaśnienia we właściwej porze – dodają tajemniczo, w nadziei, że to zmobilizuje Seana do szybkiego wstania.

– Trzydzieści minut.

– Dwadzieścia.

– Niech będzie. Słowianie są zwariowaaaa... – ziewa Sean, po czym odwiesza słuchawkę.

Wykorzystuję pozyskane w ten sposób 20 minut na szybkie śniadanie w pobliskiej restauracji. Gotować w domu jeszcze nie chcę, bo wśród dzisiejszych zakupów znajdzie się spray na karaluchy; dopóki nie wpsikam za i pod szafki paru litrów trucizny, po czym nie nastąpi parę godzin wietrzenia, nie chcę nawet rozpakowywać sztućców i talerzy. Japońskie karaluchy są ogromne (widziałem bestie długości ośmiu centymetrów), mają wredny charakter i przyparte do muru potrafią nawet latać. Nie życzę nikomu spotkania z rozbestwionym latającym karaluchem.

Wracam do domu, a po chwili na schodkach prowadzących do moich królewskich apartamentów rozlega się ogłuszające dudnienie: to 90 kilogramów Irlandczyka wbiega na górę.

– No, dobrze – dyszy Sean – wstałem o jakiejś niehumanitarnej porze, śniadania nie zjadłem, na dworze zmokłem, pot ze mnie cieknie strumieniami, bo wilgotność powietrza wynosi chyba sto dwadzieścia procent, więc o co, do cholery, chodzi z tymi dywanami?

– Czekaj, włożę buty i idziemy. Sean, w jakim stanie jest twoje *tatami*?

– A co to ma do... – Sean zmełł w zębach soczyste, irlandzkie przekleństwo.

Moja uniesiona po mistrzowsku brew odpowiedziała:

– Wszystko w swoim czasie, mój drogi Watsonie.

– No już, powiem ci, chociaż nie wiem, skąd wiesz: faktycznie miesiąc temu zostawiłem włączone żelazko na podłodze i faktycznie jest tam teraz czarna plama. Faktycznie gospodyni zebrało się akurat na lustrację mieszkania i faktycznie musiałem w panice wzywać moją

sponsę w charakterze tłumacza, oczekując najgorszego.

– No i co powiedziała gospodyni na spalone *tatami*? – pytam, wielce zaintrygowany.

– Nic, bo moja *sponsā* to skarb. Uważaj: Japonka z jajem, czyli fenomen niespotykany, ślicznie stała przez całą wizytację w miejscu, ze stopami na wypalonym śladzie po żelazku! Gospodyni trochę na nią dziwnie patrzyła, chodziła to tu, to tam, a Motoe-san nic, tylko obracała się w miejscu, żeby być do niej twarzą, ale ani kroku w bok! Gospodyni czuła chyba szóstym zmysłem, że coś przed nią ukrywamy, ale nie wiedziała co, więc dała spokój i sobie poszła.

– Ale historia! Spisz ją dla potomności. A teraz słuchaj: czy nie przyszło ci do głowy, żeby kupić dywan? Miałbyś wtedy spalony dywan za kilka tysięcy, a nie groźbę utraty połowy *shikikinu* za kilka *manów*. Co cię niechybnie czeka, jeśli przy odbiorze mieszkania gospodyni uzna za konieczne wymienić *tatami* i obciąży cię kosztami.

– Tak, tylko ja nie miałem paru tysięcy, gdy się wprowadzałem.

– Ja też nie mam. Ale mam mieć. Zbliża się koniec miesiąca, będzie kasa.

– U mnie z tym nieregularnie... O, sklep z dywanami.

Faktycznie. Sklep jest na głównej ulicy targowej, z lasem kilkumetrowej wysokości rulonów wylewających się na jezdnię – na jednym widać nawet ślady obtarcia o jakiś samochód. Cóż, chodników tu nie ma, tylko biały pas oddzielający wąski, zewnętrzny kawałek asfaltu dla pieszych. Kiedy dwa samochody muszą się wyminąć, to wjeżdżają na ten pas – inaczej nie dałyby rady. Wchodzimy do sklepu.

– Widzisz, Sean – rozpoczynam wykład – Japonia jest jedynym krajem na świecie, gdzie nie trzeba zmierzyć pokoju przed zakupem dywanu. Dywany są po prostu w takich samych rozmiarach jak pokoje: trzy maty, cztery i pół maty, sześć mat, osiem mat i tak dalej.

– To jest odrobinę, to znaczy nie do końca, zgodne ze stanem rzeczywistym – zagaja sklepikarz z głębi swej jaskini.

Unoszę brwi, bo mówi po japońsku, ale odpowiada na zdanie, które wygłosiłem do Seana po angielsku, więc ewidentnie rozumie ten język. Rzadki przypadek. Sklepikarz jest nietypowy także pod innymi względami: wysoki chyba jak ja (a mam

179 cm wzrostu), więc jak na Japończyka – olbrzym. I, co lepsze, nosi wąsik, a to jest tutaj w ogóle niespotykane. Witamy się. – Mówi pan po angielsku? – pytam. – Nie, niestety, tylko trochę rozumiem. Ale japoński panów zaiste jest znakomity, czego serdecznie gratuluje.

Tłumię w sobie ochotę na powiedzenie mu „proszę łaskawie nie zmyślać”, bo wiem, że moja japońszczyzna, chociaż w pełni komunikatywna, jest mocno niegramatyczna, podczas kiedy Seanowi nauka języka w ogóle idzie jakoś powoli. Nic to, trzeba pamiętać, że sklepikarz po prostu stara się być grzeczny, a nie ocenia naszych zdolności lingwistycznych. Poza tym nie wiem, jak powiedzieć po japońsku „proszę łaskawie nie zmyślać”. *Usō*? Chyba jakoś bardziej ozdobnie? Zapytam dziś wieczorem Takahashi-san w wypożyczalni.

Tymczasem właściciel sklepu, bo jako taki się przedstawił, zabawia nas rozmową:

– Pozwolę sobie teraz wyjaśnić panom, dlaczego pokoje trzeba jednak zmierzyć. Po pierwsze: są trzy różne rozmiary *tatami*.

Sean wyciąga z kieszeni swój reporterski notes, bo o tym nigdy mu nie powiedziałem.

Nie powiedziałem, bo sam nie wiedziałem; zawsze byłem przekonany, że *tatami* to standard.

Jesteśmy następnie uraczeni wykładem na temat różnych rodzajów (*kyō*, *chūkyō*, *kantō*) i rozmiarów mat (od 191 x 95 do

176 x 88 cm).

– Rozumiem – mówię w końcu – w takim razie wracam do domu i zmierzę jedną matę, to już będziemy wiedzieć.

– Błagam wielce szanownych panów o wybaczenie – ripostuje sprzedawca – ale trzeba jednak zmierzyć cały pokój, bo właściciel domu, przerabiając je na mieszkanie do wynajęcia, nieraz oszukuje.

– Oszukuje???

– O tak, jak najbardziej, niestety zdarza się to nader często. Właściciel ma, na przykład, akurat trochę mniej miejsca niż na sześć mat najpopularniejszego (i najmniejszego) obecnie standardu *kantō-ma*, więc specjalnie zamawia maty jeszcze trochę krótsze albo węższe.

– Czyżby nowa gospodyni była aż tak wredna? – zastanawiam się głośno. – Trudno, będziemy mierzyć.

W tym czasie Sean z namysłem bada różne dywany w standardach biednogajdzińskich, to znaczy: tanie, cienkie, z grubawymi pętelkami, a nie gęstym, puszystym włosem, całe jednego koloru. Za to gama kolorów jest dość duża.

– Jak myślisz, czy Japonkom będzie się podobał różowy dywan? – pyta mnie Sean.

– Chyba cię pogięło. To znaczy tak, Japonki na pewno będą piszczały z radości, że jest *kawai*⁸, ale co z tego. Dziewczyna sobie pójdzie, a ty zostaniesz i będziesz spędzał życie na czymś, na czym nie da się spać bez poważnego zagrożenia koszmarowego.

– Cały cymes w tym, żeby one NIE poszły... – mamrocze Sean.

Naukowo wykonane pomiary wykazały, co następuje: mały pokój jest prawie OK, chociaż bez lekkiego przycięcia dywanu się nie obejdzie, za to duży rzeczywiście oszukany. Trudno mi jednak iść do *fudosanu* z pyskiem (chodzenie z pyskiem do gospodyni w ogóle odpada, bo wezwie policję, albo – co gorsza – mojego *sponsę*). Pokój jest bowiem niespodziewanie powiększony o tę minikuchnię, która tak naprawdę wystaje z budynku, jest jakby małą basztą sterczącą na poziomie piętra. A więc dodatkowy metraż, który nadrabia niewielkie braki w rozmiarach pokoju. Z tym że oba dywany, niestety, trzeba będzie ciąć.

Dywany są zakupione: do sypialni szary, do salonu beżowy, dostarczone gratis dzięki uprzejmości pana sprzedawcy z wąsikiem. Dywan salonowiec zostaje przycięty do właściwego rozmiaru wspólnym, polsko-irlandzkim wysiłkiem. Pozostało najważniejsze: parapetowa.

– Sean, wiesz, co to jest parapetówka?

– No jasne, my to w Irlandii jemy na śniadanie, obiad i kolację – odpowiada Sean.

– Nie rób sobie jaj, mnie chodzi o balangę w nowym mieszkaniu. Jest jeszcze puste, rozumiesz, są tylko parapety. Tfu, w Japonii nie ma przecież parapetów, przynajmniej nie w *mansionach*. Noo... „gołe *tatami* party”.

– Aaa, *house-warming party*! – załapuje w końcu Sean. – To wreszcie wiem, po co mnie wyciągnąłeś z łóżka. Kiedy zaczynamy? Gdzie są dziewczyny?

– I mówisz, że to Słowianie są porywczy? Chwilunia, trzeba iść po żarcie! I alkohol.

– I dziewczyny – przypomina Sean.

Wchodzimy do sklepu monopolowego.

– Czy jest sake? – pyta Sean.

– Tak, jest – odpowiada z wielką powagą sprzedawczyni, a ja rżę z radości.



Sakaya-san, czyli monopolowy. Kiedy się nie ma na baryłkę ani butelkę, można kupić lufkę do konsumpcji na miejscu. Genialne, prawda?

– Równie dobrze mógłbyś wejść do księgarni i zapytać: czy są książki? Sake to po japońsku alkohol. Zapytałeś w monopolowym, czy mają jakiś alkohol. Ale jaja...

– No dobra, mądralo, to jak jest po japońsku sake, czyli wino ryżowe?

– *Nihonshu*. Nie pytaj mnie dlaczego. Japonistą nie jestem, ino wiem, jak zamawiać alkohole, bo taka wiedza to kwestia przeżycia na japońskim bruku.

– OK. Jak będę tutaj prawie trzy lata jak ty, to będę tak mówił po japońsku, że ci w pięty pójdzie, samochwało obrzydliwa – obraża się Sean i idzie w kąt robić notatki na temat rozmiarów puszek z piwem.

A jest ich trochę. W Europie widzimy zazwyczaj puszki o rozmiarze 0,5 litra, a tutaj:

- 0,1 litra (te są zupełnie urocze, czyli *kawaī*, takie na jeden łyk)
- 0,25 litra (małe, niskie beczułki, śmieszne i też *kawaī*)
- 0,33 litra (jak nasza puszka coca-coli)

- 0,5 litra (standard światowy)
- 0,75 litra (ta puszka istnieje chyba tylko w gajdzińskich mitach, bo nigdy takiej nie widziałem)
- 1 litr (duża, ale można ją kupić nawet w większości automatów z piwem, stojących zwykle na tyłach sklepu monopolowego)
- 1,5 litra (po kuflu dla trzech – czy to nie znakomity rozmiar?)
- 2 litry (typowy rozmiar, czasem puszka ma plastikowy uchwyt, żeby się lepiej łało, a w wersji *kirin* jest jeszcze plastikowy dzióbek do nalewania, który to dzióbek jest w kształcie legendarnego smoka Kirina i kiedy się leje bursztynowy płyn przez jego paszczę, smok kłapie szczęką i gwizdże. Przysięgam, nie zmyślam!).

– Sean, czy czytelnicy twojej gazety na pewno będą zainteresowani rozmiarami puszek z piwem?

– Moi czytelnicy są WYŁĄCZNIE zainteresowani piwem – mówi ponuro Sean, który ma wyższe ambicje literackie i kulturoznawcze. W przeciwieństwie do jego czytelników.

Sprzedawczyni jest w moim wieku i ładna, więc mam słabą motywację do szybkiego zakończenia zakupów. W torbie jest już duża butelka *shōchū* (fenomenalnie wyborny trunek powstały w procesie destylacji sake do mocy mniej więcej wódki, czasem parę procent mniej) i butelka japońskiej whisky (paskudztwo, ale na parapetówie będą Japończycy, może ktoś będzie chciał – elegancko zmieszane z wodą, na japońską modłę). Pytam sprzedawczynię, co by mi jeszcze poleciła na balangę z wieloma młodymi ludźmi wszystkich możliwych płci, ras, kolorów, wyznań i narodowości.

– Ja nie wiem, co lubią gajdzini – odpowiada dziewczyna – ale miałam gdzieś tutaj coś bardzo egzotycznego: sake z trawy o nazwie *dzoburokka*.

– Rzeczywiście, brzmi to egzotycznie... Z trawy, hę? Można poprosić o powtórzenie nazwy – dziobu co?

– *Dzoburokka*. Chyba z Rosji.

Zaczyna mi coś świtać w głowie i oczy otwierają mi się szeroko. Po chwili na ladzie ląduje najukochańszy kształt w świecie.

ŻUBRÓWKA! Polska!! Firmy Polmos!!! Z trawką w środku!

– Ile ma pani butelek tego? – pytam drżącym głosem. – Kupię cały skład...

Okazuje się, że butelek nie ma zbyt wiele, ale zawsze można zamówić. Trunek ponoć popularny od czasu, gdy w telewizji pokazano dłuższy program o polskich żubrach i ich ulubionej trawce.

Przyciskam do piersi cenne zjawisko i czuję się dokładnie tak jak latarnik Sienkiewicza.

– Żubrówko! Trunku mój! Ty jesteś jak zdrowie... – deklamuję Seanowi (w przekładzie), który to Sean puka się wymownie w głowę i zauważa:

– Ja wiem, co to jest. To się pije z sokiem jabłkowym. Tylko zawsze myślałem, że to rosyjskie.

– No to źle myślałeś, bo wszystko, co dobre, to polskie – odpowiadam z sercem przepełnionym nostalgią i patriotyzmem.

Obładowani jak woły idziemy do mnie, a potem Sean oddala się szukać najważniejszego (w jego opinii) składnika balangi, czyli płci pięknej.

Wieczór zapowiada się obiecująco.

Najpierw jednak lekcja z Junko. Z czegoś trzeba żyć.



Nowe mieszkanie w Higashi Nagasaki podoba się uczennicom (a one nauczycielowi).

– Dzień dobry, panie nauczycielu!

– Cześć, Jun-*chan*. Znalazłaś drogę do nowego mieszkania?

– Tak – to jest zazwyczaj najdłuższa wypowiedź, jaką udaje się wypompować z Junko, przeuroczego skądinąd stworzenia, ale (co charakterystyczne dla uczniów w wieku powyżej sześciu lat) nabierającego na widok Szacownego Pana Profesora wody w usta.

– No to opowiedz mi, jak tutaj doszłaś.

Junko męczy się nad anglojęzycznymi zwrotami w rodzaju „skręcić w lewo”, „skręcić w prawo” i „nie mieć pojęcia, gdzie się jest”, tak przydatnymi w nawigacji po tokijskich wioskach.

Następnie nadchodzi nieodzowna część muzyczna, tym razem rozbieramy na czynniki pierwsze piosenkę Beatlesów „She's Leaving Home”, która zawiera mnóstwo cennych wyrażen i zwrotów.

Pod koniec lekcji Junko nabiera śmiałości i pyta:

– Czy szanowny nauczyciel lubi pić alkohol?

Baranieję, a mój wzrok wędruje za wzrokiem uczennicy i widzę pięć butelek żubrówki dumnie stojących rzędem pod oknem. W ferworze uprzątnięcia chałupy przed pierwszą od przeprowadzki lekcją zapomniałem schować zakupy parapetówkowe...

– A ty lubisz? – pytam, żeby zyskać na czasie.

– Bardzo! – Junko rozbłyskują oczy.

– Eee... a jaki?

– Najbardziej to *umeshu*. A jak idziemy z przyjaciółmi do pubu, to piwo.

– I dużo tego piwa pijecie? – pytam słabo.

– Dużo – odpowiada Junko, wracając do swojego stylu odpowiedzi monosylabicznych.

Uświadamiam sobie, że Junko ma zaledwie szesnaście lat, i wzdycham nad straszliwym upadkiem morale w tym społeczeństwie. Widzę jednak szansę na małe badanie kulturowe,

którego wynikami wielce może być zainteresowany Sean.

- Junko, a dlaczego Japończycy tak dużo piją?
- Ponieważ... oni... są... zmęczeni... i są stres – recytuje mozolnie dziewczyna.
- Zestresowani – poprawiam odruchowo. – A dlaczego Japonki tak dużo piją?
- Ponieważ... one... są... znudzone. I zestresowane.
- A skąd to wiesz?
- Bo tak pisało „Daily Yomiuri”.

No i masz, tyle po badaniu kulturowym. „The Daily Yomiuri” to gazeta dla gajdzinów, którą każe Junko czytać w celu poprawienia jej angielszczyzny. Nie zdawałem sobie sprawy, że w ten sposób dziewczę będzie się uczyło wiedzy o swoim społeczeństwie od cudzoziemców...

Lekcja się kończy, Junko zostaje zaproszona na parapetówkę, ale nie może; obiecuje natomiast oddelegować Rin Satoh, swoją starszą koleżankę, która „lubi cudzoziemców”.

Wieczór zapowiada się coraz bardziej interesująco.

Na końcu peronu stoi *salaryman*⁹, chwiejąc się z lekka, i siusia na tory.

- Co by się stało, gdyby trafił w tę szynę pod napięciem? – interesuje się Sean.



– Prąd jest właśnie dlatego po drugiej stronie torów (patrzac od peronu), żeby to się nie stało. Jestem dziwnie spokojny, że konstruktorzy metra zmierzili maksymalny zasięg łuku salarymańskiego moczu. To bardzo bezpieczny kraj, drogi Seanie.

– Aha – mówi Sean, zapisując coś w notesie. – A dlaczego on nie pójdzie do toalety?

– A skąd ja mogę wiedzieć, kurza mordą, w pysk? Toalety są dwa poziomy wyżej. Znajac tokijskie koleje, toalety są brudne, śmierdzące i o tej porze mocno zarzygane. Siusianie po murach należy do salarymańskiej tradycji. Co kraj, to obyczaj. Daj mi spokój, bo ledwie żyję.

Stoimy tak już od dziesięciu minut i czekamy na ostatni pociąg do domu. Usiłuję sobie przypomnieć, dlaczego parapetowa skończyła się wielką wspólną wyprawą do Roppongi, tokijskiej dzielnicy dyskotek. Coś mi się majaczy, że Sean nie był do końca usatysfakcjonowany ilością płci pięknej i zorganizował radosny przedłużacz w jakiejś dyskotece. Jakiej, nie pamiętam, bo to było trzy dyskoteki temu.

Jak przez mgłę pamiętam dziewczę imieniem Rin, której dawałem wizytówkę i zapraszałem do domu na cocktail z *dzoburokki*. Chyba nie dała się zaprosić, bo jesteśmy sami.

Jak ten pociąg zaraz nie przyjedzie, to przysięgam, że zasnę na stojąco.

Przyjechał. Telepiemy się w dość wypełnionym jak na tę porę wagonie. Wypełnionym, oczywiście, kolorowym tłumem wracającym z Roppongi. Po paru minutach – przesiadka w Yoyogi z podziemnej kolejki Toei-sen na Yamanote-sen. Tutaj już dość pusto. Siąpi ciepły deszczyk – linia Yamanote jeździ nad ziemią. Sean odkrywa na peronie kiosk sprzedający mimo tej późnej pory przysmak *salarymana*: sake *ōzeki* w czymś w rodzaju musztardówki przykrytej metalowym wieczkiem. *Ōzeki* to japoński jaboł, a właściwie ryżoł.

– Sean, na miłość boską, nie dość już dziś wypieś?

Przez moją mocno zamgloną głowę przemyka wizja gigantycznej torby na śmieci, która czeka na mnie w domu – wypełniona puszkami po piwie i butelkami po żubrówce.

– To nie jest picie, tylko badania zawodowe – odpowiada wesoło Sean. – Jestem dziennikarzem, pamiętaj. A w ogóle Irlandczycy szybko się wstawiają i jeszcze szybciej trzeźwieją. Trzysta lat brytyjskiej okupacji nas tego nauczyło. Jestem trzeźwy jak świnia.

Przywalony tą argumentacją nic już nie mówię, tylko pożyczam Seanowi ostatnie ¥200 na szklanę *ōzeki*. Sean pije ostrożnie, po czym patrzy w niebo i z przymkniętymi oczami deklaruje:

– Taaak... to będzie pole ryżowe na południowym stoku góry Akishi. Rocznik... hmm... zeszły piątek.

Mnie jakoś do śmiechu nie jest, bo właśnie uświadomiłem sobie, że to było NAPRAWDĘ ostatnie ¥200. No nic, będę się tym martwił jutro. Jeśli dożyję jutra.

Wskakujemy do ostatniego pociągu, a po kolejnych dwudziestu minutach wyskakujemy w Ikebukuro. W rozległych podziemnych halach pod domem towarowym Seibu galopują grupki *salarymanów* pędzących do ostatniego pociągu.

Ja galopować odmawiam, bo zaczyna mnie boleć głowa.

W wyniku czego, oczywiście, spóźnimy się na ostatni pociąg.

Nie jest ani przyjemnie, ani wesoło być o godzinie pierwszej nad ranem w Ikebukuro, bez pieniędzy na taksówkę. Gdybym był w trochę lepszym nastroju, to może bym pomyślał, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło: brak kasy rozwiązuje problem wyperswadowania jakiemuś taksówkarzowi, aby zatrzymał się dla dwóch gajdzinów. W sumie nie jesteśmy aż tak strasznie daleko od Higashi Nagasaki, może ze dwa kilometry, tylko że mój stan fizyczny i psychiczny zupełnie nie jest kompatybilny z dwukilometrowymi spacerami. Sean natomiast tryska energią.

– Hej, Marcin, mam pomysł!

– ? – odpowiadam znużony.

– Pojedziemy rowerem.

– Skąd ty, na Boga, weźmiesz tutaj rower, chyba go nie ukradniesz?! Ja wiem, że Japończycy nagminnie kradną rowery i parasole, ale NIC innego, więc może nie jest to kradzież, tylko umowa społeczna, ale ja mam swoje standardy, a ciebie też nie będę chciał znać, jeśli zrobisz coś takiego.

– Spoko! Gdzieś tutaj jest mój rower.

– Myślałem, że to ja jestem pijany.

Tymczasem Sean całkiem poważnie maszeruje w stronę rozległych parkingów rowerowych za stacją.

– To jest mój stary rower, który dostałem „na dobry początek” od sponsy. Był w strasznym stanie, więc w końcu kupiłem nowy.

– Ale po co przytargałeś go do Ikebukuro? I kiedy to było?

– Będzie z miesiąc temu. Przebita tylna dętka, zerwany łańcuch, na pewno nikt go nie wziął. A zostawiłem go tu, noo... no wiesz, żeby nie płacić za wywóz Dużych Śmieci...

Wznoszę oczy do nieba, co przyprawia mnie jednak o lekkie mdłości, więc śpiesznie kieruję wzrok z powrotem przed siebie. A tam Sean, wydając wesołe okrzyki, wyciąga ze sterty połamanych i zardzewiałych ram coś, co może kiedyś było rowerem, ale z naciskiem na słowo „kiedyś”.

– Jezu, przecież my na tym czymś pięciu metrów nie przejeździemy! Nawet gdyby to miało łańcuch! I lewy pedał!

– Po płaskim nie. Ale z Ikebukuro do Kanamechō jest cały czas z górki, a ostatnie pięćset metrów przejeździemy piechotą. Spoko, przeżyjesz i będziesz mi jeszcze dziękował.

Zaczynam widzieć światełko nadziei, aczkolwiek słabe, bo wrak w rękach Seana nie wygląda, jakby mógł dotrzeć do Kanamechō.

Człowiek zdesperowany chwytą się jednak desperackich rozwiązań.

Po kilku minutach mijamy pełnym pędem budkę policyjną w Nishi-Ikebukuro, gdzie mina stójkowego wyraźnie mówi: „Nie, to nie jest możliwe. Dwóch gajdzinów na jednym rozpadającym się rowerze z przebitą dawką? Nie. To jest nieprawdopodobne, czyli to nie istnieje. A teraz zrobię sobie jeszcze jedną filiżankę zielonej herbaty i pomodłę się do moich bóstw opiekuńczych, żebym nie widział już tej nocy zjaw...”.

Coś, co kiedyś było rowerem, jakoś jechało, bo tylna dętka, o dziwo, okazała się cała. Przednia natomiast, od początku sflaczała, zdeintegrowała się w pobliżu Uniwersytetu Rikkyō, kiedy Sean z radosnymi okrzykami bojowymi pełnym pędem wymijał jakiegoś *salarymana* siusiającego pod murem. Potem było jeszcze strasliwe trzęsienie na łańcach w

asfalcie w dolnej części Rikkyō-dōri i dziki slalom między latarniami w Kanamechō, bo Sean nie chciał używać hamulców, żeby nie tracić pędu uzyskanego w drodze z Ikebukuro. A może hamulców już wtedy nie było, trudno mi powiedzieć, bo dalej mam pewne braki pamięciowe.

Jak dowlokłem się w końcu do domu, też nie bardzo pamiętam. Pamiętam za to, że w mieszkaniu były dwie, a nie jedna torba wypełniona puszkami po piwie, a w poprzek wejścia ktoś ustawił śliczny rząd pusty butelek po żubrówce.

– Witaj, ojczyzno – szepczę, zwalając się na materac. Demon bezsenności nie ma tej nocy najmniejszych szans w starciu z oparami żubrówki.

Aaauć...

Gdzie jest aspiryna?

Dwa litry wody mineralnej później rozpoczynam sprzątanie śladów po wczorajszych ekscesach pt. Parapetowa z Przedłużaczem. Fajnie było. Chyba, bo niewiele pamiętam. Pamiętam jedno: wydałem moje ostatnie ¥200 i zostałem oficjalnie bankrutem.

Dzwoni Sean.

– Żyjesz?

– Tak średnio. A poza tym nie mam grosza przy duszy.

– Oooj, to fatalnie – przestraszył się Sean.

– Cieszy mnie twoje współczucie – odpowiadam ponuro.

– Żadne współczucie, tylko dzwonię, żeby pożyczyć trochę kasy.

– I ty, Brutusie, synku mój? Co się stało?

– Widzisz, kupiłem ten różowy dywan...

– O, bogowie, to mamy problem. No nic, wpadnij do mnie, pomyślimy.

– Ale ja jestem cokolwiek głodny...

– Właśnie o tym chcę pomyśleć. Czekam na cię.

Pół godziny później zaczynamy Śniadaniowy Obchód Promocyjny. Nie robiłem tego od wczesnych czasów studenckich, kiedy zdarzało się, że zupełnie kończyły mi się pieniądze przed pierwszym. Ale cóż, jak się człowiek szarpnął na nowe mieszkanie (sześć czynszów na dzień dobry!), kupił dwa dywany i postawił „żubra” chyba połowie Higashi Nagasaki, nie licząc stadka dziewcząt Seana, to potem trzeba ponieść konsekwencje. Wchodzimy do pierwszego sklepu – jest to spory (jak na Japonię, oczywiście) supermarket o nazwie SeiYu.

– *Say you, say me...* – śpiewa Sean, którego zły humor nigdy nie trwa długo.

Pierwsza runda po sali: w ramach promocji wręczają nam smażone parówki-paluszki oraz porcyjki jajeczniczy na bekonie serwowane przez śliczną panienkę w fartuszu i białym czepku. Druga runda: łapiemy się na smażone tofu i szpinak. Tutaj bezwstydnie biorę nawet dwie próbki, ku wielkiemu szczęściu kolejnej dziewczyny promotorki, której miarą sukcesu zawodowego jest ilość rozdanych próbek na minutę. W ostatniej alejce jeszcze plasterki czegoś dziwnego, co chyba jest bakłażanem zasmażanym w jakimś sosie z *miso*, i mikrokubeczek kawy na stoisku z napojami. I jeszcze jeden kubeczek. Sean nalega na śmietankę do kawy – oczywiście dostaje ją od zarumienionej dziewczyny w białym fartuszu.

Śniadanie mamy za sobą.

Sean nic nie mówi, ale widzę, że jest pod wrażeniem.

– Ty masz pomysłu...

– Cóż, trzeba było umieć jakoś przeżyć, kiedy się było biednym studentem. Żebyś wiedział, jakie próbki dawali w Seibu Ikebukuro... palce lizać.

– A co zrobimy z obiadem?

– Już myślisz o obiedzie? Ach, ci Celtowie...



Tokio nocą – bary, bary i jeszcze trochę barów.

Jedną z zasad przeżycia w metropolitańskiej dżungli jest nie martwić się za bardzo na przyszłość. Grunt, że mamy pełne brzuchy i dobre humory. Zapraszam Seana do siebie, gdzie przy okazji rozpakowywania gratów z poprzedniej kwatery natrafiam na żelazne racje makaronu i puszki z sosem neapolitańskim. Problem obiadu rozwiązany.

Reszta dnia upływa mi na załatwianiu spraw związanych z umową o dostawę prądu, wody i zmianą adresu w urzędzie dzielnicy w Nerima. Mam też parę lekcji, w tym jednego ucznia, który przynosi kopertę za poprzedni miesiąc, chwilowo wybawiając mnie od bankructwa.

Dzwonię do Seana z dobrymi wieściami.

– Sean, mam kasę, Uemura-san zapłacił za lekcje. Spotkajmy się gdzieś, pożyczę ci do wypłaty.

– Jesteś dobry człowiek. Chodźmy do Ekoty.

– Człowieku, zmiłuj się, chcesz ze mnie zrobić alkoholika?

– Bynajmniej. Ale dostałem zamówienie na artykuł o japońskich pubach, a tak naprawdę znam tylko dwa czy trzy. Muszę robić badania.

– Znamy takie badania – odpowiadam, zrezygnowany. – No trudno, spotkajmy się o dziewiętnastej pod stacją, wyjście południowe, i będziemy badać. Tylko jak znowu mnie naciągniesz na wydanie ostatnich groszy, to uduszę gołymi rękami.

Sean zaklinał się, że będziemy oszczędni jak japońska gospodyni, więc stoję teraz przed

podejrzanie wyglądającą speluną w połowie drogi między Ekota a Sakuradai, podczas kiedy Sean zapuszcza żurawia do środka. Miga mi wewnątrz pełne czerwonego pluszu, ale Sean już się wycofuje i zamyka drzwi.

– Spadamy, tu są hostessy. Za samo wytarcie butów o słomiankę naciągnęliby nas pewnie na pół *mana*.

Następny bar wygląda już lepiej, ale mamy przykrą niespodziankę: wychodzi przed drzwi właściciel, a może kelner, jakiś taki nieszczerze uśmiechnięty młodzieniec, i chichocząc, uprzejmie mówi, że to jest klub „tylko dla członków”.

– A karta członkowska za ile? – pyta Sean przekornie, doskonale bowiem wie, że okreśną drogą powiedziano nam po prostu: „gajdzini nie są tutaj mile widziani”. Młodzieniec wydaje kolejny chichot, syczy z zakłopotaniem przez zęby, skrobie się w głowę, po czym szczerząc nierówne zęby, mówi do Seana łamaną angielszczyzną:

– Japończycy są mali...

– Ile centymetrów przeciętnie? – ripostuje natychmiast Sean.

Odciągam go siłą, zde gustowany, i tłumaczę:

– On powiedział po japońsku, tylko używając angielskich słów, że Japończycy są skromni i nieśmiali i obecność dwóch głośnych gajdzinów w pubie przestraszy wszystkich gości. Chodź, nic tu po nas.

W następnej knajpie mamy podobną scenę z mało przyjemną *mamą*, czyli właścicielką. Tym razem jesteśmy zapewnieni, że w środku jest tak wielu klientów, że szpilki nie da się wcisnąć. Sean, jak zawsze złośliwy, pyta, czy w takim razie możemy przyjść jutro. *Mama* cierpliwie wyjaśnia, że jutro też będzie wielu klientów. Niesamowite, jacy ci gajdzini niepojętni.

Postanawiamy wędrować w stronę Nagasaki, żeby nie oddalać się za bardzo od domu.

I w końcu – jest! Przyjemny, tradycyjny pub z właścicielem, który dla odmiany nie ma nic przeciwko gajdzinom jako takim.

Siadamy, dostajemy szklanki z zimną wodą i gorące ręczniczki do wytarcia znużonych lic.

– Jest zestaw? – pyta Sean.

– Niestety, drinki podajemy indywidualnie. A czego szanowni panowie chcą się napić?

Moje oczy odruchowo wędrują na półki za barem i nagle doznaję olśnienia. Już raz ten trik robiłem, kiedy byłem biednym studentem, może jeszcze raz się uda?

– Wie pan, ja mogę się napić o, tego – wskazuję palcem na butelkę spirytusu rektyfikowanego rodzimej firmy Polmos, zdobiącego większość japońskich barów jako składnik niektórych cocktaili.

– Ale z czym? – pyta barman zaniepokojony.

– A to tak po prostu nie można?

– To jest straszliwie mocne, proszę szanownego pana. Dziewięćdziesiąt sześć procent! To jest z Rosji. Tego się nie da wypić, z niczym nie mieszając.

– Nie z Rosji, tylko z Polski; nie, nie z Holandii, P-O-L-SK-A, ale to nieistotne; mam dla pana taką propozycję: jeśli uda mi się wypić kieliszek spirytusu, nawet niczym nie popijając, to nie będę musiał za niego płacić, i jeszcze postawi pan po dużym piwie mnie i mojemu temu oto agentowi.

Barman się śmieje i zgadza momentalnie. Japończyk ze sportową żyłką – to rzadkie, ale piękne. Po chwili mam już w kieliszku rodzimy środek do czyszczenia szyb fotokopiarek i przemywania pępowin noworodków. Połowa klientów pubu przyszła popatrzeć na występy szalonego gajdzina, więc postanawiam zapewnić im właściwą dozę rozrywki w postaci Spirytusu po Zbójnicku. Uwaga: to naprawdę trzeba umieć i przetrenować z kimś, kto umie, bo inaczej można się poparzyć. Oto przepis dla odważnych (i mających żołądek wyłożony azbestem):

SPIRYTUS PO ZBÓJNICKU

1. Maczam palce jednej ręki w szklance z wodą.
2. Otrząsam, ale nie wycieram – muszą być mokre.
3. Maczam czubek każdego z ww. palców w kieliszku ze spirytusem.
4. Podpalam ww. palce płomieniem świecy. Palą się pięknym płomieniem, a ja nic nie czuję, bo spirytus, jako lżejszy od wody (w której uprzednio maczałem palce), wypływa na jej powierzchnię.
5. W ciągu kilku sekund gaszę wszystkie palce po kolei, szybko je oblizując.
6. Robię głęboki wdech.
7. Jednym haustem wychylam spirytus.
8. Robię mocny wydech.
9. Teraz nie wolno niczym popić, a szczególnie wodą, bo woda zmieszana w żołądku ze spirytusem mocno by się rozgrzała.
10. Przyjmuję aplauz, kłaniając się na lewo i prawo.

Barman dotrzymał słowa i postawił nawet po dwa piwa. Sean jest zachwycony i pisze z zapalem w swoim notesie.

– Dobrze mówił tata, gdy opisywał Polaków.

– A co mówił?

– Że okrutne pijusy.

– Ja ci dam pijusy! A kto mnie wyciągnął na pubbing dziś, a do Roppongi wczoraj?

– Kiedy wpadniesz między wrony... – zaczyna sentencjonalnie Sean. – Ja właśnie piszę, że w Japonii alkoholizm nie jest chorobą społeczną, bo alkoholikami są wszyscy.

– Ciekawa teoria. Dlaczego wszyscy?

– Bo w kraju, gdzie butelka tej twojej żubrówki kosztuje mniej niż obiad w taniej knajpie, NIE DA się nie pić!

Jak zwykle nie da się również zaprzeczyć żelaznej, irlandzkiej logice. Butelka „żubra”: ¥620. Tyle co cztery przejazdy metrem. Czyli w przeliczeniu na krajowe realia jakieś 10 zł. A w sklepie Seven Eleven litr soku pomarańczowego kosztuje więcej niż litr piwa. Zwariowany

kraj.

– *Sláinte!* – To ja.

– Na zdrrrrrowie! – To Sean. (Robi postępy).

Nad śpiącym Tokio szarzeje łuna poranka. Wąską uliczką idzie chwiejący się *salaryman*, ściskając w ręku paczuszkę z prezentem dla żony – z nadzieją, że to złagodzi jej gniew o powrót o tej godzinie i w tym stanie. Naprzeciwko idzie dwóch gajdzinów, również halsując z lekka.

– Sean?

– Noo?

– Zostaję abstynentem.

– Ja też.

– Miesiąc.

– Tydzień.

– Trzy tygodnie.

– Dwa.

– Trzy!

– OK. Zaczynamy pojutrze.

– SEAN!

– OK, OK. Od dziś ani kropli. Ani kropelenieńki.

– Amen.

Rozdział 4



ヒッチハイク
の賛否両論

Zalety i wady autostopu.

Tytuł płyty Rogera Watersa.

Wybredność autostopowicza

– *Hit the road, Jack, and don't you come back no more no more no more no more!* – śpiewam, pedałuąc z całych sił wzdłuż jakiejś bezimiennej ulicy, w drodze z Ōkubo do Takadanobaba na ostatnią lekcję sezonu. Od jutra – wakacje. Hurra!

Gajdzin pędzący na rowerze przez Tokio, z gitarą na plecach, śpiewający na cały głos „Hit the Road, Jack” nie należy do reprezentatywnych elementów japońskiej rzeczywistości, co powoduje parę sytuacji blisko-kolizyjnych na mijanych skrzyżowaniach. Ale dziś jest mi wszystko jedno. Ostatnia lekcja! Ostatnia po bardzo ciężkim półroczu, kiedy kończyłem studia i przeprowadzałem się do nowego mieszkania, jednocześnie bardziej angażując się w pracę zawodową – z czegoś trzeba tę nową chałupę opłacić. Dlatego jutro ruszam na baaardzo zasłużone wakacje.

Przypinam rower do stojaka przed wielkim, dwunastopiętrowym *mansionem* w Takadanobaba. Tutaj mieszkają ludzie zamożni – jak na standardy japońskie. Albo milionerzy jak na standardy światowe, bo za jedno takie mieszkanie można kupić luksusowy dom na Florydzie lub pałac w Wilanowie.

To moja jedyna lekcja u przedstawicieli japońskich klas wyższych. No, właściwie wyższej klasy średniej: uczę dzieci chirurga i jego sąsiadów, też lekarzy. Mieszkanie ma rozmiar iście europejski, na podłodze klepka, a nie *tatami*, stoły o normalnej wysokości i krzesła z nogami: pełen luksus na modłę zachodnią. Jest też sofa, palma i kryształowy żyrandol w salonie. Do pełni szczęścia brak tylko szafy z orzecha. Za to w podziemiach garaż, w garażu mercedes, a w recepcji – cieć w mundurze.

Ze wszystkich grup uczniów tę z Takadanobaba lubię najmniej. Dzieci są pełne poczucia wyższości społecznej wobec gajdzina jeżdżącego po Tokio na rowerze. W pewnych sferach nie jeździ się, rzecz jasna, na rowerze po ulicach. A już na pewno nie z gitarą na plecach. A jeśli uczy się angielskiego, to jest się co najmniej Amerykaninem, w ostateczności Anglikiem, ale na pewno nie Polakiem...

Dzieciom podpadłem zresztą na różnych frontach. Dyskwalifikuje mnie między innymi mieszkanie w *apāto*, picie piwa na ulicy i wałęsanie się po Tokio nocą. Ratuje natomiast

prestż mojego uniwersytetu: Jōchi Daigaku (Sophia University). Prestż, nawiasem mówiąc, wynikający w dziewięćdziesięciu procentach z faktu uczęszczania nań ogromnie popularnej piosenkarki: Hayami Yu...

Lekcja biegnie szybko, powtarzamy piosenki z tego roku i mówimy o wakacjach. Zmuszenie dzieci do zadawania pytań jest jak zwykle trudne, bo japońska szkoła podstawowa skutecznie tego oducza.

– No, dalej, zapytajcie mnie teraz o moje plany wakacyjne.

Cisza. Cztery kamienne posagi czekają, aż wskażę, kto ma zapytać. Trzy lata szkoły skutecznie je nauczyły, że inicjatywa szkodzi.

Następuje więc wskazanie palcem i wybrana ofiara, krzywiąc się lekko, wykrztusza z siebie:

– Gdzie... nauczyciel... jedzie... wakacje?

– NA wakacje – poprawiam. – A jadę na Kiusiu, do Kumamoto.

– Hmm... – pomruki umiarkowanego uznania. Nie jest to Paryż ani Floryda, ale ujdzie. Dobrze, że nie do biednych krewnych w Saitama...

– Następne pytanie, no, już!

– Eee... too... neee... Czym... pan... nauczyciel... jedzie? Rower...? – (Chichoty).

Uświadamiam sobie, że nie wiem, jak jest po japońsku autostop. Chwytam słownik – jest:

ヒッチハイク

[brzmi to: hićci hajku].

Dzieci zastygają doskonale nieruchome, co jest w Japonii odpowiednikiem stwierdzenia: „Nie do końca rozumiem, o co panu chodzi”.

– No, wiecie – przechodzę na japoński, to już koniec lekcji, a po angielsku tego pewnie nie zrozumieją – idzie się brzegiem ulicy, macha ręką, zatrzymuje się samochód...

Oczy jeszcze szerzej otwarte. Po chwili jeden z chłopców mówi przerażonym szeptem do reszty:

– Ja wiem, czytałem w książce: on będzie prosił NIEZNAJOMYCH ludzi o podwiezienie...

Na twarzach dzieci maluje się niczym niezmacony horror. Usiłuję wytłumaczyć, że to bardzo miła tradycja, że zawiera się nowe znajomości, że rzesze studentów spędzają w ten sposób wakacje w Europie; ale kiedy dochodzę do spania w namiocie w lesie albo na łące, wita mnie taki rozmiar niedowierzania i zgorszenia, że daję za wygraną. Szanowny Pan Nauczyciel okazał się trampem żebrzącym na szosie o podwiezienie i śpiącym gdzieś w polu. Skandal! Nie do pomyślenia...

Żegnamy się w końcu, odbieram białą kopertę, dziś ze specjalnym bonusem na koniec semestru. Jest to podziękowanie od matki dzieci, a żony znanego chirurga, która jest daleko skromniejsza niż jej potomstwo, w ogóle nienadęta, po prostu normalna, miła gospodyni. Idę do jej pokoju pożegnać się, ale czekam, nie wchodzę – właśnie gra nokturn na pianinie. Niezbyt dobrze, ale szacunek dla Sztuki i dla Fredzia nakazuje mi zaczekać. Jest bardzo zasmucona, kiedy jej mówię, że to ostatnia lekcja, że skończyłem studia i od września zaczynam pracę na pełnym etacie w firmie komputerowej. Kłania mi się nisko i prosi, żebym kiedyś wpadł i opowiedział, jak mi się układa w życiu.

Kto wie, może to kiedyś zrobię. Ale teraz – wakacje!

Wyskakuję z pociągu w górskiej dziurze, gdzie japoński diabeł (*Oni*) mówi dobranoc, i zarzucam na ramiona ciężki plecak. Według mapy gdzieś tutaj biegnie droga miejscowa nr 302 prowadząca do następnej prefektury.

– Przepraszam bardzo, gdzie jest droga numer dwieście pięćdziesiąt cztery, na Saku, Matsumoto?

Głowa schowana w ramiona, przyśpieszony krok – normalna tokijska reakcja zaczepionego na ulicy o dowolne informacje. Widać nie odjechałem dość daleko od miasta – na wsi (prawdziwej, a nie miejskiej) takie rzeczy się nie zdarzają, ludzie są bardziej zrelaksowani i mniej się boją. Czego zaś boją się tokijczycy, tego nie wie nikt, bo jest to najbezpieczniejsze metropolis na świecie¹⁰. Zapytany kiedyś o to Takahashi-san stwierdził:

– Boją się, że będziesz im próbował coś sprzedać albo nawrócić ich na jakąś religię, albo

zwerbować do grania w filmach pornograficznych. O takie rzeczy faktycznie można być zaczepionym na ulicy, szczególnie w okolicach stacji Shinjuku, Shibuya czy Ueno.

No nic, ruszam na zachód, gdzieś tam musi być szosa. Myśl o Takahashi-san wprawia mnie w chwilową panikę, bo nie mogę sobie przypomnieć, czy zwróciłem dwie wideokasety: „Łowcę androidów” (oglądanego chyba po raz siódmy) i „Rybkę zwaną Wandą” (genialna komedia). Gdybym nie oddał, miałbym taki rachunek po wakacjach, że strach myśleć. Takahashi-san jest moim kumplem, ale to nie zmienia faktu, że wyegzekwowałby ode mnie każdy należny grosz. Przyjaźń przyjaźnią, ale Święta Zasada (jap. *rūlu*) jest, jak sama nazwa wskazuje: święta.

Chyba jednak zwróciłem kasety. Przepowiadam teraz litanie innych spraw, o których, mam nadzieję, nie zapomniałem przed wakacjami, kiedy przede mną pojawia się bardziej poważnie już wyglądające skrzyżowanie i pierwsza szosa tego lata. *Hit the road, Jack...*

Właściwie jeszcze nigdy nie próbowałem autostopu w Japonii. Pierwsze wakacje spędziłem w Kioto i w okolicach Tottori, nad Morzem Japońskim, u japońskich przyjaciół; jechałem tam pociągiem.

Ściągam z ramion plecak i odsłaniam w jego dnie małe, gumowe kółka. To specjalny zakup wakacyjny. Młodzieńcze przygody autostopowe w Polsce, Anglii i Szkocji nauczyły mnie, że nie wolno stać ani siedzieć – trzeba cały czas maszerować w kierunku, w którym chce się podjechać. A maszerować łatwiej, ciągnąc ciężki plecak na kółkach po asfalcie, niż dźwigając go na ramionach. Jak będzie tutaj? Trochę niepokoi mnie fakt, że dzieci z Takadanobaba nie znały nawet terminu „autostop”. Niepokoi mnie coś jeszcze: samotny mężczyzna autostopowicz nie ma najmniejszych szans. Przynajmniej w Anglii. Tak wykazały niezbicie doświadczenia z wypraw do Lake District i Szkocji. Dla samotnego mężczyzny nikt się nie zatrzyma, konieczne jest towarzystwo płci pięknej. Para młodych jest brana chętniej, a najchętniej samotna dziewczyna, dlatego nieraz wystawiałem moją ówczesną partnerkę, Cathy, „na wabia”, sam kryjąc się w pobliskich krzakach. Niektórzy kierowcy, zatrzymawszy się dla Cathy, dodawali gazu i odjeżdżali w dal na mój widok. Ale inni, choć rozczarowani, pozwalali wsiąść parze młodych. Może głupio im było zwiewać, skoro już się zatrzymali.

Niestety przez ostatnie miesiące byłem tak zapracowany, że nie zorganizowałem sobie damskiego towarzystwa na ten autostop. Poza tym po zgiełku tokijskiego życia chciałem

ruszyć na trasę sam. Kompanię zawsze można będzie znaleźć po drodze, tak będzie ciekawiej.

Hmm, niełatwy może być ten autostop...

Wymarsz! Idę brzegiem szosy, mijam pierwszy zakręt i widzę koniec miasteczka. Dalej: domy, domy i jeszcze więcej domów, kilka pól ryżowych, znowu domy, zakręt, kolejne domy, dopiero na horyzoncie porośnięte lasem góry. Słyszę warkot silnika, więc podnoszę kciuk. Pisk hamulców. Czyżbym miał aż takie szczęście? Za pierwszym podejściem?

– Dzień dobry? Gdzie państwo jadą?

– Dzień dobry! Jedziemy do domu.

– Eee, to znaczy, chciałem zapytać, czy jadą państwo może w kierunku Saku? Może aż do Matsumoto?

– Jedziemy do Kita Tsurai, to parę kilometrów za Saku. Czy można w czymś panu pomóc? Czy wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję, jak najbardziej – odpowiadam. – Czy w takim razie można by się z państwem zabrać?

– Ależ oczywiście, będzie nam bardzo miło...

Patrzę na mnie jakoś tak dziwnie, ale zapraszają szczerze. Wsiadam i ruszamy. Stara, wielka, biała toyota crown ma klimatyzację i zawieszenie miękkie jak puch łabędzi. To jest życie. Tak mogę spędzać wakacje, dziękuję bardzo.

Przez parę minut małżeństwo w średnim wieku, okupujące przednie siedzenia, naradza się szeptem i w końcu pada pytanie, które zadaje pani na miejscu dla pasażera:

– Jeśli można zapytać, co pan właściwie robił na tej szosie? Czy pan się może zgubił?

– Nie, jadę na Kiusiu. Autostopem.

Mina małżonków wyraża najwyższy stopień braku zrozumienia. Po doświadczeniach z dziećmi z Takadanobaba mam jednak pewne obawy przed zbyt dogłębnymi wyjaśnieniami. Udaje mi się zmienić temat, co jest tym łatwiejsze, że moi dobroczyńcy bardziej niż autostopu są ciekawi kraju mojego pochodzenia, długości stażu gajdzińskiego oraz, oczywiście, jak mi się podoba w Japonii.

Małżeństwo okazuje się bardzo rozmowne i sympatyczne. Szybko przechodzimy przez tematy obowiązkowe (co ja tu robię, ile lat w Japonii, czy mi się podoba, „świetnie pan mówi po japońsku”) i zaczynamy gawędzić o okolicy, jakie to góry, czy warto tu przyjechać zimą na narty. Po paru godzinach miłej podróży znowu następuje między nimi szybka, ściszona rozmowa, po czym pani zwraca się do mnie:

– Jeśli można, zapraszamy do nas na obiad. Mąż chętnie odwiedzi pana potem do następnego miasta. Do samego Suwa, niestety, nie możemy, proszę nam łaskawie wybaczyć, ale jutro rano mąż musi jechać do pracy.

Szczeka opada mi z hałasem i odbija się od gumowego dywanika na podłodze toyoty crown.

– Aleee, naprawdę nie trzeba... ja tylko tak... i w ogóle przepraszam... – bełkocę, zażenowany; zaproszenia są jednak serdeczne i po chwili skręcamy do bramy okazałego domu podmiejskiego. Obiad jest doskonały, dostaję nawet specjalność domu – tempurę z liści kilku różnych drzew rosnących przed domem. Liści osobiście wybranych i zerwanych przez babcię, czyli matkę gospodarza. Odbieram standardową dozę zachwytów nad tym, że umiem mówić po japońsku, jeść pałeczkami i siedzieć na podłodze.



Po chwili skręcamy do bramy okazałego domu podmiejskiego.

Na koniec babcia, wielce zaniepokojona losem młodego gajdzina, proponuje, żebym został na noc. Kiedy propozycja ta zostaje mi przetłumaczona z japońskiego (babci) na

japoński (standardowy), nie spadam na podłogę tylko dlatego, że już na niej siedzę. Tym razem jednak jestem twardy i nieugięty: jest już popołudnie, a ja w sumie pokonałem bardzo niedużą część drogi, jaką sobie na dzisiaj zaplanowałem.

Następują serdeczne pożegnania i niskie ukłony, po czym pan domu podwozi mnie na skrzyżowanie. Jest wyraźnie targany sprzecznościami; chciałby ofiarować mi podwózkę do następnego większego miasta, jest to jednak prawie siedemdziesiąt kilometrów dalej.

– Dam sobie radę! – zapewniam.

Jest gorąco i parno – jak to w japońskie lato. Słońce prawie nad samą głową, wyżej, niż się kiedykolwiek zdarza w Polsce; mijane domy, mury, słupy i latarnie w ogóle nie dają cienia. Na szczęście do zakupów wakacyjnych, prócz plecaka, dołączyłem płócienny kapelusz, który wygląda jak hełm korkowy dr. Livingstone'a. Co nie zmienia faktu, że pot leje się ze mnie strumieniami.

Coś jedzie – kciuk w górę. I znowu: odgłosy hamowania.

To nie może być, przebiega mi przez myśl, kiedy cwałuję do nissana sunny, wrzucającego właśnie wsteczny bieg i pędzącego mi na spotkanie. Dwa razy machnąłem ręką i od razu dwa brania? Nigdy nie miałem takiego szczęścia. Dobry początek wakacji.

Drugi podrzut był znowu niezbyt długi, ale trudno, moją zasadą jest brać każdą okazję, a nie czekać na optymalny kurs. Zawsze lepiej przemieszczać się w upragnionym kierunku, nawet małymi kroczkami, niż stać w miejscu. Uświadamiam sobie zresztą, że tak będzie cały czas: kierowcy jadący na długich dystansach oczywiście nie będą się pchali lokalnymi drogami, tylko wskoczą na autostradę! Może ja też powinienem spróbować autostrady? Warto o tym pomyśleć, ale już jutro, dziś za późno.

Wysiadam i gnę się w ukłonach. Niewiele dziś zrobiłem kilometrów, ale czy ja się gdzieś śpieszę? Najwyżej założę obóz gdzieś tam, pod lasem. Wyciągam lornetkę. Widać malutki kawałeczek płaskiego terenu, na którym, o dziwo, nie rośnie ryż – zjawisko rzadkie, ale idealne, by rozstawić namiot.

Warkot silnika. Macham. Mały suzuki prawie zlatuje z szosy, tak gwałtownie jest wyhamowany przez prowadzącą go dość otyłą, wesołą niewiastę.

– Gdzie pani jedzie?

– Do domu!

Kurczę, muszę się oduczyć zadawania głupich pytań...

– Przepraszam, chciałem zapytać: czy jedzie pani może w kierunku Matsumoto? Takayama?

– Hmm, nie, tak daleko to nie, skręcam w lewo kawałek przed Kamikochi. Pan pewnie nie wie, gdzie to jest...

Proszę o podwiezienie i scenariusz powtarza się: zdziwienie moją obecnością na drodze, nieznajomość japońskiego terminu określającego autostop i jak największa chęć udzielenia pomocy, czyli zapewnienia mi transportu.

Popołudnie coraz późniejsze, wygląda więc na to, że to będzie moja ostatnia dzisiaj podwózka. Jesteśmy w Alpach Japońskich, tak się nazywa to pasmo gór. Całkiem adekwatnie, bo są jak na Japonię dość skaliste, prawie jak Tatry. Droga wiję się między urwiskami i sekwencją małych tuneli, a moja dobrodziejka, ukończywszy standardową litanię (co tutaj robię, jak długo w Japonii, czy mi się podoba, „świetnie pan mówi po japońsku”), próbuje wybadać prawdziwą przyczynę mojej obecności na szosie. O dziwo, rozumie termin „autostop”, ale zaraz dodaje, że nigdy w życiu nie spotkała autostopowicza.

Czyżbym był pierwszym autostopowiczem w Japonii...?

Droga staje się coraz bardziej kręta, a ja zaczynam żałować, że nie wziąłem aviomarinu czy raczej jego tutejszego odpowiednika, kiedy wreszcie mały suzuki, dzielnie wyjąc silnikiem, przelatuje przez siodło przełęczy i zaczynamy staczać się do doliny. Widok jest obłędny. W Japonii w ogóle bardzo rzadko ma się przed oczami jakiś obiekt oddalony o więcej niż pięćdziesiąt metrów. Kraj usiany jest domami, ogrodzeniami, górami, pagórkami i innymi strukturami produkcji ludzkiej bądź naturalnej. Przed oczyma zawsze jest COŚ. A tutaj – ekspozycja. Przestrzeń! Cudowny widok. Zaczynam czuć, jak powoli wraca mi zdrowie psychiczne, mocno nadszarpnięte po roku pracy w Tokio.

Pani kierowczyni cieszy się, bo czyta na mojej twarzy zachwyt krajobrazem.

– Czy pozwoli mi pan pojechać drogą ciut dłuższą, ale bardziej ciekawą? My tutaj mamy

jezioro – dodaje z dumą.

– Ależ oczywiście, serdecznie dziękuję. Moje życie nie będzie spełnione, dopóki nie zobaczę jeziora.

– Na jeziorze jest

水力発電用ダム!

– reklamuje patriotka lokalna.

– Przepraszam najmocniej, ale co to jest cośtamcośtam *da mu*? – Słownik jest w plecaku, a plecak w bagażniku.

Wesoła jejmość aż się zwija, żeby mi wytłumaczyć, no i w końcu pojętny gajdzin chwyta:

– Tama!

Przed jeziorem z tamą czeka nas jeszcze kawałek drogi prywatnej, za której przejechanie trzeba zapłacić na bramce ¥200. Ofiarowuję monety, ale moja dobrodziejka nie chce nawet o tym słyszeć. Próbuje mi natomiast wytłumaczyć, dlaczego droga jest płatna, co nie do końca udaje mi się zrozumieć, za dużo w tym tłumaczeniu skomplikowanych słów. Ale zjawisko faktycznie nietypowe, nie jest to autostrada, ot, kilka kilometrów zwykłej, górskiej drogi, tylko że na początku i końcu są bramki i opłaty, śmiesznie niskie zresztą w porównaniu z autostradami. Trzeba będzie kogoś zapytać, gdy wrócę do Tokio.

– Oto nasze jezioro – wyrywa mnie z zamyślenia drżący z dumy i wzruszenia głos.

Jezioro jest, fakt. Nawet malownicze: wpasowane w dolinę o takiej ilości linii krzywych, że tafla wody jest jedynym dla oka odniesieniem do poziomu. Nad brzegiem las białowłochatych trzcin dwumetrowej wysokości, z których w filmie japońskim powinien zaraz wyjść samotny *ronin* z ręką na głowni miecza.

Tama też jest. Mówiąc szczerze, podobałoby mi się o wiele bardziej bez tamy, ale cóż, jak zrozumiałem z wyjaśnień udzielanych mi w czasie podróży po górskich serpentynach, tama jest supernowoczesna, chroni domy przez wiosennymi powodziąmi i zapewnia świeżą wodę okolicznym miasteczkom, a woda pitna jest w tym kraju sprawą niebagatelną. Dlatego autochtoni są z niej ogromnie dumni. Wydają odpowiednie pomruki zachwytu i uznania.

Jedziemy dalej. Pulchna pani trajkocze jak katarynka, a ja odpowiadam sennie, na przemian:

– Tak.

– Tak, tak.

– Naprawdę?

– O, tak!

– Ahaaa... – niespecjalnie już rejestrując, o czym właśnie mówimy.

W pewnym momencie zasypiam chyba, ukołysany jazdą i temperaturą (klimatyzacji mały suzuki niestety nie ma), a budzi mnie dopiero nagła cisza. Stoimy z boku jakiegoś skrzyżowania, a moja dobrodziejka powtarza:

– Czy można pana zaprosić do mnie na kolację? Jest przecież tak późno!

– Ależ skąd, nie śmiałybym robić pani takiego kłopotu... – to dla formy, oczywiście.

Jeśli ten autostop dalej tak będzie wyglądał, to ja nie chcę wracać do Tokio, myślę, kiedy już pędzimy po wąskich, krętych uliczkach jakiejś wsi przyczepionej do zbocza góry. Jeszcze parę zakrętów, las, tunel, następny las dookoła szczytu jakiejś niewielkiej góry, mostek, tunel, las i jeszcze trochę lasu. Jesteśmy.

Niesamowite – kobieta mieszka na zupełnym odludziu, praktycznie w środku lasu. Dom jest piękny, bardzo tradycyjny, zbudowany na zboczu, na palach. Widzę zarys ogródka z kamienną latarnią, ale już jestem ceremonialnie zapraszany do środka, po czym usadzony w środku ogromnego salonu (12 mat!) z autentycznym *kotatsu*, to znaczy z dziurą w podłodze pod stolikiem. Po chwili na stole pojawia się zimne piwo oraz miseczki z orzechami i piklowanymi warzywami, a przy stole – moja dobrodziejka ze swoją matką. Okazuje się, że mieszkają tutaj same.



Widzę zarys ogródka z kamienną latarnią.



Jestem usadzony w środku ogromnego salonu.

W Europie długo by tak nie pomieszkały – przemyka mi przez myśl – szczególnie jeśli mają w zwyczaju zapraszać autostopowiczów na kolację... A może to są czarownice? Jeśli tak, to jak dotąd wyglądają na przyjazne wiedźmy.

Na stół wjeżdża *katsu-don* z objaśnieniami:

– To jest najbardziej „cudzoziemskie” danie, jakie udało nam się naprędce przygotować. Mówiono mi, że cudzoziemcy lubią jeść mięso, gardzą surową rybą?

– Zapewniam panią, że ten cudzoziemiec je wszystko, z surową rybą włącznie. No, prawie wszystko... z wyjątkiem *nattō*.

– Ach, pan nie lubi *nattō*? – uciecha czarownic nie ma granic.

Nattō to najbardziej ohydna substancja, jaką wyprodukowało dwa tysiące lat wysublimowanej kultury japońskiej. Rodzaj sfermentowanej fasolki w obrzydliwie ciągnącym się nitkami sosie koloru towotu i konsystencji gumy arabskiej. Całość pachnie, przepraszam, cuchnie, jak coś, czym można by nawozić pole, ale na pewno nie podawać na stół.

Odbieram łaskawie porcję pochwał dla moich umiejętności trzymania pałeczek i siedzenia na podłodze. Babcia kaja się, że nie ugotowała bardziej ekskluzywnej kolacji, a pani domu pędzi, żeby mi przynieść nowe zimne piwo z lodówki. Tak, autostop jako forma spędzania wakacji ma swoje zalety.

Moje uczucie dobrobytu zostaje jednak nagle zastąpione uczuciami mocno mieszanymi, gdy słyszę:

– Niedługo będzie się ściemniać, czy ma pan gdzie spędzić noc?

Domyślam się, co się szykuje, więc śpieszę zapewnić:

– Mam namiot, będę biwakował, może nawet nad tym pięknym jeziorem, które była mi pani łaskawa pokazać.

– Ależ tam nie ma kempingu!

Horror, niedowierzanie; przyjazne czarownice mają prawie łzy w oczach na myśl o biednym gajdzinie zjedzonym przez wilki. Albo przez złych ludzi.

Mój wzrok wędruje w kierunku lodówki, w której prężą brzuchy zimne puszki piwa. Trudno. Najwyżej czarownice zamienią mnie nocą w żabę. Ale będzie to przynajmniej żaba syta i opita.

Po kolacji przechodzimy na angielski (mocno łamany), bo gospodyni chce potrenować swoją znajomość języków obcych. Przedstawia mi się jako oddana wyznawczyni sekty Soka Gakkai. Brzmi to tak:

– Jestem Soka. Pan wiedzieć?

– Myślałem, że jest pani Japonką...

– Tak, tak, ja Japonka! A... Soka... Pan znać Soka Gakkai?

– Tak, tak, ja znać. Ale nie praktykować – odpowiadam, zaniepokojony perspektywą prób nawrócenia mnie na buddyzm.

Moja gospodyni okazuje się jednak, Buddzie dzięki, zupełnie nienachalna. Soka Gakkai to jedna z wielu sekt religijnych w Japonii. Chyba nawet najliczniejsza. Poza tym nie wiem za wiele o tej sekcie. Kojarzę jakiś miniskandal polityczny, ale detali nie znam. Są chyba nieszkodliwi, jak zresztą wszystkie japońskie sekty¹¹. Wyznawcy spotykają się i wspólnie modlą, skandując mantry. Podboju świata i nawracania każdego przejezdnego gościa w swoim programie, jak widać, nie mają. I bardzo dobrze.

Czarownice przychodzą z gościnnym *futonem* i pościelą. Ciekawe: nie dają mi materaca pod *futon*. Nie wiem, czy tak rzadko mają gości, czy na wsi śpi się po prostu na matach i grubym *futonie*, co w sumie zapewnia całkiem komfortowy wypoczynek, bo pięć centymetrów gąbki, zwane tutaj materacem, nie robi dużej różnicy. Nie będę pytał, bo jeszcze z troski o moją wygodę zaczną jeździć po sąsiadach w poszukiwaniu materaca...

Legowisko zostaje skonstruowane w dużym pokoju na parterze, po czym wkracza starsza czarownica z wiadomością, że kąpiel jest już gotowa.

– Czy umie pan używać japońskiej łazienki? – waha się młodsza.

– Zapewniam panią, że umyję starannie całe ciało przed wejściem do wanny i że nie będę chodził w kapciach łazienkowych po *tatami*...



Gościnna przystań dla autostopowicza.

– Ty niemądra, przecież on mówił, że mieszka w Japonii od prawie trzech lat! – karci młodszą czarownicę starsza.

Zmywam z siebie kilogram autostopowego kurzu pod prysznicem, po czym zanurzam się w gorącej wannie. Japońskie wanny są rzadko tak długie, żeby dało się wyciągnąć nogi, ale za to głębokie, więc nawet przy podkurczonych nogach kolana nie wystają ponad powierzchnię wody. Ta natomiast jest ogromna. Zimne piwo umieszczam w zasięgu ręki, na wypadek, gdyby zrobiło mi się ciut za gorąco. Aaach... jak dobrze.

Już się cieszę na powrót do Tokio: opowiem Seanowi, jakim byłem twardzielem, znosząc

surowe, pełne trudów i wyrzeczeń życie trampa. Tak. Autostop nie jest dla mięczaków.

Stoję na tej górskiej szosie od 15 minut, ale nie wymyśliłem, w którą stronę iść. Niebo zasnuwane, kompasu nie mam (przeoczenie, trzeba będzie gdzieś kupić), wokoło pagórki, żadnego punktu odniesienia. Karcę się w duchu, że nie zapytałem o to czarownicy, kiedy mnie tutaj podrzucała. Mógłbym pomaszerować do któregoś z okolicznych domów, ale jakoś nie mam ochoty. Jestem objedzony po dziurki w uszach (czarownice zrobiły śniadanie jak dla cesarza) i trochę rozleniwiony. Siadam, żeby sprawę przemyśleć. Pożegnanie było wzruszające; starsza wiedźma bardzo prosiła, żebym je znowu odwiedził w drodze powrotnej. Niesamowici są tutejsi ludzie. Gościnność to za słabe słowo.

O, coś jedzie. Niestety, mała ciężarówka. Nie będę nawet machać.

Migają mi szerokie ze zdumienia oczy w szoferce. Cóż, nie co dzień spotyka się niebieskookiego diabła siedzącego na brzegu miejscowej szosy.

Po chwili – samochód osobowy. Prawa statystyki mówią, że dziś nie będę miał takiego szczęścia jak wczoraj...

Nawet nie zdążyłem podnieść ręki – kierowca już hamuje. Niestety, okazuje się, że jedzie w przeciwną stronę, co nie zmienia faktu, że ofiarowuje się mnie podwieźć. Czy ja jestem we śnie, czy w raju autostopowiczów? No i nareszcie wiem, w którą stronę mam iść.

Znowu szum opon. Wystawiam kciuk (gest bardziej amerykański, ale zakładam, że może być lepiej zrozumiały dla Japończyków, którzy w końcu czasem oglądają amerykańskie filmy).

Czarna honda concerto. Co? Nie zatrzymała się? Samochód znika za zakrętem, a ja mruczę w jego kierunku (po polsku): „Ty mało wredna!”. Niesamowite, jak zdążyłem się rozpuścić... to w końcu pierwszy samochód, który się dla mnie zatrzymał!

Nie czekam zresztą długo. Przede mną hamuje nissan skyline.

– Dzień dobry? Czy pan zgubiony? Czy może pana podwieźć?

O to właśnie chodzi, myślę, po czym dziękuję uprzejmie, wrzucam plecak na jedno tylne siedzenie, a siebie na drugie. Ruszamy.

Ten kurs okazał się wyjątkowo długi i trochę nudny, bo kierowca – tokijczyk zresztą – nie był zbyt rozmowny. Wziął mnie chyba, żeby zaszpanować przed swoją panią zajmującą miejsce pasażerskie. Próbowałem zagać po japońsku, ale odpowiadał tylko po angielsku, co na pewno robiło doskonałe wrażenie na dziewczynie, ale nie ułatwiało rozmowy, bo słownictwo miał cokolwiek ograniczone.

Przy okazji podjąłem decyzję: następnym razem będę polował na samochody z klimatyzacją, bo siedzieć w takim nagrzanym pudle to naprawdę mała przyjemność. Jak już autostopować, to z klasą.

Potem było jeszcze kilka podwózek, a teraz maszeruję w kierunku miejsca, gdzie ponoć znajduje się pole namiotowe. Przed wyjazdem z Tokio przekopałem całą księgarnię Kinokuniya w Shinjuku, ale nie mogłem znaleźć żadnych map dla turystów pieszych. Po telefonie na gajdzińską infolinię udało mi się zidentyfikować w Yotsuya jakiś związek młodzieżowy, coś w rodzaju harcerstwa, i tam zakupiłem wątpliwej mocno jakości (i aktualności) mapkę kraju z zaznaczonymi kempingami i polami namiotowymi.

Wieś się skończyła i skręcam w drogę między polami. Jak miło widzieć wokół siebie trochę przestrzeni. Tokio każdego może przyprawić o klaustrofobię. Dużo tych pól jednak nie ma – zaczyna się las. Przy okazji kończy się, niestety, droga. A więc pudło. Wycofuję się i zaczynam żałować, że nie zaakceptowałem ostatniej oferty obiadu i noclegu otrzymanej od przemiłej rodziny w białej toyocie camry, która jako ostatnia podwoziła mnie w te strony. Ale co to za wakacje pod namiotem, jeśli go nawet ani razu nie rozstawię?

Jest! Autochton. Rozpaczynam ostrożne podchody, ale – jak się okazuje – niepotrzebnie: tutaj ludzie są ciekawi obcych, nie uciekają; to nie Tokio.

– Dzień dobry, czy można prosić o wskazówkę, gdzie jest pole namiotowe?

Autochton wita się, po czym syczy z zakłopotaniem, skrobie się w głowę i w końcu wydusza z siebie:

– Przepraszam bardzo, ale niezupełnie rozumiem...

– No wie pan, namioty, kemping, skauci?

– Aaa! To tam! – wskazuje palcem na górę, z której właśnie zszedłem.

Dziękuję, kłaniam się w pas (on jeszcze niżej) i ruszam. Może nie powinienem był się zrazić brakiem drogi, pewnie jest tam jakaś ścieżka.

Słońce już zachodzi, ja brnę od pół godziny przez gęsty, mieszany las. Pot zalewa mi czoło, co doprowadza do szaleństwa chmurę skośnookich komarów, już cieszących się na danie egzotyczne z gatunku kuchni słowiańskiej. W końcu – jakaś polana. Dalej prowadzi droga. Co prawda w dół, ale teraz już każdą drogę jestem gotów powitać padnięciem na kolana i całowaniem murawy. A raczej błota, bo po ostatniej letniej ulewie wyraźnie tutaj jeszcze nie wyschło.

Droga sprowadza mnie z powrotem do wsi, tylko chyba innej. Trudno powiedzieć. Na brzegu lasu stoi jakiś oficjalnie wyglądający samochód terenowy, może miejscowe nadleśnictwo czy inna służba; znaków wymalowanych na drzwiach nie rozpoznaję, z wyjątkiem *mori* – lasu. Chcę go wyminąć, ale otwierają się drzwi i wyskakuje pan w średnim wieku, w mundurze.

– Dzień dobry! Pan turysta?

– Tak, szukam pola namiotowego. Czy wie pan, w którym to kierunku?

Znowu sykanie i skrobanie się w głowę, ale nagle mina się rozjaśnia:

– Aaa, było takie, tam, na następnym zboczu, ale to wiele lat temu... Teraz już nie ma.

Dziękuję i idę dalej, mnąc w zębach przekleństwa. Plan zajęć po powrocie do Tokio zaczyna się krystalizować: najpierw wysadzę w powietrze siedzibę tego związku harcerstwa czy czegoś tam. Potem znajdę autorów tej mapki i wrzucę ich do rzeki Sumidy. Na koniec każe sobie zwrócić ¥240, które zapłaciłem za ten bezwartościowy kawałek papieru.

Tak, to dobry plan.

Pozostaje pytanie, co zrobić z noclegiem. Słońce już zaszło, wokoło nie ma żywej duszy. Co gorsza, chmurzy się i jakby ciut się ochłodziło. Nie wiem, jak się spisze mój namiot w typowej, japońskiej, letniej ulewie. Zza zakrętu wyłaniają się znajome znaki:

温泉.

Gorące źródła! Narodowa pasja Japończyków, którą, dla odmiany, w stu procentach

podzielał.

Pół godziny później leżę już wyciągnięty w kamienistym, parującym jeziorku i wszystkie troski tego świata odpływają do innej galaktyki. Nad wodą snują się kłęby pary i pewnie śmierzdzi tutaj potężnie siarką, ale tego nie wiem, bo zmysłu powonienia ten gajdzin nie ma. Nalewam sobie kolejną szklaneczkę sake i zamykam oczy. Jest błogo.

To były małe i skromne gorące źródła, żadnych tam ekscesów ze strumieniami wody spadającymi z wysokości dziesięciu metrów na ramiona czy dwudziestu basenów naturalnych z różną temperaturą wody. Ale i tak ekstra. Szkoda, że nie koedukacyjne; picie sake z miejscowymi pięknosciami w gorącym basenie ma swoje uroki. Niestety, źródeł koedukacyjnych w Japonii jest już mało, coraz mniej. Sto lat temu ponoć wszystkie były koedukacyjne. Potem w kraju pojawił się gajdzin i nauczył tubylców, że nagie ciało w łaźni to coś wielce wstydliwego. Teraz łaźnie koedukacyjne zostały tylko na naprawdę zabitej dechami wsi, a i tam ich coraz mniej.



Leżę w kamienistym, parującym jeziorku i wszystkie troski tego świata odpływają do innej galaktyki.

Zrobiło się późno i zaczyna padać deszcz. Przechodzę przez tory i doznaję olśnienia: peron! Miejscowa kolejka nie jeździ w nocy, jest już na pewno po ostatnim kursie, a przed porannym wstanę i zwinę obóz. Będzie sucho (bo pod daszkiem), równo i poziomo: trzy niezbędne atrybuty perfekcyjnej lokalizacji namiotu.

Malutka stacyjka faktycznie jest opustoszała. Czytam rozkład: ostatni pociąg odjechał pół godziny temu, pierwszy ranny:

6.03. Nie ma nawet automatu do sprzedaży biletów, tylko przy wejściu na perony drewniane pudełko na monety. Widzę ze zdumieniem, że jest w nim jeszcze trochę pieniędzy – co za uczciwi ludzie! W mojej ojczyźnie minuty by tutaj nie leżały. Samo pudełko też pewnie nie, bo do niczego nie jest przykręcone...

Namiot mam nowoczesny, na dwóch sprężystych pałkach składanych z rurek; nie potrzebuje żadnych śledzi ani szpilek. Idealny do rozstawienia na peronie. Na zewnątrz leje już jak z cebra, kiedy pod daszkiem peronu pojawia się pomarańczowa konstrukcja firmy Dunlop. Potem wydobywam z plecaka kuchenkę na naboje gazowe i lampę, też na gaz. *Ooops*, zapomniałem o czymś do picia. Zostawiam obozowisko, bo przed stacją, pod jej daszkiem, stoi ogromny automat z napojami. Jak wszędzie w Japonii. Pewnie jest taki jeden na szczycie góry Fuji – nie wiem, nie byłem, Fuji-san jest dla turystów.

Do automatu trudno się dostać, bo jest to jedyne źródło światła w okolicy, światła mocnego, jarzeniowego, przyciągającego gęstą chmurę owadów. I to owadów, jakich na pewno nie widziałem w szkolnych podręcznikach biologii. Pierwszy atak kończy się porażką – zwyciężają owady. Po chwili wracam z dodatkowym uzbrojeniem: kurtka z kapturem, ręcznik, scyzoryk (nie wiem po co, ale z dziesięciocentymetrowymi, tropikalnymi ćmami nigdy nic nie wiadomo) oraz dezodorant w aerozolu. Czując się jak Rambo, zawiązuję ręcznik na głowie. A tak naprawdę na ustach i nosie, żeby przez niego oddychać. Na głowie kaptur, w ręce dezodorant, a w drugiej scyzoryk. Atakuję! Tora, tora, tora!

Scyzoryk przydał się niespodzianie, bo trzeba było wygrzebać ze szczeliny na monety kilka egzotycznych odwłoków.

Dezodorant przydał się w trochę mniejszym stopniu, bo miejscowa fauna wyraźnie nie ma nic przeciwko perfumom firmy Shiseido, a wprost przeciwnie, zdaje się je lubić. Dlatego poniosłem pewne straty: dezodorant stoczył się gdzieś pod automat, gdzie na pewno nie będę go szukał, bo wolę nie myśleć, co mógłbym tam wymacać.

Ale czymże jest strata jednego dezodorantu wobec słodkiego smaku zwycięstwa. Puszka mrożonej kawy z automatu nigdy nie była tak pyszna.

Po chwili obóz osiąga stan perfekcji. Szkoda, że żaden autochton o tej porze tutaj nie przechodzi; ale by zbaraniał! Cieszę się, wpełzając do śpiwora. Jeszcze parę stron książki i pora gasić lampę. Powieki już mi ciążą, ostatnim wysiłkiem woli ustawiam budzik w zegarku na 5.15 – muszę się stąd ewakuować przed pierwszym pociągiem.

Budzi mnie długi pisk hamulców wagonu. Uchylam parę milimetrów zasłonę jednego z okienek namiotu. Grupki dzieci w mundurkach szkolnych i dorosłych jadących do pracy wsiadają do pociągu, z otwartymi ustami gapiąc się na pomarańczowe UFO, które wylądowało w nocy na środku peronu. Ośłupiały konduktor w stanie rozpaczliwej konfuzji nie wie, czy wzywać policję, straż pożarną, czy „National Geographic”. Jakiś desperacko odważny dzieciak skrada się ostrożnie w stronę namiotu, podczas kiedy grupka jego kolegów, chichocząc, dopinguje śmiałka. Autochton niosący stos przewiązanych sznurkiem gazet (pewnie transport porannej prasy do wiejskiego sklepiku) tak się zagapia na namiot, że wpada na słup i rozsypuje gazety w promieniu pięciu metrów. Słowem, pandemonium na peronie.

Oczywiście, przespałem budzik.

Pociąg na szczęście odjeżdża, zabierając znakomitą większość zaszokowanej publiczności, a ja wygrzebuje się ze śpiwora i wychodzę z namiotu.

– Dzień dobry, jak zdrowie? – mówię do dwóch *salarymanów* przechodzących właśnie przez tory, po czym z trudem tłumię atak radości, kiedy – zaspani lekko – odpowiadają mi najpierw odruchowo:

– Dzień dobry, dziękuję, znakomicie.

A dopiero po chwili zdają sobie sprawę, że to nie sąsiad czy dróżnik grzecznie ich pozdrawia, tylko przybysz z obcej planety, który właśnie wydobył się ze swojego statku kosmicznego. Salarymańskie usta otwierają się i już tak pozostają.

Ja natomiast dziarsko przystępuję do złożenia namiotu, chcąc zdążyć przed następnym pociągiem. Gazety już pozbierane (gazeciarz dokonał tego, nie spuszczać wzroku z mojego namiotu, co było wyczynem iście akrobatycznym), ale nie wiadomo, ile wypadków mogę jeszcze spowodować. Kłaniam się na lewo i prawo, przez co gospodyni odprowadzająca swą pociechę na pociąg do szkoły prawie spada z peronu, i zmykam.

Pora na śniadanie. Wieś tak mała, że knajpy tu nie ma albo jej nie mogę znaleźć. Pytam

młodą autochtonkę, która, spłoszona, chichocze zza dłoni, po czym nie odrywając ręki od ust, wskazuje palcem w stronę, w którą i tak miałem iść. Nie wiem, co to ma oznaczać, ale ruszam. Za zakrętem – Family Mart! Obecność sklepów 24-godzinnych na największych odludziach Japonii zawsze budziła we mnie podziw. Wpadam i od razu funduję sobie *onigiri* i puszkę gorącej kawy z mlekiem.

Sklep jest, oczywiście, klimatyzowany, a na dworze już gotuje się upał – brak mi motywacji, żeby wychodzić. Zajadam, przeglądając z nudów czasopisma na półkach. W oczy wpada mi mapa południowego Honsiu, dokładniejsza niż moja, postanawiam kupić. Sprzedawca, na którym gajdzin jedzący *onigiri* robi spore wrażenie, pyta:

– Amerykanin?

– Nie, Polak.

– Aaa, Holandia?

– Nie, Polska. P – O – L – S – K – A.

– W Rosji?

– No, mniej więcej.

Sprzedawca dłubie przez chwilę wykałaczką w zębach, usiłując sobie przypomnieć wiedzę powszechną na tematy międzynarodowe, po czym próbuje:

– Siopan?

– Siopan.

– Łaleza?

– Łaleza.

– Aaa.

Chwila ciszy. Sprzedawca sięga w końcu pod ladę i wyciąga bawełnianą koszulkę, złożoną i zapakowaną w szeleszczący plastik.

– To dla pana. Prezent z naszego rejonu.

– Wow, baaardzo panu dziękuję! A to dla pana, z mojego rejonu – wręczam drewniany

długopis z Cepelii. Wziąłem ich na drogę całą garść, do obdarowywania szczególnie miłych kierowców. Połowa już poszła, ale co tam.

Po wymianie prezentów sprzedawca wychodzi przed sklep pokazać kierunek. Ludzki chłop, nie wydziwia na gajdzina. Przydałoby się takich sprowadzić do Tokio z pół tysiąca.

Komu w drogę...

Tym razem będę wybredny. Jak podróżować, to z klasą. Mijają mnie dwa samochody z otwartymi szybami – znaczy, bez klimy. Nawet nie zaszczycam ich podniesieniem ręki.

Coraz goręcej. Postanawiam polować za zakrętem, w cieniu skał. Postanawiam też siedzieć, a nie maszerować, bo właściwie po co? Wygląda na to, że w tej części Japonii autostopowiczowi wystarczy kichnąć, aby samochody się zatrzymały. Nie jest to, notabene, zgodne z doświadczeniami Seana, który próbował jechać autostopem z Tokio do Nikko. No, ale tam jeździ więcej obcych turystów niż Japończyków, więc kierowcy mogli dostać znieczulicy.

Po paru minutach mijam zakręt i słyszę pisk hamulców. Wszyscy tu mają starte klocki czy co? Przecież samochody są zwykle w doskonałym stanie technicznym. Wysoka wilgotność powietrza tak wpływa na hamulce? Kto wie.

Aha! Szyby zamknięte. Znaczy, z klimą. Klasa samochodu: duży sedan. Znaczy, będzie wygodnie. Może być: podnoszę kciuk. Samochód, dziw nad dziwy, nie zatrzymuje się, mija mnie. Ze zdziwienia zapominam opuścić rękę, więc zatrzymuje się następny, który jechał tuż za nim. Patrzę i blednę, a nogi robią mi się jak z waty. Przedłużona, biała limuzyna ze złotymi klamkami i czarnymi szybami oznacza ponad wszelką wątpliwość *yakuze*.

Yakuza, czyli mafia – jedna z trzech sił rządzących Japonią (pozostałe dwie to politycy i wielki biznes). W światku gajdzińskim mówi się, że *yakuza* nigdy nie zaczepia cudzoziemców. Był ponoć po wojnie jakiś precedens zadarcia mafii z pracownikiem ambasady amerykańskiej, po czym nastąpiło małe spotkanie na szczycie polityków z yakuzowymi bossami. Ustalono: gajdzini są dla gangsterów niedotykalni. Pytanie tylko, myślę, przeżykając, czy ten *yakuza* o tym wie...

Przyciemniona szyba po stronie kierowcy opuszcza się. Przez okno przygląda mi się osobnik z krótkimi, frezowanymi włosami i fizjonomią goryla. Nabieram powietrza, żeby coś

mądrym powiedzieć (nie żebym miał na razie jakiś pomysł), kiedy z tyłu limuzyny słyszę stłumiony, ale ostry głos. Słów nie rozumiem, brzmi jak dialekt. Kierowca odpowiada w podobny sposób przez ramię, po czym szczerzy do mnie nierówne zęby w uśmiechu i... odjeżdża. Padam koło plecaka, nogi trzęsą mi się jak galareta.

Zadanie domowe: napisać w dzienniku podróży sto razy:

„Będę patrzył, zanim zacznę machać”.

„Będę patrzył, zanim zacznę machać”.

„Będę patrzył...”.

Cześć, Kiusiu! Wsiadam z samochodu i kłaniam się w pas fotografowi, który przewiózł mnie przez most łączący największą wyspę Japonii, Honsiu, z najpiękniejszą, Kiusiu. Za mną: osiemset siedemdziesiąt kilometrów, pięć zaproszeń na obiad albo kolację przyjętych i dwa razy tyle odrzuconych, dwa noclegi pod dachem, trzy w namiocie (ale też czasem pod dachem – peronu) i całe rzesze uprzejmych, przyjaznych, ciekawskich kierowców.

Jestem głodny. Fotograf wysadził mnie na odludziu, bo zaraz skręcał w prawo (do Tagawa), a ja chcę prosto (do wulkanicznych źródeł). Odkrywam przydrożną knajpkę wciśniętą w soczyście zielone zbocze góry. Wchodzę. Przy stolikach paru autochtonów je curry i czyta gazety, a przy ladzie kelnerko-kucharka, a pewnie i właścicielka, czyli *mama*, czyta grubą powieść.

– Dzień dobry!

– Hmm – odpowiada *mama*. Goście podnoszą na mnie wzrok, kiwają mi przyjaźnie głowami i wracają do swoich gazet. Od razu wiem, że jestem w innym świecie. W normalnej Japonii, czyli na Honsiu, *mamy* spadają ze stołków, kiedy do ich restauracji wchodzi gajdzin. A kiedy gajdzin otworzy usta i powie coś po japońsku, to dopiero jest koniec świata!

– Czy mógłbym dostać coś do zjedzenia?

– Jasne – *mama* wraca do lektury.

– To poproszę o jajecznicę na bekonie – rzucam od niechcenia. Oczywiście jajecznicy w

tradycyjnej japońskiej knajpie nie podawano od czasu legendarnego cesarza Jimmu.

– Nie mamy bekonu. Może być sama?

– Jasne. I jeszcze *miso-shiru*.

Mama kończy czytać i z doskonałą obojętnością udaje się do kuchni. Po paru minutach wraca:

– Proszę. Smacznego – uśmiecha się do mnie i wraca do swojej książki.

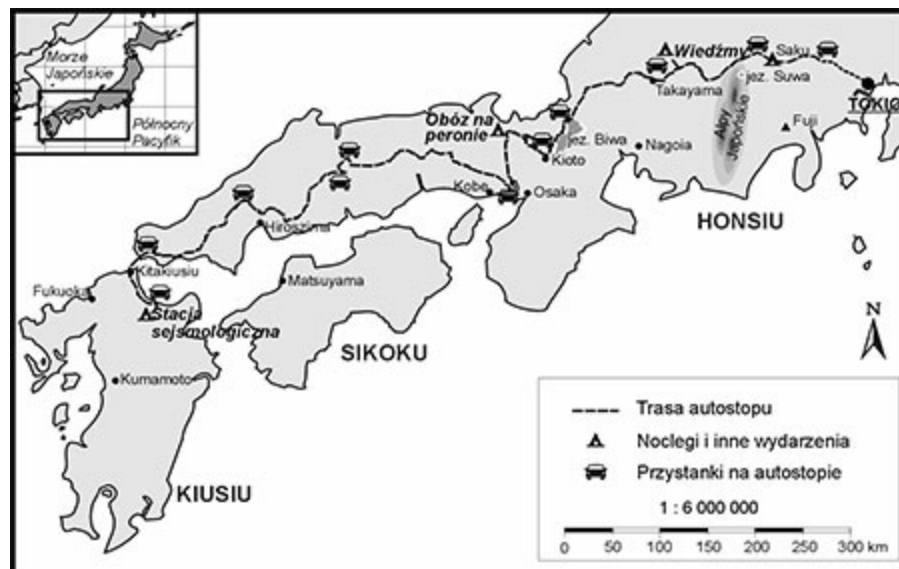
Wsuwam jajecznicę, myśląc: „To jest paradoks. Gajdzina w tej dziurze pewnie nie widzieli od stu lat, a nie robię na nich żadnego wrażenia. W Tokio widzą gajdzinów pięć razy dziennie, a za każdym razem robią z tego aferę. Może to jakaś neuroza wielkomiejska? Albo wielkowyspowowa?”.

– Gorąco, prawda? – zagaduje mnie gość po prawej.

– Oj, tak – wzdygam.

Goście wracają do lektury gazet. Podświadomie oczekuję „katechizmu gajdzina” (skąd jestem, jak długo w Japonii, jak się podoba, pałeczki, język japoński), ale nie nadchodzi. Po raz pierwszy od trzech lat czuję się jak normalny człowiek, a nie dziwo z innej planety!

Kończę jeść i przystępuję do studiowania mapy z zaznaczoną trasą wędrówki:



Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że zrobiło się późno. Pora szukać miejsca na nocleg.

– Coś jeszcze podać? – pyta *mama*.

– Nie, dziękuję. Czy wie pani, gdzie tutaj jest pole namiotowe? Na tej mapce jest zaznaczone, o, tu...

Mama studiuje moją mapę przez kilkanaście sekund, po czym woła:

– Oj, Yumi-chan!

Z kuchni wychodzi dziewczyna, córka, sądząc z wyglądu. Małej postury, ale chyba w wieku studenckim, a nie uczniowskim. Śliczna. Piegowata. Piegowata Japonka? Tak, zdarza się. Rzadkie, ale tym bardziej urocze.

– Wiesz, gdzie to jest? – pyta *mama*.

Mała studiuje mapę.

– Aaa, tak, tam było pole namiotowe, przyjeżdżali skauci. Tak, tak. Ale to dawno, będzie z pięć lat. Teraz tam stoi

地震観測店

– (Tego wyrazu nie rozumiem).

– Badają trzęsienia ziemi – wyjaśnia po angielsku Yumi, widząc moją niepewną minę. – To stacja Tōdai¹². Czasem przyjeżdżają studenci na badania. Jedzą u nas obiady.

Kolejne pole namiotowe, którego nie ma. Mam nadzieję, że wydawcy mapki kempingów uposażyli swoje rodziny na wypadek swojej nagłej śmierci.

Dziękuję paniom Kiusiankom i wychodzę. Po chwili dogania mnie Mała.

– Ma pan gdzie się zatrzymać? Znajoma mamy prowadzi hotel. Niedaleko, mogę pokazać.

– Nie, ja wolę pod namiotem...

– OK. Jakby pan czegoś potrzebował, proszę wpaść, nawet późno. I uwaga na węże!

Żegnam się, nie bez bólu serca, ale robi się ciemno, a wzmianka o węzach napawa mnie ochotą rozbicia namiotu, dopóki jeszcze coś widać. Postanawiam mimo wszystko odszukać stare pole namiotowe, nawet jeśli zajmuje je teraz stacja sejsmologiczna; przynajmniej będzie sucho, równo i płasko. I, mam nadzieję, bezwężowo.

Wspinaczka zajęła mi pół godziny. Na zboczu stoi betonowy budynek z dużą tablicą. Czy to jest stacja sejsmologiczna, nie odczytam, ale widzę znaki oznaczające Tokio i uniwersytet, więc chyba znalazłem. Wszystko zamknięte, wokoło ani żywej duszy. Szukam płaskiego kawałka trawnika. Jest, ale... coś te węże nie dają mi spokoju.

Stacja jest całkiem spora, składa się z kilku połączonych budynków. Zastanawiam się, czy nie otaczają one podwórka, na którym mógłbym się rozbić z dala od miejscowej fauny. Obchodzę budynki... nie do wiary! Drzwi w ogóle nie są zamknięte. W środku cieniutka warstwa kurzu na wszystkim, od stołów po plastikowe pokrowce na komputerach, czyli nikt w tym miejscu nie był od kilku dobrych miesięcy. Co nie znaczy, że ktoś nie przyjedzie tu jutro... Ale gajdzin wystarczająco zuchwały, by rozstawić namiot na środku peronu, nie zawaha się przed wnętrzem stacji sejsmologicznej. Piętnaście minut później na środku laboratorium wyrasta pomarańczowa kapsuła.

Ośmielony własną bezczelnością idę zwiedzać stację. Znajduję pokój socjalny i automat z napojami. Jest wyłączony. Włączam wtyczkę do ściany – działa i przyjmuje ¥100! Całkiem już rozbestwiony włączam do prądu telewizor. Też działa, tylko nie mogę znaleźć pilota. Znajduję za to pilota do klimatyzacji – aaach... jak dobrze. Chłodne powietrze wprawia mnie w taki błogostan, że postanawiam przenieść obóz do tego pokoju. Transport leciutkiego namiotu trzymającego się na wewnętrznych pałkach jest niezwykle łatwy: unosi się go za szczyt i stawia w nowym miejscu.

Klimatyzowany obóz – tego jeszcze nie było.

Rozwalony w fotelu, z puszką coli w ręku oglądam wywiad pana Yodogawy „*Sayōnara, Sayōnara, Sayōnara*” Nagaharu ze Stevenem Seagalem, czyli bratem gajdzinem. Seagal mieszkał gdzieś w Kansai, przez wiele lat trenując aikido. Nadal mówi bardzo przyzwoicie po japońsku, z akcentem osackim.



Kiusiu: zielen i wulkany. Ten wygląda, jakby olbrzym zrobił w lesie pupu.

Czekając na rozpoczęcie filmu, komponuję w głowie raport dla Seana.

„Po pełnej trudów i niebezpieczeństw przeprawie przez Honsiu dotarłem na Kiusiu, gdzie założyłem pierwszy obóz w upalnej kotlinie wulkanicznej, rojącej się od jadowitych węży”.

Aaaaa... ziewam, wygrzebując się z namiotu. Stacja jest tak samo cicha i opustoszała jak wczoraj. Starannie sprzątam ślady swojej obecności; w końcu nie należy zostawiać bałaganu po tak niezwykle gościnnym przyjęciu, nawet jeśli sami gospodarze byli nieobecni. Zauważam sejsmograf rejestrujący coś zawzięcie pod szklaną skrzynią. Ciekawe, czy nagrał rozbijanie namiotu w laboratorium i przenosiny do pokoju socjalnego. Trudno powiedzieć, gęstwa kresek na papierowej taśmie szerokości pół metra nic mi nie mówi. Mam nadzieję, że nie zafałszowałem pomiarów. Kto wie, może za parę lat wśród studentów Tōdaia będą krążyły mity o nawiedzanej stacji na Kiusiu.

Nawiedzanej przez gajdzina, he, he...

Schodzę przez las, droga wydaje się o wiele krótsza za dnia. Wokół mnie piętrzą się ściany zieleni w stu przeróżnych odcieniach: od jaskrawoseledynowego, przez wszystkie możliwe odmiany szmaragdów, do ciemnej zieleni, aż wchodzącej w czarnogranatowy. Takiej różnorodności tonów w obrębie jednej barwy nigdy w naturze nie widziałem. Kiusiu pozostanie dla mnie zawsze Wyspą Tysiąca Odcieni Zieleni.

– Dzień dobry!

– Hmm – wita mnie *mama*, z nosem w swojej książce. – Jak było? – To Mała.

– Trochę za panią tęskniłem, ale poza tym OK – odpowiadam szarmancko.

Dziewczyna śmieje się i ten śmiech jakoś mi mówi, że nic z tego nie będzie. Ale pomarzyć można.

Zamawiam *chāhan*, *gyōza* i *miso-shiru*.

Mała przynosi i... przysiada się. Może byłem przedwcześnie pesymistyczny?

– Co warto zobaczyć w okolicy?

– Gorące źródła. Każde innego koloru. Bardzo sławne. Pokazać ci? Kończę pomagać mamie o drugiej. A w ogóle to mam wakacje.

I tak też się stało. W rezultacie spędziłem w tej części Kiusiu tydzień zamiast jednego dnia...

Potem było Kumamoto, z profesorem Yamadą i polskimi studentami, Oni no Sentakuita, czyli szatańska tarka do prania na południu wyspy, Aso-san, Mała i jej kumple ze studiów, jakaś szalona noc z pubami i piwem zakończona na niesamowicie zielonym wulkanie, gorące źródła w Aso, gorące źródła w Kuju, znowu Mała... Jedno wiem ponad wszelką wątpliwość: raj na ziemi nazywa się Kiusiu. Nawet jeśli anioły mają piegi.



Sam. Szalona noc z pubami (i Małą, czyli *Yumichan*).

A teraz wracam. Wszystko, co dobre...

Wysiadam z samochodu dziwnie nie w humorze. Szybko dziękuję kierowcy i schodzę z drogi. Siadam na kamiennym słupku. Czas na autodiagnozę.

Po pierwsze: poziom krwi w moim alkoholu jest niebezpiecznie wysoki. To trzeba skorygować.

Po drugie: tęsknię za Kiusiunami i nie mam ochoty wracać do świata, gdzie cztery razy dziennie trzeba tłumaczyć, jak długo się jest w Japonii i że nawet mała nauczyłaby się jeść pałeczkami, gdyby przez trzy lata nikt nie dał jej widelca.

Po trzecie: chyba mam dość autostopu. To jest za łatwe! Fascynacja wędkarstwem jako hobby nie miałaby racji bytu, gdyby wędkarz za każdym zarzuceniem przynęty wyciągał po trzech sekundach grubą rybę.

Pierwszy problem rozwiązać najłatwiej. Uzbrojony w zimne piwo z automatu siadam na nasypie kolejowym, by myśleć dalej. Drugiego problemu nie rozwiążę inaczej, niż wracając tutaj za rok. Też do zrobienia. Trzeci...

PING! – na głowie rozbija się kulka Pomysłowego Dobromira. Po raz drugi tego lata miejscowa ciuchcia przywiozła mi inspirację. Czy ja muszę autostopować? Nie wydałem nawet połowy kasy przeznaczonej na te wakacje, bo kierowcy zabijali się o przywilej ugoszczenia mnie obiadem... Pewnie wystarczy na bilet!

Pomysł przedni, tylko za późno na natychmiastową realizację: ostatni pociąg odjechał. Na małych, lokalnych liniach nie istnieją pociągi nocne. Tutaj pociąg ma po prostu zawieźć ludzi do pracy (i szkół) rano, a przywieźć wieczorem. Znowu nocleg na peronie? Czemu nie.

Okazuje się jednak, że w okolicach tej wiejskiej stacyjki nie ma ani piwa, ani łaźni, ani nawet sklepu 24-godzinnego. Skandal. W końcu po trzech tygodniach autostopu człowiek przyzwyczaja się do pewnych standardów. Cywilizację znajduję dopiero po półgodzinnym marszu wzdłuż torów, na wschód. Potem nie chce mi się już wlec na stację. Rozstawiam namiot na drodze między nasypem a polami. Rano skombinuję jakieś śniadanie. I do pociągu.

Aaa, znowu zaspąłem i w namiocie robi się parowa. Wygrzebuję się ze śpiwora zlany potem. Sięgam ręką, by odpiąć połę drzew...

?????? !!!!!??????

Na namiocie, czyli pod tropikiem, leży zwój mokrej liny. Liny, której jeden koniec się rusza...

Siedzę nieruchomo – jak pani ptaszkowa zahipnotyzowana przez węzowy wzrok. Co robić? Hałasować, żeby się przestraszył? A może on wtedy się zezłości, że przerwałem mu kąpiel słoneczną? Wbiję zęby w namiot i nakapie do środka jadem?

Wąż wybawia mnie z tych rozterek, bo przestraszony ruchem wewnątrz namiotu odwija się i spływa szybko po ścianie. Do tej pory obserwowałem jego cień, ciemny odcisk na suficie. Teraz przez jedno z okienek miga mi coś czarno-zielonego i znika w krzakach, a ja, osłupiały, siedzę na śpiworze i zastanawiam się, co to było. Jadowite? A może nie? Ichni zaskroniec czy ichnia żmija? Pewnie nigdy się nie dowiem, spotkanie było zbyt szybkie, żebym mógł potem bestię zidentyfikować w encyklopedii gadów.

Zwijam namiot w rekordowym tempie, myśląc nad ironią losu: na Kiusiu, mimo przestróg Małej, nie widziałem ani jednego węża, a na moim rodzimym Honsiu już przy pierwszym noclegu przeżyłem bliskie spotkanie trzeciego stopnia.

Stacje, stacje, stacyjki i jeszcze mniejsze przystanki. Na niektórych napis *otsukaresama*, będę musiał o tym opowiedzieć Seanowi. Pamiętam moją pierwszą wizytę w wypożyczalni wideo w Senkawa, Takahashi-san powiedział mi wtedy właśnie *otsukaresama*, a ja:

– *Otsukare...* co? Co to znaczy?

– Eee... too... nee... to znaczy: cieszę się, że jest pan zmęczony.

– ???

Nastąpiły wyjaśnienia, w wyniku których zacząłem w końcu mętnie pojmować sens tego zwrotu, rodzaj uznania, salarymańskiej solidarności, docenienia i sympatii dla faktu, że ktoś jest zmęczony po pracy.

Ten napis na dachu stacji wita po prostu miejscowych ludzi wracających z roboty i wyraża współczucie dla ich zmęczenia.

Przez większość czasu jestem sam w wagonie. Cały pociąg składa się zresztą tylko z trzech. Widoki z okien nie są zbyt fascynujące, zajmuję się więc robieniem notatek z podróży, dla Seana, a może i dla potomności, na komputerze kieszonkowym firmy Casio, coś w rodzaju przedpotopowego laptopa wyposażonego w całe 128 kB pamięci. Kupiłem go od studenta w Kumamoto, niestety bez instrukcji, więc spędzam całe godziny, ucząc się metodą prób i błędów obsługiwać prościutki zresztą system operacyjny i programować w dość dziwnej implementacji japońskiego Basica. Klawiatura jest mała, ale na szczęście w układzie zachodnim, czyli QWERTY. Na razie udało mi się uruchomić coś w stylu kalendarzo-notatnika. Zabieram się do pracy.

#09.12#Nagato.

Polą. Po lewej powinno być morze, ale nie ma.

#09.43#Agawa.

Jest morze. Trwało dwie sekundy, potem zasłoniły je jakieś zabudowania. Niewiele widać z tego pociągu. To nie Hokkaido, gdzie jest bardziej płasko i malowniczo.

#11.05#Sammi.

Przyszedł konduktor, aż się zapluł z wrażenia na widok gajdzina, po czym uciekł do pierwszego wagonu, nie prosząc nawet o bilet.

#11.15#Susa.

Spora stacja. Miejscowy geniusz marketingu przebiega przez wagony, sprzedając *onigiri*, piwo, gazety, słodczy. Kupuję – migdały w czekoladzie Meiji¹³ za ¥200.

#14.21#Kushiro.

Wieś rybacka. Na drewnianych stojakach suszą się ośmiornice. Morze ma kolor ołowiany, chociaż pogoda ładna. Gdzieś tam za horyzontem jest Korea.

#14.30#Yusato.

Skręcamy na południe. Macham na pożegnanie Morzu Japońskiemu. Seria małych tuneli.

#15.07#Arashima.

Udało mi się napisać program do gry w ping-ponga. Na malutkim wyświetlaczu

cieklokryształicznym. HA!

#15.59#Nawa?

Nie wiem, gdzie jestem, bo przegapiłem kilka stacji, grając w ping-ponga. Z prawej las, z lewej pola ryżowe, za nimi las. Nudno.

Odkładam moją nową zabawkę, bo konduktor nabrał odwagi i coś do mnie mówi.

– Przepraszam? Proszę powtórzyć.

– Ja nie mówić... angielski...

– Nie szkodzi, ja mówię po japońsku – odpowiadam po japońsku.

– Przepraszam, ja nie rozumiem angielski – mamrocze konduktor, spuszczaając ze smutkiem głowę.

– Toteż nie mówię po angielsku, więc proszę się nie przejmować. Na szczęście obaj mówimy w pięknym języku japońskim, więc chyba nie ma problemu, prawda?

– Nie rozumiem angielski – szepcze konduktor i ucieka.

Tak, zdecydowanie jestem już na Honsiu.

Tomari. Do wagonu wsiada grupa dzieci w wieku wczesnogimnazjalnym, z ciemnozielonymi, płóciennymi pokrowcami – to *shinai*, miecze do kendo. Na następnej stacji wysiadają; z wyjątkiem jednej dziewczynki, która przychodzi pogadać. Nareszcie, bo umieram z nudów.

– Czy można z panem porozmawiać? – pyta nie najgorszą angielszczyzną.

– Jasne. Jestem Marcin. Trenujesz kendo?

– Tak! Wracam z obozu. Pan też trenuje?

– *Shodan*.

– *Nidan*!

Następuje rozmowa techniczna, zrozumiała pewnie tylko dla praktykantów Drogi Miecza.

Dziecko jest przesympatyczne. Na moją prośbę uczy mnie wiązać *tsuru*, czyli sznurek, który trzyma bambusowy miecz w kupie, bo tej sztuki jeszcze nie opanowałem. Ćwiczymy na sznurku jej miecza.

Potem zasypia, z głową opartą o moje ramię. Boję się ją obudzić, ale nie wiem, na której stacji wysiada, zapomniałem zapytać. Takahashi-san twierdzi, że Japończycy mają genetycznie wbudowaną umiejętność budzenia się na właściwej stacji. Jest to jedna z wielu oryginalnych, delikatnie mówiąc, teorii Takahashiego, ale o dziwo, znajduje potwierdzenie w praktyce. W końcu, znużony kołysaniem pociągu, zasypiam i ja.

Jaaa... gdzie ja jestem? W wagonie zupełnie ciemno. Pociąg pusty, stacja nieznana, znaków na peronie nie rozumiem. Otumaniony snem ściągam plecak z półki. Na siedzeniu koło mnie leży mój casio. Jeśli nie wyłączyłem, to na pewno bateria padła i straciłem dane... Nie, elegancko wyłączony i schowany do swojego pokrowca. Pewnie zrobiła to ta dziewczynka. Zapomniałem, jak miała na imię, szkoda. Włączam urządzenie, by sprawdzić, czy ocalały moje notatki z podróży. Na ostatnim miejscu widzę:

#19.40#Yoroi.

Jestem Miura Mai. Niedługo wysiadam, a pan śpi zmęczony. Dziękuję miłe towarzystwo!
Proszę mój adres: 〒682-0524 129 Kami-Asazu, Hawa-chō, Tohaku-gun, Tottori-ken, Japan.
Powodzenia w kendo! Do widzenia!

Wychodzę przed górską stacyjkę. Malutki placzyk z klombem kwiatów, kilka drzew. Cykady drą się jak oszalałe. Nie chce mi się spać, więc postanawiam trochę potrenować. Rozbudził się we mnie nowy entuzjizm do kendo. Wyciągam z krzaków kawał ułamanego konara i po obcięciu gałązek mam już całkiem zgrabny *bokken* (drewniany miecz). Ruszam do *kiri kaishi*.

Po piętnastu minutach jestem zlany potem i bolą mnie mięśnie – chyba się rozleniwiłem na tym kolejowym autostopie. Jeszcze parę ataków: *kote*, *men*, *dō*! Przebieg, szybki zwrot i... zastygam z mieczem wycelowanym w policjanta, który właśnie wysiadł z zaparkowanego na placyku radiowozu. Nie wiem, jakim cudem go nie usłyszałem – może to jazgot cykad plus moje bojowe okrzyki? Policjant ma dziwny wyraz twarzy. Pyta:

- Mówi pan po japońsku?
- Jako tako.
- Co pan tutaj robi?
- Trenuję.
- Czy może pan z nami pozwolić?
- A co się stało?
- Pan pozwoli, wyjaśnimy.

Idę do radiowozu, przebiegając w myślach litanie pomysłów na złamanie miejscowego prawa. Nielegalne ćwiczenie szermierki przed stacją? Kradzież ułamanego konara spod krzaka? Picie piwa po 23.00? Ale piwo piłem wczoraj, nie dzisiaj, i to było w innej prefekturze... Nieautoryzowane wydawanie okrzyków: *kote, men, dō*? Zauroczenie piegowatą obywatelką Kiusiu? Miała przecież 21 lat...

Jedziemy. Policjanci grzecznie, acz stanowczo odmawiają wyjaśnień. Zaczynam układać w myśli mowę obronną, łącznie ze straszeniem ich Ambasadą Rzeczypospolitej Polskiej i skandalem międzynarodowym. Sytuacja nie wygląda dobrze. W Japonii aresztowany nie ma żadnych praw – choćby do wykonania jednego telefonu. To nie Ameryka. W Japonii zasada „niewinny, dopóki wina nie jest udowodniona” jest dziwacznym wymysłem szalonych obcokrajowców, niemającym nic wspólnego z rzeczywistością i zdrowym rozsądkiem. W Japonii prawo do szybkiego wymiaru sprawiedliwości istnieje tylko w książkach – opowiadających o dalekich krajach.

Dojeżdżamy do małego, wiejskiego posterunku, dobre kilka kilometrów od stacji. Wchodzimy, prowadzą mnie po schodach na piętro. Za szarym, obtłuczonym, metalowym biurkiem siedzi komendant i patrzy na mnie zmarszczony.

- Mówi po japońsku?
- Mówi, ale jeśli nie zadzwoni pan zaraz do polskiej ambasady w Tokio, to mówić nie będzie – wypalam.

Konsternacja. Policjanci naradzają się szeptem.

– Jak pan tutaj przyjechał?

– Pociągiem. Z Toyoura. Wracam z wakacji na Kiusiu.

Kiwają głowami. W końcu słyszę:

– Mieliśmy zgłoszenie od konduktora pociągu numer 172/b, że nie zapłacił pan za bilet.

Zatyka mnie.

Sięgam do portfela.

Komendant studiuje bilet z podniesionymi brwiami, potem przekazuje do dalszych badań stojącemu za nim funkcjonariuszom.

– Dlaczego nie pokazał go pan konduktorowi? – pyta w końcu.

– Bo mnie o to nie poprosił.

Znowu konsternacja i narada przyciszonymi głosami.

– Czy mógłby pan zostawić nam ten bilet? – To już daleko potulniejszym tonem niż pierwsza część rozmowy.

– Proszę.

– Noo... to by było wszystko. Czy odwieźć pana na stację? Niestety następny pociąg będzie dopiero jutro rano...

– Najpierw chciałbym zgłosić skargę.

Komendant podnosi brwi jeszcze wyżej i wyciera chusteczką czoło.

– O co chodzi?

– O to, że ta głupia mała, ten smarkacz niegodny swojego munduru, najpierw nie zadał sobie trudu, aby mnie poprosić o bilet (co jest jego zawodowym obowiązkiem), a potem mnie niesłusznie oskarżył, narażając na stratę twarzy i zbrukanie mojego honoru. Honoru, rozumie pan??? I o to jeszcze, że niepotrzebnie straciłem czas, cenny czas, rozumie pan, i nerwy, a na koniec o koszty leczenia wrzodu żołądka, którego pewnie właśnie dostałem!

Ale mi się udała płomienna przemowa – mój nauczyciel japońskiego byłby ze mnie dumny.

Komendant wygląda teraz na ogromnie zakłopotanego, znowu wyciera czoło, policjanci przestępują z nogi na nogę, wszyscy się wokół mnie zbierają i zaczynają przeproszać.

– Konduktor bał się pana zapytać, pan jest cudzoziemcem...

W pojęciu panów policjantów było to bardzo dobre wytłumaczenie.

Moje wyniosłe milczenie wskazuje na coś wprost przeciwnego.

W końcu na schodach pojawia się czwarty policjant i gnąc się w ukłonach, stawia przede mną tacę z zieloną herbatą i ciasteczkami. Chyba pora dać się trochę udobruchać...

W ramach przeprosin dostaję oficjalną czapkę baseballówkę z insygniami miejscowej komendy i jestem zapraszany do zwiedzenia *dōjō* (sali ćwiczeń) na drugim piętrze posterunku: wszyscy policjanci są oczywiście kendokami. Tam, na pożegnanie, komendant wręcza mi piękne *bokutō* (drewniany miecz do ćwiczeń).

– Będzie się lepiej panu ćwiczyło niż gałęzią – mówi ze śmiertelną powagą – i proszę o nas zachować dobre wspomnienia.

Zapewniam, że wspomnienia będą znakomite, i jedziemy na stację. Zostałem, co prawda, zaproszony do spędzenia nocy na komendzie, zaofiarowano mi też podwiezienie do pobliskiego motelu przy gorących źródłach, ale to pierwsze jakoś mało mi się uśmiechało, to drugie brzmiało za drogo. Wyperswadowałem funkcjonariuszom, że nic mi się nie stanie od spania w namiocie i że właśnie podjeżdżamy pod stację. Pociągu widma już nie ma.

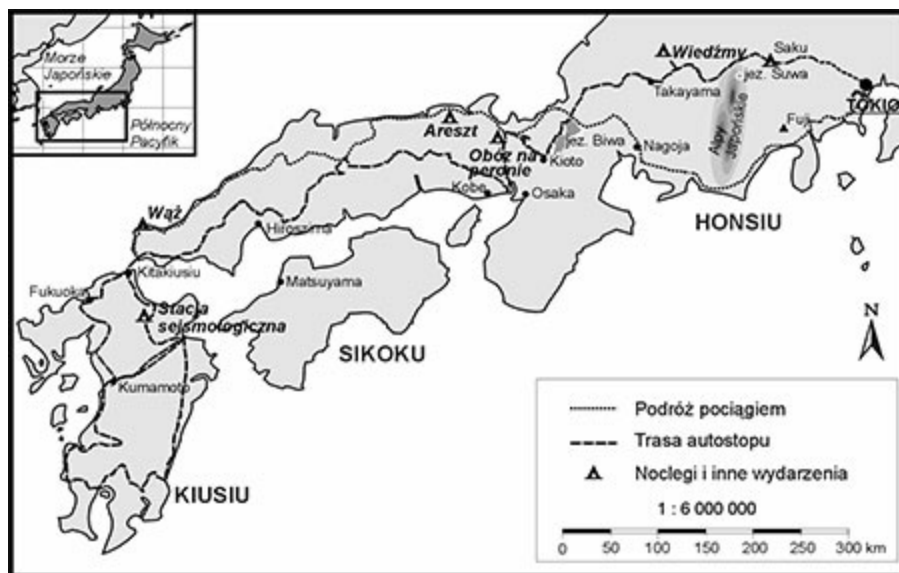
Co za dzień, myślę, leżąc w namiocie na środku peronu. A jak ja jutro dorwę tego konduktora... na moich ustach wykwita złośliwy uśmiech. Zemsta jest rozkoszą gajdzinów...

Coś popiskuje natarczywie pod sufitem namiotu. A, jasne, wczoraj poza budzikiem w zegarku nastawiłem alarm w casio, żeby tym razem wstać przed porannym tłumem. Na dworze już jasno, ale wokoło nadal żywej duszy. Zwijam obóz i maszeruję szukać sklepu 24-godzinnego. Nie ma! Co za dziura... Nawet domów tu nie ma. Pytanie, po co ta stacja. Może kiedyś były tu chałupy?

Jestem głodny, ale w dobrym nastroju. Automat z napojami, Bogu dzięki, jest. Gdyby w Japonii była pustynia, to automaty też by na niej ustawiono. Dwie puszkę kawy z mlekiem, później wsiałam do pociągu. Ten ma aż cztery wagony. Tak, zbliżamy się do Kioto – czyli

do cywilizacji. Konduktor, niestety, jest nie ten sam, co wczoraj, więc marzenia o słodkiej zemście muszę odłożyć na kiedy indziej. Może to i dobrze, pewnie się chłopak najadł więcej strachu niż ja, kiedy mnie aresztowano...

Pociąg zagłębia się w sieć górskich tuneli, a ja zabieram się do aktualizacji mojej mapy.



Siedemset czterdzieści kilometrów za mną. Jeśli tak dalej pójdzie, jutro będę w Tokio. To jednak szybsze niż autostop, pewnie dlatego, że nikt mnie nie zaprasza do domu na kolację...

Bumm, bumm, głucho dźwięczą metalowe schodki, kiedy wchodzę, dociążony ogromnym plecakiem. Na parterze rozsuwają się drzwi i wystawia głowę moja gospodyni z zaniepokojonym wyrazem twarzy. Poznając mnie, rozjaśnia się:

– Aaa, to pan! Jaki opalony! Przyszło dużo listów. Wyjęłam ze skrzynki, żeby jakiś złodziej nie pomyślał, że mieszkanie puste...

– Dziękuję! Ale po listy wpadnę później, jestem zmordowany, zaraz idę spać.

Witaj, domu! Sześć tygodni wakacji, półtora tysiąca kilometrów, masa nowych znajomości, namioty na peronach, stacja sejsmologiczna, Mała, gorące źródła, węże na namiocie, nocne kendo i areszt... Zamykam oczy, pod powiekami przebiega mi nieskończona szachownica pól ryżowych, gór, lasów, znowu gór, mostów i tuneli. I twarze ludzi – zwykłych, wesołych, gadatliwych, zmęczonych, zaciekawionych, przyjaznych, wrogich, mądrych, głupich, roześmianych, złych, przyjaznych i piegowatych. Japonia. Tak naprawdę –

miejsce jak każde inne.

Za rok muszę to powtórzyć. A na razie... jutro koniec wakacji i zostaję *salarymanem*. Ale dziś mam zamiar śnić jeszcze o Kiusiu.

Dobranoc!

Rozdział 5



カラー クラー カー

Colour, cooler, car.

„Trzy razy C”, czyli ideał zamożności z lat 60.

Przyjaciel Kalorii

Trzęsie. Otwieram zaspane oczy i odruchowo sięgam po pilota. Pod sufitem lampa kołysze się łagodnie – chyba nie było mocne. Ale słabe trzęsienia bywają preludium do mocniejszych, więc zaczynam wygrzebywać się z pościeli. Następne.

Trzęsienia ziemi nie czuć, tylko słyszać: wszystko zaczyna dygotać i hałasować, z ulicy dobiega narastający pomruk metalowych żaluzji sklepów, opuszczonych jeszcze o tak wczesnej porze. Ustanawiam rekord w sprincie od legowiska do drzwi wejściowych i otwieram je szeroko. Jeszcze okna – jedno jak zawsze się zacina i nie chce się przesunąć, będę musiał coś z tym zrobić. Z powrotem do telewizora. Na kanale Fuji dumny *reality show*. Na NHK wiadomości, zupełnie o czym innym, ale na dole ekranu już przewija się pasek: trzy i dwie dziesiąte stopnia w skali japońskiej, epicentrum w miejscu, którego nazwy nie umiem przeczytać, ale wiem, że to gdzieś na północny wschód od Tokio. Nic specjalnego.

Ziewam i zaczynam planować dzień. Dzwoni telefon.

– Ale trzęsło!!!

– Cześć, Sean. Nie bój żaby, słabiutkie było. Nawet nie chciało mi się otwierać drzwi i okien, ale co tam, otworzyłem dla zachowania pozorów wobec sąsiadów...

– I dobrze zrobiłeś. Moja *sponsā* opowiadała, jak ich uczyli w przedszkolu: najpierw szeroko otworzyć drzwi, bo od wstrząsów może się wypaczyć futryna, odcinając ucieczkę, a potem wszyscy pod stół!

– Już wyobrażam sobie, jak byś się zmieścił pod *kotatsu*... Ale jaja...

– Bardzo śmieszne – Sean jest obrażony.

– No dobra, dobra, to co, wlałeś pod ten stół?

– Nieee, faktycznie się nie zmieściłem... zarzuciłem na głowę *futon*. Zawsze jakaś amortyzacja.

– Tak, naukowcy japońscy obliczyli ostatnio współczynnik tłumienia *futonu* dla spadających na głowę sufitów. Puknij się w głowę i zacznij zbierać, bo idziemy dziś na

zakupy.

- Idziemy?
- Idziemy. Jesteś u mnie za piętnaście minut?
- Trzydzieści.
- Dwadzieścia.
- Niech będzie.

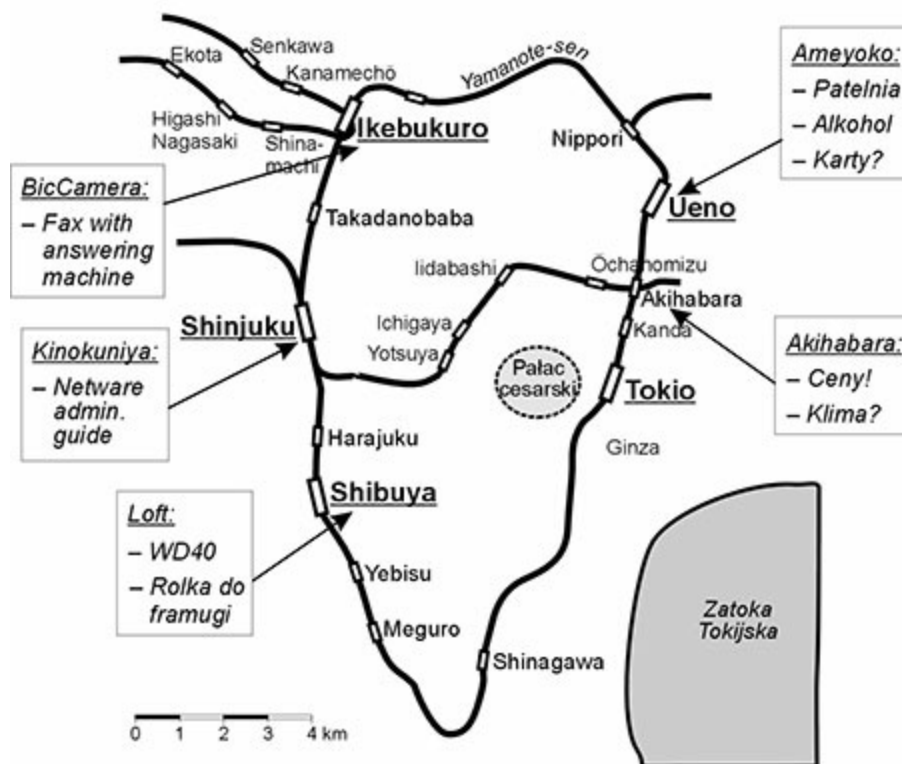
Sean odwiesza słuchawkę, a ja idę zamknąć okna, bo jesienny chłodek nie jest kompatybilny z moją lekką piżamą. W domu naprzeciwko gospodyni też zamyka okno po trzęsieniu i zawstydzona się bardzo na widok gajdzina w rozchełstanej garderobie.

Studziwieńcdziesięciocentymetrowy Sean pod trzydziestocentymetrowej wysokości *kotatsu*, ja nie mogę...

Ding-dong! Wpuszczam Seana, przełykając resztki wczorajszej pizzy z Pizza Hut.

- Sean, idziemy na Wielkie Zakupy. Do Ikebukuro, Akihabary i Shibui.
- Ty myślisz, że ja nie mam co robić w sobotę?!
- A co, randka?
- Mmm, niestety...
- To idziemy. W Seibu Ikebukuro są ładne hostessy windowe. A w Shibuya Loft... marzenie.
- To nie mogłeś tak od razu? Szybciej! Wymarsz! Rrraz!

Kiwamy się w pociągu do Ikebukuro na stojąco, bo mimo weekendu jest dość wypełniony. Przy wyjściu z peronu Sean oddaje swój bilet na bramce, a ja nonszalancko macham przed nosem kontrolera miesięcznym. Płaci za niego moja firma w ramach pomagania pracownikom dojeżdżającym z daleka. To z kolei daje tokijczykom dodatkowy argument (poza oczywistym – wysokość czynszu), by osiedlać się na peryferiach, zmniejszając tłok w centrum. Jeden z autentycznie dobrych pomysłów narodu japońskiego.



Zakupy – plan bojowy

Ikebukuro, wyjście wschodnie. Przed Seibu, gigantycznym domem handlowym (jedenaście pięter wysokości i kilkaset metrów długości), stoi coś, co kiedyś było autobusem, a teraz jest pomalowane na szaro i ma taras na dachu. Na tarasie kilku ponurych facetów z fanatyzmem wyraźnie wypisanym na twarzach oraz gigantyczne głośniki, z których biegną ochryple dźwięki japońskiej pieśni. Czego fanatykami jest ta akurat grupa – nie umiem przeczytać; chyba nie chodzi im o zwrot wysp północnych. Jednak jest w tej pieśni coś znajomego. Po chwili olśnienie: to Międzynarodówka!

– Sean, wiesz, co oni śpiewają?

– Nie, i chciałbym utrzymać ten stan rzeczy – odpowiada Sean, patrząc spode łba na japońskich marksistów-leninistów.

– Ale to jest Międzynarodówka! Ja to śpiewałem w podstawówce na apelach: *Wyklęęęęty powstań ludu zeeeeemi, powstaaaaańcie, których dręczy głóóód...* – wtóruję radośnie, na całe gardło.

– Zwariowałeś??? Zamknij się i uciekamy!

– Coś ty dzisiaj taki nerwowo? Najpierw się załamujesz byle miniwstrząsikiem ziemi, a

teraz się boisz komunistów?

– Kto jak kto, ale ty powinienes wiedzieć coś o lęku przed komunistami.

– Słuchaj, Sean, bez lewicy prawica nie byłaby prawicą. Japonia to kraj demokratyczny, jest wolność słowa, każdy ma prawo reklamować swoje przekonania. A z wolnością słowa jest jak z dziewictwem: nie może być częściowe – zapalam się do tematu.

– OK, OK, ale czy oni muszą to robić tak głośno? I z tak zdezelowanych głośników? Mógłbym im dać dużo lepsze za darmo, wczoraj w nocy wziąłem z ulicy czteropasmowe JVC...

Dochodzimy do BicCamera. Hałas jeszcze się natęża, o ile to w ogóle możliwe. System PA ryczy w kółko dumnowatą piosenkę, składającą się głównie ze słów: *Biiiiikku, Bikku, Bikku, Bikku Kamera!* Do tego, w ramach konkurencji, paru młodzieńców w firmowych kurtkach sklepu wdrapało się na drabiny i drze się ochryple przez ręczne megafony. Temat darcia: u nas jest najtaniej i najwspanialej, a wszystko jest najnowsze i najnowocześniejsze. Zaczyna mi gwizdać w uszach, więc sam wydzieram się na najbliższego młodzieńca:

– *URRRRUSAI!* – czyli: „Nie drzyj pan mordy” (w przekładzie nader swobodnym).

Młodzieniec nadzwyczajnym wysiłkiem nie spada z drabiny, a przy okazji przestaje wrzeszczeć, więc wkraczam do BicCamera z szerokim uśmiechem i poczuciem dobrze spełnionego obowiązku.

Sean dogania mnie wreszcie, bo usiłował dowiedzieć się, o której godzinie kończy pracę modelka w bikini promująca przed wejściem filmy Fuji.

– Zapomniałem zapytać, co właściwie będziesz kupował. Że nie wspomnę: za co?

– Proszę, oto lista.

– Bogowie! – wrzeszczy Sean, po trochu dlatego, że jesteśmy na piętrze z radiomagnetofonami, do których zakupienia ma nakłonić rozkręcenie ich na pełen regulator – czyś ty obrabował Bank Mitsubishi?

– Nie, przyjacielu, jestem tylko po pierwszej wypłacie w nowej pracy i idziemy zaspokajać moje potrzeby konsumpcyjne. Czasy studenckie się skończyły. Będąc młodym *salarymanem*, mam zamiar żyć jak *salaryman*. A to oznacza poważne potrzeby sprzętowe.

A więc dalej, na piętro telefoniczno-faksowo-fotokopiarkowe. Faksów jest chyba z pięćdziesiąt modeli. Urządzenie to zostało przygarnięte przez Japończyków do ich narodowej piersi z większym entuzjazmem, niż to miało miejsce gdziekolwiek indziej na świecie. Powód: komunikacja opiera się tutaj na piśmie, opartym z kolei na piktogramach. Czyli na obrazkach. A faks jest właśnie urządzeniem do przesyłania obrazków. Sprawdza się tam, gdzie nie zdaje egzaminu teleks czy mało tutaj jeszcze popularny i zazwyczaj ściśle tekstowy e-mail. Poza tym, po japońsku trudno ze stuprocentową dokładnością przekazać komunikat słowny przez telefon. Nigdy nie ma pewności, czy facet po drugiej stronie prawidłowo zapisze znak. Usłyszał w końcu tylko jego wymowę, a zwykle jest kilka, jeśli nie kilkanaście znaków, które wymawia się tak samo. Dlatego bezpieczniej przesyła się wiadomość faksem. Obrazek wart jest tysiąc słów.

– Na grzyba ci ten faks? – pyta Sean uprzejmie. – Nie żebym chciał cię zniechęcać, bo odtąd będę mógł wysyłać od ciebie moje artykuły do Irlandii...

– I zaprzestaniesz wizyt w nocnym sklepie, gdzie pod pozorem korzystania z usług faksowych podrywasz tę panienkę, która pracuje tam od dwudziestej?

– No tak, to pewien szkopuł – wzdycha Sean. – Ale czy ona nie jest słodka?

– Eee tam, takie chuderławce bezbiuscie.

– Jeśli lubisz kobiety dobrze wyposażone przez naturę, to jesteś w złym kraju – obraża się Sean.

Udaje nam się zwabić sprzedawcę.

– Czy ma pan faksy z automatyczną sekretarką?

Sprzedawca wykazuje się poziomem wiedzy technicznej ograniczonym do umiejętności podania ceny wskazanego modelu, która to cena jest zresztą wypisana na nalepce. Wołami. Dziękuję mu uprzejmie i rozglądam się za innym.

O, jest jeden, na oko bardziej oddalony od brakującego ogniwa.

– Czy ma pan faksy z sekretarką?

– Oczywiście, proszę tędy. Polecam najnowszy model Toshiba z nagranymi od razu komunikatami.

Komunikaty okazują się być odtwarzane przez niemożliwie słodziutki głos kobiety, którego właścicielka ma pewnie pięćdziesiąt lat, ale wydaje jej się, że pięć, więc oglądamy kolejne modele. W końcu decyduję się na inne cudo techniki, tym razem firmy Matsushita.

Seanowi też się podoba.

– Kupujesz?

– Ależ skąd, teraz jedziemy na Akihabara.

– ?

– Żeby znaleźć najlepszą cenę, a potem wrócić tu i dostać jeszcze lepszą. BicCamera gwarantuje przebicie najniższej ceny w mieście.

– A to nie lepiej do Shinjuku? Yodobashi Camera, Sakura Camera...?

– Młody gajdzinie – pouczam – jak chcesz elektroniki, jedziesz na Akihabara.

Genialnym ułatwieniem zakupów w Tokio jest gromadzenie się branż w poszczególnych dzielnicach. Chcesz kupić książkę – walisz prosto do Kanda. Jest tam skupisko księgarń i antykwariatów. Sprzęt sportowy? Dolne Ōchanomizu. Instrumenty muzyczne? Ōchanomizu górne. Głupio drogie ciuchy? Ginza. To proste jak życiorys Zenka.

Wychodzimy ze stacji Akihabara i stajemy na głównej ulicy. Najśłodszy widok dla oczu chronicznego gadżeciarza: wokół setki sklepów z elektroniką, sprzęt wylewa się na chodniki, piętrzy srebrno-czarnymi stosami, kusi plątaniną kabli i opasłymi od przycisków pilotami.

– Czy w tym szaleństwie jest metoda? – pyta Sean.

– Nie. No, może trochę więcej audio i wideo było po stronie zachodniej, tutaj masz najwięcej sklepów ze sprzętem radioamatorskim i podzespołami elektronicznymi, a tam, po przeciwnej, koncentracja komputerów i AGD. Ale to niuanse. Generalnie – chaos.

Wchodzę do pierwszego sklepiku z brzegu po garść katalogów wszystkich dostępnych na rynku faksów. Przy każdym opis techniczny, parametry, opcje, akcesoria i, obowiązkowo, cena. Od ceny katalogowej da się zwykle wytargować co najmniej dwadzieścia pięć, a czasem do czterdziestu procent, ale dzięki katalogowi wiadomo, na czym się stoi i czego oczekiwać. No i zdjęcia sprzętu: zrobione z każdej strony plus to, co jest w środku. Kocham Japonię za

katalogi.

Godzina minęła jak z bicza strzelił. Po Akihabara nie da się iść szybko, ciągle coś fascynującego przykuwa uwagę. Szczególnie trudno idzie się Seanowi, który był tutaj tylko raz, z zamiarem zainwestowania w odkurzacz, ale przerażony ilością sklepów i bogactwem wyboru z jednej strony, a nie zawsze przyjazną gajdzinowi obsługą z drugiej, uciekł z podkulonym ogonem do bezpieczeństwa BicCamera w Ikebukuro. Idziemy tylną uliczką w stronę T-Zone, kiedy Sean się zatrzymuje.

– Co oni tu sprzedają?

Sklep nie ma nazwy. Na koszmarnie zakurzonej wystawie leży spirala grzewcza, chyba z pralki Frania, i kawałek zardzewiałego żelastwa, które równie dobrze mogłoby być elementem statku kosmicznego, jak i archifaktem wykopaliskowym z wczesnego neolitu.

– Też jestem ciekaw. Chodź, zapytamy.

Wchodzimy. Drzwi skrzypią przeciągle. W środku ciemnawo i pusto, żadnych półek z towarami, ściany gołe, nie licząc jednego plakatu z reklamą jakichś grzejników, tak wyblakłego, że ledwie czytelny. Oczy powoli przyzwyczajają się do mroku i w głębi sklepu materializuje się zakurzony stół, za którym siedzi zakurzony osobnik w średnim wieku i patrzy na nas podejrzliwie.

– Dzień dobry, co pan tu sprzedaje?

– Części elektryczne... – skrzypi sprzedawca głosem z zaświatów.

– Świetnie, czy mogę dostać lutownicę?

– Nie ma...

– A może kilka tranzystorów?

– Nie ma...

– A co to jest to coś na wystawie?

– Tego też nie ma...

– A co jest?

– Nic nie ma...

– A pan jest?

Odpowiada mi milczenie i coraz bardziej wrogi wyraz twarzy. Wychodzimy.

Po wyjściu Sean chwyta mnie za ramię.

– Słuchaj, to jest na pewno dziupla *yakuzy* do prania brudnych pieniędzy. Coś, na czym można zrobić odpisy podatkowe, wykazywać straty, no wiesz.

– Nie ponosi cię wyobraźnia dziennikarska...? Ale kto wie? Może masz rację?

– Możesz być dziwnie spokojny, że mam rację. Sklep, w którym nic nie ma? W najdroższym miejscu na świecie? To biznes, który przynosi wielomilionowe straty. Komuś pewnie właśnie o to chodzi.

Może i prawda. Ale nie jestem do końca przekonany. Obaj wiemy, jak często po pytaniu o towar gajdzin słyszy „nie ma”, „nie będzie”, „nie da się” (to odpowiedź na pytanie o możliwość zamówienia u producenta czy dystrybutora), podczas kiedy wspomniany towar leży jak byk na półce. „Nie ma” jest po prostu skrótem myślowym od „Uprzejmie proszę wyjść z mojego sklepu, ja nie mówię po angielsku, więc czy szanowny gajdzin nie może się udać na Ginzę jak wszyscy normalni turyści?”. Seana tak to kiedyś denerwowało, że chciał parę razy wynieść taki towar ze sklepu na oczach całej obsługi, twierdząc, że jeśli czegoś nie ma, to znaczy, że nie da się za to zapłacić.

Piąte piętro – faksy. Udało się wytargować cenę o całe trzy tysiące jenów niższą, niż nam ofiarowywano w BicCamera: dobra robota.

Ceny i nazwy sklepów spisane: można wracać.

Drobny szkopuł: Sean zniknął.

Zbiegam po schodkach na ulicę, żeby sprawdzić, czy nie ma tam modelek, a w związku z tym i Seana. Niestety. Zaglądam na kolejne piętra sklepu, który jest (jak to na Akihabara) szeroki na nie więcej niż cztery metry, głęboki może na dziesięć, ale za to ma aż siedem pięter i na każdym można kupić inny rodzaj sprzętu. O, jest Sean, stoi przed jakąś półką, chichocze i pisze coś w swoim reporterskim notesie. Na mój widok woła:

– Marcin, nie uwierzysz! No, nie uwierzysz, co ja znalazłem! Patrz! UŻYWANY sprzęt! Cała półka: tu pioneer A-Y55. A tutaj marantz ST-521. Przecież to archaiczna technologia, sprzed siedmiu lat! Kto, na Boga, za coś takiego zapłaci, skoro na ulicy leżą modele o dwie generacje nowsze i nic nie kosztują?

– Chyba zapomniałeś, że świat nie składa się z gajdzinów...

– No OK, to kto tu kupuje? Przecież Japończyk kupi nowe, a nie używane?

– Neeee, tutaj też trafiają się biedni ludzie. I studenci. I gajdzini, którzy nie wiedzą o narodowej konspiracji upłynniania Dużych Śmieci. Ale masz rację, to jest margines. I dlatego stoisz właśnie przed jedyną półką z używanym sprzętem w Akihabara. Wiem, bo kiedyś sprawdziłem. A stoisz przed nią sam, co powinno dać ci pojęcie o rynku elektroniki używanej. To znaczy, że go nie ma, rozumiesz? Chodź, idziemy!

Daleko nie zaszliśmy: Sean zniknął na piętrze z klimatyzatorami i modli się teraz do jakiejś toshiby.

– Marcin, czy ja śnię, czy to naprawdę kosztuje tylko sześć *manów*?!

Czytam etykietę podejrzliwie.

– Tak, bo to wyprzedaż po lecie. Ta klima nie ma opcji grzania, samo chłodzenie. Do przyszłej wiosny jej nie sprzedadzą, więc puszczają za... no tak, ciut powyżej pół ceny.

Przystępujemy do gry wstępnej z ekspedientem, jak się okazuje, człowiekiem inteligentnym i znającym branżę. Postanawiam go wziąć „na wesoło”. To często działa, jeśli sprzedawca jest z jajem.

– Wujaszku kochany mój, kopę lat! Strasznie ci dziękuję za obniżenie ceny o następne dwa *many* i za darmową instalację! Jesteś superchłop. Masz u mnie dwa piwa. Co ja chrzanię? Cztery piwa! Takich jak ty już nie robią... – trajkoce, pompując mu rękę.

Sprzedawca się śmieje.

– Niestety, ten model już ma obniżoną cenę do połowy, więcej się nie da...

– Szefuniu kochany, co się nie da? Jak się nie da? Ja bardzo szefa proszę nigdy nie mówić, że się nie da. Ja proszę, żeby szef powtarzał za mną: dla chcącego nic trudnego! Tak jest,

brawo! No to jak, gdzie płacę? Tylko proszę nie zawijać, ja na miejscu...

Sprzedawca śmieje się coraz bardziej, w końcu daje za wygraną i obiecuje darmową instalację, narzekając półżartem na gajdzinów, którzy doprowadzą go do ruiny. Pyta nas, czy życie cudzoziemca w Tokio kosztuje więcej niż Japończyka. Ponieważ cena już zaklepana, a darmowa instalacja to duże zwycięstwo (z pięć, sześć tysięcy do przodu), postanawiam być szczery:

– Wie pan, nie, w sumie to gajdzin ma tu taniej.

– Nie może być?

– Bo widzi pan, jest tak: po pierwsze, mamy więcej tupetu i zero szacunku dla reguł społecznych. A przestrzeganie reguł kosztuje. Jak pana zaproszą na ślub, to musi pan wręczyć czerwoną kopertę. Dwa, trzy *many* w plecy. Od gajdzina nikt tego nie oczekuje. Jak panu się zepsuje telewizor, to kupi pan nowy za co najmniej cztery *many*, a mój ten oto przyjaciel robi nocą obchód po okolicach i przyniesie z ulicy takiego sony trinitrona, że oko zbieleje. I tak dalej... Po drugie, Japończycy są chyba jedynym narodem w Azji, który rozumie, że nie każdy cudzoziemiec to nadziany turysta. W Tajlandii albo Singapurze mój kolor skóry gwarantuje wzrost cen o dwieście procent. Bez miejscowego w ogóle nie ma się co wybierać na zakupy. A tutaj cena ta sama dla wszystkich, niezależnie od rasy, wyznania i płci. Czasem nawet niższa, bo ludzie są przyjaźni i chcą pomóc studentowi z dalekich krajów.

Sprzedawca się śmieje, widzę, że jest zadowolony, słysząc tak pozytywne opinie o swoim narodzie. I dobrze, bo akurat ten aspekt Japonii jest naprawdę bardzo przyjemny.

Sean ciągnie mnie za rękaw i pokazuje na zegarek. Pora dobić targu. Coś mnie jednak niepokoi.

– Czekaj, Sean, a pytałeś gospodyni, czy wolno?

– Chyba nie może mi zabronić?

– Jak to nie może? Przecież będziesz musiał zrobić dziurę w jej ścianie. I założyć kompresor na zewnątrz budynku. A ten kompresor może dmuchać gorącym powietrzem prosto w okno jej sąsiadki, albo coś takiego. Lepiej spytaj.

Sprzedawca okazuje się wyjątkowo pomocny, bo obiecuje przytrzymać ten, ostatni

zresztą, egzemplarz do następnego dnia, w czasie kiedy Sean przeprowadzi negocjacje z gospodynią. Ja też okazuję się wyjątkowo pomocny, bo obiecuję Seanowi iść i wesprzeć go w tych negocjacjach.

Jesteśmy dobre pół kilometra na północ od stacji, więc nie warto wracać – przejście piechotą do Ueno zajmie nam góra 7 minut. Warto by tylko się posilić przed dalszą drogą. Niestety, Akihabara nie jest znana jako miejsce, gdzie można godziwie zjeść. Chyba że ktoś żywi się tranzystorami.

– Marcin, znasz Przyjaciela Kalorii?

– Tak, chodziłem z nim do szkoły. W ogóle w moim kraju wszyscy jesteśmy przyjaciółmi kalorii. I cholesterolu. A tak poza tym, co zacząć?

– No tak, nie wiesz, bo ty jesz te wszystkie japońskie dziwactwa. Ale, uważasz, jak byłem młodym gajdzinem, nie było nikogo, kto mógłby mi wytłumaczyć, co tutaj można bezpiecznie zjeść. Wchodziłem do sklepu, a tam sto różnych dziwnych paczuszek i tacek z podejrzanie wyglądającymi narzędziami niewiadomego pochodzenia. To samo w knajpie – pokażę palcem na takie nie wiadomo co w karcie i skąd gwarancja, że danie, które mi przyniosą, nie będzie próbowało przede mną uciec? Albo patrzeć na mnie z wyrzutem?

– Ale przecież w restauracjach są zwykłe plastikowe modele dań na wystawie. Wystarczy wziąć kelnera za ramię, wyprowadzić na zewnątrz i pokazać palcem. Na przykład na spaghetti w sosie neapolitańskim, przecież to standardowy element jadłospisu.

– Człowieku, mnie nie było stać na zachodnie jedzenie!

– To fakt, jak się nie ma kasy, zostają miejscowe specjały. To co robiłeś?

– Najpierw żywiłem się migdałami w czekoladzie. Po paru tygodniach poczułem się bardzo nietęgo. Wtedy znalazłem w kiosku takie żółte pudełko, na którym, nie uwierzysz: napisany był PO ANGIELSKU dokładny skład! To jest jedzenie dla ludzi w biegu, rodzaj herbatnika, który zawiera wszystkie niezbędne proteiny, witaminy i minerały.

– Rozumiem. W sklepach z jedzeniem dla psów i kotów?

– Bardzo śmieszne. To jest w każdym kiosku i sklepie nocnym. Nazywa się właśnie Przyjaciel Kalorii. Zjadasz taką paczuszkę i nie jesteś głodny do wieczora. O, proszę.

Sean wskazuje wyglądające rzeczywiście znajomo żółte pudełko w kiosku przed stacją. Za dwieście jenów. Kupujemy. Faktycznie, coś w rodzaju ciasteczka. Lekko słodkawe. Tylko ta nazwa mnie rozkłada – Calorie Mate, czyli Przyjaciół Kalorii albo Kaloryczny Kumpel...

バランス栄養食

カロリーメイト

ブロック(チーズ味)

11種類のビタミンをはじめ、6種類のミネラル、エネルギー、タンパク質、脂質、糖質、食物繊維を無理なく補給できるバランス栄養食品、カロリーメイト®・ブロック。ビタミンは1日に必要な量の約半分が含まれています。

1日に必要な量は「日本人の栄養所要量」を基準にしています。

食物繊維

ミネラル

タンパク質

BALANCED FOOD

ビタミン

脂質

糖質

エネルギー	400kcal	カリウム	100mg	ビタミンB ₁	0.6mg	葉酸	100 μg
タンパク質	8.2g	カルシウム	200mg	ビタミンB ₂	0.6mg	ビタミンC	50mg
脂質	22.2g	鉄	3.4mg	ビタミンB ₆	0.8mg	ビタミンD	50 IU
糖質	41.7g	マグネシウム	50mg	ビタミンB ₁₂	1.2 μg	ビタミンE	4mg
食物繊維	2g	リン	100mg	ナイアシン	8.5mg		
ナトリウム	370mg	ビタミンA	900 IU	パントテン酸	3mg		

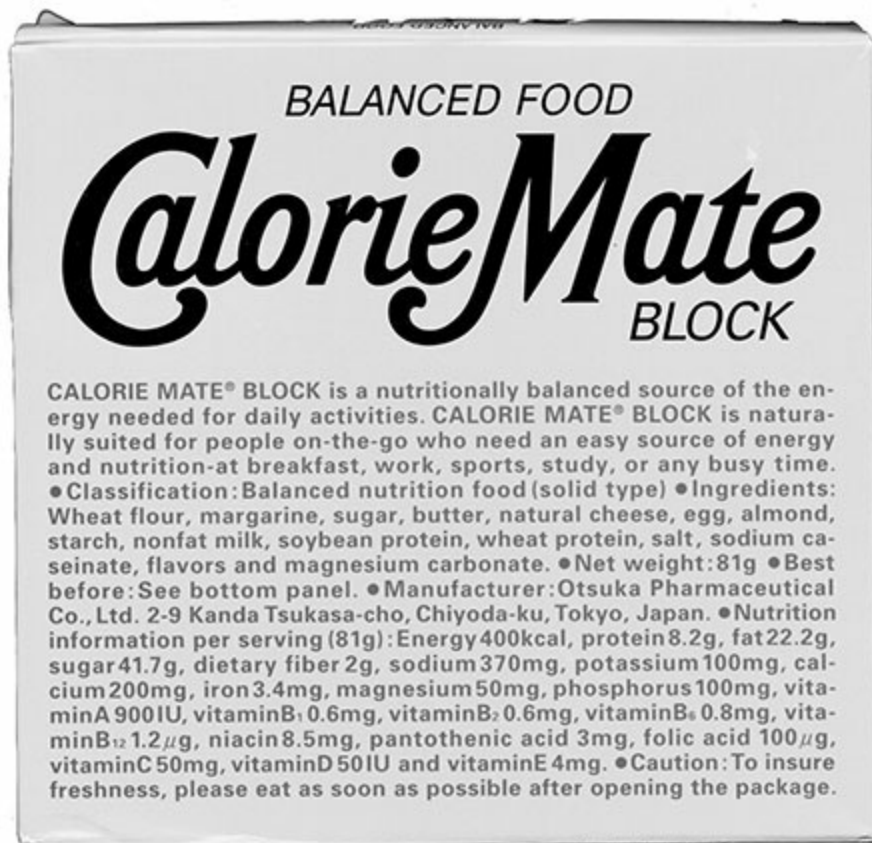
●名称：菓子、栄養調整食品（固形タイプ） ●原材料名：小麦粉、マーガリン、砂糖、バター、ナチュラルチーズ、卵、アーモンド、でん粉、脱脂粉乳、大豆タンパク、小麦タンパク、食塩、カゼインナトリウム、香料、炭酸マグネシウム ●内容量：81g ●賞味期限：箱底面に記載 ●製造者：大塚製薬株式会社 東京都千代田区神田司町2-9 ●製造所固有記号は箱底面に記載

●ご注意：高温での保存はさけ、開封後は早くお召しあがり下さい。

●お問い合わせ：03(3293)6111 消費者室へ。 ●<http://www.otsuka.co.jp/cmt>

紙

外箱



Dwa oblicza Przyjaciela Kalorii.

Mmmmm... niezłe, chociaż żywić się tym codziennie to chyba bym nie mógł. Popijam kawą w puszce, a Sean kolejnym wybrykiem językowym miejscowego producenta: napojem o nazwie Pot Pokariego. Chcę zapytać Seana, czy nie wie przypadkiem, kto to był Pokari i czy bardzo się pocił, ale nadjeżdża pociąg i wskakujemy, galopując w stronę ostatnich dwóch wolnych miejsc w wagonie.

Zbliżamy się do Ueno. Na lewo ogromny park, a w nim zoo. Na prawo sex-shopy i różne sklepiki ze wszystkim, co nielegalne. Na przykład z aparatami podsłuchowymi. Nazywam je sklepami yakuzowymi, inaczej yakuzowniami, bo raczej wiadomo, kto je prowadzi. Nigdy zresztą nie widziałem, żeby ktoś tam coś kupował, ale są. No i Ameyoko – wielki targ pod wiaduktem linii kolejowej. Sprzedawcy wykrzykują ochrypłymi głosami pochwały swoich świeżych warzyw i owoców morza. Ogólnie rzecz biorąc, miejsce wielce klimatyczne.

Odnajduję stoisko ze sztuccami i zaopatruję się w kilka par pałeczek, nową patelnię i komplet szklanek. Wszystko tutaj dużo tańsze niż na przykład w Seibu Ikebukuro.

Wracamy na stację wzdłuż parku. Co dziesięć metrów inny osobnik o fizjonomii

bliskowschodniej zaczepta nas konspiracyjnym szeptem:

– Karty telefoniczne...?

Sean daje się w końcu skusić i obejrzawszy się starannie na wszystkie strony, czy nie ma policji, kupuje dwadzieścia sztuk.

– Daj zobaczyć...

– Masz, tylko uważaj na gliny.

Karta jak karta. Rozmiaru kredytowej, ale dużo cieńsza, giętka. Z przodu obrazek, z tyłu srebrzysta powłoka magnetyczna z zakodowaną wartością. Wkłada się to do telefonu w budce i rozmawia, dopóki wartość nie spadnie do zera. Telefon wybija od czasu do czasu malutką, idealnie okrągłą dziurkę w karcie, po ilości dziurek widać, ile zostało pieniędzy. Aha: ta karta ma pasek srebrzystej taśmy samoprzylepnej pokrywającej dziurki. Spryciarze... Informację magnetyczną też pewnie jakoś modyfikują. Ciekawe, dlaczego tą działalnością paraprzestępczą zajmują się głównie Irańczycy.



Owoce morza w Ameyoko. To zdjęcie wyjaśnia, dlaczego gajdzin żywi się Przyjacielem Kalorii.

– Sean, nie boisz się tego używać?

– Trochę się boję, ale inaczej nigdy nie porozmawiałbym z rodzicami. Minuta rozmowy z Dublinem kosztuje tu dwa i pół razy więcej niż z Nowego Jorku. Nie na moje dochody. Poza tym słyszałem, że używanie zmodyfikowanych kart nie jest przestępstwem. W prawie

japońskim nigdzie ponoć nie jest napisane, że nie wolno posiadać czy używać takich kart. Autorom paragrafów po prostu nie przyszło to do głowy.

– Hmm, może masz rację. Ćwiczę kendo z jednym prawnikiem; mówił mi, że wprowadzenie w Japonii nowego prawa trwa z dziesięć lat. Z drugiej strony, ja już byłem w japońskim areszcie. Opowiadałem ci, jak wracałem z autostopu? I nie chcę się tam znaleźć po raz drugi, niezależnie od tego, czy gliny mają ku temu podstawy prawne, czy nie. Dlatego kupuję faks. Za cenę czterdziestopięciosekundowego połączenia wyślę do rodziny stronę tekstu.

Wsiadamy do pociągu. Przed nami najdłuższy odcinek dzisiejszej trasy zakupowej: dwudziestosiedmiominutowa podróż z Ueno do Shibuya, metrem, linią Ginza.

– Jak ci idzie w tej nowej pracy? – pyta Sean.

– Nie jest źle. Fajni ludzie. Jest tam taki Kenji Nihara, niesamowicie ciekawy człowiek. Po wojnie pracował w sądzie jako tłumacz angielsko-japoński. Potem założył szkołę tenisa, był też instruktorem narciarstwa. I jest masonem, mistrzem szkockiej loży Sinim w Tokio.

– Masoni? W Tokio? Straszne – wzdycha Sean.

– Tylko bez żadnych mi uprzedzeń do masonerii! Nic o nich pewnie nie wiesz, a już jesteś uprzedzony. W zeszłym roku byłem na pikniku organizowanym przez masonów, zwiedzaliśmy lożę Sinim. Przepiękne miejsce. Sam się zastanawiam, czy nie wstąpić.

Oczy Seana, syna dobrej, irlandzkiej, katolickiej rodziny, wyrażają niewysłowny horror. W końcu namawiam go, żeby dał się zaprosić kiedyś na piwo z Nihara-san i sam się przekonał, że to naprawdę bardzo mądry, a przy tym niezwykle rozrywkowy człowiek.

– Są też trzy sekretarki – przechodzę na bezpieczniejszy grunt. – Jedna ładna, a dwie takie sobie. Wszystkie trzy patrzą na mnie spode łba, kiedy rano przychodzę i podbijam kartę czasową, a na pytania odpowiadają mi półsłówkami. Nie ustaliłem jeszcze, co im we mnie nie pasuje. No i jest Dwayne Sato. Dwayne jest Japończykiem urodzonym i wychowanym w Kalifornii. Albo Kalifornijczykiem japońskiego pochodzenia. Czyli tak naprawdę gajdzin, tylko nie wygląda jak gajdzin. W południe idziemy zazwyczaj na lunch: Dwayne, Yanagida-san (bardzo fajna, opowiem ci o niej kiedy indziej) i ja. Jest śmiesznie, bo kelner zwraca się zawsze do Dwayne'a, który niestety nie mówi ani słowa po japońsku. Z tego, co wiem, jego

rodzice, chcąc mu ułatwić start w nowej ojczyźnie, przysięgli porozumiewać się w domu tylko po angielsku. No więc kelner mówi do Dwayne'a po japońsku: „Co wielce szanowny pan będzie łaskaw zamówić?”. A Dwayne do niego tym swoim zaciętym akcentem kalifornijskim: „*Relax, man*, tu obok jest miejscowa dziewczyna, ona zamówi, bo ja po waszemu nie kapuję...”. Na to kelner, znowu po japońsku: „Ja też panu bardzo dziękuję, a teraz czy można już prosić pana o zamówienie?”. W tym momencie z pomocą przychodzi panna Yanagida i zaczyna zamawiać. Kelner, słysząc nazwy potraw, zaczyna notować, ale cały czas jest zwrócony do Dwayne'a, jemu potakuje, jego prosi o potwierdzenie zamówienia albo wybór sosu do sałaty, zupełnie jakby to Dwayne składał zamówienie! Fakt, że inicjatywę może przejąć kobieta, i to najmłodsza z grupy, po prostu nie mieści mu się głowie. Szczególnie, kiedy obok siedzi starszy od niej mężczyzna wyglądający jak każdy inny Japończyk...

Na salarymańskich opowieściach podróż upływa w okamgnieniu i już oddajemy bilety na stacji Shibuya, wyjście na pieska Hachiko. Piesek jest z kamienia i napisano o nim już tyle tomów, że wszelkie wyjaśnienia są chyba zupełnie zbędne. Opowiadam natomiast Seanowi, jak zapytałem Etsuko, moją uczennicę, czy umawiała się kiedykolwiek na randkę przed Hachiko. Powiedziała, że tak, ale więcej tego nie robi, bo tam śmierdzi. Czym śmierdzi? Papierosami, bo tłum dziewcząt, czekających tam na swoich partnerów (mężczyźni spóźniać się wolno, a nawet wypada, ale nie *vice versa*), z nudów pali papierosy, a z braku koszy na śmieci rzuca niedopałki na ziemię, co skutkuje niezłym fetorem. Tego akurat nie wiedziałem, bo zmysłu powonienia nie mam, ale skoro tak mówi Etsuko, to tak musi być.



Słynny piesek Hachiko w Shibuya. Zdjęcie zrobione za dnia, w godzinach pracy, dlatego wokoło pomnika nie kłębi się tłum niewiast oczekujących na swoich panów (tak, jak czekał piesek Hachiko, ale nie doczekał).

Stoimy przed stacją. Uwielbiam to miejsce. Z centralnego placzyku ulice rozchodzą się promieniście w pięciu kierunkach, a każda kusi setkami kolorowych reklam. Największe ulice zamykane są w weekendy dla ruchu i stają się deptakami. Podniecony żądzą komercyjnych wrażeń tłum podąża w stronę niezliczonych domów handlowych, sklepów, restauracji. Shibuya to raj zakupoholika.

– Gdzie idziemy? – to Sean.

– Loft. No wiesz, rzeczy dla majsterkowiczów.

– To nie lepiej było do Tokyu Hands w Ikebukuro?

– Zamknięte. Coś przebudowują. A czekać nie chcę, bo zacina mi się okno. Chcę kupić rolkę do framugi i jakiś smar – wyjaśniam cierpliwie, chociaż już dziś rano mu wykladałem, uzasadniając, po co będziemy wysiadać w Shibuya.

Niespodziewanie obrywam – Sean zadaje mi przyjazny (co nie znaczy słaby) cios.

– Aha, bo ty się boisz, że jak będzie trzęsienie ziemi, to nie otworzysz szybko okna? Prawda? Boisz się trzęsień ziemi! Boisz się!

– No, OK, OK, masz rację – kapituluję. – Dziś rano faktycznie byłem trochę zdenerwowany, że nie mogłem szybko otworzyć. Remis: już nie będę się śmiał, że włożyłeś pod *kotatsu*. Chociaż z drugiej strony to... ha, ha, ha, HA, HA, HAAA! Co to musiał być za widok... – ocieram oczy z łez, jednocześnie robiąc sprawny unik przed kolejnym ciosem Irlandczyka.

Dochodzimy. W Loft nie ma żadnych hostess windowych, Sean jest rozczarowany. Nie wiem, co go pociąga w tych bez mózdzach spędzających dni w kącie windy i na każdym piętrze lirycznie szepczących: „Piąte piętro oto tutaj jessssst!”, „Obuwie męskie i krawaty, jeśli wasze łaskawości pozwolą...”.

Kupuję szybko części do naprawy okna.

Wjeżdżamy jeszcze na najwyższe piętro, żeby zerknąć na wystawione tam zazwyczaj ciekawostki. Tym razem oglądamy kawałki muru berlińskiego, zachowane dla potomności przez jakiegoś japońskiego geniusza marketingu i wystawione tutaj pod szklaną płytą. Ciekawe, czy to można kupić. W Japonii zazwyczaj wszystko można kupić... Postanawiam zwabić jakąś ekspedientkę i zapytać. Co prawda te panienki wyspecjalizowane są zazwyczaj w kłanianiu się klientom w pas, a nie w jakiegokolwiek wiedzy o sprzedawanych towarach, ale spróbować zawsze można. Rozglądam się za najbliższą postacią w sklepowym mundurku.

I znajduję: dwie stoją na baczność pod ścianą.

Ciekawie natomiast zaczyna być, kiedy jedna z nich puszcza się pędem w moim kierunku i piszcząc: „Marcinku, TO TY???!!!”, rzuca mi się z impetem na szyję.

Trudno powiedzieć, czyj szok jest silniejszy: załogi domu towarowego, którego

ekspedientka wyraźnie postradała zmysły i zaczęła rzucać się na szyję klientom, grupy *salarymanów* na zakupach, których do takich scen nie przygotowało dwadzieścia lat edukacji szkolnej i środowiskowej, Seana, o aniołkach padających mu w objęcia śniącego tylko czasem po szczególnie dużych dawkach guinnessa, czy wreszcie mój: mam bowiem przed sobą Edytę Nowakowską. Edytkę, z którą spędziłem cztery lata w Liceum Ogólnokształcącym imienia K. Hoffmanowej i która, ubrana w mundurek Seibu, ewidentnie jest... japońską ekspedientką. Albo śnię, albo wolę nie wiedzieć, czego dodają do Przyjaciela Kalorii.

– Co ty tu robisz?

– Co ty tu robisz?

– Przecież byłeś na uniwerku? Na japonistyce...?

– Już skończyłam! Jestem panią magister! Seibu wzięło mnie do pracy!

– Pani magister japonistyki do kłaniania się klientom? Czy ci Japończycy ogłupieli?

– Niestety, w japońskiej firmie zaczyna się od samego dołu... chociażby się miało trzy doktoraty... Ale czekaj, Marcinku, opowiedz o sobie... wiedziałam, że wyjechałeś do Japonii, ale straciłam kontakt...

W tym czasie Sean trochę się pozbierał i przestał mamrotać głupawe pytania w rodzaju: „To wy się znacie?”. Trąca mnie w ramię i syczy:

– Przedstawisz mnie w końcu?

– *Sorry*, Edytko – przechodzę na angielski – to jest mój przyjaciel, Sean. Z Irlandii. Brat gajdzin. A to Edyta, moja koleżanka z liceum.

– Wydawca czego...? – pyta Sean.

– Nie edytor, wydawca, tylko Edyta, polskie imię! Po angielsku Edith.

– Aaa, ja, tego, przepraszam – bąka Sean, a oczy ma zupełnie maślane, co jest zresztą normalną reakcją całej płci męskiej na Edytkę, która zawsze była i – jak miło widzieć – nadal jest perfekcyjnym wzorem ślicznej blondynki. Diabelnie przy tym inteligentnej.

Umawiamy się na sesję nostalgiczno-pogaduszkową w niedzielę, po czym odciągam Seana siłą, bo boję się o reputację zawodową pani magister japonistyki, która może przeze

mnie nie wyrobić swojej dziennej normy ukłonów. Robi się późno, a przed nami jeszcze Shinjuku i powrót do BicCamera w Ikebukuro po mój faks. Jednak emocje spotkania w środku dziesięciomilionowego miasta koleżanki z polskiej szkoły zrobiły swoje i muszę ochłonać. Zaciągam Seana do Bikkuri Zushi, mojej ulubionej susiarni.



Susiarnia – zawsze tu przychodzę, kiedy mnie susi.

– Wow, tanio – mówi Sean z pełnymi ustami, sięgając po kolejny talerzyk z sushi nadjeżdżający na taśmociągu. – Sto jenów za talerzyk, to nawet u nas w wiosce czegoś takiego nie ma. A to jest centrum Tokio. No, jedno z centrów.

– Właśnie dlatego nazywa się Bikkuri Zushi, czyli w przekładzie wolnym, z przeproszeniem: „O kurde, jakie tanie sushi!”. Sięgnij, Sean, po ten talerzyk z tuńczykiem, zagadałem się i mi odjechał.

W ramach celebracji niezwykłego spotkania po latach stawiam Seanowi i sobie gorącą sake, a potem jeszcze po piwie. Stos pustych talerzyków powoli rośnie, z gajdzińskich ramion spływają trudy i emocje zakupów.

– Ładna ta twoja koleżanka.

– No.

– ?

– Nawet o tym nie myśl.

Wycieram ręce w mokry ręczniczek i z zadowolonym westchnieniem rozsiadam się wygodniej.

– Zresztą, powiedziała, że ma faceta. Japończyk. Jutro go poznam. Nie zaprosiłem cię, bo będziemy mówić głównie po polsku, nic byś nie zrozumiał. No, daj spokój, w tym kraju jest według ostatnich statystyk osiemnaście milionów panien na wydaniu, czyli sześć populacji Irlandii. Nie po to tu przyjechałeś, żeby ganiać za blondynkami...

Sean woła o jeszcze jedno piwo.

– Ja, przepraszam, może rozmawiać? – zwraca się do nas nieśmiało siedzący obok młody człowiek.

– Możeć – odpowiadam wielkodusznie.

– Jakie... pan... gajdzin... lubisz... sushi?

– Z sałatką z tuńczyka. Sean?

– Z Przyjacielem Kalorii – odpowiada Sean ze śmiertelną powagą.

Młodzieniec chichocze. Gadamy jeszcze chwilę, po czym dziękuje nam za darmową lekcję angielskiego i idzie sobie. Omawia sushi (czyli rodzaj restauracji, w której talerzyki z sushi krążą na taśmociągu) to nie miejsce na pogaduszki, tutaj się wcina i wychodzi. Taki japoński *fast food*. Pod ścianami na ławkach już czekają na wolne miejsce następni goście. Trzeba się będzie zbierać.

– Masz jeszcze siłę jechać do Shinjuku?

– Jasne. Idziemy tylko do Kinokuniya, zaraz koło stacji. Chcę kupić jakąś książkę o Novellu. To takie coś do komputerów, system sieciowy, nieważne. Muszę się tego nauczyć, potrzebne mi w pracy.

– Fajnie, a ja bym wpadł do Tower Records albo Virgin poszukać CD.

Wstajemy i niesiemy nasze talerzyki do kasy. Za każdy biały płaci się sto jenów, za kolorowy więcej, ale my mamy same białe i rachunek nie jest porażający, mimo moich dosyć znacznych możliwości w dziedzinie konsumpcji sushi. Rekord życiowy: dwadzieścia cztery talerzyki, czyli czterdzieści osiem kawałków sushi. Dziś tylko dziewięć talerzyków; Przyjaciel

Kalorii spełnił chyba swoje zadanie aż nadto dobrze i nie byłem specjalnie głodny.

Shinjuku. Zakupy w Kinokuniya poszły szybko, mam moją książkę i idziemy do Virgin Megastore. Sean ma problemy ze zidentyfikowaniem płyty swojego brata, którą chce dać w prezencie jakiejś niewieście. Brat Seana to znany irlandzki piosenkarz, lider słynnej grupy The Dublin Airs.

– Sean! – wołam. – Źle szukasz, nie pod „M”!

– Jak to nie pod „M”? Chyba wiem, jak mam na nazwisko?

– Ale w Japonii płyty są ustawione alfabetycznie według IMIENIA, nie nazwiska. Jima musisz szukać pod „J”. O, popatrz: pod „M” stoi Mike Oldfield i Mary Black. „J” jest tutaj. Widzisz? Jimmy Hendrix...

– Czy ich porąbało?

– A co, nigdy nie kupowałeś tu płyt kompaktowych?

– Kupowałem, ale tylko w sklepach z używanymi. Wiesz, w Ōchanomizu, nad tym śmierdzącym kanałem.

– I tam są posortowane po europejsku, według nazwiska? Coś mi się nie chce wierzyć...

– Nie, tam w ogóle nie są posortowane. Za to o połowę tańsze. I w idealnym stanie, jak lusterka. Nie wiem, jak oni to robią, może mają jakąś maszynę do szlifowania powierzchni. A może skupują tylko płyty bez żadnej ryski.

Wracamy główną ulicą Shinjuku. Już ciemno i wszędzie migają pionowe reklamy. Przypomina mi się lekcja geografii w podstawówce, kiedy pani pokazywała nam w jakimś czasopiśmie zdjęcia z Tokio i pytała:

– Kto wie, dlaczego wszystkie reklamy są pionowe?

Nikt nie wiedział.

– Ponieważ po japońsku pisze się od góry do dołu! – oznajmiła pani z triumfem.

Uszy bym jej dziś wytargał za wmawianie młodzieży takich bzdur. Opowiadam o tym Seanowi.

– Trochę racji ta twoja pani miała...

– Eee, tam. No, może troszkę. Ale reklamy są pionowe, bo nie ma miejsca. Większość sklepów jest dużo wyższa niż szersza, w pionie mieści się daleko większa reklama. Patrz, o tam: sklep jest szeroki, to i reklama poziomo.

– Pionowo też, widzisz?

– Bo oni się chwalą, że cały budynek jest ich, a nie tylko parter. Mówię ci, to nie ma nic wspólnego z pismem. A w ogóle to według mnie Japończycy tak się przyzwyczajają do pisania od lewej do prawej, że pewnego dnia zaczną drukować książki i gazety po naszemu. Skończy się czytanie czasopism od góry do dołu i od końca do tyłu, mówię ci.

Dochodzimy do stacji. Na peronie tłum, każdy ma w ręku jakąś torbę z logo domu towarowego. Dużo młodych par, wydobywają z toreb najnowsze nabytki i oglądają, czytają metki.



Raj zakupoholika. Przy okazji widać, dlaczego reklamy wiszą w Japonii pionowo: po prostu w inną stronę by się nie zmieściły albo nie byłyby z dala widoczne.

Grupa uczniów w szkolnych mundurach nabożnie pochyla się nad katalogiem najnowszych gier komputerowych. Zakupowa mania. My, gajdzini, mamy bardziej wysublimowane potrzeby w zakresie rozrywki. No, ale co w takim Shinjuku można robić w sobotni wieczór? Jeść, pić albo iść na zakupy, ot co. Ewentualnie do kina. A po kinie – jeszcze więcej zakupów. I koniec dnia w knajpie. Co nie jest zresztą najgorszym pomysłem...

– Sean?

– No?

- Dawno nie byliśmy w Ekocie...
- Ciekawe, właśnie o tym samym myślałem...
- Kupię ten mój faks w Ikebukuro...
- I do Ekoty?
- Do Ekoty!

Rozdział 6



サラリマン物語。

Salaryman monogatari.

Monogatari to gatunek literacki podobny do naszej powieści epickiej.

Pracoholizm Stosowany

07.56

Wymarsz. A właściwie wybieg, bo jestem już prawie spóźniony. Pojadę na stację rowerem, to nadrobię pięć minut.

08.17

Nic nie nadrobiłem, bo zapomniałem wziąć z domu kłódkę i musiałem wracać. Gdybym zostawił nieprzypięty rower na parkingu przed stacją, mógłbym go już więcej nie zobaczyć. Japończycy to najuczciwszy naród na świecie, więc kradną tylko rowery i parasole, a i to z winy gajdzinów (dlaczego, nie wiem, ale tak przeczytałem w japońskiej gazecie).

08.21

Jestem skompresowany na płasko w wagonie linii Seibu do Ikebukuro. W porównaniu z tym pociągiem sardynki w puszce mają luz. W sumie jest nawet wygodnie, bo nie trzeba się niczego chwycić, ścisk ciał utrzymuje pasażera w idealnym pionie. Gorzej z pisaniem. Wczoraj postanowiłem wykorzystać twórczo chociaż część tych dziesięciu godzin, jakie tracę przez tydzień na dojazdy. Mam więc pisać w pociągu „Dziennik młodego salarymana”. Niestety, w takim ścisku trudno wyciągnąć notes z kieszeni, nie mówiąc o napisaniu czegokolwiek. Ale próbuję.

08.23

Zaletą gajdziństwa jest wystawianie ponad tłum. Nad głowami pasażerów mogę sobie obserwować widoki z okna wagonu, bo Seibu to linia nadziemna. Patrzę na morze blachy falistej, las anten telewizyjnych, zagajniki mikroskopijnych balkonów i tarasów zawalonych jakimiś gratami i metalowymi kuframi *mono-oki*, labirynt żelaznych schodków i galeryjek, a wszystko to upstrzone szarymi skrzynkami klimatyzatorów. Stopień upakowania elementów tej mozaiki poraża zmysły.



Krajobraz z okna pociągu – Tokio spętane pajęczyną kabli.

08.27

Przesiadka w Ikebukuro do podziemnej linii Yūrakuchō. Będę atakował z rozpędu, tutaj nie ma wpychacza wagonowego. A nawet gdyby był, to i tak nie śmiałby zaatakować gajdzińskiego tyłka – na mój widok zawsze chrząkają zaambarasowani i idą z furią dopychać jakąś Bogu ducha winną uczennicę.

08.35

Nie do wiary: złapałem wolne miejsce w Higashi Ikebukuro i mogę porządnie popracować nad dziennikiem. Zadanie utrudnia *salaryman* po lewej, który co chwila zasypia z głową wygodnie opadłą na moje ramię. Kiedy go brutalnie budzę, bo nie lubię mieć rękawa wysmarowanego brylantyną, mruczy coś przepraszająco, po czym znowu zaczyna przysypiać, z każdym kiwnięciem zbliżając się do mojej marynarki. Po prawej drugi *salaryman*, ten z kolei czyta komiks pornograficzny (sic!), zupełnie nie krępując się obecnością siedzącej obok uczennicy i dwóch stojących przed nim *office ladies*.

08.47

Dużo nie napisałem. Przede mną starsza pani ubrana w kimono walczy o zachowanie pozycji pionowej, więc ustępuję jej miejsca, czego oczywiście nikt inny w tym wagonie nie robi. Ustępowanie miejsc to specyficzny wymysł gajdziński, narodowi japońskiemu koncepcyjnie obcy.

08.49

Przesiadka w Ōtemachi. Podziemnym korytarzem między peronami cwałuje zwarta tłuszcza spoconych *salarymanów* w nadziei przybycia do pracy na czas, a w każdym razie przed szefem. Kupuję w międzyperonowym kiosku Przyjaciela Kalorii i puszkę gorącej kawy; w domu nie zdążyłem zjeść śniadania.

W pociągach robi się luźniej, bo kwiat tokijskiego salarymaństwa jest już za swoimi biurkami, pragnąc wyrzucić pozytywne wrażenie na kolegach. Luźniej to nie znaczy, że można usiąść, ale jest szansa na nadgonienie dziennika.

08.58

Wysiadam w Hanzomon i biegnę w stronę Sanbanchō. Jest tu sporo biurowców, trochę apartamentów bogatych ludzi, kilka ambasad i dużo agencji rządowych. Jesteśmy w końcu o pół rzutu beretem od pałacu cesarskiego i ministerstw.



Relaksująca atmosfera japońskiego biura. Widać niskie półki (żeby nikogo nie pogrzebały w czasie trzęsienia ziemi) i segregatory na każdym wolnym kawałku powierzchni.

09.07

Podbijam kartę czasową. Następnym razem nie będę się przesiadał w Ōtemachi w linię Hanzomon, tylko pojedę do Ichigaya i stamtąd piechotą. Będzie trochę więcej marszu, ale dotrę do biura całe dwie minuty wcześniej.

Przechodzę przez pokój japoński, gdzie jest już czarno od dymu – większość mężczyzn pali. Za nim pokój międzynarodowy, gdzie pracuje mój zespół. Tutaj palenie jest zabronione przez

względ na delikatne, gajdzińskie płuca. Gajdzinów jest właściwie tylko trzech: Mike (dziś na urlopie), Dwayne (Kalifornijczyk) i ja (nadworny informatyk); stanowimy dziesięć procent załogi. Ale przez wzgląd na nas i naturę pracy w pokoju międzynarodowym mówi się głównie po angielsku. Yanagida-san wita mnie zza swojego biurka, Sakae i obaj tłumacze też. Jeden z nich czyta poranną gazetę, a drugi pije zieloną herbatę. Czyli praca wre.

09.12

Mój komputer startuje, a ja nadganiam notatki w dzienniku.

09.15

Nie skończyłem jeszcze czytać logów transakcji z ostatniej nocy, kiedy przychodzi Kenji Nihara. Jak zwykle rano wygląda na zmęczonego życiem – mieszka daleko, prawie dwie godziny pociągami. A lat ma co najmniej dwa razy tyle co ja.

– *Otsukaresama!* – woła Kenji (czyli „Moje wyrazy sympatii i współczucia z powodu waszego zmęczenia”. Wyrażenie zarezerwowane zazwyczaj na PO pracy...).

Tłumacze stękaniem wyrażają solidarność: jest dziewiąta piętnaście, więc wszyscy są zmęczeni. Na szczęście gazeta i zielona herbata pomagają się kapkę zrelaksować.

9.27

Wpada szef z rozwianym włosiem (nie żeby go miał za wiele). Wszyscy mu się kłaniają, nawet tłumacz numer jeden odkłada gazetę. Szef opada na krzesło i zaczyna:

– O jedenastej zaszczyci nas wizytą ważny urzędnik z Ministerstwa Skarbu. Jak wiecie, naszą firmą zainteresowały się wielce szanowne agencje rządowe. Proszę wszystkich o godne przyjęcie gościa i ofiarowanie mu wszelkiej możliwej pomocy.

Przemowa ta zawiera więcej niedopowiedzeń niż rzeczywistych wskazówek, co mamy robić, więc czekam, aż szef pobiegnie rozmawiać ze swoim odpowiednikiem w pokoju japońskim, i pytam Kenjiego:

– Co jest grane?

– Chyba się komuś nie spodobało to, co szef powiedział w wywiadzie dla „Japan Times”. Kontrola skarbową może być mało przyjemna. Ale da się przeżyć... musimy się tylko dobrze przygotować. Księgowa: rachunkowość. Szef: sprawozdania. A my zrobimy porządek.

– O nie, tylko nie to – jęczę i wycofuję się na z góry upatrzone pozycje.

W japońskim biurze nie ma półek i szaf, bo to niebezpieczne, kiedy nadejdzie mocniejsze

trzęsienie ziemi. Dlatego wszędzie zalegają stosy papierów i teczek, na moim biurku przelewają się hałdy raportów, a piramida tekturowych pudeł za biurkiem Dwayne'a zaprzecza co najmniej trzem prawom fizyki. Jak my to sprzątniemy do jedenastej? Sytuacja jest z gatunku „wszystkie ręce na pokład”. A planowałem sobie spokojnie pisać nowe skrypty.



Ciężka praca w pokoju gajdzińskim.

09.31

Przychodzi wreszcie Dwayne. Ma szczęście, że szef zabiegany. Zapędzamy go do roboty przy rozładowywaniu piramidy pudeł.

09.50

Yanagida dostaje ataku hysterii, bo pod pudłami był zdechły szczur i dwa karaluchy.

09.58

Pandemonium.

10.01

Kenji jak zwykle ratuje sytuację. Znalazł w książce telefonicznej firmę zajmującą się przygotowywaniem biur do audytów. Przygotowywanie polega na wywiezieniu ciężarówką wszystkich stosów papierów na okres jednego dnia, po czym zwróceniu ich następnego. Tak się w Japonii zalicza audyty utrzymujące systemy jakościowe ISO9000 i temu podobne. Kenji zamówił taką usługę i do pokoju właśnie wkracza dwóch mocno umięśnionych gości w niebieskich ubraniach roboczych. Owijają folią do pakowania wszystkie wskazane im stosy

dokumentów i znoszą na dół. Oby zdążyli, zanim przyjdzie kontroler.

10.15

Udało się. Yanagida robi nam herbatę triumfalną.

10.30

Przerwa na odpoczynek po herbacie.

10.57

Wielkie zamieszanie – przyszedł inspektor. Otoczony wianuszkami najładniejszych dziewcząt z obu pokoi, japońskiego i międzynarodowego, udaje się do uprzątniętego w tym celu biurka szefa. Będzie teraz przeglądał księgi rachunkowe. Facet jest tak na oko po sześćdziesiątce. Cały czas marszczy brwi, ale mówi niewiele. Nie wiem, dlaczego wyobrażałem sobie, że będzie na wszystkich bezustannie krzyczał.

11.50

Szef pozwala wyjść mężczyznom na lunch, bo inspektor ma przez parę godzin czytać raporty i nie jesteśmy do niczego potrzebni. Kobiety muszą zostać; może inspektor będzie chciał więcej zielonej herbaty albo żeby mu strzepnąć pyłek z garnituru. Przypinamy więc swoje pagery i idziemy: Kenji, Dwayne, Taro (młody chłopak, jest u nas od niedawna) i ja.

12.07

Kenji odkrył nową knajpę, gdzieś między Nibanchō a Yotsuya. Mają tutaj tylko jedno danie: curry z ryżem (po japońsku to *kare raisu*). Doskonała sprawa. Uwielbiam japońskie curry. W ogóle niepodobne kolorem ani smakiem do tradycyjnego, indyjskiego, ale według mnie sto razy lepsze. Zamawiamy. Proces zamawiania mocno upraszcza fakt, że wybór dań ograniczony jest do jednego. Razem z curry kelner przynosi wielką tacę, we wgłębieniach której tkwi kilkanaście miseczek z różnymi piklami. Coś wspaniałego, od dziś nie chodzę nigdzie indziej na lunch.

Kończymy pałaszować ogromne porcje i Kenji zagaja:

- A w ogóle wiecie, gdzie was przyprowadziłem?
- Chyba nie do restauracji serwującej curry, curry i, dla odmiany, curry...?
- To tylko w porze obiadowej. Popatrz pod stół.

Stoły, faktycznie, jakiegoś dziwnego kształtu. Unoszę brzeg plastikowego obrusu: to automatyczny stół do *majonga*! Powierzchnia stołu do tej tradycyjnej gry dominopodobnej

przykryta jest drewnianym blatem, dopiero na tym ceratowy obrus. Bezsenne noce spędzane przed telewizorem nauczyły mnie, że *majong* to nieodłączny składnik filmów gangsterskich (to znaczy yakuzowych), tak jak poker był standardem w chicagowskich spelunach z czasów Ala Capone.

– Salon *majonga*! Nielegalny hazard! Ale czad!

– Nie taki nielegalny. To znaczy, legalnie nielegalny, a nie nielegalnie nielegalny.

– Aaa, jak *pachinko*?

– Jak *pachinko*.

Dwayne wygląda na mocno skonfundowanego, więc Kenji śpieszy z pomocą:

– *Pachinko* znasz?

– Jasne. Tutejszy odpowiednik jednorękiego bandyty, tak? Kulka spada, odbijając się od gwoździ, i jak wpadnie w dziurkę, to dostajesz pieniądze.

– Właśnie w tym rzecz, że nie pieniądze, bo to byłby hazard! Hazard jest w Japonii nielegalny. W *pachinko* możesz wygrać tylko żetony, które wymieniasz na jakieś głupie prezenty – czekoladę, coś takiego. Więc jest legalnie. Tylko że zaraz obok salonu gier jest sklepik, w którym wymieniasz tę czekoladę na gotówkę. Co samo w sobie też jest legalne, ale całość, czyli współpraca salonu z tym sklepikiem, jest już trochę mniej legalna; tylko spróbuj im udowodnić tę współpracę, nie mówiąc o współwłasności... Stąd tak zwany legalnie nielegalny hazard.

Kenji jest z wykształcenia prawnikiem. Dużo się od niego nauczyłem o Japonii i dlaczego pewne rzeczy są takie, jakie są. Dziś Kenji opowiada nam historię o sprawie żołnierza amerykańskiego z bazy Yokosuka. Żołnierz przypadkiem postrzelił cywila, a Kenji był tłumaczem sądowym na rozprawie. Mówi o ogromnej frustracji tłumacza, który nieraz chciałby zwrócić uwagę na jakiś fakt, coś, czego sędzia ewidentnie nie zauważył czy źle zrozumiał, ale mu nie wolno. Tłumacz ma wiernie przekładać każde zdanie; gdyby dodał coś od siebie, wyrzucono by go z pracy.

Najciekawsza jest relacja rozmowy żołnierza z jego japońskim obrońcą. Adwokat przekonuje, że oskarżony, w swoim najlepiej pojętym interesie, MUSI przyznać się do winy. Wina jest przecież ewidentna: postrzelił człowieka. Japoński sąd baaardzo nie lubi oskarżonych, którzy zamiast być pokorni i potulni, próbują być hardzi i zadziorni. Najskuteczniejszą strategią oskarżonego jest więc posypywanie głowy popiołem, kłanianie się w pas, stokrotne

przepraszanie, po czym kłanianie się jeszcze niżej.

Niestety, żołnierz twierdzi, że za nic w świecie nie przyzna się do winy: cywil nie powinien był się znaleźć na poligonie w czasie ćwiczeń; zdarzył się po prostu zwyczajny wypadek. Problem nie jest prawny, ale kulturowy.

W Ameryce powiedzenie „tak, jestem winny” to koniec dla oskarżonego. W Japonii jest dokładnie na odwrót.

12.42

Piszczący mój pager. Szef chce nowych raportów dla pana inspektora. Będę musiał napisać kilka kwerend.

Pozostali solidarnie przerywają rozmowy postlunchowe i gromadą wracamy do biura. Po drodze Taro pyta, co tak pilnie notowałem w czasie lunchu. Pokazuję mój „Dziennik młodego salarymana”.

– To nie po angielsku? Co to za dziwne litery?

– Po polsku. A to polskie „ą”.

– Jak po rosyjsku?

Wzdycham. Czego ich uczą w tych szkołach? Robię Taro mały wykład z alfabetów świata. Wydaje grzeczne odgłosy wielkiego zainteresowania, ale jestem dziwnie spokojny, że jutro nie będzie nic pamiętał. Detaliczna wiedza o ogonkach i pałeczkach jest, w jego rozumieniu, dla ekspertów od egzotycznych skryptów, a nie dla uczciwego *salarymana*. W końcu pyta:

– No to co tutaj jest napisane?

– Moje sprawozdanie dla UOP. To takie polskie KGB.

Taro się śmieje, ale patrzy na mnie z boku i wyraźnie zastanawia się, czy to na pewno żart... Pracujemy w końcu nad japońskimi przetargami rządowymi. Z drugiej strony trudno o coś mniej poufnego niż przetargi rządowe – ich istotą jest właśnie konieczność zadeklarowania całemu światu, że rząd japoński potrzebuje kupić sto tysięcy litrów farby. Do tego zobowiązuje ich GATT. Nie wszyscy natomiast wiedzą, jak sprytnie omija się te zobowiązania, klasyfikując farbę jako „wodoodporny środek do konserwacji słupów wysokiego napięcia”. Takiej kategorii w liście towarów objętych GATT nie ma, więc przetarg nie musi być publiczny i otwarty. W efekcie farbę można kupić od jakiegoś Bolka-san, który jest siostrzeńcem Zenka-san, który pracuje w gabinecie wiceministra do spraw transportu...

O tym właśnie wspomniał szef w wywiadzie dla „Japan Times”. Oczywiście, nie tak

bezpośrednio, ale żaden sensacyjny dziennikarz odpowiednio sprawę wyolbrzymił. Szef poza tym myślał, że skoro gazeta jest gajdzińska, to może mówić swobodniej. Niestety, agencje rządowe czytają również „Japan Times”. Rezultat: wizyta jego wysokości inspektora finansowego. Rezultat rezultatu: człowiek nie może spokojnie dokończyć lunchu. Ach, pieski *los salarymana*.

12.51

Podbijam kartę. Pytałem kiedyś szefa, po co, skoro i tak nie płaci mi nadgodzin. Okazuje się, że to jest wymóg prawny. Jeśli zmarłbym kiedyś na *karōshi* [czyt. karoosi], czyli śmierć z przepracowania, to żona (gdybym ją miał) mogłaby zaskarżyć firmę, a sąd położyłby natychmiast rękę na moich kartach z rejestracją czasu pracy. Czyli japońskie prawo opiekuje się biednym, zapracowanym na śmierć *salarymanem*, ale że tak powiem, *post factum*...

14.00

Szef przychodzi po raporty. Na jego łysawej czaszce świecą krople potu – bardzo przeżywa ten nalot kontroli skarbowej.

14.11

Ledwie zacząłem uzupełniać dziennik, a szef żąda dalszych raportów dla kontrolera. Nie dadzą człowiekowi spokojnie popracować, kurczę blade, nie dadzą!

15.25

Już po wszystkim, przynajmniej na dzisiaj. Wielce szanowny urzędnik obejrzał stos raportów, wypił wiadro zielonej herbaty i wypalił chyba całą paczkę mild sevenów (dziewczyny prześcigały się w służeniu mu zapalniczką). Palenie w pokoju międzynarodowym jest zabronione dekretem szefa, ale trudno przecież czegoś zakazywać przewielebnemu panu naszego korporacyjnego życia i śmierci.

15.30

Otworzyliśmy okna, żeby wywietrzyć po kontrolerze. Z ulicy dobiega nawoływanie sprzedawcy-domokrążcy: – *Yakiiiiimo... Oishi yakiiiiimo... Zbiegam na dół. Zza rogu malutkiej uliczki, na której stoi kilka starych domów jednorodzinnych (w samym centrum Sanbanchō, wśród wieżowców!), ukazuje się znajomy dziadek, sprzedawca patatów i przyjaciel świata, klekocząc po chodniku drewnianymi chodakami. Przed nim wózek z yaki-imo, czyli prażonymi patatami. Dziarskie nawoływanie handlarza jest odtwarzane z*

przenośnego magnetofonu kasetowego przykręconego drutem do dachu wózka. W ten sposób technologia oszczędza struny głosowe na stare lata.

– Aaa, Marcin-san!

Jestem ulubionym klientem dziadka od yaki-imo. Niestety. Niestety, bo pataty tuczq.

– Dziś duże zamówienie! Postanowiłem zafundować po jednym patacie koleżankom z biura.

– Świetny, znakomity pomysł! Marcin-san ma dobre serce, tak? A może tylko koleżanki bardzo ładne...?

Dziadek rechocze, a ja z nim.

Wybieram dziesięć dorodnych patatów prażących się na brązowych kamyczkach. Będzie dla wszystkich, nawet dla dziewczyn, tych, co mnie nie lubią. Ale dziś mi ich żal, bo przez kontrolera nie mogły iść na lunch.

– Jak interesy?

– Kieeepsko – odpowiada dziadek. – Coraz mniej chętnych na moje pataty. Wszyscy teraz jedzą w barach szybkiej obsługi. – Japońskie fasto fudo.

– Ale przecież pan jest milionerem... – to moja standardowa metoda przyjaznego drażnienia dziadka.

– Jakim milionerem? Marcin-san raczy wygadywać bzdury...

– No, a ile kosztuje ta ziemia? – pytam, wskazując na stary, drewniany dom na sąsiedniej uliczce, jeden z przeżytków poprzedniej epoki przytulonych do nowoczesnych biurowców na głównej ulicy Sanbanchō (głównej, ale bez nazwy). Dziadek od yaki-imo jest właścicielem tego domu. Czyli milionerem według standardów światowych. Tylko o tym nie wie. Odziedziczył dom po ojcu w czasach, kiedy Sanbanchō było pewnie wsią rybacką. To, że mógłby sprzedać tę chałupkę i kupić za to willę na Florydzie, co mu kiedyś próbowałem zasugerować, jest dla niego równie abstrakcyjne jak przenosiny na Marsa.

– Wie pan, czytałem, że najdroższa ziemia na świecie jest właśnie tutaj: Tokio, Sanbanchō.

– Oj, tak, bardzo drogo! Nie wiem ile, ale baaardzo drogo! Tak drogo zrobiło się w Japonii... dlatego właśnie jestem biedny!

Żelaznej logiki dziadka nie złamię byle gajdzin. Postanawiam zjeść jednego patata na

miejscu, więc siadam na murku otaczającym malutki parking dla czterech samochodów. Jeden z nich należy do szefa, który płaci za miejsce postojowe pod gołym niebem dwanaście manów miesięcznie, czyli około tysiąca dolarów. Zwariowany kraj.

Do dziadka podchodzą dwie znane mi z widzenia (a jest na co popatrzeć) młode kobiety, mieszkające w sąsiadującym z naszym biurem luksusowym mansionie. Pozdrawiają mnie przyjaźnie. Ja też, ale nie za bardzo, bo nie chcę zadrzeć z jednym czy drugim wiceministrem; to oni płacą za te ich mieszkania... Panie kupują pataty zawinięte w papier i chowają do toreb na zakupy.

Dziadek rusza w dalszą drogę. Z głośnika na dachu wózka żegna mnie smętne, lekko ochryple, ale śpiewne:

– Yakiiiiimo... Oishi yakiiiiimo.....

Salaryman blues.



Ten ulicokrażca sprzedaje prażone kasztany jadalne. Wózek dziadka od yaki-imo był dwa razy mniejszy i niezmotoryzowany; dla dziadka taka mikrociężarówka była niedościgłym luksusem.

15.56

Wkraczam do biura i częstuję dziewczyny patatami. Patrzą na mnie trzy pary osłupiałych, skośnych oczu, po czym zaczyna się chichot. Śmiech narasta na sile, pada parę słów zza zakrytych dłońmi ust, śmieją się też mężczyźni.

– Co jest grane? Czy zrobiłem coś nie tak...?!

W końcu Kenji lituje się nade mną, odciąga na bok i tłumaczy:

– Pataty powodują... no wiesz... pewne sensacje...

– Kenji ma na myśli, że po tym puszcza się bąki – wyjaśnia z kalifornijską bezpośredniością Dwayne.

– Że co? To chyba tylko u zarozumiałych sekretarek! Nikt nie docenia mojego dobrego serca...

Jedna z dziewczyn bierze jednak patata i dziękuje mi. Czyżby pierwsze lody zostały przełamane? Po roku wspólnej pracy, ale lepiej późno niż wcale.

16.25

Zebranie zespołu. Szef opowiada o wynikach kontroli. Wygląda na to, że wszystko w porządku, przynajmniej na razie. Potem kolej na mój raport. Proponuję (a przygotowywałem się do tego od dwóch tygodni) usprawnienie racjonalizatorskie: wyposażenie tłumaczy i dwóch sekretarek w komputery. To ostatnia czwórka pracowników w pokoju międzynarodowym, która nie ma pecetów.

Następuje półgodzinna dyskusja. Szef jest zdania, że posiadając sześć komputerów na trzydziestu pracowników, jesteśmy liderami komputeryzacji w Japonii. Pewnie ma rację, co nie zmienia faktu, że próbuję bronić mojej koncepcji.

17.19

Szef prosi Hasegawa-san, najstarszego stażem (i wiekiem) pracownika firmy, o wyrażenie swojej opinii. Jęczę w duchu, bo to oznacza, że nie skończymy przed 19.00.

17.52

Wystąpienie – dziw nad dziwy – zajęło tylko pół godziny, co dla Hasegawa-san jest rekordem zwięzłości. W swojej przemowie przedstawił historię naszej firmy oraz tezę, co to jest, w jego rozumieniu, komputer. Wszyscy pomrukami uznania i szacunku dziękują Hasegawa-san za podzielenie się z nami jego mądrością.

Dwayne był dziś nadzwyczajnie cierpliwy i wiem już dlaczego: pod pozorem robienia notatek ze spotkania gra na swoim laptopie w sapera. Pomysł znakomity, do wykorzystania przy uzupełnianiu mojego dziennika. Pytanie tylko, czy szef się nie kapnie. Szef to tradycjonalista (stąd wielogodzinne narady), ale głupi, niestety, nie jest.

18.13

Kończymy. To było krótkie spotkanie, Bogu dzięki: poniżej dwóch godzin. Jego konkluzją jest brak konkluzji, ponieważ decyzji o komputerach dla tłumaczy nie podjęto. Uważam

to za kretynizm, żeby tłumacze pisali odręcznie, a dwie dziewczyny musiały przepisywać ten tekst na komputerze. Jestem wkurzony.

Przychodzi Kenji, żeby mnie „od-kurzyć”.

– Marcin, tłumacze nie są tacy młodzi. Boją się komputera.

– Przecież nie są chyba starsi od ciebie, a piszesz w japońskim Wordzie, aż furkocze...

– Tak, ale wielu Japończyków nie rozumie zasady pisania na klawiaturze. To dla nich za bardzo nieinstynktowne.

Zamyślam się. Ten kraj potrzebuje komputerów rozumiejących ludzki głos. Faktycznie, jeśli ktoś całe życie kojarzył znak chiński przede wszystkim ze znaczeniem, obrazem, a nie jego wymową, to konieczność wpisywania z klawiatury właśnie wymowy może być antyinstynktowna. Do tego komputer po wpisaniu wymowy znaku musi zgadnąć, o który z dziesięciu różnych znaków posiadających taką właśnie wymowę chodzi autorowi. Więc zgaduje, ale nie zawsze trafnie, i wtedy trzeba go poprawić. Jeśli ja miałbym tak pracować, to też pewnie znienawidziłbym komputery.

18.15

Przerwa na herbatę i odpoczynek po spotkaniu.

18.40 Pora brać się poważnie do roboty. Wbrew pozorom absolutnie nic dzisiaj nie zrobiłem, nie licząc raportu, którego inspektor i tak nie przeczytał. Obaj tłumacze też ruszają do pracy, bo dziewczyny skończyły przetwarzać dane, Dwayne je zatwierdził, można zacząć przekład na japoński.

19.25

Zdaję raporty szefowi. Szef chwali mnie i dziękuje. Chyba mu się podobają.

19.29

Przychodzi Kenji z wiadomością, że moje raporty szefowi się nie podobają.

Wyjaśnia, co trzeba zmienić. Idę poprawiać.

Czy szef nie mógł, kurczę blade, w pysk, sam mi tego powiedzieć?

Nie, nie mógł. To jest Japonia...

19.42

Zdaję szefowi poprawione raporty. Jestem wkurzony, więc pytam złośliwie:

– A tak w ogóle to do czego jest ten raport?

– Dany raport jest... eee... – ...do niczego? – podsuwam usłużnie.
– Tak! Bardzo dobrze – chwali mnie szef. – Ale musimy go robić, bo tak trzeba. Tak trzeba... żeby było, eeee... prawidłowo. Znaczy... taka jest zasada. – Japońskie rǫlu.
– Aha! Wszystko jasne! Słynne rǫlu! Że też sam na to nie wpadłem...
Szef biegnie schować się w pokoju japońskim, żebym nie zdążył go zapytać, czy
ktokolwiek kiedykolwiek w ogóle ten raport przeczyta.

20.00

Szef wygląda, jakby się zbierał do domu. Wszyscy ukradkiem spoglądają zza swoich
biurek, bo ewakuacja szefa oznacza exodus załogi.

20.03

Nie ma tak dobrze: Yanagida-san donosi, że szef zaplanował dzisiaj dla nas picie po
pracy. Chce nam podziękować za naszą ofiarność i oddanie w sytuacji kryzysowej pt.
Wizyta Inspektora. Biedny Kenji – znowu dotrze do domu w godzinach porannych.

20.12

Szef przychodzi zapytać, gdzie dziś będziemy imprezować. W ramach innowacji
proponuję mały i chyba bardzo elegancki sushi-bar mieszczący się w podziemiach
naszego budynku. Wchodzi się tam po schodkach z ulicy, zaraz koło wejścia do klatki
schodowej. Front ma bardzo piękne, tradycyjne, drewniane drzwi przesuwne. Czuć klasę.
Zawsze chciałem tam iść, ale oczywiście nie wtedy, kiedy ja musiałbym płacić...

Szef mówi:

– Tak! Znakomity pomysł. Dziękuję, Marcin-san. ... po czym każe pannie Yanagida
zadzwoić i zgłosić naszą obecność w dużym pubie w Kōjimachi, gdzie piliśmy już chyba
dziesięć razy.

– To po co pyta, a potem sam wybiera? – szepczę do Dwayne'a.

– Bo chciałeś iść do tej restauracji na dole, a tam, he, he... jest yakuzownia...

– Zmyślasz!

– Nie, naprawdę, tam politycy spotykają się z szefami mafii na różnych tajnych
naradach. Chodź, pokażę ci!

Godzina już późna i pracować się nie chce. Tłumacze jeszcze nie skończyli, więc tak od
razu nie wyjdziemy. Yanagida znikła w łazience zrobić się na bóstwo do pubu, a to też

potrwa. A niech tam, przejdę się.

Zbiegamy po schodach. Przed sąsiadującym z naszym biurowcem luksusowym mansionem stoją dwie czarne limuzyny rządowe. Jeden kierowca odkurza właśnie karoserię długą szczotą ze strusich piór, drugi siedzi w środku i umiera z nudów.

– No i co? – szepce konspiracyjnie Dwayne.

– Skąd, to nie żadne tajne spotkanie na szczycie, nie widzisz, gdzie oni stoją? Przed sąsiednim mansionem, tym z utrzymankami.

– Myślisz, że panowie politycy spędzają wieczór u swoich kochanek?

– Nawet nie myślę. Kiedy rano idę do naszego sklepiku na rogu kupić drugie śniadanie, to te dziewczyny właśnie wychodzą na zakupy, mówimy sobie dzień dobry, nieraz zamieniamy parę słów. Politycy płacą im za mieszkania i odwiedzają wieczorem kilka razy w tygodniu. Normalka. Słyszałem, że żona jakiegoś polityka z Ministerstwa Spraw Zagranicznych chciała się z nim rozwieść, bo nie miał utrzymanki, a to oznaka niskiego statusu społecznego i kiepsko rozwijającej się kariery politycznej!

– Niesamowite... – szepce Dwayne sensacjonalista. – Dla mnie niesamowite jest tylko to, że kierowcy czekają godzinami, a trzylitrowe silniki limuzyn cały czas są na chodzie, żeby mieli miły chłodek w lecie, a ciepło w zimie. Więc ciekaw jestem, ile to kosztuje podatników, takich jak ty i ja?! O truci środowiska w ogóle nie chcę wspominać...

Dwayne niezbyt się przejmuje niedolą środowiska. Podatników również, chociaż sam musi płacić podatek dochodowy podwójnie: japoński (tak jak ja) plus amerykański, bo USA nie ma z Japonią umowy o uniknięciu podwójnego opodatkowania (a Polska ma). Opowiada natomiast, że widział gigantyczną, białą limuzynę z czarnymi oknami i złotymi zdobieniami, która zatrzymała się pod naszym biurowcem, a do ekskluzywnego sushi-baru na dole zeszło dwóch gentlemanów: jeden w garniturze, drugi w tradycyjnym, męskim kimonie.

– Czy kierowca miał może fizjonomię goryla i frezowane włosy?

– Nie zauważyłem... Dlaczego pytasz?

– A nic, przypomniało mi się pewne wydarzenie z wakacji, na autostopie rok temu. Nieważne. Opowiadaj dalej.

Dwayne kontynuuje:

– Chwilę później pod restaurację zajechało parę limuzyn rządowych, właśnie takich,

jakie teraz czekają pod tą oazą utrzymanek. Wsiadło dwóch polityków i zeszło do tej samej restauracji. Przypadek? Zdecyduj sam...

Jestem trochę sceptyczny, ale w restauracji na dole jest ciemno, ewidentnie zamknięta. O ósmej wieczorem?

Jaka restauracja zamyka się o takiej porze...? Przecież by zbankrutowali, gdyby to był normalny biznes. Ciekawa sprawa.

20.37

Yanagida skończyła robić się na bóstwo. Dziewczyny w mniejszym stopniu, ale też. Tłumacze po dobrze przepracowanym dniu (jeśli sukces mierzymy w litrach zielonej herbaty) robią porządek na swoich stołach, co nie jest trudne po dzisiejszym odgraceniu biura z przemysłowych ilości papierów.

20.42

Podbijamy swoje karty i robimy wymarsz.

20.59

Docieramy do pubu. Wszyscy nas otsukaresamują. My ich też.

21.04

Gorący ręczniczek do wytarcia znużonego lica i pierwszy łyk zimnego piwa to najpiękniejszy aspekt pracy w kraju wschodzącego jena.

21.20

– Co tak Marcin-san pilnie notuje? – dopytuje się Hasegawa-san.

– Piszę pamiętnik. Nie, właściwie dziennik. „Dziennik młodego salarymana”. Opisuję życie w typowym japońskim biurze...

– Typowym? Jakim tam typowym! – wtrąca się Dwayne.

– A co, bardzo różnimy się od większości japońskich firm?

Wszyscy patrzą z wyczekiwaniem na naszą wyrocznię mądrości salarymańskich, Kenji-san.

– Dwayne ma rację, tacy bardzo typowi to my nie jesteśmy. Przede wszystkim, no...

– Za dużo gajdzinów – podpowiada Dwayne.

Wszyscy się śmieją. Prawda jest oczywista. Ja natomiast zawsze się zastanawiam, po co nasze trzy dziewczyny od wstukiwania danych zatrudniły się w tej akurat firmie. Swoim

zachowaniem zdają się mówić, że obecność głośnych gajdzinów wyraźnie je krępuje, że czują się wśród nas nieswojo, że się nas boją. A są przecież niegłupie, dobrze wykonują swoją pracę, jedna nawet studiowała na niezłym uniwersytecie, więc mogłyby dostać robotę w normalnym biurze, stuprocentowo japońskim. Pytam o to na boku Kenjiego, ale mówi mi, żebym się nie przejmował, że one są nieśmiałe. Co zresztą niczego nie wyjaśnia, ale cóż – do pewnych prawd trzeba dojść w życiu samemu.

W tym czasie toczy się gorąca dyskusja na temat współczynnika reprezentatywności naszego biura wśród firm japońskich.

– Różnica numer cztery: szef się boi nas, a nie my jego – krzyczy Dwayne znad trzeciego kufla piwa.

– A to prawda, szczerą prawdą... – rechocze szef zupełnie niezrażony.

– Różnica numer pięć: pracujemy w ludzkich godzinach! – to Taro, któremu zebrało się na lizusostwo. Zostaje jednak zakrzyczany, bo godzina dziś faktycznie nie najmłodsza. – Różnica numer sześć: jesteśmy najlepiej skomputeryzowani, a wszystko dzięki Marcin-san! – to głos szefa, a wszyscy mu wtórują i wnoszą na moją cześć kufle. Niby przyjemnie, ale czy on sobie trochę kpi, czy nie? Zapytam Kenjiego. Wstaję i przesiadam się na drugi koniec stołu.

– Hej, Kenji.

– Hej, Marcin.

– Szef żartował z tą komputeryzacją?

– Nie. Japonia jest w niektórych aspektach nowoczesna, w innych zacofana. Komputeryzacja społeczeństwa jest daleko za Zachodem.

– Mówisz, że to przez te trudności z wprowadzaniem dwóch tysięcy znaków ze stuklawiszowej klawiatury? Kenji nie jest pewien, ale do rozmowy włącza się Taro, salarymański narybek, bo świeżo skończył studia, ale studia informatyczne, więc zna się na temacie.

– U nas brak standardu. Na Zachodzie jest jeden Intel i Microsoft.

– No, jest jeszcze Apple – dodaję.

– OK, ale to margines. A u nas są cztery niekompatybilne standardy: NEC, Fujitsu, japoński IBM i japoński Macintosh. Idź na Akihabarę do Laoxa albo T-Zone, piętro z oprogramowaniem, zobaczysz: jedna półka dla NEC, druga dla IBM, trzecia dla Maca,

czwarta, najmniejsza, dla Fujitsu.

– Za to u nas jest wāpro – dodaje Kenji. – Mamy pewnie średnio jedno wāpro na głowę mieszkańca – żartuje. – Aaa, te inteligentne maszyny do pisania? – pyta Dwayne. – Wāpro, skrót od wādo prosesa, czyli word processor? Mówię mu, że miałem takie jedno trzy lata temu, w czasie studiów. Rozmiaru współczesnego laptopa, chociaż lżejsze; był to w sumie superprosty komputer z wbudowaną drukarką, który umiał tylko jedno: pisać i drukować tekst. Co jest w dziewięćdziesięciu procentach wypadków wystarczającą funkcją dla komputera. Jeśli uznać to za komputer, to faktycznie Japonia jest nieźle skomputeryzowana. Nawet tłumacz numer dwa umie obsługiwać wāpro.

– Z wāpro jest jeszcze gorzej – rozpala się Taro – tutaj jest dokładnie tyle różnych systemów, ilu producentów! Umiesz używać wāpro NEC? Nawet nie podchodź do żadnego modelu Toshiba, nie będziesz wiedział, z której strony go ugryźć!

Szef przychodzi na nasz koniec stołu pokibicować dyskusji o komputerach. Opowiada, jak na studiach musiał pisać referaty na japońskiej maszynie do pisania.

– Prawdziwej japońskiej maszynie? Czyli mechanicznej?

Zawsze marzyłem, żeby coś takiego zobaczyć w naturze!

– No, Marcin-san, mogę cię kiedyś wziąć na mój stary wydział na Tōdai, maszyna cały czas tam jest. Wyobraź sobie wielki stół, metr głęboki, dwa metry szeroki. W stole osadzonych jest dwa i pół tysiąca metalowych czcionek, czyli metalowych kostek z wytłoczonym znakiem. Nad nimi jeździ taka metalowa łapa z dźwignią.

Naprowadzasz dźwignię na właściwy znak, naciskasz mocno, a łapa chwyta znajdującą się pod spodem czcionkę, podnosi i wali w papier przez rozpiętą o parę milimetrów przed wałkiem nasączoną tuszem taśmę.

– Niesamowite... musiało trwać wieki?

– A skąd! Promotor pisał szybciej niż ja na wāpro! Jego ręka znakomicie pamiętała, gdzie są najczęściej używane znaki, rzadko musiał patrzeć. Robił tak, hmm... myślę, że ze dwa znaki na sekundę.

22.45

Jedna z naszych dziewczyn od wprowadzania danych ma kolor dorodnego buraka, więc nie dajemy jej więcej piwa. Kładziemy ją na ławie za stołem, żeby się przespała.

22.51

Yanagida-san przychodzi poprawić mi kołnierzyk, bo się wywinął. Załoga decyduje, że mamy nowy przypadek romansu biurowego (po japońsku: ohisu rabu, od office love) i robią zakłady, kiedy ślub. Rechotom nie ma końca.

23.12

Dwayne, mocno już nagrzany, robi wywiady wśród dziewcząt, ile czasu spędzają rano na robieniu toalety. Yanagida-san i Ishikawa-san, obie z włosami do pup, przyznają się, że na fryzurę i makijaż poświęcają co rano dwie godziny. Dwayne jest wniebowzięty i radzi im, żeby wyemigrowały do Kalifornii. Ja zastanawiam się, czy trzydzieści dwa tysiące lat cywilizacji homo sapiens nie dało nam lepszych metod spędzania dwóch godzin każdego dnia, niż na robieniu fryzury i makijażu.

23.14

Patrząc na Yanagida-san, piękną jak obrazek, dochodzę do wniosku, że jednak nie.

23.21

Taro-san jest już równie czerwony na twarzy jak nasza śpiąca królewna, która, notabene, cały czas śpi.

Usiłuję dokończyć notatki, ale mam problemy ze wzrokiem, chyba za dużo czasu spędzam w pracy przed komputerem.

23.30

Szef dzwoni po serwis dla pijanych kierowców.

23.42

Przyjeżdża serwis dla pijanych kierowców, czyli rodzaj malutkiej taksówki z dwoma smutnymi gentlemanami w czarnych garniturach. Jeden będzie wiozł szefa do domu jego własnym samochodem, drugi pojedzie za nimi minitaksówką i na końcu drogi odbierze swojego towarzysza.

23.45

Idziemy w stronę stacji. Dwayne śpiewa „I've Been Working on a Railroad”. Kenji-san martwi się, czy zdąży jeszcze na swój pociąg. Ja też, bo tym razem w Ikebukuro nie będzie na mnie czekał Sean ze swoim zdezelowanym rowerem. Opowiadam o tej historii reszcie, śmieją się, aż Taro prawie spada do rynsztoka. 23:51 Udało się. Wszyscy wsiedli

do swoich pociągów, taksówek i serwisów dla pijanych kierowców. O tej porze w pociągu luzy, paru mocno nieświeżych salarymanów, grupka dziadków i babć w kimonach wracających z jakiejś imprezy dla seniorów. Na podłodze śmieci i puszka po piwie, która turla się wzdłuż wagonu, a za nią galopuje ogromny karaluch. Czuję, że znowu ogarnia mnie Salaryman blues.

0:21

Łapię ostatni pociąg do Nerima. Hurra. Zaraz zasnę na stojąco. Nie żeby nie dało się usiąść, ale jak usiądę, to zasnę jak kamień i dojadę do Nerima, skąd nie będzie jak wrócić.

0:45

Jestem w domu. Nie bardzo wiem jak, ale jestem. Niestety, zaraz znowu mnie nie będzie, bo idę do łaźni. Tfu, do moich kabin natryskowych. Czy ja kiedyś dorobię się mieszkania z łazienką?

1:27

Wróciłem. Nie mam już sił pisać. Planowałem jakieś podsumowanie dnia, ale chyba tylko w skrócie:

Dziś spędziłem siedemnaście godzin i trzydzieści jeden minut w pracy i na dojazdach do niej. Wynikiem tej pracy jest jeden raport, którego nikt nie przeczyta. To źle.

Przy okazji wypilem pięć litrów piwa i dowiedziałem się więcej od przyjaznych mi ludzi o otaczającej mnie rzeczywistości niż niejeden smutny Bolek przez całe życie. To dobrze.

Wniosek: jako salaryman nie robię nic pożytecznego, za to bawię się przednio. To bardzo dobrze. Żeby tylko ta zabawa była ciut mniej męcząca...

Otsukaresama!

Rozdział 7



第六に諸事目ききを覚える事。

Pogłębiaj umiejętność docierania do najgłębszej prawdy we wszystkim, co cię otacza.

Cytat z „Księgi Pięciu Kręgów” (1645) Miyamoto Musashiego.

Samuraj Współczesny

Ding-dong!

Jedenasta czterdzieści pięć. Domokrażcy już o tej porze nie krążą, gości się nie spodziewam... A może to jakaś piękna niewiasta zagubiona w wielkim mieście? Zwlekam się z legowiska i człapię do drzwi wejściowych.

Witają mnie dwa metry chudego jak szczapa gajdzina przyodzianego w czarny, zdecydowanie za lekki jak na tę pogodę płaszcz, przemoczone czarne spodnie, zabłocone wojskowe buty oraz ociekający wodą ogromny plecak.

– Martin Bruskauski?

– Mniej więcej... czym mogę służyć?

– Jestem Michael Bayraktaroglu.

– Zdarza się w najlepszej rodzinie. Właż, leje jak z cebra.

Nieznajomy składa się jak scyzoryk i wchodzi, po czym ku mojej uldze przystępuje do ściągania butów, jest więc, jak widać, Gajdzinem Udomowionym, moje *tatami* nie ma się czego bać.

– Dostałem twój adres od znajomego, z którym chyba trenowałeś kendo... Toshi Yamada? Ja... nie mam dziś gdzie spać. Cały wieczór szukałem hotelu kapsułkowego, czy czegoś w tym rodzaju, ale nic nie znalazłem...

– Nie przejmuj się, dla przyjaciół Toshiego zawsze znajdą się u mnie dwa metry kwadratowe podłogi. No, patrząc na ciebie... dwa i pół. Czekał, zrobię herbaty. Nie bój się, prawdziwej, nie zielonej.

Jest już parę minut po północy, siedzimy w salono-jadalnio-kuchni na podłodze przed buzującym piecykiem naftowym, pociągamy gorącą herbatę.

– No dobra, opowiadaj.

– Przyjechałem miesiąc temu na zaproszenie pewnego Japończyka. Facet był u nas w

Bostonie gościnnym instruktorem karate. Ja studiowałem na Boston University i miałem z nim treningi, poznaliśmy się. Zaprosił mnie, żebym przyjechał do Matsudo (to jest w Chiba-ken, na przedmieściach Tokio) i zamieszkał w jego *dōjō*¹⁴. Perspektywa była wspaniała, więc wziąłem rok dziekanki i wylądowałem tutaj na początku października. Wszystko było z góry dogadane. Miałem u niego mieszkać i trenować, zarabiać na kieszonkowe, ucząc grupę początkujących. Ale już kilka dni po przyjeździe zaczęły się kłopoty. Facet rozwodził się właśnie z żoną. Trwała walka o dom i *dōjō*. Regularna wojna podjazdowa, a w samym środku konfliktu: ja. Żeby skomplikować sprawę, ona usiłowała mnie uwieść, żeby mu zrobić na złość, a on coraz więcej pił. Do tego stracił prawie wszystkich uczniów. *Dōjō* przez większość czasu stało puste, a ja nawet nie miałem gdzie trenować. Kończyły mi się oszczędności. W końcu dzisiaj wieczorem nie wytrzymałem. Doszło do mało przyjemnej rozmowy, w efekcie której musiałem spakować swoje rzeczy i ruszyć w noc. Pojechałem do Kita Senju, bo tam ponoć są jakieś hotele kapsułkowe, ale nic nie znalazłem. Nauczyłem się pytać o hotel po japońsku, ale albo nikt nie wiedział o takim miejscu, albo nie rozumieli, o co mi chodzi. Jakiś przechodzień w końcu się nade mną zlitował i kazał jechać do Ikebukuro, dał adres. Dotarłem, ale okazało się, że to nie jest żaden hotel kapsułkowy, tylko regularny *love hotel*, wiesz, różowe balkoniki i kolumnienki na zewnątrz, a lustra nad łóżkami w środku. Dwie godziny za trzy tysiące pięćset jenów, cała noc za duuużo więcej, niż mi zostało w kieszeni...

– Czekał – przerywam – kto ci w ogóle powiedział o tych hotelach kapsułkowych?

– No... przeczytałem w książce o Japonii... Wiesz, hotele składające się z plastikowych kapsuł, w których się śpi, trochę jak w przedziale sypialnym.

– Wiem, wiem. Cóż, przyjacielu, padłeś ofiarą Mitu Gajdzińskiego Numer Jeden. Ja naprawdę nie wiem, kto pisze te książki o Japonii, chociaż jakbym takiego autora spotkał, to chętnie uszy bym mu poobrywał za ten stek bzdur, które tam można wyczytać. Hotele kapsułkowe! Mieszkam tutaj prawie pięć lat, a niczego podobnego nie widziałem.

– To znaczy... ich nie ma?

– Nieee, pewnie gdzieś tam jakiś jest. Albo dwa. Ale to raczej kuriozum, a nie standard. Uwierz mi, nieraz szukałem, kiedy po jakiejś szalonej nocy spóźniłem się na ostatni pociąg... I to JAK szukałem, i kogo nie pytałem! Jedyne, co zazwyczaj można znaleźć, to tanie hotele dla *salarymanów*. To znaczy tanie na standardy japońskie... Albo właśnie *love hotele* jak ten,

który znalazłeś w Ikebukuro. A jak sam słusznie zauważyłeś, nie są to rozrywki na kieszeń biednego gajdzina. Mnie się wydaje, że to jest tak: przyjeżdża taki zachodni dziennikarz do kraju wschodzącego jena i zaczyna szperać, co tu może być ciekawego, unikalnego, fascynującego dla czytelników. Jak to dziennikarz. No i widzi w telewizji taki hotel kapsułkowy, bo to pewnie nowość, czyli według niego coś ciekawego i unikalnego – dziennikarze na całym świecie są tacy sami. Nasz autor rzuca się na temat, który na pewno zafascynuje czytelników na Zachodzie, i powstaje artykuł. Albo książka. Po czym cały świat jest głęboko przekonany, że w Japonii na każdym rogu ulicy stoi hotel kapsułkowy, podczas kiedy ja nie tylko ani jednego takiego nie znalazłem, ale więcej, nigdy nawet nie spotkałem człowieka, który taki hotel by widział.

– Tak... to rzeczywiście wpadłem jak śliwka w kompot.

– Eee tam, nie w kompot, tylko na przyjazną, gajdzińską podłogę! A mówiąc o podłodze, to co prawda jutro jest sobota i do pracy nie wstaję, ale przyznam bez bicia, że jestem kapkę śpiący. Poza tym pewnie chcesz się z lekka przepłukać po tych nocnych włóczęgach, a w tym celu muszę cię zaprowadzić do kabiny kąpielowej. Jak może zauważyłeś, jest to luksusowy apartament, tylko budując, zapomnieli o łazience.

Mike protestuje, że sam znajdzie, na co nie daję się długo namawiać, bo na dworze zimna plucha, a natryski są zaraz za rogiem. Zabieram się do przygotowania mu legowiska. Mam tylko jeden materac, ale za to dwa *futony*; drugi kupiłem ostatnio za równowartość puszki piwa na *sayonara sale*, czyli wyprzedaży gajdzińskiego domostwa przed powrotem do ojczyzny. Gościnny komplet pościeli na szczęście świeżo uprany. Co prawda kołdra sięgnie mu pewnie tylko od brody do kolan, ale cóż, takie są rozmiary japońskie, niekoniecznie zaprojektowane dla dwumetrowych bostończyków.

A swoją drogą, niezła historia! Co on ma zamiar teraz robić? Chyba nie będzie u mnie mieszkał przez pozostałe jedenaście miesięcy? Pewnie wróci do Stanów? Jeśli nie, to co ja z nim zrobię? Może da się go umieścić w moim *dōjō* do kendo? Jutro zadzwonię do Adamiry. I Seana. Zieeeeeewam i idę umyć zęby. Jutro na pewno coś się wymyśli.

Sobota. Budzę się wcześniej. Mike natomiast śpi jak zabity. Może zbudzi go zapach kawy. Stawiam czajnik na gaz i dzwonię do Seana.

- Sean, ogłaszam spotkanie sztabu kryzysowego!
- Zabrakło ci na piwo? Nic z tego, ja też nie mam ani grosza!
- Nie, mam na podłodze dwa metry bostończyka.
- Bieżące?
- Nie, śpiące...
- Rodzaju żeńskiego?
- Niestety nie.
- No to faktycznie kryzys.
- Kiedy będziesz?
- Piętnaście minut.
- Pięć.
- Dziesięć.
- Pięć!!!
- OK, OK, już wychodzę.

Po siedmiu minutach na schodkach rozlega się dudnienie. Sean pobił chyba rekord na dystansie *3chōme* – *5chōme*. Wpuszczam go i częstuję kawą. Mike cały czas błogo śpi, więc uchylam drzwi do sypialni i pokazuję go Seanowi.

- To?
- To.
- Faktycznie, długie jak stąd do Ikebukuro...
- I co my z tym zrobimy?
- My?
- Chyba nie zostawisz przyjaciela w biedzie?
- Oczywiście, że nie zostawię. Jestem człowiek tolerancyjny, ale jako dobry, irlandzki

katolik nie mogę patrzeć spokojnie na twoją zmianę upodobań...

– Nie rób sobie jaj, bo zaraz cię strzelę, tylko pomóż mi pomyśleć, co z nim zrobić. Może masz wolny pokój?

– Tak, dwa i komórkę na strychu. Ale w Dublinie. Poza tym na głodno nie myślę, a kazałeś mi tu cwałować o pustym brzuchu – Sean patrzy wymownie na moją lodówkę.

Robię jajecznicę na bekonie i opowiadam Seanowi historię dzielnego karateki. Seana najbardziej interesuje sprawa hoteli kapsułkowych, bo też żadnego nie widział, ale słyszał, że jest taki w Nishi Ōmori, oraz *love hotele*, bo dostał zamówienie na napisanie o nich artykułu, co nie jest łatwe ze względu na nakłady finansowe konieczne do znalezienia się we wnętrzu jednego z nich.

Bekon na patelni osiąga stan chrupkiej perfekcji, nie za miękki, nie za wysuszony. Wkładam do tosterka kwadraty waciastego i nie bardzo na nic poza tostami nadającego się japońskiego chleba i nurkuję do lodówki w poszukiwaniu jajek.

Tymczasem z sypialni dobiegają odgłosy wskazujące, że bostończycy nieomylnie reagują na zapach boczku, nawet jeśli nie wzrusza ich aromat porannej kawy.

– Dzień dobry, Martin! Rozmnożyłeś się w nocy?

– Coś w tym stylu. Poznaj mojego przyjaciela i brata gajdzina.

Mike – Sean. Sean – Mike. Mike Baycośtamcośtam.

– Bayraktaroglu. Mój pradziadek wyemigrował do Ameryki z Turcji.

– Nie mógł uprościć nazwiska, na przykład na Bayou? – pyta złośliwie Sean.

– Ale on nie wyemigrował do Luizjany, tylko do Bostonu...

Sean patrzy z uznaniem na fenomen w postaci Amerykanina z poczuciem humoru i zabiera się do przedrzeźniania nowoangielskiej wymowy Mike'a, w którego ustach Boston brzmi: buuuoston.

Jajecznica wymaga już tylko energicznego mieszania, więc postanawiam przejść *ad rem* i do samego sedna:

– Wezwałem Seana na naradę sztabu kryzysowego.

– A mamy kryzys? – pyta Mike.

– Tak, całe siedem stóp kryzysu – odpowiada Sean.

Mike na szczęście się nie obraża, tylko śmieje się i prostuje:

– Sześć stóp i pięć cali¹⁵. Co wcale nie pomaga w życiu ani we wschodnich sztukach walki. W szkole trener błagał mnie na kolanach, żebym się zapisał do drużyny koszykówki, a ja się nie dawałem, bo miałem fioła na punkcie judo. Tylko w judo wcale nie szło mi za dobrze, bo nie jest łatwo rzucić przeciwnika, jak się ma biodro na wysokości jego ramienia. Więc wziąłem się za karate. A teraz... – Mike posmętniał.

– Uszy do góry! Zaraz coś poradzimy, ale najpierw: jajecznicą stygnie!

Atakujemy specjały tradycyjnej kuchni gajdzińskiej, siedząc w salono-jadalnio-kuchni na rozkładanych krzeselkach dla uczniów. Lekcji już zasadniczo nie prowadzę, ale krzeselka z blatami i tablica na ścianie zostały. Mike pałaszuje, aż mu się uszy trzęsą, mamrocząc coś o pierwszym normalnym śniadaniu od miesiąca.

W końcu odstawiam talerze do zlewu i przynoszę notes.

– Zwołuję walne zebranie sztabu kryzysowego. Jednogłośnie wybieram się dowódcą najwyższym. Jakies sprzeciwy? Nie?

Dziękuję.

Przedmiot kryzysu: jeden dwumetrowy bostończyk.

Zadania:

1) Znaleźć mu pracę.

2) Znaleźć mu szkołę karate.

Czy coś przeoczyłem?

– Trzecie: znaleźć mu mieszkanie... – dodaje Mike. – Nie mogę przecież wiecznie okupować twojej podłogi...

– Z tym to jeszcze zobaczymy, ale dobrze, dopisuję:

3) Znaleźć mu mieszkanie. Od czego zaczynamy? – Z karate będzie najtrudniej – opiniuje

Sean. – Co? W Japonii? – Spokojnie, zobaczymy. Ja jestem za zajęciem się pracą. Najpierw trzeba przeżyć.

Ustalamy, że w poniedziałek przedyskutuję sprawę w biurze z Kenjim, który zna w tym kraju wszystkich wartych znania. Zadzwonię też do Edyty Nowakowskiej, może będą mieli jakieś otwarcie w Seibu. Sean pogada ze swoją *sponsą* i w szkole angielskiego. Coś powinno z tego wyjść. W weekend pewnie jednak za wiele w sprawie pracy dla Mike'a nie zdziałamy, więc przechodzimy do drugiego punktu programu: szkoła karate.

To, według mnie, powinno być proste, chociaż Sean kręci sceptycznie głową. Chwytam za telefon i wykręcam 104, numer infolinii NTT, bo książki telefonicznej, niestety, nie umiem czytać.

Pudło. Słodki japoński głosik oznajmia, że nie ma takiej kategorii. Proponuję „karate”, „karatedō”, nic. Pod „dōjō” są same szkoły kendo. W końcu panienka znajduje coś pod „budō”, czyli sztuki walki, ale w podkategoriach jest tylko sprzedaż biletów na zawody sumo i sklepy ze sprzętem kendo.

– Nie może być – mówię. – Fakt, nigdy nie widziałem szkoły karate, ale też nigdy jej specjalnie nie szukałem, mogłem więc nie zwrócić uwagi. A może na karate jest jakiś miejscowy termin, którego po prostu nie znam?

Dzwonimy dalej: 5295-1010. To gajdzin-linia czyli serwis informacyjny NTT dla cudzoziemców. Równie słodki japoński głosik, tym razem mówiący po angielsku (Skąd oni je biorą? Na ulicy ŻADNA niewiasta nie mówi po angielsku!), przynosi lepsze wieści. Jest kilka szkół. Zapisuję adresy.

Za oknami szaro i ponuro, siąpi lekki deszczyk, ale cóż to dla trzech wesołych gajdzinów z żołądkami pełnymi jajeczniczy na bekonie. Postanawiamy przejechać się pod zapisane adresy i zbadać je osobiście.

Wsiadamy do pustawego dziś pociągu do Ikebukuro. Patrzą, czy Mike dotknie głową sufitu. Nie, ale prawie. Ten człowiek ma w Japonii przechlapane. Ciekawe, co zrobi, jak przyjdzie pora kupić nowe jeansy?

Siadamy. Tyczkowaty bostończyk, dotąd zamyślony, zwierza mi się:

– Wiesz, ja od przyjazdu do Japonii czułem, że coś tutaj jest nie tak z karate. Wszyscy wiedzą, że trudno o bardziej japoński sport.

– Wszyscy wiedzą, że trudno o bardziej japońską instytucję niż hotel kapsułkowy – wtrącam się, a Sean kiwa melancholijnie głową. – Ale przepraszam, kontynuuj.

– No więc przez pierwsze dni cierpiałem na zmianę czasu i całą noc oglądałem telewizję, skakałem po wszystkich ośmiu kanałach, szukając sportu. Nic, tylko baseball, baseball i trochę futbolu... Nic o karate, nic o judo, nic o jujitsu!

– Fakt, baseball to ichni sport narodowy – potwierdza Sean. – Według popularności jest tak: najpierw baseball, potem dłuugo, długo nic, potem sumo, potem jeszcze dłużej nic, a potem wszystkie inne sporty.

Wysiadamy w Eidan-Narimasu. To pierwszy z trzech adresów, jakie chcemy sprawdzić. Szkoła karate mieści się w miejscowej podstawówce, nie sędzę, by trudno było ją znaleźć. Rozglądamy się przed stacją. Wioska jak każda inna, chociaż przechodzi przez nią wielka ulica – tak wielka, że aż godna przyznania jej nazwy: Kawagoe Kaido. Ulica ma nawet chodniki! Gmina w sumie niezbyt od nas odległa, tylko połączenie kiepskie; gdyby nasz bostończyk znalazł tu szkołę, to spędzałby trochę czasu w pociągach. Śmieszne: zacząłem już podświadomie zakładać, że będzie u mnie mieszkał.

Przez ten miesiąc pobytu w Japonii Mike właściwie nie wychylił nosa poza swoje *dōjō* w Matsudo, Chiba-ken. Nie wie, jak się szuka adresów. Rozczuleni bezradnością gajdzińskiego neofity Sean i ja rzucamy się wyjaśniać tajne arkana tokijskiej nawigacji. Najpierw ceremonialne studiowanie mapy okolic, umieszczonej zawsze gdzieś w pobliżu stacji, często na sąsiadującej z nią budce policyjnej. W oszalałym gąszczu dzielnic, dzielniczek, dzielniczątek i jeszcze mniejszych tworów, na które brak mi już sił słowotwórczych, domy ponumerowane są według kolejności, w jakiej je budowano. Czyli przypadkowo. Co zapobiegliwsi szkicują w notesie mapkę dojścia do celu, ale to nic nie daje: po oddaleniu się od stacji i straceniu z oczu wszelkich punktów orientacyjnych człowiek gubi się momentalnie i mapka na niewiele się przydaje. Pozostaje podążać w mniej więcej ustalonym kierunku (pomaga w tym kompas), obserwując adresy wypisane na domach i co chwila zaczepiając autochtonów. Nie żeby przeciętny autochton mieszkający pod adresem 1-3-5 zazwyczaj wiedział, gdzie jest 1-3-6, bo to może być na drugim końcu osady.

– Jak oni mogą funkcjonować? To jest niemożliwe! – buntuje się Mike. – Przecież adres służy do tego, żeby móc znaleźć dane miejsce!

– Nie w Japonii, przyjacielu – poucza Sean. – Japończykom ten system w niczym nie przeszkadza.

– No dobrze – Mike nie daje za wygraną – a co, jeśli ktoś prowadzi w domu biznes i klienci muszą tam trafić?

– Tutaj nikt nie prowadzi biznesu domowego w takiej wiosce. Od tego jest ulica handlowa albo dzielnice z biurami.

– OK, a jeśli ktoś robi przyjęcie i zaprasza gości?

– Tutaj nikt nie robi imprez w domu. Nie widziałeś, jakie są rozmiary mieszkań? Balować idzie się do pubu albo karaoke-baru, albo wynajmuje się salę w hotelu, jeśli to coś bardziej oficjalnego.

– A taka sytuacja jak teraz: nie możemy znaleźć szkoły! A listonosze?

– Jak często trzech gajdzinów szuka szkoły podstawowej? Miejscowe dzieci i rodzice doskonale wiedzą, gdzie ona jest, i adresu nie potrzebują. Tak samo listonosz, bo to tutejszy chłopak i zna każdy dom – Sean ma na wszystko gotową odpowiedź.

– Słuchaj, Mike – ucinam dyskusję – cały czas zapominasz, że to jest wioska. W wiosce wszyscy wszystkich znają i wiedzą, kto w której chałupie mieszka, kontakt z wielkim światem jest minimalny i adresy nie są do niczego potrzebne.

Po dwudziestu minutach i kolejnych próbach wprowadzenia Mike'a w tokijską rzeczywistość stajemy przed szkołą podstawową. Adresu nie widać, ale z otwartych okien na piętrze słyszymy zniekształcone przez echo sali gimnastycznej bojowe okrzyki i głuchoe uderzenia bosych pięt o parkiet.

– Jest! – cieszy się Sean.

– Mm, niestety. Te dźwięki znam aż nadto dobrze. To trening kendo. Ale zapytać można.

Wchodzimy do szkoły i pytamy ciecia, czy gdzieś tu jest szkoła karate. Ciec wybałusza oczy na trzech gajdzinów: dużego, wielkiego i gigantycznego, skrobie się w głowę i ucieka na

piętro po posiłki. Po chwili schodzi nauczyciel, niski, krępy, w średnim wieku, ubrany w strój i zbroję do kendo, ale bez hełmu i rękawic. Kłaniam się nisko. Za mną powtarza ukłon Mike, a jest na co patrzeć: składający się w pół dwumetrowy scyzoryk. Sean kiwa tylko głową, bo japońskie ukłony są mu ideowo obce.

– Przepraszam stokrotnie, nie chciałem przerywać treningu, my szukamy szkoły karate...

– Karate? Eee... tak, była gdzieś tutaj, prowadził ją jakiś Amerykanin...

– Czy wie pan, gdzie to jest? Mam adres... – pokazuję kartkę.

– Tak, to nasza szkoła podstawowa. Nie, na pewno karate nikt już tu nie uczy. Ale zapraszamy na kendo.

Dziękujemy grzecznie, po czym nauczyciel radzi jeszcze skontaktować się z japońską federacją karate. Pomysł w istocie dobry, dziękuję mu jeszcze raz i idziemy.

Mike ma nos spuszczonej na kwintę.

– Nie łam się, to, że karate nie jest w Japonii specjalnie popularne, nie znaczy, że nigdzie nie ma szkoły, znajdziemy ją na pewno.

– Ale ja pięć lat marzyłem o podróży do Japonii, bo tutaj na każdym placu powinni ćwiczyć judocy! I karatecy! Przecież te sztuki stąd pochodzą!





Trening kendo: bojowe okrzyki i głuche uderzenia bosych pięt o parkiet.

– Wszystko się zmienia, nawet Japonia, jak zwykł mówić mój znajomy, pan Tarei.

– Karate przestało być popularne, odkąd Japończycy przestali wygrywać międzynarodowe zawody – tłumaczy Sean. – To samo z judo. To był niezły cios dla ich dumy narodowej. A kendo i sumo żyją, bo w nich jeszcze nikt nie pokonał Japończyków.

– Ciekawa teoria – przyznaję – ale nie do końca ją kupuję. Ja myślę tak: do uprawiania karate czy judo trzeba być młodym, silnym i wysportowanym. Do kendo można być starym prykiem z jednym tylko mięśniem – piwnym. Widziałeś tego nauczyciela? Jeśli ma na przykład szósty dan w kendo, to gwarantuję ci, że rozłoży w pięć minut młodego zapaleńca z czwartym danem. To idealny sport dla *salarymanów*. Spędzasz życie, siedząc po dziesięć godzin w biurze, wypijając po pracy wannę piwa, ale to w niczym nie przeszkadza ci iść w sobotę na trening i rozwalić na drobne kawałki paru młokosów z mięśniami ze stali.

– Też ciekawa teoria – chwali Sean. – Tylko czy ona uwzględnia niską popularność sumo wśród *salarymanów*...?

– Kpij sobie, kpij, a wbrew pozorom znam *salarymana*, który uprawia sumo. Mało kto o tym wie, ale w Japonii jest też sumo dla amatorów. Normalni ludzie to uprawiają, a nie takie tuczone wieprze jak w telewizji. Ale nie to chciałem powiedzieć. Otóż, uważaj: z sumo jest inna historia niż z kendo, bo sumo to nie jest sport.

– Nie?

– Nie. A w każdym razie nie do końca. To przede wszystkim ceremonia religijna. Sędzia jest kapłanem. Arena jest częścią świątyni. Większość czasu spędza się na różnych błogosławieństwach, a nie na wyrzucaniu się z ringu.

Mike słucha z zainteresowaniem i prawie przestaje się gryźć brakiem karateków na każdym placyku. Docieramy do stacji i ruszamy w dalszą drogę.

Szkołę dla Mike'a udało nam się w końcu znaleźć, i to nawet nie tak strasznie daleko. Instruktor nie mówił ani słowa po angielsku, więc Sean i ja byliśmy pomocni. Japońszczyzna Mike'a jest śmieszna: zna „dzień dobry”, „do widzenia”, garstkę czasowników typu „kopnąć”, „uderzyć”, „ciąć” i „przyładować” oraz więcej nazw części ciała niż przeciętny japoński chirurg.

Potem ruszyliśmy do domu, a Sean pojechał do siebie przebrać się przed wieczornymi połowami w Roppongi. Życzyliśmy mu z Mikiem udanych połowów i żeby ryby były na pewno pełnoletnie. Po drodze wstąpiliśmy do mojej ulubionej knajpki „za rzeką” (czyli za torami linii kolejowej w Higashi Nagasaki), gdzie gotuje i serwuje dania sympatyczne rodzeństwo. Teraz talerze są puste i nadchodzi nieunikniony moment Rozmowy Zasadniczej.

– Więc, Marcin, zostaje punkt trzeci...

– Chrapiesz?

– No, coś ty... ja...

– Chrapiesz?

– Chyba nie...

– Możesz zostać. Przynajmniej dopóki nie znajdziesz pracy i nie staniesz na własnych nogach.

Mike jest wdzięczny, ale skępowany, więc mu tłumaczę, że tak naprawdę wynająłem to ogromne mieszkanie, kiedy jeszcze uczyłem angielskiego. Potrzebowałem osobnego pokoju na salę lekcyjną. Ale teraz jestem *salarymanem*, dzieci nie przychodzą już na lekcje. A cztery i pół plus sześć mat dla samotnego kawalera to luksus, na który mało kto może sobie w Japonii pozwolić. Mieszkanie tego rozmiaru jest normalnie wykorzystywane przez rodzinę z dzieckiem albo i dwójką dzieci. We dwóch będzie nam zupełnie luźno. A jeśli jeden z nas

potrzebowałyby zaprosić do domu koleżankę w celu pokazania jej kolekcji znaczków, to zawsze można zawiazać na klamce drzwi wejściowych skarpetkę, tym samym sygnalizując potrzebę samotności.

Mike dał się przekonać. Rozpaczam więc nową erę w moim życiu – będę dzielił mieszkanie. Robi to połowa gajdzinów w Tokio, nawet takich, którzy spokojnie mogliby pozwolić sobie na samodzielną kwaterę. W kupie rażniej. I weselej. Teraz przed nami małe zakupy żywnościowe. Potem przedstawię Mike'a we wszystkich czterech wypożyczalniach wideo i coś sobie wybierzemy do oglądania na wieczór. Trzeba mu będzie jeszcze znaleźć jakiś używany rower, bo piechotą w wiosce daleko się nie zajdzie... No i pokazać tajniki automatów z piwem – właśnie jeden się „zepsuł”, dosłownie dwie przecznice stąd.

Zapowiada się niezły tydzień.

Ding-dong!

Ki czort?

Zwlekam się z legowiska i człapię do drzwi wejściowych.

– Znowu zapomniałeś klucza?

– Nie, mam go, znaczy, zapomniałem, że mam... Jestem zmordowany.

– OK, OK, nie ma sprawy, włącz!



Wizytówkomania – krótka historia moich dziesięciu lat w Japonii.

Mike mieszka u mnie od trzech tygodni. Od dwóch ma już własną pracę. Z pracą była zresztą niezła historia, bo strasznie trudno znaleźć posadę dla kogoś, kto: a) nie mówi po japońsku (chyba że miałby być pomocnikiem chirurga); b) góruje nad potencjalnym pracodawcą o pół do trzech czwartych metra; c) nie ma wizytówki (to na szczęście udało się szybko naprawić za pomocą mojego komputera. Z wizytówką amatorsko wydrukowaną na drukarce laserowej może nie można w Japonii daleko zajść, ale na razie wystarczy).

W końcu odsiecz przyszła, jak zwykle, w postaci Kenjiego. Jego rozległe znajomości doprowadziły do spotkania ze starszym managerem w Matsuda Motors, co z kolei

zaowocowało poznaniem pewnego pana Adamira, właściciela zakładu produkującego części silników w Saitama-ken (prefektura sąsiadująca z Tokio). Mike dostał tam ambitną pracę polegającą na pobieraniu z taśmy fantazyjnie powyginanego kawałka metalu, przyglądania mu się krytycznie, po czym umieszczania go w jednym z dwóch koszyków, przemysłnie oznaczonych na potrzeby gajdzina rzymskimi literami „G” (od *guddo*, czyli części dobre) oraz „NG” (*no guddo*, części wadliwe).

Po tygodniu pracy Mike odbył nawet krótkie szkolenie podnoszące kwalifikacje zawodowe, w wyniku czego otrzymał nowe, odpowiedzialne zadanie stawiania czerwonym mazakiem krzyżyka na częściach wadliwych przed wrzuceniem ich do koszyka „NG”.

Dziś wygląda na wyjątkowo zmęczonego. Robię herbatę i zwalamy się na podłogę przed wesoło buzującym piecykiem naftowym.

– Jak poszło?

– OK. Ale dzień był nerwowy. Nie stawiał się do pracy jeden Irańczyk, pracujący na maszynie zgrzewającej części, i kazali mi go zastępować. Praca stresująca, bo ta maszyna co najmniej raz na tydzień przytrząskuje komuś rękę – połowa pracowników nie ma jednego palca. Albo kilku... A jak ja będę instruktorem karate bez palców? Dali mi taką grubą rękawicę, ale jak się nie usunie ręki przed zgrzewaniem, to... *bye, bye palec*.

– Czekaj, czy to urządzenie nie ma jakiegoś systemu zabezpieczającego? Fotokomórki? A w ogóle dlaczego robi to człowiek, a nie robot?

– Stary, nie wiem, ale robotów to na pewno w tej fabryczce nie uświadczysz. Pytałem Amira, Pakistańczyka, który mówi trochę po angielsku, a pracuje u nas już od dwóch lat. Zawsze idę z nim na lunch, bo z nikim innym nie idzie pogadać. Więc tak: roboty, owszem, są, ale w wielkich, nowoczesnych salach fabrycznych, gdzie montują gotowe mazdy. A z czego montują? Właśnie z części dostarczanych przez takie malutkie zakłady jak mój, nielegalnie zatrudniające cudzoziemców, głównie z biednych krajów Azji. Warunki pracy jak na tę stronę świata nie są złe, ale wypadków dużo. Pakistańczycy i tak szczęśliwi, obcięty palec to dla nich mała cena za wysyłanie co miesiąc do rodziny większej sumy od tej, jaką w domu zarobiliby przez rok. Ja sam kiedyś myślałem, że części powstają w Chinach, Indonezji czy na Filipinach. Tak robią firmy amerykańskie. Japończycy też pewne podzespoły robią w

Azji, ale poza tym mają masę malutkich firm w samej Japonii, dostarczających różne elementy silników i inne takie. Producent ma nad nimi lepszą kontrolę niż w jakimś egzotycznym kraju na kontynencie. Jeśli Matsuda chce zareagować na zwiększony popyt na rynku i w danym tygodniu zmontować dwa razy więcej silników, to wystarczy kilka telefonów albo nawet osobista wizyta. „Osobisty nadzór gwarancją terminowości i jakości” – tak jest napisane w biurze. Po japońsku, ale Amir mi przetłumaczył.

– Słuchaj, Mike, opowiadasz fascynujące rzeczy! Czy powtórzyłbyś wszystko Seanowi? On ciągle poluje na nowe tematy do swoich irlandzkojęzycznych reportaży. A to brzmi jak temat godny „Newsweeka”! W Europie wszyscy myślą, że w Japonii są same ultranowoczesne fabryki, gdzie w lśniących czystością salach roboty przemysłowe trzydziestej siódmej generacji obsługują komputerowo sterowane procesy...

– Hmm, nie, chyba nie. Co innego pogadać, co innego pisać. Nie chcę skrzywdzić mojego szefa, to naprawdę równy człowiek. W każdy poniedziałek rano ma przemówienie, w którym tłumaczy, co będziemy robić i po co, nie traktuje nas jak bezmyślne roboty. Dbą o swoich pracowników – zapala się Mike.

– Szczególnie o ich palce?

– No taaak... ale wiesz, ja myślę, że on nie ma wyboru. Nowoczesny sprzęt na pewno jest koszmarnie drogi. Zakład musiałby podnieść ceny, a na to Matsuda nie pozwoli!

Temat intelektualnie ciekawy, ale człowiek nie składa się tylko z intelektu, więc proponuję coś zjeść. Mike jest niezmiennie ciekaw tajników kuchni japońskiej, tym razem pyta mnie o „japońską pizzę”.

– Masz na myśli Pizza Hut? Przecież zaledwie przedwczoraj zamawialiśmy, gdy wróciłeś późno z treningu. Zostało chyba jeszcze trochę w lodówce.

– Nie, mówię: „japońską”! Oko-coś. Takie okrągłe ciasto, na tym różne kawałki warzyw i mięsa, ciemny sos, na tym wiją się takie skrawki czegoś beżowego...

– Aaa, *okonomiyaki*!

– No to przecież mówię, że oko-coś.

– Wiesz, to ekstra pomysł. W Chihaya jest doskonały *okonomiyaki-bar* pana Tarei, to pół

rzutu beretem od Senkawy, gdzie kiedyś mieszkałem. Rowerem będzie pięć minut. Nie byłem tam od wieków.

Gaszę piecyk naftowy, wyłączam światło, zamykam drzwi, zbiegamy na dół. Mike ma już własny rower kupiony na *sayonara sale* od jakiegoś gajdzina z Kita-ku. W zeszły weekend chodziliśmy po sklepach, szukając dłuższej rury do siodelka, ale na razie bez skutku, więc Mike wygląda na rowerze dość komicznie, jakby kolanami boksował sobie uszy.

Przed domem spotykamy moją gospodynię wynoszącą czarny, plastikowy worek ze śmieciami na stałe miejsce pod latarnią. Ostatnio worek ten jest przedmiotem nocnych ataków jakiegoś kocura i rozwleczone odpadki zdobią zwykle pobocze ulicy o poranku.

Wymieniamy pozdrowienia. Wyraz twarzy gospodyni jest nieprzenikniony, ale pięć lat w Japonii wytwarza w gajdzinie umiejętność czytania między wierszami. Wygląda to tak:

Gospodyni: Dobry wieczór!

Czytaj: Z cudzoziemcami nigdy nic nie wiadomo...

Gospodyni: Prześlizguje się niewidzącym wzrokiem po Mike'u, który składa się w ukłonie.

Czytaj: Ja dobrze wiem, że ten wysoki u pana mieszka od trzech tygodni, tylko nie wymyśliłam jeszcze, jak się do tego ustosunkować. Fakt, jeszcze nikogo nie zamordował ani nie podpalił domu, ale zawsze może to zrobić. Niech no tylko jednak pojawi się trzeci albo, nie daj Buddo, KOBIEȚA, a może być pan dziwnie spokojny, że się ustosunkuję...

Gospodyni: Przepraszam pana za stan ulicy rano. Coś strasznego! To na pewno jakiś kot.

Czytaj: To na pewno вина tego wysokiego. Czy cudzoziemcy robią się nocą aż tak głodni? Wstyd! Co pomyśli pani Yamamoto z przeciwka?

Gospodyni: Czy nie widział pan w okolicy jakiegoś podejrzanego kota?

Czytaj: Jestem pewna, że pan ma coś z tym wspólnego. Może ten kot też jest z

zagranicy? Kiedy byłam jeszcze normalną, porządną kobietą i nie wynajmowałam mieszkania cudzoziemcom, nic takiego się nie zdarzało! A może temu wysokiemu wyrastają w nocy pazury i wychodzi pomiauczyć do księżycy?

Gospodyni: Życzę panom spokojnej nocy.

Czytaj: Z cudzoziemcami nigdy nic nie wiadomo...

Ulica jest mokra od deszczu, ale padać przestało. Zimny, mokry, listopadowy wiatr wnika w każdy szew naszych kurtek, wskakujemy więc na siodełka (Mike raczej przykuca, żeby usiąść na swoim) i pędzimy w stronę Chihaya-chō.

Restauracja serwująca *okonomiyaki*, *okonomiyaki* i, na zamówienie specjalne, *okonomiyaki* jest oświetlona i ciepła – spokojna przystań dla głodnego gajdzina. W środku długie, wąskie pomieszczenie z ośmioma stołkami barowymi wzdłuż lady i stolikiem dla czterech osób w głębi. Za ladą ogromna, metalowa płyta do smażenia. Tarei-san daje nam gorące ręczniczki do rąk i twarzy, najcudowniejszy wynalazek świata. Cieszą zarówno latem, kiedy człowiek jest wiecznie spocony, jak i zimą, gdy jest zziębnięty. Zamawiamy dwie porcje *okonomiyaki* i dwa piwa, które wyrastają przed nami natychmiast.



Jeśli z powierzchni planety znikną takie mikroskopijne, miejscowe restauracje, to ja nie chcę na tej planecie mieszkać.

Tarei zgrabnym, bo wynikającym z trzydziestu lat praktyki, gestem nalewa płynne, naleśnikopodobne ciasto na gorącą blachę i rozprowadza je po mistrzowsku okrężnymi ruchami łypatki. Potem indywidualna porcja mieszanki warzywno-mięsnej albo owocomorskiej i całość zostaje dociśnięta okrągłym, metalowym krążkiem. Jeszcze szczodra porcja cudownego, brązowego sosu i majonezu, a na koniec zwijające się od gorąca skrawki suszonej ryby *katsuo*, po czym parująca porcja ląduje przed śliniącym się już do pasa gajdzinem. Aaaaach...

– Marcin-*san* dawno już u nas nie był – zagaduje Tarei-*san*. Jestem pod głębokim wrażeniem, że pamięta, jak się nazywam.

– Przeprowadziłem się, będzie z półtora roku temu. Tęsknię za *okonomiyaki* codziennie!

– Jakże to, w nowym miejscu Marcin-*san* nie ma baru *okonomiyaki*? Dzisiejsza młodzież je tylko hamburgery. A to drogo i niezdrowo, i brzuch rośnie! Zmienia się Japonia szybko, aż strach... Nawet zielonej herbaty nie chcą pić, tylko coca-colę... Wszystko się zmienia... – wzdycha pan Tarei.

– Jest u nas *okonomiyaki*, ale nie tak dobre, jak u pana!

Tarei się cieszy, a ja z nim.

– No to proszę zamówić jeszcze po porcji! Przecież pan taki biedny, wygłodzony. A pana wysoki kolega? Sama skóra i kości!

Jeżeli w wyniku komercyjnych upodobań japońskiej młodzieży, która faktycznie żywi się głównie w hamburgerowniach, z powierzchni planety zginą bary *okonomiyaki*, to ja nie chcę na tej planecie mieszkać.

– Raz się żyje, proszę jeszcze po jednej porcji – Mike coś mi sygnalizuje. – Przepraszam, dla mojego przyjaciela od razu dwie!

お好み焼き

PRZEPIS NA OKONOMIYAKI

Pani Hiroe Matsunaga

Porcja mała, na trzy (albo dwie głodne) osoby:

- ✓ 200 g mąki pszennej
- ✓ 200–300 ml wody
- ✓ puszka tuńczyka w sosie własnym (zamiast tuńczyka można użyć posiekanego cienko mięsa wieprzowego – ok. 200 g, lub kalmarów – ok. 200 g)
- ✓ kukurydza (tylko w wariantcie z tuńczykiem) – jedna puszka, czyli ok. 130 g
- ✓ 100 g sera żółtego (zalecany do użycia tylko w wariantcie z wieprzowiną)
- ✓ duża łyżka posiekanej cebuli
- ✓ 1/4 główki kapusty (w warunkach polskich powinna to być kapusta pekińska albo młoda, byle nie za twarda)
- ✓ 1 jajko
- ✓ przyprawy: sól, pieprz, sos sojowy (polecam firmy Kikkoman), olej salatkowy do smażenia
- ✓ opcjonalnie: por, kalmar (zamiast innego mięsa) i praktycznie cokolwiek innego – nazwa *okonomiyaki* (smażone-co-kto-lubi) odzwierciedla ideę dowolności
- ✓ do posypania: *aonori* (rozdrobione wodorosty – w Polsce trudne do kupienia, ale można rozdrobnić samemu zwykłe wodorosty *nori*, a te już są w wielu supermarketach), *katsuobushi* (suszone wiórki ryby *katsuo* – też trudno znaleźć)
- ✓ do umoczenia tuż przed spożyciem: majonez (Winiary są OK), łagodny sos Worcester (do kupienia w Polsce, np. w Tesco)

1. Kapustę szatkujemy drobno, myjemy, otrząsamy na sitku.
2. Z produktów w puszkach odcedzamy płyny, kroimy mięso, jeśli jeszcze nie jest pokrojone (i jeśli w ogóle używamy mięsa).
3. W miseczce mieszamy mąkę, wodę i jajko.
4. Dodajemy produkty z punktów 1 i 2 i mieszamy razem.
5. Dodajemy przyprawy do smaku.
6. Smażymy na patelni na oleju 3–4 minuty, odwracamy na drugą stronę i perforujemy (np. widelcem) wypieczoną górną część; za pomocą pędzelka można posmarować ją delikatnie sosem Worcester, aby smak dotarł do środka.
7. Wykładamy na duży talerz, jak pizzę, kroimy na mniejsze części. Posypujemy *aonori* i *katsuobushi* (widok tańczących wiórków *katsuobushi* na gorącym *okonomiyaki* może zaskoczyć). Majonez oraz keczup połączony w proporcji 2:1 z sosem Worcester umieszczamy osobno na talerzykach, z których *okonomiyaki* jest spożywane, w celu zmieszania ich i umoczenia w nich kawałka transportowanego bezpośrednio do ust (oczywiście palczkami, ale w ostateczności widelcem).
8. Dobrze wchodzi z zimnym piwem.

いたたきます

(Smacznego)

Rozdział 8



塞翁が馬

Koń Saiou

Saiou zgubił konia, ale okazało się, że koń miał romans i wrócił z piękną klaczą i źrebakiem. Potem syn Saiou dosiadł klaczy i spadł, łamiąc nogę, ale wkrótce był pobór i przez tę nogę nie musiał iść na wojnę. Morał: nie ma tego złego... Stąd pochodzi powiedzenie Koń Saiou.

Dwie czerwone, dwie żółte i jedna niebieska

– Oj, niedobrze, panowie, niedobrze... – chrypię w kierunku pochylonych nade mną zatroskanych twarzy. Sean i Mike robią konsylium w sprawie choroby, która od trzech dni trzyma mnie przykutego do łóżka, a raczej do *futonu*. Właściwie stroną zatroskaną jest Sean, podczas kiedy Mike z jednej strony mi współczuje, a z drugiej jest lekko zgorszony widokiem takiej słabości u mężczyzny. Gdybym towarzyszył mu w nocnym joggingu i chodził regularnie na treningi, na pewno byłbym zdrowy.

Tymczasem ja zanoszę się kaszlem, w wyniku czego boli mnie każda część ciała, łącznie z tymi, o których posiadaniu do tej pory nie wiedziałem (ale Mike na pewno zna ich nazwy po japońsku, o ile tylko da się w nie kopnąć).

Opinie są podzielone. Sean chce natychmiast wieść mnie do „prawdziwego” lekarza, podczas kiedy Mike sugeruje tradycyjne metody japońskie. Lekarze są tacy i tacy, apteki też, wybór należy do pacjenta, to jest kraj demokratyczny. Ja proponuję третią możliwość: żeby poszli sobie do diabła i dali mi cichutko w kąciku umrzeć.

Wczoraj w odwiedzin do chorego przyszli Kenji i Taro z biura. Dobre chłopaki. Szkoda, że nie było z nimi Yanagidy, jej widok na pewno by mnie zaraz postawił na nogi. Ale odwiedzanie chorego mężczyzny leżącego w łóżku i jeszcze, nie daj Boże, w piżamie nie jest zajęciem dla panien na wydaniu. Kenji przyniósł ziółka produkcji swojej żony. Składniki pochodzą z apteki tradycyjnej, takiej gdzie można kupić maść z węża i nalewkę na kości udowej nietoperza. Ziółka pani Nihara mogą ponoć postawić na nogi słonia, ale – jak widać – nie gajdzina.

Dzień piąty. Chyba już umarłem, tylko dlaczego do wrót niebiańskich (albo piekielnych) jest taka długa kolejka? W końcu ktoś otwiera drzwi i zaprasza mnie do gabinetu dr. Mahito Ukai. Szanownego medyka w pokoju nie ma, zamiast niego siedzi tam pielęgniarka; zostaję zaproszony na krzesło i rozpoczyna się spisywanie historii mojego życia i wszystkich chorób przebytych od wieku lat 0.

Po dziesięciu minutach dochodzę do lat dziewięćdziesiątych i już liczę, że wreszcie ktoś

mnie zbada i da mi coś na ból gardła, ucha i wszystkiego innego. Niestety, pielęgniarka przewraca tylko ankietę, ujawniając, o zgrozo, stronę numer dwa. Czyli tę poświęconą historii rodziny i przebytych przez nią chorób.

Po dwudziestu minutach zastanawiam się, czy nie przyszła właśnie pora na zrobienie klasycznej Gajdzińskiej Awantury, łącznie z powołaniem się na „Konwencję przeciwko torturom i innemu okrutnemu, niehumanitarnemu lub poniżającemu traktowaniu lub karaniu” (ONZ, 1984) oraz straszeniem interwencją dyplomatyczną Ambasady Rzeczypospolitej Polskiej. Na szczęście do gabinetu wkracza wreszcie Jego Wysokość Pan Doktor. Obie pielęgniarki oddają mu pokłony i pozostając w tej pozycji, wycofują się drobnymi kroczkami za parawan. Co one myślą, że są gejsze czy co?

Pan doktor, facet w wieku lat może trzydziestu pięciu, patrzy na mnie ze wzniesioną brwią, po czym podnosi słuchawkę telefoniczną.

– Pani Okuyama? Mam tutaj cudzoziemca. Słucham? Tak. Tak, pacjenta. Proszę natychmiast o tłumacza.

– Nie trzeba tłumacza, ja mówię jako tako... – chrypię słabo, oczywiście po japońsku, na co doktor zakrywa dłonią słuchawkę i odpowiada, w tymże języku:

– Proszę poczekać i niczym się nie przejmować, właśnie wzywam tłumacza.

Postanawiam nie ripostować: „Tylko żeby mi to koniecznie był tłumacz japońsko-japoński, po angielsku nie mówię ani słowa!”. Nie należy igrać z panami naszego życia i śmierci.

Pan doktor studiuje z karty rejestracyjnej historię moich najbliższych.

– O, pana ojciec jest skrzypkiem, pracuje w polskiej Filharmonii Narodowej?

– Taaak – chrypię boleśnie.

– Ciekaaaawe... byłem kiedyś na ich koncercie w Casals' Hall... a może Suntory Hall? Hmm...

Na szczęście w tym momencie wkracza tłumaczka, bo jakoś nie jestem w nastroju do dyskusowania o karierze artystycznej mojego taty. Tłumaczka jest pulchna, w średnim wieku, po angielsku mówi kiepsko, co zresztą w niczym nie przeszkadza – japoński doktora

rozumiem dosyć dobrze.

Następują oględziny gardła i ucha, nasłuchiwanie, opukiwanie. Rola pani tłumaczki ogranicza się do nerwowego poszukiwania angielskiego wyrażenia na „proszę wysunąć język”, w czasie kiedy ja już dawno zdążyłem go wywalić, a doktor gmera mi w jamie ustnej za pomocą drewnianej szpatułki.

– Taaak – mówi w końcu maestro. Teraz obecność tłumaczki może się jednak przydać. Moja japońszczyzna jest rodem z pubów, gdzie rzadko omawia się listę chorób zakaźnych. Nastawiam uszu (co boli), aby poznać werdykt.

Na próżno.

– Pielęgniarka – woła zamiast tego doktor.

Pani, która mnie przepytowała z historii Polski, wychodzi zza parawanu i staje w pozie gotowości z... kolejną ankietą? Ja chyba tutaj umrę...

Okazuje się jednak, że to nie ankietą. Na kartce papieru formatu A4 wydrukowane są kolorowe kółka symbolizujące różne pigułki. Wyciągam szyję (też boli), niestety nazwy leków są dla mnie w większości niezrozumiałe. Jego Ekscelencja przemawia:

– Dwie czerwone!

– Tak jest, mistrzu¹⁶, dwie czerwone – potwierdza posłusznie pielęgniarka i stawia ołówkiem znaczki przy czerwonych kółkach.

– Dwie żółte!

Scena się powtarza dla pigułki żółtej.

Potem brew mistrza zachmurza się na chwilę, bo medytuje nad tabletką niebieską. Wszyscy wstrzymują oddech. W końcu zapada przełomowa decyzja:

– Jedna niebieska!

A więc jednak! Jedna niebieska!

Tylko co, do cholery ciężkiej, tak naprawdę mi jest?

Pytanie to w nieco grzeczniejszej formie zadaje słabym już z wycieńczenia głosem, zostaje

ono jednak zignorowane, jeśli nie liczyć lekkiego zmarszczenia pielęgniarki.

Powtarzam głośniej, najpierw po japońsku, potem dla pewności po angielsku:

– Bardzo przepraszam, na co ja właściwie jestem chory?

W gabinecie zapada cisza.

Pan doktor wstaje.

– Pielęgniarka? Proszę wydać pacjentowi leki.

Po czym wychodzi.

Widząc wyraz osłupienia na wymizierowanej przez chorobę twarzy gajdzina, tłumaczka lituje się w końcu i wyjaśnia:

– Chyba pan troszeczkę uraził doktora... To dobry doktor, młody, ale pacjenci bardzo go chwala!

– Czym ja go, na Boga, uraziłem? Zapytałem tylko, co mi jest!

– Noo... tak się nie robi... Ja rozumiem, pan obcy, to nie wie... Lekarza nie wypada pytać. On się zna na tym, co dla pana najlepsze, i zapisał bardzo dobre lekarstwa! Na pewno pan szybko wyzdrowieje!

Chcę coś mądrego powiedzieć, ale pokój zaczyna mi wirować przed oczami, więc je zamykam i opieram głowę o ścianę. Już lepiej. Co to ona mówiła? Że kiedy umrę?

Ktoś delikatnie trzęsie mnie za ramię – przyszła pielęgniarka z lekami. W malutkich, papierowych torebkach, pozbawionych jakiegokolwiek napisu czy nadruku, grzechoczą pigułki. Dokładnie tak, jak przepisał przewielebny pan doktor: czerwone, żółte i o połowę mniej niebieskich. Następuje wykład, co mam kiedy brać i w jakiej ilości. Postanawiam być cierpliwy, zresztą na niecierpliwość nie mam sił.

W końcu udaje mi się wydyszeć:

– Proszę się nie obrażać... co to są za lekarstwa?

– Bardzo dobre lekarstwa, które panu pomogą!

– Strasznie mnie to cieszy... czy to jest antybiotyk?

– Antybiotyk...? – pielęgniarka otwiera szeroko oczy ze zdumienia na widok pacjenta, który usiłuje być mądrzejszy od fachowców, po czym wzdycha i sięga po słuchawkę.

Dwie minuty burzliwej konwersacji telefonicznej później pielęgniarka oznajmia:

– Tak, to antybiotyk. A teraz proszę iść do domu i wszystko wziąć tak, jak panu wytłumaczyłam!

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. Macham na taksówkę, ale na widok gajdzina już druga udaje, że jest zajęta. Co gorsza, ten gajdzin przypomina chodzącego trupa. Zamykam oczy. Pod czaszką kołaczą mi w kółko „Słówka”: „... każda, jak to w święta, odpowiada ci: zajęta!”.

Wreszcie jakaś się zatrzymuje. Chwieję się trochę na nogach, ale czekam grzecznie, aż taksówkarz szarpnie za wajchę do otwierania drzwi. Tylko turyści chwytają w Japonii za kłamkę, co jest w mniemaniu taksiarzy zbrodnią rangi spaceru po *tatami* w zabłoconych butach.

Wsiadam.

– Proszę do Higashi Nagasaki *3chōme*.

– Pan wie, gdzie to jest?

– Tak, wiem.

– Ale czy pokaże pan, jak jechać?

– Tak, pokażę. Tylko już ruszajmy... W lewo, prosto i do Kampachi-dōri.

– A potem pan powie którądy?

– Powiem, powiem... tylko błagam, jedź pan!

Strasznie mi się chce spać, cały świat wiruje mi przed oczami, ale nie mogę sobie pozwolić na drzemkę. W Tokio pasażer taksówki ma bardzo odpowiedzialną rolę – pilota. Bez niego taksówka mogłaby przez pomyłkę zajechać na Naritę albo do Yokohamy, tylko na pewno nie pod podany adres. Zaczynam więc litanie:

– Prawo. Prosto. Prosto. Nie, jeszcze prosto. Lewo. Prosto. Prawo. Prawo. Lewo. Prosto.

Przymykam oczy, żeby nie widzieć, jak kierowca łamie cztery przepisy ruchu drogowego naraz, nawet te niepisane, mówiące: „Będziesz jechał nie szybciej niż liczba kilometrów na godzinę wypisana na znaku... razy dwa”.

– Tak, tu w prawo i zaraz w lewo. Jeszcze kawałek. Tutaj!

Płacę sumę nieco wyższą niż za usługi wielkiego mistrza rozdawania kolorowych pigułek i wysiadam.

Wspięcie się po schodkach jest wyczynem, wobec którego osiągnięcia sir Edmunda Hillary'ego w Himalajach były relaksującym, niedzielnym spacerkiem po obiedzie. Ale wszystko dobre, co się dobrze kończy. Jestem naszpikowany antybiotykiem i pod kołdrą. Jutro albo będę martwy, albo poczuję się lepiej, bo gorzej się czuć nie można.

Okazuje się jednak, że można. Mogę przysiąc, że teraz bolą mnie nawet części ciała, których nie mam. Otwieram opuchnięte oczy i widzę nad sobą anioła. Oczy kształtu migdałów, piegowaty nosek... Yumi-chan?

W pokoju jest bardzo jasno i cicho. Zegar na ścianie pokazuje pierwszą po południu. Który dziś? Mięśnie jak z waty mocują się z pilotem, włączam telewizor.

NHK1: Reportaż japonioznawczy.

NHK2: Baseball.

Fuji TV: Soap opera.

TV Asahi: Talk-show.

Tokyo TV: Wiadomości, ale daty nie ma.

TBS: Japoński film obyczajowy. Do domu wchodzi lekko zawiany mąż, a żona wytrzeszcza na niego zaszokowane oczy i mówi dramatycznym głosem: Anata...?! (pol. „Ty...?!”).

NTV: Wywiad z yokozuną¹⁷ Chiyonofuji, moim dawnym ulubieńcem, pogromcą Konishiki. Yokozuna płacze, bo przechodzi na emeryturę.

Nigdzie nie widzę, jaki to dzień tygodnia.

Zwlekam się z *futonu*. Słabym jak mucha, ale nic mnie już nie boli, a przynajmniej nie bardzo. Wciągam szlafrok i wykręcam numer do pracy.

Odbiera jedna z sekretarek. Szefa nie ma, słuchawkę przejmuje Dwayne i rozmowa przechodzi na angielski.

– Marcin, żyjesz?!

– Nie jestem pewien... Który dzisiaj?

– Wtorek, dziewiętnastego. Nie było cię półtora tygodnia!

– *Sorry*, stare zdrowie nawaliło...

– Nie przejmuj się, chłopie! Pół firmy w domu z grypą, a druga połowa w biurze z maseczkami na twarzach!

Myśl o pięknej Yanagidzie w maseczce, a Japonki wyglądają w maskach prześlicznie, bo podkreśla to urodę ich oczu i ukrywa często nie najprostsze zęby, pobudza mnie do akcji.

– Słuchaj, Dwayne, powiedz szefowi, że jutro spróbuję przyjść do pracy.

– Nawet się nie waz! Po odwiedzinach u ciebie Kenji zaraportował, że już jesteś jedną nogą w grobie. Szef dał ci zakaz pokazywania się w biurze do końca tygodnia. Marsz do łóżka i kurować się! Zdrowiej szybko. Do zobaczenia w poniedziałek!

Człapię do kuchni zrobić kawę. I coś zjeść, bo nagle czuję, że mógłbym zjeść wołu.

Ktoś wyraźnie o mnie dbał, bo zapasy nafty do piecyka uzupełnione. Nie wiem, czy miałbym siłę przytachać dziś na górę dziesięciolitrową bańkę. W lodówce też pełno, nawet po odjęciu wyraźnie przeterminowanego mleka i jajek o statusie nieznanym. Za to pojawiły się różne wiktuały, jakich na pewno bym nie kupił. Sean ani Mike też, bo obaj boją się kupować jedzenia w torebkach, przez które nie widać, co jest w środku. Sean, co prawda, umie zapytać w sklepie o co trzeba, ale nie zawsze zrozumie odpowiedź. Dlatego parę razy kupił składnik jakiejś egzotycznej japońskiej potrawy, myśląc, że to zwykła pasta rybna czy „misio”.

Ciekawe...



Nagle czuję, że mógłbym zjeść wołu.

Siódma. Do domu wkracza Mike i cieszy się, że trup ożył. Pogrzeby są w Japonii bardzo kosztowne. Robimy sobie herbatę.

– Znalazłeś list od tej małej? Zostawiła go gdzieś tutaj, gdy wychodziła na samolot, a ty spałeś.

– Jakiej małej?

– No, tej co przyleciała z Kiusiu w weekend. Sięgała mi do pasa...

Świat wiruje wokół mnie, niewątpliwie z powodu osłabienia pochorobowego, ale jestem wdzięczny, że siedzimy na podłodze i nie ma z czego spaść.

– Dawaj ten list!

– Spoko, gdzieś tu był... Eee... *sorry*, chyba go przez pomyłkę włożyłem do kieszeni płaszcza...

– Jeszcze się z tobą porachuję – warczę, rozrywając kopertę.

Kochany Maru-chan,
za godzinę będę musiała jechać na lotnisko i wracać do domu,
a Ty śpisz, więc postanowiłam napisać. Przyleciałam w sobotę,
bo zadzwonił do mnie Twój przyjaciel Sean. Znalazł mój numer
w Twoim notesie, a bardzo się o Ciebie martwił. Byleś tak chory,
że nie wiem, czy w ogóle pamiętasz moją wizytę.

Sean powiedział, że pracuje cały dzień, a ktoś powinien z Tobą posiedzieć. Kiedy przyleciałam, pojechał po mnie na lotnisko i przywiózł tutaj. Był bardzo miły, chociaż nie wiem, dlaczego tak się interesował moją rodziną, pytał mnie, czy nie mam siostr albo kuzynek w swoim wieku.

Dzisiaj masz już dużo niższą gorączkę i wyglądasz zdrowiej. Na półce w kuchni położyłam ciastka z Kiusiu, te, które tak Ci smakowały. Twój wysoki kolega obiecał, że postara się ich nie zjeść. Pamiętaj, żeby brać lekarstwa! Na pewno niedługo wrócisz do zdrowia.

Jestem bardzo ciekawa, co u Ciebie słychać. Sean mówił, że pracujesz w firmie jako informatyk. Jestem z Ciebie dumna, chociaż trudno mi wyobrazić sobie mojego szalonego autostopowicza jako salarymana...

U nas na uniwersytecie jest już e-mail, więc możesz do mnie napisać. Kończę niedługo ostatni rok studiów. Jak pewnie wiesz, jestem zaręczona. On nazywa się Mahito Ashizaki, pisałam Ci o nim w zeszłym roku. Mahito też chciałby Cię poznać. Planujemy wziąć ślub w przyszłym roku, a może za dwa lata, bo chcę trochę popracować, zanim zostanę kura domową... Pamiętam, że to Ty nauczyłeś mnie tego wyrażenia! Pamiętasz, jak się śmialiśmy, że na razie jestem kurczakiem domowym? Nigdy nie zapomnę tego lata, kiedy do nas przyjechałeś. I dzoburokki na Oni no Sentakuita... Mam nadzieję, że zawsze będziemy przyjaciółmi.

Wracaj szybko do zdrowia, Maru-chan. I napisz czasem do mnie, jak Ci idzie!

Twoja przyjaciółka,
Yumiko Mizushima (s127664@kumamoto-u.ac.jp)

Mike przygląda mi się z rozbawieniem, kiedy grzebię w szafce w poszukiwaniu chusteczek. Ależ człowieka rozkleja taka długa choroba...

– Trzeba ci było widzieć, jak ona się tobą opiekowała! Jak troskliwie wycierała rozgorączkowane czoło chorego, jak obmywała cię gąbką, he, he...

– Nie masz z czego rechotać, to po prostu przyjaciółka. Zresztą zaręczona z Japończykiem.

– Zaręczona to ona może być, ale nie chciałbym być tym facetem po ślubie! A jak ona na ciebie patrzyła... miodzik...

– Przestań! To wspaniała dziewczyna, a ja jej życzę wszystkiego, co najlepsze, i cieszę się

z jej ślubu! Słyszysz?

– OK, OK, nie ma się co unosić... ja tylko trochę byłem zazdrosny... żadna kobieta tak na mnie w życiu nie patrzyła... Nie chciałem cię urazić, stary.

– Nie ma sprawy. Temat zamknięty. Wracam do wyrka, bom jeszcze kapkę słaby.

Słabo mi bardziej niż kapkę, a co gorsza, głupio, bo wydarłem się niepotrzebnie na Bogu ducha winnego Mike'a. Zawsze po grypie (jeśli to była grypa) mam dziwne skoki nastrojów. Poza tym dzielenie z kimś mieszkania ma swoje dobre strony, ale czasem bywa wkurzające. Dziś akurat dużo bym dał za trochę spokoju i samotności.

Mike chyba to instynktownie wyczuwa, bo wcześniej niż zazwyczaj idzie na swój nocny jogging.

Myszę, czy zadzwonić do Seana i podziękować za ściągnięcie siostry miłosierdzia albo opieprzyć go za ściągnięcie jej aż z Kiusiu, ale zamykają mi się oczy i odpływam.

Środa. Spałem chyba szesnaście godzin non stop. Rytm dzieńno-nocny zupełnie rozregulowany. Na schodkach dudni głośniejsza niż zazwyczaj kanonada kroków. Mike nigdy nie wraca z pracy tak wcześnie. Idę otworzyć.

Patrzy na mnie ogromny, plastikowy talerz. Patrzy i mówi:

– Otwórz szeroko drzwi, nie mieszczę się.

Talerz ma akcent irlandzki, więc nieco uspokojony cofam się do mieszkania.

Talerz wchodzi, okazuje się przy okazji pokaźnych rozmiarów anteną satelitarną, za nią Sean, a za Seanem...

– Akira! Kopę lat!

– Dzień dobry! Czy już lepiej się czujesz?

– Tak, dziękuję stokrotnie! Skąd się tu wziąłeś o tej porze? Nie pracujesz? Wchodź!

Sean i Akira wnoszą do sypialni przemysłowe ilości kabli, przekaźników, zasilaczy i czarnych skrzynek niewiadomego przeznaczenia.

– Panowie, w wiele rzeczy uwierzę, tylko nie w to, że znaleźliście na ulicy komplet do telewizji satelitarnej.

– Nie, to satelita przechodni – mamrocze Sean, usiłując znaleźć w czarnej skrzynce dziurę odpowiadającą kształtem dziwnie wyglądającej wtyczce na końcu grubego kabla.

– ?

– Lepiej potrzymaj ten kabel, to będzie z ciebie jakiś pożytek. Mistrz pracuje i potrzebuje skupienia. Wyjaśnienia później.

Akira otwiera okno, by zamontować antenę na balustradzie. Robi się zimno – wycofuje się do salono-jadalnio-kuchni, skąd przez uchylone drzwi obserwuje postęp prac. W końcu ostatni kabel zostaje wetknięty do mojego magnetowidu (producent: Sanyo, model: VTC-HF335, źródło: brama za sklepem RTV w Nagayama), pora dostroić antenę. Idę nastawić czajnik na herbatę, a z sypialni dobiegają mnie okrzyki:

– Do góry! Nie za wysoko! W dół! Jeszcze! Teraz w lewo! Tak trzymaj!

Po chwili Akira pokazuje się w kuchni i oznajmia, że wszystko gotowe.

– Nie posiadam się z radości, ale CO właściwie jest gotowe?

Sean ogrzewa dłonie nad piecykiem naftowym i zaczyna:

– Było tak. W lecie, jak może pamiętasz, był mundial. Miałem dwa wyjścia: albo wyjechać do jakiegoś normalnego kraju, gdzie pokazują to w telewizji, albo zdobyć sprzęt do telewizji satelitarnej. No i dogadałem się z tym oto facetem (a lepszego pod słońcem nie znajdziesz, daj piątkę, Akira). On zapłacił dziewięćdziesiąt procent, ja dziesięć. Chciałem dwadzieścia, ale się nie zgodził, złoty człowiek. Zainstalowaliśmy cały zestaw u mnie na czas mistrzostw świata, a potem już na stałe u niego. No i tak. W zeszłym tygodniu spotkałem Akirę w Ekocie i opowiedziałem o twojej chorobie. A on, człowiek gołębiego serca, postanowił ci umilić długie godziny w łóżku, przynosząc tutaj na czas choroby zestaw satelitarny.

– Ale... ja już prawie wyzdrowiałem!

– Nie szkodzi – wtrąca Akira – Sean mówił, że jesteś na urlopie do końca tygodnia, zanudzisz się na śmierć. Ja prawie nigdy nie oglądam kanałów satelitarnych. Są zresztą, muszę

uprzedzić, tylko trzy. A właściwie dwa, bo trzeci płatny: WOWOW; lecą tam same filmy, ale abonament za wysoki. No nic, muszę wracać do biura, zerwałem się na parę godzin z pracy, żeby założyć antenę w świetle dziennym.

Wymuszam na Akirze obietnicę, że wpadnie jutro i opowie więcej: gdzie pracuje, czy ma kobietę i tak dalej. Ostatnio kiedy go widziałem, kończył studia. Sean też ucieka, bo prowadzi teraz do spółki z pewną (brzydką zresztą i antypatyczną) Japonką szkołę językową o nazwie „English is Easy”; zrobił się zajęтым nauczycielem i managerem.

Wracam do ogrzanej już sypialni i uruchamiam nową zabawkę. Faktycznie, dwa kanały.

W sumie o tym wiedziałem, Sean napisał kiedyś na temat miejscowej telewizji cały artykuł do swojej irlandzkojęzycznej gazety. Otóż Japonia to kraj demokratyczny, społeczeństwo głosi wolność słowa i niezależność prasy. Ale wszystko, co dobre, to z umiarem i bez przesady, do której tak skłonni są cudzoziemcy. Dlatego każda z pięciu głównych gazet jest ściśle złączona więzami własności z każdą z głównych pięciu stacji telewizyjnych. Dlatego wszystkie mocarstwa komercyjne rządzące tym krajem mają pokaźne udziały w wyżej wymienionych gazetach i stacjach, gwarantując przyzwoity poziom przychylności dla swoich produktów i usług. Dlatego w końcu satelitę co prawda wolno mieć (w przeciwieństwie do większości krajów azjatyckich, gdzie to po prostu jest zakazane), ale nie bez restrykcji. Co by to było, gdyby młodzi ludzie mogli odbierać telewizję z Zachodu w ogóle nieprzefiltrowaną i nieocenzurowaną? Strach pomyśleć! Zupełnie by im się w głowach poprzewracało! Wystarczy, że sobie farbują włosy na blond i piją coca-colę zamiast zielonej herbaty...

Dlatego telewizja narodowa NHK ściaga z Zachodu programy, po czym uważnie je bada pod kątem potencjalnego wpływu na degrengoladę społeczeństwa japońskiego. Nie daj Boże w jakimś filmie widać błysk nagiego ciała? Trzeba wtedy natychmiast zasłonić części intymne misterną, cyfrową mozaiką z kolorowych kwadracików, zgodnie z ustawą o ochronie moralności publicznej. A może jakiś długowłosy hipis będzie zachęcał do anarchii i nielegalnych ziół? To się wytnie... Dopiero kiedy wszystko jest dopasowane do wysublimowanego japońskiego gustu, wysyła się program z tokijskiej stacji NHK w górę, do satelity, i z powrotem na dół, do domów. Oczywiście można by te programy równie dobrze wysłać telewizją naziemną, wolnych kanałów jest jeszcze masa, ale wtedy ktoś mógłby powiedzieć, że Japonia jest za biedna albo nie ma technologii satelitarnej. Zgroza!

Zaczyna się akurat zachodni film w wersji dwujęzycznej, przełączam pilotem na angielski i wpełzam pod kołdrę. Całe to zamieszanie z satelitą nieźle mnie wyczerpało. Kochane chłopaki, że pomyśleli o moich potrzebach rozrywkowych i tak się napracowali dla głupich kilku dni rekonwalescencji.

O siódmej wkracza Mike z obiadem. W ramach fajki pokoju pojechał do pana Tarei i przywiózł *okonomiyaki*. Jest mi jeszcze głupiej niż wczoraj...

- Wow! Mamy satelitę?
- Nie ma się czym podniecać, tylko dwa kanały.
- Jak to dwa? Zepsuty?
- Nie, po prostu ten kraj tak ma.
- Ściemniasz.

Film się akurat skończył, wyłączam telewizor i z pełnymi ustami *okonomiyaki* zabieram się do wyjaśniania specyficznego odcienia wolności słowa i przekazu *à la japonaise*. Nie idzie łatwo. Mike, produkt kraju Wielkiej Wolności, nie kupuje rozwiązań pośrednich:

- Wolność słowa albo jest, albo jej nie ma!
- Nie, pomyliło ci się z dziewictwem... Z takim zerojedyńkowym podejściem daleko w Japonii nie zajedziesz, przyjacielu. Tutaj nic nie jest białe-czarne. Ani prawo, ani moralność, ani obyczaje. Nie ma bieli i czerni – jest tysiąc pastelowych odcieni. Nawet pacjent nie jest zdrowy albo chory, a jak już jest chory, to nie na konkretną chorobę, którą dałoby się nazwać po łacinie. Nie, on tylko potrzebuje jednej z nieskończonej ilości kombinacji kolorystycznych tajemniczych pigułek bez nazwy...

Piątek. Dawno nie naoglądałem się tyle telewizji. Ale cóż robić, kiedy człowiek przykuty jest do łóżka. No, z tym przykuciem to przesada. Wczoraj przyszła Edyta Nowakowska, dzielna pani magister, kiedyś w roli ekspedientki Seibu Loft, teraz już na poważniejszym stanowisku w biurze Seibu Ikebukuro. Edyta wygnała mnie do kabiny prysznicowej, po czym doprowadziła mieszkanie do stanu takiej czystości, jakiej nie zaznałem od dnia, kiedy się wprowadziłem. Ja chyba częściej muszę chorować?... Nie widziałem jej od pół roku, taka jest

zajęta w tym Seibu. Po zakończeniu Wielkich Porządków opłotkowaliśmy pół Tokio i dwie trzecie Warszawy.

Potem dzwoniła z życzeniami zdrowia mama dzieci z Takadanobaba, tych zarozumiałych. Skąd ona wiedziała? Widać o mojej chorobie mówi całe miasto, a jest tego trochę: dziesięć milionów luda...

Za chwilę przyjdzie Sean; poprosiłem go, żeby zrobił zakupy. Jestem już, co prawda, mniej więcej na chodzie, ale na dworze zimno i wieje.

Dzwonek do drzwi.

– Popatrz, co ci przyniosłem – Sean otwiera szerzej drzwi.

– Jun-*chan*!

– Dzień dobry nauczycielu...

– Przestań mi tu nauczycielować i wchodź szybko! Kopę lat! Ale z ciebie wyrosła piękna dziewczyna...

– Nie...? – mruczy Sean, a oczy ma całkiem maślane.

Junko przyniosła nalewkę śliwkową produkcji własnej, która gwarantuje szybkie wyzdrowienie z każdej choroby, od sercowej po fizyczną. Sean przystępuje do testowania kuracyjnych właściwości nalewki na ten pierwszy rodzaj przypadłości.

Dzwoni telefon. To Akira. Pyta, czy może przyjść i czy czegoś mi nie potrzeba. Zaczyna to wyglądać na imprezę, więc zamawiam piwo. W głosie Akiry słychać lekką wątpliwość, ale oczywiście obiecuje przynieść. Chorym się nie odmawia...

Ledwie odłożyłem słuchawkę, a telefon znowu dzwoni. To Mike, z pytaniem czy może przyprowadzić przyjaciela. A może przyjaciółkę? Angielskie słowo *friend* nie wskazuje na konkretną płć. Zapraszam owego (ową) przyjaciela (przyjaciółkę) i idę do szafy schować głęboko pod *futony* kopię „Szatańskich wersetów” Salmana Rushdiego, na wypadek gdyby tajemniczym (tajemniczą) nieznajomym (nieznajomą) okazał się Amir – jeszcze mi tu wypowie świętą wojnę.

Na schodach dudni, jakby wbiegała na górę rota wojska. To Mike i gość. Nie, goście, bo

chyba wyczuwając moje wątpliwości, na wszelki wypadek przyprowadził reprezentantów obojga płci: Irańczyka Amira z pracy i Austriaczkę imieniem Monica ze szkoły karate. Monica patrzy na niego wzrokiem może nie tak maślanym jak Sean na Junko, ale prawie. Ma z metr osiemdziesiąt, więc pewnie będą z tego związku przyszłe gwiazdy koszykówki.

Balanga wrze. Przez moje mieszkanie przewijają się ogromne rzesze ludzi wszystkich możliwych płci, ras, narodowości i wyznań. W salono-jadalnio-kuchni jest głośno i wesoło, potężne dwustuwatowe kolumny (diatone DS-77EXV) wprowadzają podłogę w drgania. Oj, trzeba będzie jutro pomaszerować do gospodyni z prezentem... W sypialni trochę spokojniej, tutaj ludzie wpadają sprawdzić, czy choremu się poprawia, wyrazić swoje ubolewanie, że nie wolno mu pić żubrówki, i odpocząć trochę przed powrotem do dyskoteki.

Przed chwilą odwiedził mnie Toshi Yamada, stary znajomy z kendo, przez którego poznałem Mike'a. Przyniósł prezent od chłopaków ze starego *dōjō*. Głupio mi, bo przestałem trenować, odkąd zostałem *salarymanem*. Za nim Amir, który będąc z zawodu elektronikiem, interesuje się moim nowym sprzętem, natomiast baranieje, widząc, że na satelitarnym NHK leci akurat dokładnie ten sam program co w NHK naziemnym. Amir ma w ręku puszkę piwa, więc chyba nie jest jakimś specjalnie gorliwym muzułmaninem, pewnie nie miałem się co przejmować „Szatańskimi wersetami”. Potem wkracza baaardzo piękna, młoda kobieta, w której z trudem poznaję Eriko Kiuchi, cztery lata temu moją uczennicę – dość pyzată, chociaż świetnie zapowiadającą się dziewczynkę – a teraz... wow. Wszystko się zmienia, jakby powiedział mój znajomy, Tarei-san. Eriko wręcza butelkę bardzo ekskluzywnej *shōchū* (prawda – jej rodzice prowadzą sklep z alkoholem) jako prezent na szybkie wyzdrowienie. Za nią ciągnie się ogon gajdzińskich wielbicieli, widzę wśród nich ze zdumieniem Taro z pracy. Ach tak, przecież przyniósł mi ciastka z Hokkaido na wyzdrowienie...

Ogon jęczy głucho i boleśnie, kiedy Eriko pochyła się nade mną i całuje mnie w policzek – zachowanie u Japonki niebywałe, ale lata temu miałem z jej grupą lekcję o różnych zwyczajach powitalnych i dzieci zapamiętały, że Polaków trzeba po długim niewidzeniu całować...

Eriko wraca do balangowni, ogon posłusznie rusza za nią.

Trzecia nad ranem. Muzyka wyłączona, mniej wytrzymali goście już sobie poszli, została sama hardcorowa wiara. Wyjmujemy z szafy wszystkie materace i rozkładamy pod ścianami w

charakterze siedzisk. Czas na Nocne Gajdzinów Rozmowy. Nie, nie tylko gajdzinów – społeczeństwo naszych gospodarzy reprezentowane jest przez Akirę, Junko i Eriko. Wszyscy zwalają się na zrolowanych *futonach*. Widać wyraźne sparowanie towarzystwa: Sean trenuje na Eriko słodkie słówka po japońsku (a byłbym przysięgł, że pięć godzin temu zalecał się do Junko; aha, to było, zanim przyszła Eriko; zaraz, czy Eriko jest pełnoletnia?). Austriaczka złożyła blond główkę na ramieniu bostończyka (nie lada wyczyn bez drabiny). Junko, o dziwo, siedzi zaledwie dziesięć centymetrów od Akiry, co w Japonii jest odpowiednikiem namiętnego pocałunku. Zaśmiewają się z jakiejś historii – chyba wspominają procesję uliczną z lodówką na rowerze, kiedy pomagali mi w przeprowadzce. Dwayne (bo i on przyszedł) oraz ja jesteśmy, niestety, niesparowani.

Moja choroba sprowadza rozmowę na tematy medyczne, co wykorzystuję, by ponarzekać na kolorowe pigułki.

– Zaraz, spokojnie – mówi Sean – to wcale nie jest takie głupie.

– Dobrze mówi, dać mu żubrówki! – wtóruje Dwayne.

– Chwilunię, mówi się! – dopomina się swoich praw Sean. – Ja to widzę tak. W Europie idziesz do doktora, wypisuje ci jakieś leki na recepcie. Co to jest i tak nie wiesz, bo pisma lekarza nie można rozczytać. Potem, jak źle byś się nie czuł, musisz cwałować do apteki, żeby te leki wykupić, a módl się przy tym, żeby były w pierwszej aptece, do której trafisz... A tutaj dostajesz wszystko na miejscu w torebeczce, i to dokładnie w takiej ilości, jaką masz wziąć, nic się nie zmarnuje, nic nie przepłacisz!

– Tak jest! Dolać mu „żubra”! – to oczywiście Dwayne.

– No dobra, ale Marcin dostał jakieś antybiotyki i nikt mu o tym nie powiedział. Nie kazali mu dobrać ich do końca, rozumiesz? – popiera mnie niespodziewanie Monica.

– Do końca? – Eriko nie rozumie.

– No wiesz, antybiotyku nie wolno przestać brać po dwóch dniach, jak tylko się lepiej poczujesz.

– Nie można? – Eriko otwiera szerzej swoje oczy modelki, na co Sean prawie spada z *futonu* i krztusi się piwem. Eriko przystępuje do akcji ratunkowej w postaci poklepywania go

po plecach, Sean jest więc bardzo zadowolony, że się zakrztusił.

Tłumaczymy wspólnymi gajdzińskimi siłami zasady brania antybiotyków. W Japonii są one generalnie administrowane jako panaceum na wszelkie dolegliwości – od pojedynczego kichnięcia włącznie, nikt też nie przestrzega zasady wzięcia ich pełnej dawki. Koszmar.

Jeszcze gorsze jest to, że kończy się piwo, więc Sean zostaje wysłany do „zepsutego” automatu za rogiem. Eriko, jako fachowiec w sprawach alkoholu, idzie mu pokazać, gdzie to jest. Przypominam sobie, że to ona pierwsza uświadomiła mi, że te maszyny wcale nie są zepsute... ile to lat temu? Była wtedy praktycznie dzieckiem...

Dwayne, wykazując wyjątkowy brak wyczucia towarzyskiego, postanawia im towarzyszyć. Udaje nam się go przygwoździć do ziemi i dosłownie w ostatniej chwili wybić mu z głowy karierę przyzwoitki – włożył już jeden but i... maseczkę z gazy na twarz, powodując atak radości u Mike'a i jego Austriaczki.

– Ja wiem, że jeśli wpadniesz między wrony... ale żeby aż tak? Boisz się, że kogoś zarazisz w drodze do taksówki o czwartej nad ranem...? Ha, ha, ha!

– Maseczki wcale nie są po to, żeby nie zarażać innych – obraża się Dwayne.

– Jak to nie są po to, przecież wszyscy wiedzą... – zaczyna Mike.

– Hotele kapsułkowe! – wołam złośliwie.

– No nieeee, on mówi, że wszystko, co napisano o tym kraju, to nieprawda...

– Co ty się mnie pytasz? Ty się natychmiast zapytaj autochtona! A masz ich tutaj kilku.

Mike i Monica biorą się za przepytywanie Akiry i Junko. Junko właśnie usuwa Akirze jakiś pyłek z ramienia, co w Japonii nie jest już nawet odpowiednikiem pocałunku, tylko namiętnego aktu płciowego na środku publicznego skweru.

– Ja noszę maseczkę, gdy jestem przeziębiona, bo wtedy mniej boli gardło – mówi Junko.

– I mniej nos wysycha – dodaje Akira.

– I jest jakoś tak przyjemniej – przekonuje Junko.

– I wilgotniej – wtóruje Akira.

Wszyscy zwracają się w końcu do mnie, guru w zakresie *REI JAPONICAE*.

– Dobrze mówią moi przyjaciele, pełne prawdy i rozumu są ich słowa – intonuję.

– Żubrrrrrrówka!!! – krzyczy Dwayne, który ostatnio opanował polskie „rrr”.



Maseczka przeziębieniowa – jeden z genialniejszych (i najczęściej źle interpretowanych) wynalazków japońskich.

– Zamknij się, Dwayne. Gdzie ja byłem? Aha. Więc maseczkę nosi się dlatego, że ogrzana własnym oddechem powoduje ocieplenie i nawilgocenie wdychanego powietrza, co jest korzystne dla śluzówek w nosie i gardle. Nie ma to nic wspólnego z poczuciem obowiązku społecznego i niezarażaniem innych, jak to piszą w książkach o Japonii, które tak zawzięcie

studiował niegdyś Mike. A przynajmniej niewiele...



– Mnie też wyszła śluzówka – mówi Dwayne. – Ale nie maseczki mi trzeba, tylko... O, przyszło piwo! I żubrrrrrówka!!!

W jaki sposób spacer do automatu, który jest pięćdziesiąt metrów stąd, zajął Seanowi i Eriko 20 minut, nie wiem, ale sądząc po zarumienionym stanie obojga, czas zmarnowany nie został.

Balanga ciągnie się w najlepsze.

Jestem już mocno padnięty i wyłączam się z rozmów, siedząc sobie zawinięty w kołdrę w

kąciku i patrząc na rozpalone twarze i błyszczące oczy moich przyjaciół. Najlepszych, jakich człowiek może mieć. Żeby się o tym przekonać, trzeba porządnie zachorować...

Czyli nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie, szlachetne zdrowie, nikt się nie dowie – i parę innych aforyzmów. Dla tego wszystkiego zdecydowanie warto było znieść ankietę osobową, obrażonego doktora i pigułki: dwie czerwone, dwie żółte, a nawet jedną niebieską.

- Zdrrowie Marrcina! – ryczy Dwayne.
- Zdrrrrrrowie! Żeby nam więcej nie chorował!
- I żeby robił więcej imprez!

Rozdział 9



人恋し
灯ともしころを
さくらちる

Tęsknota...
w mroku opada
płatek kwitnącej wiśni.

Wolny przekład haiku pióra Kaya Shirao (1738-1791).

Seks po japońsku

Nazywam się McKenna. Sean McKenna.

Po irlandzku nazwisko to pisze się Mac Cionaoith (syn Cionaoitha). Taki napis matka wyhaftowała misternie na rękawach moich koszul, zanim ruszyłem w drogę z Dublina do Tokio. Bracia pozielenieli z zazdrości.

No dobrze – od czegoś trzeba było zacząć ten pamiętnik. I zacząłem. Co dalej? Potrzebny byłby tytuł, ale na razie nie mam pomysłu. „Tajne zapiski Seana”? „Irlandczyk w Tokio”? „Seana zwierzenia intymne”?

Tygodnik „Foinse” od dwóch miesięcy nie kupił ode mnie artykułu, postanowiłem więc pisać do szuflady. Muszę doskonalić kunszt literacki. Kto wie, może kiedyś będę sławny i te nieformalne szkice będą warte fortunę? W najgorszym razie dam je Marcinowi; wciąż powtarza, że chce napisać książkę.

Wolność! Mogę wreszcie pisać, co chcę i jak chcę, nie przejmując się uniesioną brwią tej głupiej krowy Jaysee, mojej redaktorki z Dublina. Zero poczucia humoru i zrozumienia dla Sztuki, zołza jedna.

Przyszła wiosna. Tokio tonie w zieleni. Jakim cudem miasto, w którym domy, ludzie i samochody niemalże ocierają się o siebie we wszechobecnym ścisku, może tonąć w zieleni? A jednak może. Tokio, mimo niewyobrażalnego dla nas, Irlandczyków, tłoku i ścisku, wypuszcza wiosną zielone pędy.

Z mojego okna widzę dwa domy naprzeciwko – stoją tak blisko siebie, że wciśnięty między nie rower (każdy centymetr kwadratowy trzeba przecież wykorzystać) ma wymontowaną kierownicę – inaczej by się nie zmieścił. A przecież nawet w tej szczelinie troskliwa ręka posadziła jakiś krzaczek (co prawda nie pomyślała o tym, jak potem wyciągnie rower, który znalazł się teraz ZA krzaczkiem, ale cóż, nie wymagajmy zbyt wiele inteligencji od ręki).



Tokijskie parki – temat na oddzielny artykuł.

Przed domem – dwa piękne drzewa. Posadzono je na przestrzeni równej (w przybliżeniu) zeru metrów kwadratowych. Z jednej strony napierają one na ścianę, z drugiej zagrażają ruchowi drogowemu. Ale są. Kwitną.

Wreszcie parki. Temat na oddzielny artykuł. Kilka słynnych, ogromnych: ogrody cesarskie, Ueno-koen, Harajuku, Higarigaoka. Jest też mnóstwo mniejszych – wokół świątyń, i całkiem malutkich – jak ten w Chihaya-chō, rozmiaru chusteczki do nosa, ale jak zadbanych! Każde drzewo, każda plama zieleni jest tutaj dopieszczana, hołubiona. Japończycy umieją troszczyć się o to, czego mają niewiele. A na tej wyspie wszystkiego mają niewiele poza sobą – poza nieprzebranymi rzeszami ludzi. Jakże to różne od Irlandii, gdzie mamy bogactwo przestrzeni, owiec i brytyjskich szpiegów, a brak nam właśnie narodu, który losy historii rozwiały we wszystkie strony świata.



Sezon *sakury* – całodziennie libacje *salarymanów* w rozkwieconych parkach.

Za parę tygodni na wszystkich skwerach zakwitną słynne japońskie wiśnie. Rozpocznie się sezon *Sakura Party*, czyli całodziennych libacji *salarymanów* na świeżym powietrzu, w rozkwieconych parkach. A potem już tylko deszcz blad różowych, prawie białych płatków.

Dla mnie wiosna w Japonii to kwitnące drzewa i dziewczyny – roześmiane, w kolorowych sukienkach, z nagimi ramionami, których widoku tak mi brakowało przez trzy długie, zimowe miesiące.

O tym chcę pisać – o dziewczętach i kwitnącej wiśni.

Wyszedłem wczoraj z domu spóźniony. Parząc się, połknąłem poranną herbatę i pobiegłem na stację. *Salaryman* może wejść do biura parę minut po czasie (Marcin, o ile mi wiadomo, spóźnia się nagminnie), nauczyciel – nie.

Przed stacją kupiłem Przyjaciela Kalorii i gazetę. Wredny kioskarz jak zwykle udawał, że mnie nie widzi, a potem, że nie rozumie, co to jest gazeta. Na pewno bydlak jest szpiegiem rządowym i raportuje, co robią cudzoziemcy w Higashi Nagasaki. Ja go jeszcze kiedyś rozpracuję.

Jechałem w czwartym wagonie, ale o przejściu do pierwszego (by skrócić sobie bieg do Yamanote-sen) nie było mowy. W Ikebukuro wysiadłem i już miałem przybrać pozycję

startową przed ostrym sprintem w stronę Yamanotki, kiedy usłyszałem:

– Masz czas?

– Masz miejsce? – odpowiedziałem instynktownie, bo głos był damski, młody i melodyjny.

Pytanie zostało zadane, o dziwo, po angielsku, chociaż z wyraźnym japońskim akcentem. Przez chwilę czułem się skonfundowany i nie mogłem zidentyfikować, kto mnie zaczepił. Nie żeby takie rzeczy nigdy mi się nie zdarzały (na brak popularności nie mogę tutaj narzekać), ale – bądźmy w miarę uczciwi przynajmniej wobec własnego pamiętnika – rzadko w biały dzień na zatłoczonym peronie w Ikebukuro. Co innego nocą, w Roppongi, kiedy ciepły, wiosenny wiatr niesie odurzającą woń feromonów...

Autorka tych odważnych (jak na Japonkę) słów była niskiego wzrostu (nawet jak na Japonkę). Podniosła nieśmiało głowę, żeby na mnie spojrzeć. Oczy miała piękne, w odrobinę jaśniejszym odcieniu brązu niż ten typowy dla tutejszych kobiet. Poza tym zwykła, ładna dziewczyna, żaden olśniewający cud piękności w stylu Eriko Kiuchi, ale przyjemna. I – o dziwo – z biustem, co na tych wyspach nie jest, niestety, standardem. I – co jeszcze rzadsze – mówiąca po angielsku!

– Masz czas porozmawiać? – powtórzyła.

O nie, pomyślałem, znowu ktoś chce darmowych konwersacji na ulicy... Coś mnie jednak powstrzymało. Nie zbyłem jej paroma słowami, nie pobiegłem w stronę bramek biletowych. Uśmiechnąłem się, a ona uśmiechnęła się do mnie. Staliśmy tak chwilę, podczas gdy rwąca rzeka *salarymanów* cwałujących wzdłuż peronu opływała nas wartkim nurtem niby samotną wyspę.

– Nazywam się McKenna. Sean McKenna. Nie wiem, czym zasłużyłem na (pochlebiającą mi zresztą) uwagę osoby tak czarującej jak pani...

– Jestem Yuna. Widziałam cię w Higashi Nagasaki.

Tak, kobiety mnie zauważają. To źródło niejednego problemu.

– Czy pani tam mieszka?

– Aha...

– Ja też! Cóż za niezwykle zbieg okoliczności! Myślę, że powinniśmy to jakoś uczcić. O której kończy pani pracę?

– Mam zajęcia do siódmej...

– Czy mogę w takim razie ośmielić się zaproponować pani spotkanie przed stacją o godzinie siódmej trzydzieści? – nonszalanckim gestem wyciągnąłem z kieszeni notes elektroniczny Casio (prezent od Marcina, niestety z instrukcją obsługi po japońsku) i uderzyłem na oślep w kilka klawiszy. – Taaak... siódma trzydzieści... Teraz, niestety, muszę się oddalić. Mam ważne spotkanie rady nadzorczej...

– OK.

Yuna uśmiechnęła się i kiwnęła głową. Potem zniknęła w tłumie.

Przemile dziecko, pomyślałem. Jaka inteligentna i wrażliwa... A... mój pociąg?

Wysoki (ten od Marcina) byłby ze mnie dumny. Przebiegłem dystans między peronami Seibu-sen a Yamanotką z prędkością światła; Carl Lewis zbladłby z wrażenia.

Lekcje wlokły się jak tokijski ruch uliczny w godzinach szczytu. W czasie pierwszej przerwy gorączkowo szukałem zastępstwa. Po zajęciach z grupą dorosłych (18.30–19.00) zdążyłbym wprowadzić do Higashi Nagasaki na 19.30, ale nie miałbym czasu na prysznic, a trzeba przecież jakoś wyglądać. Nie wspomnę już o bałaganie w domu. Gdzie ja schowam tę górę ubrań? Muszę wreszcie zainwestować ¥3000 w najprostszą szafę ubraniówkę, taką z paru pałaków i plastikowego, zapinanego na suwak pokrowca.

W końcu o 12.00 dodzwoniłem się do Briana z Hoya, zgodził się wziąć moją wieczorną grupę. Anglik, ale dobry człowiek. Muszę mu kiedyś postawić piwo.

Właściwie niewiele pamiętam z tego wieczoru. Poszliśmy do dużego pubu w Shīnamachi, który ona знаła (o dziwo), a ja nie (o zgrozo). Niestety nie było karaoke. Kiępsko, bo jestem (jak mawia Marcin) mistrzem świata i okolic w interpretacji „Bridge Over Troubled Water” Simona i Garfunkela. Nie mówiąc o „Danny Boy”. Karaoke nie było, był za to guinness. Piłem go niejako z obowiązku patriotycznego, bo – wstyd przyznać – wolę kirin ichiban shibori.

Pub składa się z jednej dużej sali, pełnej studentów – nie, lepiej: studentek – z pobliskiego

Rikkyō Daigaku. Jak mogłem o tym nie wiedzieć?

O czym rozmawialiśmy, nie jestem w stanie odtworzyć. Pamiętam tylko, że w pewnym momencie wróciłem do mojego porannego pytania o miejsce – tym istotniejszego, że mimo zastępstwa nie zdążyłem zrobić porządku w domu. Poza tym nowo poznane damy niekoniecznie muszą wiedzieć, w jakich warunkach mieszkam. Jeśli zakładają, że w trzypokojowym *mansionie* z własną łazienką, tym lepiej dla nich. I dla mnie...

Nie pamiętam także, czy wybór miejsca uzasadniliśmy kawą, kolekcją znaczków czy filmami wideo. Dość, że po dziesięciu minutach marszu przez puste już ulice Nagasaki (pod koniec którego jej mała i trochę nerwowa dłoń znalazła się przypadkiem w mojej i już tam została) stałem na schodkach prowadzących do mieszkania Yuny, a ona przekręcała klucz w zamku.

Mieszkanie okazało się zwykłym, małym *apāto* (cztery i pół maty), dokładnie takim jak Marcina, zanim przeprowadził się do Higashi Nagasaki. Na podłodze dywan (różowy!), pod sufitem jedna lampa, obowiązkowa szafa wnękowa na *futony* i – element wzruszająco niewieści – komoda na ubrania (też różowa!).



Mieszkanie okazało się zwykłym, małym *apāto*.

Potem były rozmowy i jeszcze jeden drink, i żarty, i kilka pocałunków o wzrastającym stopniu namiętności, i ubranie rozrzucone po pokoju, aż doszliśmy do... nie wiem, jak to opisać. Do... zasadniczej sprawy majteczek. Otóż majteczki okazały się elementem stałym. To znaczy nierozłącznym; od ich właścicielki, ma się rozumieć. Nieśmiało i dość uległe dotąd stworzenie oznajmiło kategorycznie:

– *Dame*.

Moja znajomość języka japońskiego była wówczas jeszcze daleka od doskonałości, ale *dame* [czyt. dame, akcent na drugą sylabę], które tłumaczę jako: ani mi się waż, to jedno z

pierwszych słów, jakie poznałem, będąc młodym gajdzinem. Razem z *yada* [czyt. jada], które oznacza: nie chcę, nie lubię, łąpska precz (w zależności od okoliczności).

Po kilku próbach łagodnej perswazji i błyskotliwej argumentacji zostało mi dane do zrozumienia (w sposób niebudzący żadnych wątpliwości): majtki zostają. Na nic zdały się sugestie, że wartość estetyczna majteczek (a były różowe, w malutkie, białe płatki wiśni) zostałyby znakomicie podkreślona poprzez założenie ich na lampę. Odpowiedź była zdecydowana, jeśli nawet niezbyt elokwentna:

– *Dame!*

Syndrom CASB¹⁸? Wrodzona skromność? Strach przed tym, że zrobi na mnie wrażenie zbyt śmiałej i pochopnej? Trudno powiedzieć. Faktem jest, że według TPJ (Teorii Podrywania Japonek) seks na trzeciej randce jest standardem (nie ma nawet o czym pisać do domu), na drugiej – osiągnięciem (można się pochwalić braciom), podczas gdy na pierwszej – fenomenem na miarę dziejów, godnym wmurowania tablicy pamiątkowej na miejscu czynu.

Na ścianach mojego mieszkania nie byłoby miejsca, gdybym rzeczywiście wmurowywał tablice.

O drugiej nad ranem Yuna spała już z głową na mojej piersi, a ja westchnąłem, po czym z braku lepszego pomysłu zamknąłem oczy i podążyłem za nią w ramiona Morfeusza.

Mijały dni i tygodnie. Wiosna przechodziła w gorące, parne, tokijskie lato. Miałem kopię klucza do mieszkania Yuny, a ona do mojego. Spotykaliśmy się prawie codziennie, chodziliśmy na spacer, zakupy, do wypożyczalni wideo (bardzo lubiła amerykańskie komedie). Czasami spałem u niej, rzadziej ona u mnie.

Wiedziałem o niej coraz więcej: że jest z malutkiego miasteczka, praktycznie wsi w Hokkaido, że ojciec wysłał ją na studia do Tokio, że ma dwie starsze siostry, obie zamężne. Poznałem też grono jej przyjaciół, głównie koleżanek ze studiów i dziewczyn z zespołu muzycznego, w którym grała na gitarze basowej. Wykonywali różne kawałki Toto, Bangles, Bon Jovi. Tak, moje szczęście było czymś więcej niż nudną *office lady*, której jedynym hobby są włosy i makijaż (patrz Yanagida-san, do której Marcin wzdycha od roku, w wolnych chwilach, kiedy akurat nie jest zakochany w innej).



Jednym słowem – pełna idylla. Pozostał jeden, drobny z pozoru, ale dziwnie drażniący szkopuł: majteczki. Oczywiście, próbowałem coś z tym zrobić. Rozmowa była zazwyczaj jednak dość jednostronna:

– Kochanie, jesteśmy dorosłymi ludźmi, śpimy razem od dwóch miesięcy, twój stanik, o ile się nie mylę, właśnie jest przepaską à la Rambo na mojej głowie, więc DLACZEGO?

– *Dame.*

– Ahaaa... rozumiem. Nie wolno. Zaiste, o tym nie pomyślałem. A może jednak?

– *Dame.*

– Mimo wszystko *dame*... Czy posunąłbym się jednak za daleko, gdybym spróbował zrozumieć, dlaczego *dame*?

– *Yada.*

– Aha, więc to tak! Do tej pory było tylko *dame*, teraz mamy już *yada*! Czy powinniśmy to, najdroższa, uznać za postęp?

Yuna, obdarzona wysublimowanym poczuciem humoru, rozchichotała się na dobre, więc nie pozostało mi nic innego, tylko wygrzebać się z *futon* (była sobota rano) i ruszyć do pracy – miałem tego dnia jedną lekcję wczesnoporanną. Ona poszła do biblioteki uczyć się do egzaminu z literatury angielskiej. Ofiarowałem pomoc, ale odmówiła – ponoć zawsze mieszam jej w głowie, twierdząc, że wszyscy przyzwoici pisarze angielscy tak naprawdę byli

Irlandczykami. Co jest, oczywiście, prawdą – niekoniecznie podzielaną przez sędziwych profesorów Uniwersytetu Rikkyō.

Pocałowaliśmy się na pożegnanie i umówiliśmy na wieczór w Omotesandō, gdzie ma próby żeński zespół Yuny.

Dojechałem do szkoły tylko po to, aby dowiedzieć się od szefowej, że lekcja odwołana. Oczywiście, nie raczyła do mnie zadzwonić, zoła obrzydliwa. Notabene jestem przekonany, że ma ukryte mikrofony w przewodach wentylacyjnych i podsłuchuje nas w czasie lekcji. Będę musiał bardzo uważać, co mówię w klasie, bo coś za dużo o nas wie ten babsztyl wredny. I zatrudnia za wielu Anglików. Nie licząc Briana, rzecz oczywista, bo to człowiek dobry, do rany przyłóż.

Wróciłem do domu, gdzie nie byłem od tygodnia. Jakoś nam się ostatnio zebrało na spanie w mieszkaniu Yuny. Powitała mnie piramida nieupranych ciuchów, których nieme oskarżenie przywołało rumieniec wstydu na moje blade, gajdzińskie lico. Wiedziałem, że powinienem natychmiast maszerować do pralni, lecz mimo to chwyciłem za słuchawkę. Marcin wrócił z Polski parę tygodni temu, był na wakacjach u swojej rodziny. Po powrocie jak zwykle odchorowywał zmianę czasu, ale już się chyba dostosował? Przez te jego wyjazdy nie opowiedziałem mu o Yunie. W tym momencie, jak nigdy, potrzebowałem porady przyjaciela.

– Marcin? Zakochałem się.

– Znowu?

– Jak to znowu, kto znowu?! Jestem człowiekiem wrażliwym, introwertycznym i bardzo oszczędnym w uczuciach. Wypraszam sobie.

– No dobra, dobra. I co?

– I nic.

– Nic?

– Nic.

– Długo tak?

- Trzy miesiące.
- To brzmi jak kryzys.
- Nie brzmi, tylko jest.
- W takim razie zwołuję naradę sztabu kryzysowego. Jesteś u mnie za... dziesięć minut?
- Czterdzieści pięć.
- Co ci odbiło?
- Do pralni muszę po drodze wstąpić.
- Trzydzieści.
- Czterdzieści.
- No, niech będzie...

Załadowałem ubrania do worka i zaniósłem do pralni, tej koło natrysków. Marcin ma dobrze – sto metrów do pralni i prysznic, a ja muszę drałować na drugą stronę wioski. To jedna z przyczyn, dla których mieszkam ostatnio u Yuny.

Wsyłałem proszek, wrzuciłem trzy razy ¥100, wybrałem program Szybko, ale Skutecznie, dla Twojej Szanownej Wygody, przypomniałem sobie o bilecie miesięcznym pozostawionym w kieszeni koszuli, po krótkiej walce z drzwiczkami pralki uratowałem bilet, po czym ruszyłem do Marcina.

– Hyymmmgżźm – powiedział Marcin gościnnie, wpuszczając mnie do środka i zapychając się chlebem z *miso*, jajkiem na twardo i szczypiorkiem.

Ja go tego nauczyłem, powinien mi płacić tantiemy od każdej zjedzonej kanapki. Ale Polacy, genialny skądinąd naród, to skąpcy. Nie tak jak my, Irlandczycy, których cztery stulecia biedy nauczyły dzielić się ostatnim kęsem.

– Kretynsko wyglądasz z tą brodą – zagailem. – Nie macie w Polsce żyłek? Pożyczę ci mojej. Tylko oddaj. I nie stęp. Nawet sobie nie wyobrażasz, jaki jestem wynędzniały po ostatnich przejściach, od tygodnia nic nie jadłem...

Marcin pokazał nogą lodówkę, więc przystąpiłem do konstruowania dwupiętrowej

kanapki z *miso*, jajkiem i szczypiorkiem w wersji *de luxe*, to znaczy z plasterkiem żółtego sera i kapką majonezu firmy Kupidyn [kiupiddo], najlepszego produktu tych wysp.

– Gdzie Mike? – zapytałem w przerwie na odpoczynek między kanapką drugą a trzecią.

– Na zawodach, pod Aizu-Wakamatsu. Wraca we wtorek, dostał wreszcie dwa dni urlopu w nagrodę za pół roku nienagannej pracy.

Po dziesięciu minutach klapnęliśmy na zrolowanym pod ścianą *futonie* Marcina, by zająć się trawieniem, herbatą i historią mojego nieszczęścia. Nie kryłem nic. Zacząłem od początku, od tego pamiętnego „Masz czas?” na peronie w Ikebukuro, przeszedłem przez wszystkie spotkania, imprezy, wzloty i upadki, kończąc na ostatniej nocy. Oczywiście, nie wdawałem się w szczegóły nadmiernie intymne, pragnąc chronić dobre imię mojej pani, ale zarys sytuacji był jasny i przejrzysty. Marcin pokiwał głową ze zrozumieniem i współczuciem.

– To faktycznie masz bracie zgryz. Domyślam się, że ona nie jest sformatowana?

– Nie jest CO?

– *Sorry*, żargon informatyków. niesformatowana dyskietka to po francusku *disquette vierge* – no, wiesz, *virgin disk* – dziewicza dyskietka, rozumiesz...

– Rozumiem.

– I...?

– Tak. To znaczy nie... To znaczy tak, niesformatowana.

– Czekaj, a nie przyszło ci do głowy, że może ona... nie chce?

– No właśnie o to chodzi, że nie chce! A ja chcę, żeby chciała!

– To mamy problem – Marcin zamyślił się głęboko, zakręcając na palcu lok swojej nowo nabytej brody. Strasznie z tym głupio wygląda, będę mu musiał powiedzieć.

– Mam! Eureka! Mówiłeś, że ona jest z Hokkaido?

– Tak. Z jakiejś dziury za małej, żeby ją umieścić na mapie.

– No to wszystko jasne. Ona się boi, że jak będzie sformatowana, to nie znajdzie męża. Wiem, wiem, mamy dwudziesty wiek i tak dalej, ale nie mów mi, że nawet w takiej Irlandii,

na wsi, ludzie nie są tradycyjni. A tutaj – są tradycyjni do kwadratu.

– Świetnie, i co mam teraz zrobić?

– Co byś nie zrobił, będzie cię to kosztowało. Wariant A: cztery tysiące pięćset jenów. Wariant B, jak myślę, dużo skuteczniejszy, ale niestety dużo droższy...

– Znaczy ile?

– Dziesięć, dwanaście *manów* masz?

– Mam mieć... Zaraz, tyle chcesz wziąć ode mnie za poradę?! I to się nazywa przyjaciel?

– Spoko, kasa będzie potrzebna na Shirogami.

– ?

– To klinika chirurgii kosmetycznej. W dolnej części Yamanotedōri, chyba w Meguro-ku, jadąc stąd po lewej. Na pewno widziałeś ich reklamy w telewizji.

– Wielce szanowny kolego. Jeśli uważasz, że nie jestem dość piękny, żeby wzbudzić pożądanie mojej najdroższej, to...

– Zamknij się i słuchaj – przerwał Marcin bezlitośnie. – Nie sugeruję, żebyś poddał się liposukcji (choć, między nami, przydałoby ci się), tylko żebyś uświadomił wybrance swojego serca, co następuje: przywrócenie dziewictwa kosztuje w Shirogami od dziesięciu do dwunastu *manów*. W sumie prosty zabieg, chirurg ceruje pod znieczuleniem to, co pęknięte (z wyjątkiem serca, he, he), i *voilà*: panienka jest odformatowana i gotowa do ożenku. Mnóstwo dziewczyn tak robi. W tym kraju to normalka. Niech zapyta koleżanek z Rikkyō, na pewno potwierdzą.

– Nooo... dobrze... a wariant A?

– Wariant A: istnieje możliwość, że panienka się krępuje. Wiesz, jaka jest grubość ścian w *apāto* – widziałem grubsze kartki papieru. Słysząc, jak sąsiad kraje *miso* do zupy. Dlatego powszechnie stosowanym rozwiązaniem, nawet przez co skromniejsze pary małżeńskie, jest *love hotel*. Cztery i pół tysiąca jenów za dwie godziny. Znakomita sprawa, jeśli ma się taką nieco bardziej hałaśliwą partnerkę. A wiesz, jak jest z Japonkami w łóżku – niską aktywność nadrabiają wysokim poziomem decybeli...

– Eee... tak. Znaczy... wiem, Yuna też potrafi narobić hałasu, ale nie jest specjalnie wstydliva i... nie ma sąsiadów. Jej gospodyni jest chyba jeszcze bardziej głucha od mojej. Więc to chyba nie to...

Czułem się oszołomiony i mocno speszony. JA? A jednak. Nie wiedziałem, co powiedzieć. W końcu wymamrotałem jakieś słowa podziękowania i pobiegłem do siebie, zapominając po drodze o ubraniach w pralni. Nie byłem wcale pewien, czy zwierzenie się Marcinowi było dobrym pomysłem. Roztrząsanie tak intymnych spraw, udzielane mi (od niechcienia) porady o cerowaniu mojego wybranki... za dwanaście *manów*...? DWANAŚCIE *manów*? Czy on oszalał? Nie jestem w stanie tyle odłożyć przez rok!

Myśl o dwunastu *manach* stała się katalizatorem powrotu do zdrowego, irlandzkiego rozsądku. Z Yuną trzeba będzie pogadać i już. Sto dwadzieścia tysięcy, też coś... Nagła trzeźwość umysłu pozwoliła mi zauważyć, że wyszedłem z domu z workiem ubrań, a wróciłem bez, więc westchnąwszy głęboko, podążyłem własnymi śladami do pralni.

Pralka była pusta, a ubranie wyjęte i pięknie poskładane w kostkę troskliwą okusańską ręką. Czy to nie jest kochany kraj? Z drugiej strony trochę to krępujące, że jakaś gospodyni domowa składała w kostkę moje majtki. Coś za dużo mam ostatnio problemów natury kobieco-bieliznianej, pomyślałem.

Z Omotesandō wróciłem lekko ogłuszony, jak to po próbie. Dziewczyny ćwiczyły dzisiaj głupkowaty numer „Manic Monday” i trochę bardziej ambitny kawałek „Africa” bardzo tutaj popularnego Toto. Parę tygodni temu postanowiłem namówić Yunę na posłuchanie naprawdę dobrej muzyki: The Dubliners, Mary Black, Eleanor McEvoy. Płyty wzięła, ale specjalnego entuzjazmu nie wykazała.

Wieczorem, w domu, wyłożyłem wszystko kawa na ławę. Wylałem całą moją konfuzję, frustrację, alienację i żal. Yuna wysłuchiwała bardzo poważnie, po czym powiedziała:

- Nie chcę być ciasto świąteczne.
- Oczywiście, kochanie, nikt ci nie każe być... CZYM?
- Ciasto świąteczne. Nie wiesz?

– Wiem, że w twojej pięknej ojczyźnie przyjęła się trudna do wytłumaczenia nowa tradycja świętowania Bożego Narodzenia za pomocą ciasta, a nie, jak każe Pismo Święte, indyka. Jednak nie bardzo widzę zagrożenie, żebyś to TY w najbliższą Wigilię miała zostać skonsumowana w charakterze owego ciasta, chociaż zawsze twierdziłem i twierdzę, że jesteś najśłodszym stworzeniem na świecie.

Yuna rozchichotała się na dobre i już nic więcej z niej nie wyciągnąłem. Temat został więc odłożony na inną okazję.

Okazja przez kilka dobrych dni się nie nadarzyła – Yuna pojechała z koleżankami do gorących źródeł na półwyspie Izu, a ja miałem dość intensywny okres w pracy: zdobyłem jeszcze dwoje nowych uczniów (poza szkołą) i serię krótkich artykułów o Japonii dla amerykańskiej gazetki celtyckojęzycznej. Gazetkę podejrzewałem o powiązania z pewnymi irlandzkimi organizacjami, których tutaj nie nazwę, bo zwykli chuligani i egzekutorzy haraczów, pozujący na Wielkich Męczenników za Sprawę Irlandzką, nie zasługują na moje pióro. Ale z czegoś trzeba żyć, a pieniądze były niezłe.

Ciasto świąteczne nie dawało mi jednak spokoju. Dziennikarz jak chart spuszczonej ze smyczy – jeśli złapie trop, nie spocznie, dopóki nie dopadnie zwierzyny – prawdy. Postanowiłem więc wykorzystać wszystkie sposoby, od moich niebanalnych umiejętności dedukcyjnych po archiwa biblioteki publicznej w Takamatsu i siatkę tajnych informatorów.

– Marcin, co to jest ciasto świąteczne?

– Japoński odpowiednik indyka. Albo karpia. A co?

– To wiem, ale... jeśli kobieta się boi, że zostanie ciastem świątecznym... co to znaczy?

– Aaa, jasne, od razu trzeba było tak mówić. *Krismasu keiki* to dziewczyna, która skończyła dwadzieścia pięć lat i nie znalazła męża. Bo jeśli ciasto świąteczne nie znajdzie nabywcy do pierwszego dnia świąt, czyli do dwudziestego piątego grudnia, to potem już na pewno nikt go nie kupi...

– Marcin, jesteś wielki.

– Od trzech lat ci to mówię. Nareszcie uwierzyłeś. Lepiej późno niż wcale...

Odwiesiłem słuchawkę i zamyśliłem się głęboko. A więc potwierdziły się moje najgorsze

podejrzenia. Yuna faktycznie bała się, że tylko w stanie nienaruszonym znajdzie męża, a do magicznego wieku dwudziestu pięciu lat, po którym – horror każdej panny – zostanie ciastem świątecznym, ma już tylko trzy lata! Taaak, to wiele wyjaśniało. Zrozumiałem, że będę musiał coś z tym zrobić. Sytuacja wymagała opracowania Planu Awaryjnego, być może nawet drugiego zebrania sztabu kryzysowego. Niestety, czekały na mnie trzy nowe lekcje, do których byłem, delikatnie mówiąc, słabo przygotowany.

Dni, które nastąpiły po tych pamiętnych wydarzeniach, wspominam jak przez mgłę łaźni tureckiej, którą zgotowało nam to wyjątkowo parne lato i wir zajęć, w jakie rzuciłem się bez opamiętania. Nie wiedzieć czemu połowa Tokio odczuła nagłe zapotrzebowanie na moje lekcje angielskiego. Zgłosiła się nawet pewna gospodyni domowa, polecona przez Briana, która chciała się uczyć... kaligrafii staroceltyckiej! Nie mam, co prawda, pojęcia o kaligrafii, szczególnie staroceltyckiej, ale gospodyni zna się na tym pewnie jeszcze mniej – kopiując więc wzory runiczne z „Władcy Pierścieni”, skonstruowałem namiastkę kursu.

Był to najbardziej pracowity okres w moim życiu.

Pewnego wieczoru wyszedłem – zmordowany – do natrysków, a potem do Familly Mart kupić parę kanapek i piwo (na nic porządniejszego nie miałem sił). Upał zelżał, powiało nawet coś na kształt chłodnego wiatru, na niebie kotłowały się chmury. Mijając sklep monopolowy rodziców Eriko, przypomniałem sobie nagle o Yunie – nie widziałem jej od prawie dwóch tygodni! Na pewno wróciła już z gorących źródeł.

Myśl o moczeniu się w czymś jeszcze gorętszym niż atmosfera ostatnich tygodni przypawiła mnie o dreszcz obrzydzenia; myśl o lepkiej od potu nocy w nieklimatyzowanym mieszkaniu Yuny – o drugi; myśl o zaproszeniu jej do mnie, gdzie dwa tygodnie harówki pozostawiły pobożowisko niezmytych naczyń i nieuprasowanych koszul – o trzeci. Ale... pogoda jednak ciut się ochłodziła. Może dzięki wiatrakowi przetrwalibyśmy do rana...? A że stęskniłem się za kobiecym towarzystwem, nie da się ukryć...

Było już bardzo późno. Nie chciałem dzwonić, budzić jej. Pomyślałem, że najwyżej wejdę i znajdę ją śpiącą (jak zawsze nago, nie licząc majteczek) w słabym strumieniu powietrza z wiatraka. Chwyciłem klucz i ruszyłem żwawo przez ulice nocnego Higashi Nagasaki.

Na palcach wbiegłem po metalowych schodkach. Krzak róży, który rósł pod ścianą domu

i jeszcze parę tygodni temu zachwycił gęstwą liści i czerwienią kwiatów, stracił już większość płatków. Tak, zbyt dawno mnie tu nie było!

Przekręciłem klucz w zamku i uchyliłem drzwi. W środku było ciemno i... chłodno. Yuna kupiła wreszcie klimatyzator...? Fakt – wisiał jak wół na ścianie pod sufitem. Dlaczego mi nie powiedziała? Komoda też była inna niż ta, którą pamiętałem. Zamknąłem drzwi za sobą i zajrzałem do pokoju. Na środku znajomy kształt na *futonie*. Postanowiłem nie ciągnąć za sznurek lampy pod sufitem, żeby jej nie budzić. Nigdy nie byłem kobietą, ale mimo to jestem przekonany, że przebudzenie od pocałunku przystojnego mężczyzny jest dużo przyjemniejsze niż od ostrego światła w oczy.

Zdjąłem buty i stanąłem nad oddychającym spokojnie dziewczęciem. Właśnie miałem zacząć się rozbierać, gdy moje oczy – trochę już przywykłe do mroku – ujawniły straszną prawdę: To nie była Yuna!!!!!!??? Całkowicie sparaliżowany stałem w jakiejś dziwnej pozycji, z absolutnie pustą głową. Wiedziałem tylko, że jeśli dziewczyna otworzy teraz oczy i zobaczy nad sobą ogromnego, zupełnie obcego gajdzina, podniesie taki wrzask, że za chwilę będą tu wszystkie patrole policyjne z Toshima-ku! W panice rozejrzałem się po pokoju, szukając drogi ucieczki, i mimowolnie dostrzegłem całą serię dowodów na przerażający, ale niezaprzeczalny fakt: Yuna się wyprowadziła, a leżące u moich stóp dziewczę nie jest ani jej koleżanką, ani kuzynką odwiedzającą Tokio, tylko nową lokatorką! Ciuchy były inne, inne meble, w miejscu doskonałych kolumn yamaha NX-100X (dawniej moich, scedowanych na Yunę, gdy znalazłem jeszcze lepsze) – plastikowa mikrowieża firmy Sanyo. Jedyne, co zostało po poprzedniej lokatorce, to jakże mi znajomy, różowy dywan, teraz zrolowany pod ścianą. Kątem oka zauważyłem ciemny zaciek na brzegu *tatami*, tam, gdzie mieliśmy z Yuną mały wypadek z olejkim do masażu.

W końcu przeniosłem przywykły już do ciemności wzrok w dół. Koniec świata... u moich stóp nowa lokatorka spała na brzuchu (Yuna zawsze na wznak), wystawiając na widok powszechny gołą pupę, czyli Całkowity Brak Majtek!

Więcej dowodów nie potrzebowałem. To nie była moja Yuna. To nie był mój (drugi) dom. Zesztywniały ze strachu wycofałem się na palcach do mikroskopijnego przedpokoju, chwyciłem buty i... zamarłem.

Dziewczyna westchnęła i obróciła się na plecy.

Rozpłaszczony o ścianę przy drzwiach wejściowych patrzyłem, jak przez sen szuka palcami przykrycia. Horror. Jeśli otworzy oczy... Była chyba w wieku Yuny, ale wyraźnie wyższa, trochę szczuplejsza, z bardzo drobnymi piersiami (czyli zupełnie nie w moim typie), słowem – w ogóle do niej niepodobna.

Ręka śpiącej dziewczyny znalazła po paru sekundach nakrycie. Usłyszałem zadowolone westchnięcie, szelest materiału; kolejny przewrót, tym razem na bok – z głową zwróconą na szczęście w przeciwną stronę, i znowu cisza.

Pozwoliłem sobie na luksus pierwszego od dobrej minuty oddechu. Walczyłem z pokusą błyskawicznego otwarcia drzwi i rzucenia się po schodach w dół, ale rozsądek zwyciężył – po kolejnych kilku (najdłuższych w moim życiu) minutach usłyszałem głęboki, regularny oddech. Wsluchując się w jego rytm, nacisnąłem delikatnie klamkę i w tempie żółwia wyslizgnałem się z mieszkania. Pozostał dylemat: przekręcić klucz w zamku? Raz kozie śmierć, pomyślałem, obracając go milimetr za milimetrem. Hałas był rzeczywiście znikomy – ten zamek zawsze cicho chodził, sam go oliwiłem. I może właśnie znajomy charakter tych drzwi, tego klucza i tego zamka, ten pierwszy głęboki oddech od nie wiem jak dawna sprawiły, że opuściła mnie cała czujność – zupełnie odruchowo zrobiłem to, co zawsze robię, zamknąwszy drzwi: nacisnąłem klamkę i szarpnąłem, żeby sprawdzić, czy dobrze zamknięte...

Oczywiście, szarpanie za cokolwiek w japońskim domu powoduje potężne i wysoce hałaśliwe drgania – ściany o grubości tektury zachowują się jak membrana bębna. Niestety, nie inaczej było w tym przypadku. Kiedy eksplozja ucichła, byłem już w połowie schodków; usłyszałem jeszcze czyjś zaspany głos, kątem oka zobaczyłem błysk światła w oknie... Ostatnim, gigantycznym susem wylądowałem na dole. Jedynym dźwiękiem, jaki brzmiał mi w uszach, był gwizd powietrza i głucho pacnięcia stóp o asfalt, gdy cały czas trzymając buty w dłoniach, gnałem w skarpetkach i łopoczącej, rozpiętej koszuli w kierunku swojego domu (z szybkością Carla Lewisa po podwójnej dawce sterydów).

Nazajutrz była sobota. Po okropnych przejściach poprzedniej nocy leżałem w łóżku do jedenastej. Jak Yuna mogła wyprowadzić się, nie dzwoniąc, w żaden sposób nie dając mi znać?

Dopiero obiad w knajpcie po drugiej stronie rzeki (czyli torów kolejowych, które Marcin nazywa rzeką – zupełnie nie wiadomo czemu, chyba to jakiś słowiański romantyzm) rozjaśnił mi nieco w głowie. Soboty to dni prób zespołu Yuny! Wróciłem do domu, przewróciłem wszystkie kieszenie w poszukiwaniu ¥380 na bilety (miesięczny skończył mi się w zeszłym tygodniu) i w końcu zasiadłem w Yamanotce z Ikebukuro do Shibuya. Stamtąd jeden przystanek metrem linii Ginza do Omotesandō i pięć po osiemnastej stałem przed drzwiami studia, w którym zawsze miał próby zespół Yuny.

Przez małą szybkę w grubych drzwiach nie mogłem zobaczyć całego pomieszczenia; miejsce basistki było za rogiem, po prawej. Widziałem tylko znajomą perkusistkę i równie znajome plecy wokalistki. A więc są, grają. Doczekałem grzecznie końca tortur zadawanych numerowi Eddiego van Halena i nacisnąłem kłamkę.

Cztery pary migdałowych oczu spojrzały na mnie, a potem szybko na ziemię. Powoli przeniósłem wzrok w prawo. Przed piecem basowym stała osoba mająca z Yuną tylko tyle wspólnego, że również była kobietą (chyba). Nawet gitara była inna. Ciężkiego, pięciostrunowego rickenbackera (a nie czarną yamahę Yuny – o skali skróconej dla jej drobnych dłoni) zdejmowała właśnie z szyi pulchna, potężnie zbudowana basistka; jakby ważył tyle, co piórko.

– Ja... poczekam na zewnątrz... – wymamrotałem, wycofując się z sali prób i szybko zamykając drzwi.

Usiadłem na schodach i mimowolnie zacząłem przysłuchiwać się próbie. Basistka była dobra, wstyd powiedzieć: lepsza od Yuny. Można się było domyślić, że to pierwsza próba nowego składu – sporo pauz i ustalania progresji akordów. Ale chwilami pojawiały się już pierwsze oznaki zgrania sekcji rytmicznej – zdecydowanym akcentom podawanym przez stopę perkusistki towarzyszył równy, mocny puls basu.

Wreszcie skończyły. Otworzyły się drzwi i damska załoga zespołu prawie przefrunęła koło mnie, zbiegając ze schodów.

– Bardzo mi przykro... – wymamrotała w biegu wokalistka, pędząc za znikającymi za zakrętem potężnymi plecami nowej basistki.

Ostatnia wyszła perkusistka, Mayumi. Wyższa od Yuny, bardzo ładna, z długimi włosami;

jedyna z grupy mówiąca po angielsku (poza eks-basistką, rzecz jasna...). Popatrzyłem na nią w niemym zapytaniu. Zawahała się, potem usiadła na schodku koło mnie.

– Nie martw się, Sean. Yuna bardzo cię lubiła. Ja... też cię lubię. Jest mi przykro. Naprawdę.

Oparłem głowę na rękach.

– Ale co się stało...?

Mayumi westchnęła, po czym wstała i zapytała:

– Masz czas?

Wzdrygnąłem się lekko na wspomnienie tych słów, ale dzielnie odpowiedziałem:

– Jasne. Siądziemy gdzieś?

– OK.

Wyszliśmy na ulicę. Światło lampek zamontowanych na dziesiątkach drzewek *sakury* (zielonych, ale już bez kwiatów) odbijało się w mokrym asfalcie Omotesandō-dōri, jednej z najpiękniejszych ulic w Tokio. Właściwie nie byłem już przybity, czułem tylko ciekawość, potrzebę wyjaśnienia tej zwariowanej historii. Minęliśmy Tokyo Union Church i skręciliśmy w Aoyama-dōri. Wąski budynek po drugiej stronie ulicy mieści pięć knajp na pięciu piętrach, wybraliśmy trzecie. Sympatyczna pubo-restauracja, spokojna, nie za droga. Niestety, bez karaoke, pomyślałem, a może to i dobrze...?

Usiedliśmy w kącie i zamówiliśmy po piwie.

– Yuna przyjechała do Tokio ze wsi w Hokkaido, gdzieś w górach, na południe od Wakanai – zaczęła Mayumi. – Studia finansuje jej ojciec.

– To wszystko wiem – przerwałem – ale...

– Zaczekaj. Tak, Yuna mówiła, że jesteś niecierpliwy!

Mayumi się roześmiała, a ja poczułem dziwne gorąco w okolicach uszu.



– Słuchaj. Parę tygodni temu ojciec Yuny wynajął detektywów, żeby sprawdzili, czy ona... jak to powiedzieć po angielsku... dobrze się tutaj prowadzi.

– ?????!?!? Eee...? – wykrztusiłem z siebie. – Czekaj, chcesz powiedzieć, że ojciec Yuny nasał na mnie prywatnych detektywów z Hokkaido???

– Nie z Hokkaido, po prostu zadzwonił do pierwszej z brzegu agencji detektywistycznej w Tokio i zlecił im sprawdzenie córki. On jest bardzo zajęтым człowiekiem, prowadzi własną małą firmę handlową, nie może tak łatwo wziąć urlopu i pojechać na drugi koniec kraju. No dobrze, a teraz już naprawdę nie przerywaj i wysłuchaj do końca. Detektyw zaraportował, że Yuna... mieszka z gajdzinem. Ojciec strasznie się wściekł, wsiadł do samolotu i następnego dnia był w Tokio. Zrobił córce awanturę i kazał jej natychmiast się przeprowadzić. Ona teraz mieszka w... Właściwie nie powinnam ci mówić, ale... w Ōizumi-Gakuen. To sześć czy siedem stacji od ciebie.

– Ale dlaczego do mnie nie zadzwoniła?

– Jak to dlaczego? Ojciec zakazał jej się z tobą kontaktować. Zrozum, ona jest z małej wsi, tam jest bardzo tradycyjnie... Yunie nie przyszłoby nawet do głowy dyskutować z wolą ojca...

Dokończyliśmy w milczeniu trzecie piwo.

– Biedny Sean. Tęsknisz za nią?

Spojrzałem na Mayumi. Trochę wyższa od Yuny, miała długie, dość niesforne włosy

(robiła się z tego wspaniała grzywa, gdy grała na bębnach), zgrabne usta, ładny nosek, duże, klarowne oczy – teraz zatroskane.

– Mmm. Przede wszystkim mam nadzieję, że będzie jej dobrze w tym Ōizumi-Gakuen. I że odzyskam jakoś moje cztery płyty kompaktowe, które jej pożyczyłem!

Mayumi się roześmiała. Zamówiliśmy po czwartym kuflu i kulki smażonego kurczaka, czyli *kara age*.

Było już dobrze po jedenastej, kiedy szliśmy (nie do końca po linii prostej) w stronę stacji. Nieduża, szczupła, ale silna ręka Mayumi znalazła się jakoś przypadkowo w mojej. I już tam została.

Na drzewku *sakura* tuż przed stacją trzymało się (dziwnym kaprysem natury) jeszcze parę kwiatów. Jeden mokry od deszczu biały płatek sfrunął w lekkim, nocnym wietrze i spoczął na jej włosach.

– Czy mówiłem ci o mojej kolekcji kawy...?

– Masz na myśli znaczki?

– Wyjęłaś mi to z ust...

– Higashi Nagasaki, tak?

– Tak.

– No to już chodźmy. Za chwilę odjedzie ostatni pociąg do Ikebukuro.

Rozdział 10



ハンドルを握っている間は
ギアの音しか耳に入らない

*When I'm holding your wheel,
All I hear is your gear...*

Cytat z piosenki „I'm in Love with my Car” zespołu Queen.

Boso, ale w toyocie

– *I'm in love with my car! Gotta feel for my automobile!* – śpiewam na całe gardło razem z Freddie Mercuryem, jadąc moim pancernikiem w stronę Fuchū Unten Menkyo Centre, ośrodka egzaminacyjnego kierowców. Samochód został ochrzczony pancernikiem, bo wyprodukowano go na początku lat osiemdziesiątych z blachy ciężkiej i sztywnej, jak przystoi pojazdom opancerzonym. Znakomita polska technologia sędziwego Sędzimira, pozwalająca na wytworzenie karoserii o grubości kartki papieru (i podobnej odporności na wgniecenia), nie zawitała jeszcze wówczas do Japonii, a przynajmniej nie do fabryk Toyoty.

Pancernik oficjalnie nazywa się carina SE i jest trzydrzwiowym coupé ze studwudziestojednokonnym silnikiem wolnossącym o pojemności jeden i osiem dziesiątych litra oraz czterobiegową (plus nadbieg), automatyczną skrzynią biegów, pożerającą lwią część wyżej wspomnianego stada koni. Tak przynajmniej twierdzi Mike, który chrapie właśnie na rozłożonym do pozycji poziomej przednim siedzeniu, nie zważając na głośno grające radio i jeszcze głośniejszego kierowcę. Mnie natomiast rumaki wolnossące ani nawet szybkossące nic nie mówią, a jeszcze mniej obchodzą (choć mi się ich liczba – sto dwadzieścia jeden). Ważne jest tylko, że samochód, chociaż duży (Mike, o dziwo, nie dotyka w nim głową sufitu), ma sportową linię (trzydrzwiowy *hatchback*, o kształcie grzbietu właśnie pancernika, mam na myśli zwierzątko), że jest w pięknym kolorze – ciemnozielony *metallic* (z wyjątkiem dachu, który jest spłowiały do seledynu, ale nie czepiamy się szczegółów), że ma wnętrze napchane gadżetami i że jest mój. MÓJ!

Jedyny szkopał – od pół roku nie udało mi się zdobyć prawa jazdy. Zjechałem co prawda w tym czasie Tokio i okolice wzdłuż i wszerz pancernikiem, korzystając z przepisu pozwalającego młodocianemu kierowcy po zdaniu egzaminu wstępnego (teoria plus manewrówka) na prowadzenie w towarzystwie osoby posiadającej prawo jazdy od minimum trzech lat. A że przepis nie wspomina, czy taka osoba ma być w stanie przebudzonym, więc gdy trzeba gdzieś pojechać, pakuję na przednie siedzenie Mike'a, który natychmiast grzecznie zasypia. W pancerniku jest specjalny przycisk do usypiania Mike'a – delikatne podgrzewanie siedzenia pasażera. Działa jak złoto.

Nie budzi go nawet monotonne i bardzo irytujące: ding-dong! wydobywające się zza deski rozdzielczej pancernika po przekroczeniu 100 km/godz. Wszystkie japońskie samochody tak mają, a raczej miały do zeszłego roku, bo właśnie zlikwidowano przepis wymagający od producentów instalowania tego brzęczyka.

Zjeżdżamy z Shin Ōme Kaidō na mniej już szeroką beznazwówkę – jechałem wtedy wiele razy. Biorę zakręt z ułańską fantazją, prosto pod koła jakiegoś buraka w białej toyocie crown, który jedzie złą stroną ulicy. *Ooops*, nie, to ja jadę złą stroną... rodzime nawyki biorą czasem górę nad nowo nabytymi umiejętnościami w ruchu lewostronnym. Przez chwilę migają mi wielkie oczy zaszokowanego kierowcy crowna, po czym dokonuję mistrzowskiego manewru wyminięcia z piskiem opon, zakończonego błyskawiczną kontrą i nieznacznym tylko wjechaniem na trawnik.

– Widziałeś, Mike? Zaprawdę, powiadam ci: kierowcy o moich naturalnych zdolnościach powinni być zwolnieni z egzaminu praktycznego...

– Hrrr – odpowiada Mike.

Biedak śpi, bo od października wyrabia nadgodziny. Na szczęście nie na maszynie do obcinania palców – jak sam przyznaje, po dwunastu godzinach pracy jest mało przytomny i niewiele by mu już palców zostało. Chyba wypełnia tą zwariowaną pracą dziurę w życiu po Austriaczce Monice, która opuściła Japonię. I Mike'a.

Za rogiem stacja benzynowa z wyjątkowo niską liczbą jenów wyświetloną na tablicy. Walę nogą w hamulec i wykonuję pokazowy manewr zawracania na trzy rzuty.

Pisk opon (czyż jest piękniejsza muzyka dla uszu kierowcy?) i wycie klaksonów dwóch taksówek, którym moja wirtuozeria nie przypadła do gustu, budzą w końcu pilota. Podnosi się i wodzi wokoło nieprzytomnym wzrokiem, gdy wjeżdżam na stację.

– Eee... Marcin, co oni robią?

– Jak to co? Obsługują nas!

– A nie taniej... na samoobsługowej?

– Takich tutaj nie ma, panie starszy kierowco. Gdybyś czasami nie spał, tylko podziwiał moje mistrzostwo kierownicy, to byś wiedział.

– ... Nie ma w tej okolicy?

– Nie ma w tym kraju!

– ... Aha.

Mike trawi w zadumie ten nowy fragment wiedzy o kraju wschodzącego jena, podczas kiedy troje młodych ludzi w mundurach roboczych stacji benzynowej rzuca się na naszego pancernika.

– *Regurā ippai!*¹⁹ – rzucam przez otwarte okno, na co młody człowiek kłania się w pas i ułatwia mi życie poprzez powtórzenie nalewaczowi paliwa:

– *Regurā ippai!*

Zapewniony podwójnie, że klient na pewno i bez wątpienia chce do pełna *regurā*, nalewacz biegnie po wąż dystrybutora i z ważną miną wtyka go we wlew paliwa. Wzdycham nad aspektami japońskości, których gajdzin nigdy nie zrozumie, zamykam okno i odwracam się do Mike'a.

– Widzisz? To jest tania stacja, bo w jednym zespole jest ich trzech. Nazywam ich: nalewacz benzyny, inkasent gotówki i natłuszczacz szyb. Na stacji ekskluzywnej byłby jeszcze starszy kłaniacz. Tutaj funkcję kłaniacza wypełnia inkasent (o, właśnie wraca z resztą).

– Aaa... dlaczego natłuszczacz?

– To moja własna nazwa. Przeciera ci taki przednią szybę mokrą szmatą, a potem wycieraczki mażą i smużą. Może ktoś przedtem miał na szybie wosk (Japończycy uwielbiają woskować swoje samochody) i się przeniosło? Kiedyś mnie to denerwowało i wybiegałem z pyskiem, ale dałem za wygraną; natłuszczacz i tak jest szybszy albo udaje, że nie rozumie...

Reszta wypłacona, rachunek wręczony, natłuszczacz wrócił z wypróżnioną z kapsli i innych śmieci samochodową popielniczką, pięknie umytą i wypełnioną kuleczkami dezynfekująco-zapachowymi.

Załoga staje na baczność w oczekiwaniu na rozkaz inkasenta, który świadom swojej doniosłej, podwójnej roli intonuje jakąś komendę i cała trójka gnie się w ukłonach.

Opuszczam okno, przekazuję wyrazy dozgonnej wdzięczności i szczerego uznania, na co

wszyscy kłaniają się jeszcze niżej, i odjeżdżamy.

Mike drapie się po plecach i szuka pod fotelem puszek z kawą, którą tam zazwyczaj trzymam na czarną godzinę.

– Ja uważam, że to znakomity system! – oświadcza buńczucznie mój domowy japonofil.

– Ja uważam, że to bezrobocie.

– Bezro... co? W Japonii nie ma bezrobocia.

– Jest za to masa hoteli kapsułkowych, he, he, he...

Mike obraża się, więc go szturcham łokciem i w ramach odszkodowania ofiarowuję kawę, którą tym razem zakamuflowałem w szufladzie pod siedzeniem kierowcy.

– Pomyśl, Mike: jakbyś wziął wszystkich bezrobotnych w Ameryce i dał im zupełnie do niczego niepotrzebną pracę w stylu kopania dołów, po czym ich zasypywania, też by wam znikł problem zatrudnienia. Tutaj tak właśnie jest: nieprzebrane rzesze robią totalnie durne roboty w stylu nalewania paliwa – słuchaj, nawet jeśli ja bym chciał sobie sam nalać, nie ma takiej możliwości... Nic więc dziwnego, że nie ma bezrobocia. To znaczy – ono jest, przyjacielu, tylko ukryte. Ukryte pod postacią stu tysięcy posad, których istotą jest kłanianie się, a nie robienie czegoś pożytecznego.

– Marcin, uwierz mi: lepiej, żeby oni nalewali paliwo albo się nawet kłaniali, niż żeby włóczyli się po ulicach, nie mieli co robić, czasem z nudów zbili jakąś szybę w sklepie albo przywalili komuś po głowie kijem baseballowym...

– OK, może coś w tym jest. Czeka, minąłem skrzyżowanie.

– Marcin? – Tak?

– Czy to nie jest ulica jednokierunkowa?

– Jest, ale ja nią jadę tyłem, więc się nie liczy.

– ... Aha.

– Marcin?

– He?

– Czy wszyscy Polacy tak prowadzą?

– Nie, większość nie posiada jednej dziesiątej mojej wrodzonej wirtuozerii. Ja, rozumiesz, uczyłem się jeździć od razu na samochodzie formuły pierwszej. Model 126p.

Mike tylko wywraca oczy do góry i kładzie się, żeby nie widzieć mojego ulubionego manewru pod tytułem „zawracanie z maksymalnym wykorzystaniem przestrzeni międzysłupowej”.

Jesteśmy. Trochę zajechałem drogę jakiemuś gentlemanowi mierzącemu mnie właśnie wzrokiem bazyliuszka; pozostaje mieć nadzieję, że to nie mój egzaminator.

Centrum jest ogromne. Idę długim korytarzem do znajomego okienka. Pani w średnim wieku szczebiocze do mnie słodkim (w jej pojęciu) głosem sześciolatki:

– Marcin-san pierwszy raz na egzamin?

– Nie. Piąty.

– Oj, nie może być...

– Oj, może, może...

– A nie lepiej było zapisać się u nas do szkoły i zdać za pierwszym, no, może drugim razem...?

– Jakby się miało dwadzieścia jeden *manów*, czyli więcej, niż zapłaciłem za swój samochód, to na pewno lepiej – odpowiadam z przekąsem.

– Co ty mówisz o dwudziestu jeden *manach*? – dopytuje się Mike.

– Tyle kosztuje kurs plus egzamin.

– Nie może być...

– Co wy wszyscy tak dziś we mnie wątpicie?

– No... tyle samo wydał mój brat w Arizonie na kurs pilotażu małych samolotów. Razem ze wszystkimi godzinami w powietrzu, egzaminem i licencją pilota.

– Mike, przecież wiesz, jakie tu są ceny. A jeśli chodzi o sprawy motoryzacyjne – są potrójne. Z wyjątkiem samych samochodów, Bóg raczy wiedzieć czemu. W końcu pancernika

kupiłem za jedną miesięczną pensję, a wiesz, że wysoka to ona nie jest...

Dochodzimy do placu manewrowego, gdzie dostanę przydział samochodu i egzaminatora.

Wręczam papiery ponuremu gościowi, który mierzy mnie podejrzliwym wzrokiem, lekko zde gustowany, że marnuję swój i jego czas.

Wsiadamy. Zajmuję miejsce z tyłu, bo jest nas czwórka: egzaminator i troje zdających.

Po wyjeździe na ulicę okazuje się, że ponury gość jest nawet dość rozmowny. Zupełnie ignorując pocącego się za kierownicą młodzieńca, odwraca się do mnie i zagaja:

– Pan z Tokio?

– Tak. Higashi Nagasaki.

– Od dawna pan mieszka w Japonii?

Przechodzę przez cały „katechizm gajdzina” (jak długo, jak się podoba, czy umiem mówić, czytać krzaki i jeść pałeczkami), tym razem traktując pytania wyjątkowo poważnie, bo szósty raz zdawać na prawo jazdy nie mam ochoty. Ciekawość egzaminatora jest jednak nienasycona.

– A po co panu prawo jazdy?

– No... żeby prowadzić samochód? Czy to jest... pytanie testowe?

– Nieee, skąd! Tylko w Japonii niewielu cudzoziemców prowadzi.

– Samochodem byłoby wygodniej dojechać do pracy...

– I stać dwie godziny w rannych korkach? Chyba pan oszalał! Pociągiem szybciej, taniej i bezpieczniej!

– Nooo... ale ja chcę zwiedzić Japonię w czasie wakacji. Tyle macie przepięknych miejsc...

– odrobinka wazeliny jeszcze nigdy egzaminowanemu nie zaszkodziła.

– I stać godzinami w korkach na autostradzie? Chyba pan nie wie, co robi! Zapłaci pan na bramkach i za benzynę więcej niż za bilet lotniczy tylko po to, żeby stać sześć godzin w miejscu. Proszę sobie to wybić z głowy!

– To może ja będę jeździł drogami lokalnymi...? – proponuję, bo tonący brzytwy się

chwytą.

– Przecież na drogach lokalnych wszystkie znaki są po japońsku! Nic pan nie zrozumie i zgubi się natychmiast!

– Eeee... z całym szacunkiem, ale nazwy miejsc i znaki drogowe to ja czytam...

– A co tu jest napisane?

– *Tomare*. Znaczy: zatrzymaj się.

– Baaardzo dobrze. No, może pan jakoś da sobie radę...

Przerażony młodzieniec za kierownicą piszczy coś słabym głosem, chyba nie wie, co ma robić, bo z braku jakichkolwiek instrukcji objechał już ośrodek egzaminacyjny cztery razy. Egzaminator rzuca mu parę słów przez ramię i znowu odwraca się do mnie.

– Taaak... kilku Amerykanów tutaj miałem, ale... Holendra?

– Nie, Polaka...

– Polaka...? No proszę! Więc Polaka... ani jednego.

– A... ilu z tych Amerykanów zdało?

– Żaden.

– Aaa... aha.

– Ale proszę się nie martwić. OJ! – to do młodocianego kandydata na kierowcę – proszę tu stanąć i zamienić się miejscami z panem cudzoziemcem!

Młodzieniec wysiada z trzęsącymi się kolanami i przechodzi do tyłu.

– Zdałeś? – pytam, mijając go.

Wznosi oczy do nieba i wykonuje gest znaczący: „To wiedzą tylko bogowie i ich przedstawiciel na ziemi, Wielce Szanowny Nasz Egzaminator...”.

Siadam, zapinam pasy, robię wielką scenę z dopasowywaniem lusterek i sprawdzaniem, czy nic nie nadjeżdża, po czym ruszamy. Jestem zdeterminowany, by tym razem zdać.

Egzaminator rozgadał się na dobre. Z braku instrukcji, gdzie mam jechać, wybieram

długą, stosunkowo szeroką ulicę, stanowiącą być może część dawnego lotniska Chōfu, jako że nie ma na niej świateł, znaków, pasów i innych pułapek ukochanych przez katów, którzy oblali mnie przy poprzednich czterech podejściach. Wczorajszy śnieg, zjawisko przytrafiające się w Tokio nie częściej niż dwa dni w ciągu zimy, też na szczęście stopniał do reszty.

Kilometr dalej zawracam na rondzie (jest to chyba jedyne rondo w Japonii) i pokonuję ten sam dystans z powrotem. I znowu zawrót... Egzaminator nie zwraca najmniejszej uwagi na wybór trasy i dyskutuje ze mną zawzięcie o bezsensowności prowadzenia samochodu w Japonii.

Pięć zawrotów później zmienia temat.

– Wie pan, ja mam młodszego brata.

– O, jak miło... – odpowiadam słabo.

– On pracuje w

航空自衛隊.

– Ach, co za szczęściarz...

– Wie pan, co to jest

航空自衛隊?

– Eee... nie bardzo.

Następują wyjaśnienia, z których wynika, że chodzi o Japońskie Siły Obrony Powietrznej.

– Otóż mój młodszy brat będzie pracował w Ambasadzie Japonii w Polsce!

– Nie może być!

– A właśnie tak! I szuka teraz nauczyciela polskiego. Może pan mógłby go uczyć?

Kariera nauczyciela języków słowiańskich w wojskowym lotnictwie japońskim jest niezupełnie zbieżna z moimi planami rozwoju zawodowego, ale sytuacja uniemożliwia odpowiedzi negatywne.

– Nic nie sprawiłoby mi większej radości...

– Wspaniale! Dam mu pana numer telefonu. No dobrze, zmiana!

Na moje miejsce wsiada dziewczyna, ostatnia ofiara gadatliwego egzaminatora, i dostaje nakaz powrotu do bazy.

Piętnaście minut później wręczam Mike'owi nowiutkie prawo jazdy, zafoliowane, wielkości karty kredytowej.

HURRRRRRA!!!



Idziemy na parking.

– Marcin, muszę ci coś powiedzieć.

– *I'm in love with my caaaaar!!! Gotta feeeeeeeel...*

– Marcin, przestań się drzeć i posłuchaj: wracam do domu.

– No i bardzo dobrze robisz! Masz szczęście, bo jest tutaj pewien znakomity kierowca, Z PRAWEM JAZDY, uważasz, który, tak się składa, może cię podwieźć!!! *I'm in loooooove...*

– Marcin, ja mam na myśli Stany.

– ...???

– Tak, niestety. Nie mogę wiecznie przedłużać dziekanki. Studia trzeba kiedyś skończyć. Mieszkam u ciebie od roku...

Zapada cisza. Nie wiem, co powiedzieć.

Wsiadamy do samochodu.

– To przez Monicę, prawda?

– No... częściowo. Na początku odpisywała na maile codziennie, potem coraz rzadziej i coraz mniej entuzjastycznie... Dzwoniłem, dawała wymijające odpowiedzi, była... zupełnie inna niż tutaj. Wiesz, że ja jeszcze we wrześniu poważnie myślałem o przeprowadzce do Wiednia. Tydzień temu prawie kupiłem bilet, ale już tylko po to, żeby z nią choć raz jeszcze porozmawiać. Zrozumieć, co się stało. Teraz to nie ma znaczenia. W każdym razie – chcę wrócić do domu i skończyć studia.

Znowu nie wiem, co powiedzieć. Przyzwyczailem się do mojego dwumetrowego współlokatora. Ile razy z kimś się tutaj zaprzyjaźnię, wyjeżdża. Pieskie jest życie gajdzina. Życie oparte na tymczasowości.

– Kiedy chcesz lecieć?

– Za sześć tygodni. Zarezerwowałem wstępnie bilet na dwudziestego siódmego lutego.

– Tydzień przed moimi urodzinami? No wiesz co?!

– Aaa, fakt... *Sorry*, stary.

– Trudno się mówi. Zrobimy ci balangę pożegnalną, taką, jakiej jeszcze świat nie widział. I, oczywiście, zawiozę cię na lotnisko, nie wiem, czy wiesz, że niedawno zostałem kierowcą!

Pip pip. Pip pip! Pip PIP!! PIP PIP!!!

Klepiąca po omacku ręka trafia w końcu na budzik i zapada cisza. Przecieram oczy, myśląc, co też mnie skłoniło do nastawienia go na wpół do piątej rano, kiedy światło i krzątanie w kuchni przypominają mi: dziś jest pożegnanie Mike'a.

Gościenny *futon* i materac złożone, na ich miejscu pękający w szwach plecak, dwa tekturowe pudła i pięć plastikowych toreb na zakupy. Mike nie docenił japońskiej pasji narodowej, jaką jest *omiyage*, zwane też czasem swojsko brzmiącym słowem *purezento*. Prezent na drogę i z drogi. Prezenty z okazji przyjazdu, wyjazdu, dojazdu, najazdu i wszelkich

innych jazdów. Jak mawia mój kolega z pracy, Dwayne, kiedy japońska armia wkraczała w roku 1931 do Mandżurii, na pewno najpierw wręczała prezenty z podróży, a dopiero potem strzelała.

Od tygodnia Mike wracał do domu obładowany różnymi pakunkami i paczuszkami od kolegów z pracy, kolegów ze szkoły karate i kolegów z „niewiadomoskąd”. Najwięcej dostał wczoraj, po ostatnim treningu; nie było nawet kiedy tego wszystkiego zapakować. Walizki nie mamy, Mike nie chce kupować nowej na lotnisku, gdzie by kosztowała majątek. Wydając wszystkie zarabiane pieniądze na obozy i zawody w różnych zakątkach kraju, nasz karateka nie odłożył zbyt wiele. Coś trzeba będzie wykombinować.

Szmer przed drzwiami i pukanie. To Sean usiłujący nie obudzić mojej gospodyni.

Mike częstuje nas śniadaniem. Po roku w Japonii niespecjalnie przekonał się do kuchni Dalekiego Wschodu, jest za to mistrzem świata w dogadzaniu Polakom i Irlandczykom. Wsuwamy jajecznicę na bekonie i grzanki z serem, siedząc na zimnej jeszcze podłodze przed niedawno rozpalonym piecykiem naftowym.

Kończę szybko, ubieram się i ruszam po samochód. Parking jest, niestety, pół kilometra stąd – bliżej po prostu żadnego nie ma. A i tak płacę za niego horrendalne sumy.

Na dworze jeszcze ciemno i cicho, kroki moich ciężkich, zimowych butów wywołują dziwne echo na pustej uliczce.

Smutno będzie bez Mike'a. Może pora się rozejrzeć za innym sublokatozem? A może za nowym mieszkaniem? Odkąd Mike zaczął pracować, uparł się, że będzie dokładał do czynszu. W końcu się podzieliliśmy: on półtora *mana*, ja resztę, czyli dwa z kawałeczkiem. Odkładałem te jego kontrybucje przez rok, zebrała się niezła sumka, może nawet starczyłoby na *reikin*, *shikikin* i resztę bandyckich opłat... mały *mansion* z grubszymi ścianami (czytaj: nadal słyszeć, jak sąsiad nalewa wodę do czajnika, ale przynajmniej nie słyszeć, jak nasypuje herbatę), własną łazienką i bliskim parkingiem...?

Co nie zmienia faktu: smutno będzie bez Mike'a.

Pancernik czeka na mnie i zapala od razu, jak to w jego zwyczaju. Jadę powoli w stronę domu, marznąc okrutnie z przodu, podczas kiedy szanowna pupa rozkoszuje się ciepłem podgrzewanego siedzenia. Powoli, bo uliczki Higashi Nagasaki nie zostały niestety

zaprojektowane do ruchu samochodowego. Niedaleko domu dokonuję rytuału złożenia obu lusterek, w miejscu, gdzie odstęp między latarnią po jednej stronie ulicy a murem po drugiej jest centymetr mniejszy od szerokości samochodu. Na szczęście w moim krążowniku, jak w większości tutejszych samochodów, lusterka składane są elektrycznie przyciskiem na tablicy rozdzielczej – właśnie ze względu na częstą potrzebę takiego manewru.



Uliczki Higashi Nagasaki nie zostały niestety zaprojektowane do ruchu samochodowego.

Chłopaki czekają przed domem. W milczeniu pakujemy plecak do bagażnika (o dziwo, się mieści). Torby też, ale gorzej z pudłami – w końcu ładują na tylnym siedzeniu, obok Seana.

– Te, Mike, napisz do nas – mówi Sean ponuro.

– Się rozumie – odpowiada Mike jeszcze ponurzej.

– Panowie, na lotnisko jedziemy, a nie na pogrzeb! Mike, jakbyś czegoś w tym Bostonie potrzebował, pisz śmiało. Słyszałem, że macie tam kłopoty z herbatą...

– Ha... Ha... – dobiega z tylnego siedzenia senny głos Seana.

Rozmowa się nie klei. Pędzę wzdłuż Yamanotedōri w stronę tokijskich przystani portowych, jest tam wjazd na autostradę Wangan do Narita. Chcę się wyrobić przed porannymi korkami, chociaż nie powinno być źle, bo ruch o tej porze będzie w przeciwnym kierunku – tysiące ciężarówek dowożących co dziennie do sklepów towar z hurtowni w sąsiedniej prefekturze Chiba.

Na razie ulice są puste. Niebo zasnuwane, ale na wschodzie widać pierwsze oznaki nadchodzącego brzasku dnia. Mijamy klinikę Shirogami, gdzie się ceruje dziewice, co zeszłej wiosny wykladałem Seanowi. Chcę ją pokazać Mike'owi, ale chyba przysnął.

Jazda przez Tokio w styczniu jest czystą przyjemnością. To znaczy w ogóle da się jechać – w przeciwieństwie do grudnia, kiedy ulice są rozkopane co sto metrów. Ostatnio wyjaśniałem to Mike'owi: w grudniu rady wszystkich gmin mają taki sam problem – nadmiar gotówki. Jakby coś zostało na koniec roku, centralny zarząd miasta uznałby, że dana gmina dostaje za dużo pieniędzy, i obciął jej budżet na następny rok. Trzeba szybko pozbyć się kasy, a na cóż szybciej i łatwiej ją wydać, niż na roboty drogowe? Zaczyna się Wielkie Rycie. W miejscach, które tego wymagają, oraz takich, które nie wymagają. Do miasta zjeżdża tłum rolników, którzy o tej porze roku nie mają co robić i zatrudniają się w przedsiębiorstwach robót drogowych.

Wielkie Rycie trwa do samego końca grudnia i Tokio robi się nieprzejezdne. Doświadczeni kierowcy wiedzą, których ulic unikać, na którym skrzyżowaniu na pewno będzie RYCIE, ale przedsiębiorstwa robót drogowych są sprytniejsze. Zjeżdżasz na wąską ulicę równoległą do Kannana-dōri, żeby uniknąć kilometrowego korka, a tutaj siurpriza: też rozkopali. Jeden mały dół, w sam raz taki, żeby nie można przejechać. A więc znowu żmudne wycofywanie i studiowanie tablicy z mapą objazdu, której przydatność jest bardzo ograniczona, bo rysunek przedstawiający plątaninę bezimiennych ulic udaje się zapamiętać tylko do następnego skrętu.

Za to w styczniu – luksus i luz. Po Wielkim Ryciu zostaje tylko pocięty i nierówno załatany asfalt wywołujący marzenia o bardziej komfortowo resorowanym samochodzie (pancernik jest zawieszony cokolwiek twardo i podskakuje na każdej łacie). A na Yamanotedōri przysłowiowa łąta na łacie i jeszcze na tym dwie łatki.

Oj, prawie minąłem skrzyżowanie! Jesteśmy już w okolicach portu. Zjeżdżam w prawo, skręcam, potem długa prosta, w lewo, znowu prosta, dalej skręt na Harumi..., zaraz, żebym ja nie wjechał na Kaigan zamiast Wangan, wyniesie mnie na północ, że hej...

– Alarm!

– Co? Gdzie?! Jak?! – Sean zostaje brutalnie wyrwany z drzemki na tylnym siedzeniu.

– Potrzebuję waszego wsparcia nawigacyjnego. Trochę się zgubiłem.

– A można się zgubić trochę...?

– Można, bo wiem, gdzie jestem (no, mniej więcej), ale nie wiem, który z tych wjazdów prowadzi na autostradę w stronę Narita. Widzicie te tablice? *Ta w Narita to* na pewno pole ryżowe, czyli kwadracik z krzyżykiem w środku, a tutaj nic takiego nie ma, tylko dwa drzewka i wężyk obok szczoteczki do zębów jadącej na koniu.

Mike i Sean rzucają się do map i słownika. Stanąć niestety nie ma gdzie, ale udaje się zawrócić, będę mógł zrobić drugie podejście.

W tym czasie koło mnie wrze dyskusja.

– To nie ten znak, ofiaro! Patrz, ma fąfasia z falbanką, a pod fąfasiem trzy nóżki!

– Gdzie, to przecież *mā*, ty ignoramusie! Cztery nóżki, choinka i dwa brzdysie, a miał być jeden brzdyś, ale mocno pogięty! I falbanka!

– Panowie, zaczynam drugie podejście! Jak się nie wyrobicie z brzdysiami i fąfasiami, będzie problem...

– W lewo! – krzyczy Sean.

– W prawo! – krzyczy Mike.

Jadę prosto.

I bardzo słusznie, bo po trzystu metrach ukazuje się upragniona zielona tablica ze znakiem wjazdu na autostradę i symbol samolotu (na potrzeby nierozgarniętych gajdzinów analfabetów). Nareszcie.

Mike i Sean nadal dyskutują nad brzdysiami, co mnie cieszy, bo wreszcie się obudzili i przestali smęcić.

Wjeżdżamy w długi tunel pod portem tokijskim. Wyprzedzam kilka ciężarówek obwieszonych kolorowymi światełkami – zamiłowanie tutejszych kierowców do *tuningu* jest legendarne. Poza tym na drodze pusto.

Kilka kilometrów dalej zwalnim, bo po prawej widać szczyty pałaców Tokyo Disneyland – pokazuję Mike'owi, który za pierwszym razem pokonywał tę trasę pociągiem, śpiąc po długim locie. Potem droga upływa już szybko. Gadamy o tym i o owym, unikając tematów rozłąk, pożegnań, rozstań i powiewania chusteczkami. Zaczyna wstawać dzień.

Jazda autostradą zajmuje zaledwie godzinę, bo nie ma ruchu. Gdyby nie ograniczenie szybkości do 80 km/godz. (standard na wszystkich autostradach w Japonii poza jedną, wiodącą do Nikko, gdzie są trzy pasy i wolno rozwinąć samobójczą prędkość 100 km/godz.), mógłbym ten czas skrócić o połowę. Muszę zapytać w pracy Kenjiego o bezpieczne (to znaczy bezzłapaniowe) techniki przekraczania szybkości, bo wykrywacze radarów co prawda są w każdym sklepie motoryzacyjnym, ale okrutnie drogie i ponoć nie zawsze skuteczne. A na autostradzie Shuto i tej, Wangan, radarów co niemiara.

O, proszę, jest ofiara – pokazuję chłopakom stojącą na poboczu supersportową hondę NSX, niedawno wprowadzony na rynek pierwszy japoński samochód cały z aluminium. Za nim duża biała limuzyna, chyba nissan sunny, z migającym, pojedynczym kogutem na dachu – drogówka. A właściwie drogowi tajniacy. Łapią, jadąc za upatrzoną ofiarą i mierząc własną prędkość. Mnie to się jeszcze nie zdarzyło, bo nauczony przez Kenjiego nie pozwalam żadnej białej limuzynie z dwoma smutnymi panami w garniturach ucześcić się swojego ogona.

Zbliżamy się do lotniska. W końcu dojeżdżam do bramki i płacę. Mike chce koniecznie się dołożyć, ale udaje mi się go poskromić. Niech się nauczy, co to jest japońska gościnność. Nie wspominając o słowiańskiej. Za bramką trzy szare autobusy z kratami w oknach. Przed nimi zasieki i ochrona lotniska: jednostki antyterrorystyczne w kamizelkach kuloodpornych,

hełmach i z półtorametrowymi pałkami.

– Czy oni nie mają broni palnej? – zaciekawia się Sean.

– Może i mają – odpowiadam – ale ponieważ każdy z nich ma poza tym co najmniej czwarty dan w kendo, z takim kijem są z bliska bardziej niebezpieczni, niż gdyby nosili na szyjach uzi.

– Myślisz, że jest jakiś alarm antyterrorystyczny? – niepokoi się Mike.

– Gdzie tam, oni tu stoją od piętnastu lat i czekają na lidera japońskich Czerwonych Brygad, który uciekł z kraju i do dziś go nie znaleziono... – tłumaczy Sean. – Jest ich trochę wokół lotniska i pałacu cesarskiego, wiesz, tam gdzie pracuje Marcin, w Sanbanchō. To wszystko. Nigdy nic nie robią, tylko stoją z kijami opartymi o ziemię. Jesteś w najbezpieczniejszym miejscu na ziemi, chłopcze.

Dojeżdżamy na parking. Wsiadam i szybko zapinam kurtkę, czując zimny, mokry wiatr znad pól Chiby.

– A w ogóle to wiecie, dlaczego tokijskie lotnisko jest o sto kilometrów od Tokio? – pyta Sean.

– Nie mam pojęcia – odpowiadam.

– Ja też nie, ale na pewno jest to miejsce mądre i słuszne – dodaje Mike, który postanowił pokochać Japonię na pożegnanie.

Sean wywraca oczy do góry.

– A co, mało było pól po drodze? Jak Disneyland mogli zbudować dziesięć kilometrów od Tokio, a nie o sto, to lotniska nie mogli?

– A może wtedy planowali rozbudowę miasta? – ripostuje Mike. – W kilkadziesiąt lat Tokio wzrosło z dwóch do dziesięciu milionów mieszkańców, mieli prawo spokojnie zakładać, że za następne trzydzieści lat będzie pięćdziesiąt milionów!

– Panowie, kłócić się możecie w środku, ja marznę, a co zrobić z tymi torbami, nie mam najmniejszego pomysłu.

Chłopaki posłusznie chwytają za bagaże. Ruszamy.

Przy okienku odprawy bagażowej zostaje wydelegowany do przeprowadzenia wywiadu na temat największych dopuszczalnych pakunków, jakie jest w stanie przelknąć taśmociąg.

– Nie jest dobrze. Plastikowych toreb nie wolno, mogą się porozrywać. Pudła są OK. Co robimy?

– Trzeba więcej pudeł – decyduje Sean. – Wy czekajcie, ja idę na łów.

Nasz nocny tropiciel wzmacniaczy i telewizorów jak zawsze spisuje się na medal. Wiedziony nieomylnym instynktem trafia na jakieś zaplecze gospodarcze lotniska i wesoło zapędza tłumek przerażonej obsługi gospodarczej do szukania tekturowych pudeł. Po pięciu minutach są pierwsze rezultaty – Sean pędzi po schodach ruchomych na piętro odlotów, a za nim dwie zmieszane sprzątaczkę z naręczami kartonów.

Po przekonaniu przełożonego sprzątaczek, który zjawił się z dodatkowymi pudłami, że dwanaście kartonów zupełnie nam wystarczy, zakładamy obóz między rzędami siedzeń dla oczekujących pasażerów, wzbudzając sensację wśród tłumu podróżnych. Zawartość pudeł i toreb zostaje wysypana na podłogę, gdzie tworzy ogromny stos. Sean z zaciekawieniem bada jego zawartość.

– Hej, Mike, otwierasz w Bostonie sklep ze sztuką Orientu, czy jak? Po grzyba ci te wszystkie lalki? O, patrzcie, kimono! I *daruma*! Jaka wielka!



Tradycyjne japońskie lalki – ozdoba domu i przekleństwo podróżnika.

– Wiem – jęczy Mike – wszyscy tu mają złote serca, ale zero zrozumienia dla potrzeb

podróżnika... Patrz, ta lala z Nara ma objętość małej walizki... Ale jak mogłem zostawić taki dar!?

Po piętnastu minutach mamy już trzy zgrabne pakunki, mocno obwiązane taśmą pakowniczą. Beładna piramida zamienia się w elegancki stos pięciu pudeł, które w ramach eksperymentu stawiamy jedno na drugim, żeby sprawdzić, czy będą wyższe od Mike'a.

Otoczająca nas wycieczka seniorów z Kalifornii, dopingująca nas w naszych wysiłkach, bije brawo.

Kątem oka widzę, że ktoś przedziera się w naszą stronę przez tłum. Pojawia się znajoma twarz...

– Akira!

– Cześć, Marcin... *Sorry*, że tak na ostatnią chwilę... Bałem się, że już was nie złapię...

– Akira, chłopie, strasznie się cieszę, że cię widzę! Mike też się cieszy, tylko mu odjęło mowę ze wzruszenia i dlatego wygląda jak karp w stawie pałacowym. Mike, daj głos!

– Mike, przywiozłem ci małe *purezento*. Na pożegnanie...

Mike rzuca się dziękować i pompować prawicę Akiry, podczas kiedy Sean i ja robimy szeptem naradę bojową, gdzie wepchnąć kolejną misternie przewiazaną paczkę.

– Trzeba będzie rozpakować – decyduje Sean, musimy zobaczyć, czy to twarde, miękkie, czy tłukące...

Niestety zawartość okazuje się i twarda, i tłukąca, więc nie ma rady – dwa pudła zostają ponownie rozwalone i zaczyna się reorganizacja. Kimono, dwa ręczniki i koszulka z napisem „Byłem w Tokio” ustępują miejsca kolejnej lalce w akwariu (tak nazywam tradycyjne japońskie lalki w szklanych pudłach, ozdobę domu i przekleństwo podróżnika).

Zostało tylko półtorej godziny do odlotu, ale Sean, Akira i ja jesteśmy wreszcie gotowi do odprawy bagażowej Mike'a.

Niestety Mike nie jest, bo właśnie zgiął się w pół jak scyzoryk, co nie jest łatwe, kiedy na plecach wisi trzydziestokilowy plecak.

– Brzuszek boli? – pyta Sean, ale nagle poważnieje, bo widzi obiekt pokłonów Mike'a.

Naprzeciwko stoi wysoki, siwiejący, ale silnie zbudowany Japończyk, i kłania się jeszcze niżej.

– Słuchaj, to musi być ten jego trener z Matsudo – szepcze do mnie Sean, szturchając mnie łokciem w bok – ten, co się rozwodzi... i pije...

Wycofujemy się na z góry upatrzone pozycje. Zza góry pudeł widzimy, że po wymianie ukłonów następuje przekazanie długiego pakunku, co Sean wita jękiem rozpacz.

Jegomość się wycofuje, a Mike wraca do nas bardzo przejęty. Nie wypytujemy go, tylko zabieramy się za pakunek.

– Fiiuuuuu... to jest katana... piękna... – przykucam obok wspaniałego japońskiego miecza. Nie jakiejś tam zabawki dla turystów. Nawet Sean jest pod wrażeniem i zaklina się, że zaraz ogłosi wyjazd z Japonii, żeby dostać swoją porcję *purezento*.

Na szczęście kształt broni umożliwia łatwe jej przytroczenie do plecaka, na którym wisi już zresztą kilka przedmiotów. Zachęcam towarzystwo do przyśpieszenia odprawy i w końcu stajemy w kolejce do okienka.

– Ile to wszystko waży? – zaciekawia się Akira.

– Siedemdziesiąt sześć kilo, nie licząc tego, co doszło na lotnisku. Sprawdziłem na wadze łazienkowej Marcina.

– Tak, Marcin nie ma łazienki, ale ma wagę łazienkową. Lepsze to niż nic – wyjaśnia Akirze Sean.

– Ale... czy Mike nie zapłaci dużo za nadbagaż? – martwi się Akira.

– Spokojna głowa. Limit do USA – trzydzieści kilogramów, plecak i pudła ważą czterdzieści, powinni mu wybaczyć. Reszta w ręcznym, a Mike doskonale umie robić wrażenie, że dziesięciokilowa torba jest lekka jak piórko...

Przed nami jest jeszcze tylko jedna osoba, gdy zdajemy sobie sprawę, że jakaś pani po raz trzeci powtarza imię Mike'a.

– Ooo, nie! – przeraża się nie na żarty Sean, widząc w jej rękach pięknie obwiązaną paczkę.

Niestety. Kobieta wręcza Mike'owi kolejne *purezento* i obejmuje go na pożegnanie, których to czułości Mike nie odwzajemnia, ale uśmiecha się i coś tłumaczy. Domyślamy się, że to żona trenera z Matsudo.

W tym czasie Sean zabawia rozmową dziewczynę w mundurze Japan Airlines wążącą pudła Mike'a.

– Kiciu moja! Ślicznie dzisiaj wyglądasz! O której kończysz pracę?

Jego wysiłki przynoszą chyba jakiś rezultat, bo spojrzawszy na wyświetlacz wagi, dziewczyna wzdycha ciężko, kręci głową i macha ręką – plecak i pudła zjeżdżają na taśmę i znikają za zakretem.

Odprowadzamy Mike'a do bramek paszportowych. Jest obwieszony torbami i poci się obficie w dwóch parach spodni i trzech swetrach, które w ostatniej chwili Sean kazał mu na siebie włożyć, by zwolnić tym samym miejsce na kolejną lalkę.

– Uważaj na siebie, Mike!

– Pamiętaj zdjąć te swetry na pokładzie!

– Nie podrywaj stewardes, a przynajmniej nie przed startem!

– Wróć do nas!

– Zaproś nas do siebie!

– Trzymaj się, Mike!!!

Przedzieramy się przez tłum w stronę wyjścia. Kiedy wreszcie otworzą nowy terminal? Chyba żadne lotnisko na świecie nie jest takie zatłoczone.

Na ruchomych schodach dostrzegamy kobietę, która ostatnia przyszła żegnać Mike'a. Też nas zauważa i kłania się lekko, z godnością. Oczy ma spuchnięte i czerwone. Nikt nie wie, co powiedzieć, więc oddajemy podobne, tylko bardziej niezręczne ukłony i ulatniamy się.

Akira daje się namówić na podwózkę. Właściwie nie planował odprowadzać Mike'a, bo ma trudny okres w pracy, ale w ostatniej chwili złamał się i wziął dzień urlopu.

Droga powrotna leci szybko – aż do wysokości Disneylandu. Tam zaczyna się sznur ciężarówek. Spoglądam tęsknie na pas policyjny, ale jeszcze nikt nie odważył się nim ruszyć, a ja na pewno nie będę pierwszy. Opowiadam chłopakom, jak parę tygodni temu przywoziłem z lotniska Amira, kolegę Mike'a z pracy. Całkiem się z Amirem polubiliśmy od czasu mojej słynnej balangi chorobowej (o której w gajdzińskim świecie krążą dziś legendy). Amir wracał z wakacji u rodziców, w Iranie. Nie widział ich od pięciu lat. W drodze z lotniska też utknęliśmy w korku, ale po chwili na pas policyjny wjechał samochód jakiejś ambasady (poznaje się to po niebieskich tablicach rejestracyjnych z białym znakiem

外,

czyli *gai* od *gaijin*). Takiego, oczywiście, policja nie może zatrzymać, bo ma immunitet dyplomatyczny. No więc natychmiast za śmiałkiem ruszył pierwszy samochód, potem drugi, w końcu cała kolejka...

Akira radzi mi nie wykorzystywać takich okazji, bo policja tylko na to czeka. Prawda, że zwykle łapią pierwszy samochód, no, może dwa, a reszta szybko ucieka między auta stojące w korku. Ale jeśli uciec się nie uda, mandat będzie spory.

Suniemy małymi skokami po kilkadziesiąt metrów, z prędkością galopującego żółwia.

– Panowie? Zacząłem myśleć o przeprowadzce.

– I ty, brutalu? – Sean jest poważnie zaniepokojony.

– Spoko, nie z Japonii, nawet nie z Higashi Nagasaki, tylko do czegoś z łazienką. I z parkingiem przy domu.

– Ech, marzyciel z ciebie. Albo masz więcej kasy, niż mówisz...

– A co, pomarzyć nie można? Akira, gdzie teraz mieszkasz? Chyba się ostatnio przeprowadzałeś?

– Chwilowo wynajmuję mieszkanie w Nagayamie. To jest w Tama, wiecie? Niski *mansion*, trzypiętrowy. Ładne miejsce i darmowy parking przed domem.

– Dar... CO? Gdzieś ty znalazł darmowy parking? Ja płacę za mój prawie tyle, co za czynsz!

– Ale, Marcin, mieszkasz w centrum... no, może nie wewnątrz Yamanote, ale blisko. W Tama jest więcej miejsca. Wszystko tańsze. Tylko że na stację jadę dwadzieścia minut autobusem – ty masz pięć minut piechotą, potem do pracy pociągiem półtorej godziny – ty trzydzieści pięć minut.

– No to kiedy nas zaprosisz? Myślałem, że cię nauczył, co to jest parape... O Jezu, patrzcie! Ale bryka!

Mija nas granatowe cudo o kształcie porschopodobnym. Niskie, szerokie, z chowanymi reflektorami. I otwieranym dachem!

– Bryka to nic, ale co za łaska... – to Sean pożerający oczyma dziewczynę za kierownicą.

– Co to jest?

– Anioł...

– Nie ciebie pytam, casanowo nieszczęsna, tylko Akiry. Co to za auto?

– Supra. Toyota supra. Połączenie komfortu ze sportem... ale drogie.

– Ja to chcę... – mamrocze, patrząc na obłe kształty karoserii.

– Ja też... – wtóruje Sean, patrząc na obłe kształty kierowcy.

Niestety, w tym momencie docieramy na czoło korka i kolumna rusza z kopyta. Supra gubi się wśród samochodów >opuszczających autostradę. Wjeżdżamy do Tokio.

– Bardzo jesteście dzisiaj zajęci? – pyta Akira.

– Mm-mm – odpowiadam, zamyślony.

– Eee-eee – odpowiada Sean, zamyślony nad czym innym.



Szczyt szpanerstwa: porsche (po lewej) i zabytkowy MG (po prawej). Proszę zwrócić uwagę na tablicę rejestracyjną MG. Znaki wyglądające jak trzy kwadraciki i trzy kreseczki to Shinagawa, czyli najmodniejsza dzielnica w Tokio (ichnie Beverly Hills). Różne robi się sztuczki, żeby mieć tablice z Shinagawa, nawet jeśli się tam nie mieszka.

– Bo przyszło mi do głowy: jeśli wzięliście urlopy tak jak ja i macie czas, to zaraz będziemy przejeżdżać przez Shinagawa. Tam jest największy salon Toyoty – Tokyo Toyopetto. Możemy wpaść i obejrzyć nową supkę, wziąć katalogi...

– Akira, zawsze mówiłem, że jesteś geniuszem!

Sean nie podziela mojego entuzjazmu, ale daje się namówić.

Po dalszych dwudziestu minutach walki z tokijskim ruchem skręcamy w prawo, na parking Tokyo Toyopetto.

W środku – błyszczące nadnaturalną wprost nowością auta, camry, crown i... jest. Supra! Wyraz mojej twarzy komunikuje zapewne światu, że jestem gotów paść na kolana i bić pokłony, co nie uchodzi uwagi kierownika salonu. Zaczyna się nerwowe szukanie sprzedawcy władającego angielskim, bo gajdzini, jak wszystkim wiadomo, po japońsku mówić nie potrafią. Jakże mieliby potrafić, przecież to najtrudniejszy język na świecie (w opinii Japończyków, rzecz jasna).

Odważam się zająć miejsce w suprze. Wszędzie skóra, pełno wskaźników i wielki, cyfrowy wyświetlacz prędkości... coś pięknego. Moje ręce ujmują z nabożeństwem skórzaną kierownicę, kiedy nagle w otwartym oknie drzwi kierowcy pojawia się biust. Biust przemawia:

– Czy mogę panu pomóc?

– Eee... tak. Czy może się pani ciut cofnąć, to wyjdę...?

Biust cofa się posłusznie i ukazuje się jego właścicielka – niewysoka i niebrzydka. Bardzo niebrzydka. Zupełnie nie w stylu dziewczyn Seana (na szczęście), ale... WYJĄTKOWO niebrzydka. Następuje ceremonia wymiany wizytówek – pięć lat w Japonii uczy, że nawet w dniu urlopu nie wolno być bez wizytówki. Czytam: „Rika Hasegawa – starszy sprzedawca”. Gorączkowo zaczynam szukać jakiegoś w miarę inteligentnego pytania na temat samochodów.

– Ile on ma koni?

– Czego?

– Koni... znaczy, mechanicznych...

– No... on jest napędzany silnikiem sześciocylindrowym, dwadzieścia cztery zawory, dwa i pół litra z podwójnym turbo... Mój kolega zna się lepiej na parametrach technicznych, zaraz go zawiadam.

– Nie, nie, proszę nie robić sobie kłopotu! – Jeszcze tego by brakowało, żeby uciekła i przysłała mi tu jakiegoś faceta. – Ja... tak naprawdę chciałem zapytać: jaka jest maksymalna

szybkość?

– Maksymalna... o to nikt mnie jeszcze nie pytał... zaraz. Hm, w katalogu brak takiej informacji. Może pan nie wie, ale na terenie całego kraju mamy ograniczenie do stu kilometrów na godzinę.

– Jasne, rozumiem... – szybko, szybko, muszę coś wymyślić! Mike znał się na autach doskonale i zaraz by podsunął parę mądrze brzmiących pytań, kurczę, odleciał godzinę temu, a już mi go brak! – Aaa... zużycie paliwa?

Trafiłem. Dziewczyna (bo nie ma chyba więcej lat niż ja) przyjmuje ton oficjalny i recytuje:

– W trybie dziesiątki mieszanej siedem i cztery dziesiąte kilometra na litr²⁰.

– ... W trybie jakim czego na ile? – w tym momencie ratuje mnie Akira, podchodząc z pożyczonym właśnie kalkulatorem i przeliczając tajemniczy wskaźnik na normalne litry na setkę, jak pan Bóg przykazał. Wychodzi trzynastie i pół: zbankrutowałbym na benzynie.

Następuje demonstracja najbardziej bajeranckiej cechy supry: centralną część dachu (twardego) daje się jednym ruchem zdemontować i włożyć do specjalnie nań przygotowanego miejsca w bagażniku. *Voilà* – jest kabriolet. A właściwie coś, co Mike nazywał „targa”.

Ach...

Sean przechodzi obok, kiedy zachwycam się dachem w bagażniku, i rzuca przez ramię:

– Dobrze, że pancernik ma większy kufer. Tutaj aktówka z trudem by weszła.

Pal licha praktyczność życiową Irlandczyków. Ale rację to on ma. Niestety...

Hasegawa-san chce wiedzieć, czy może jeszcze w czymś pomóc. Wolę nie ryzykować tematów technicznych, uciekając w bezpieczeństwo najbardziej uniwersalnego pytania na świecie:

– Ile to kosztuje?

– Ten konkretny model? Trzy miliony pięćset dziewięćdziesiąt pięć tysięcy jenów. Zaraz przyniosę katalog i cennik.

Robię zadumaną minę, udając, że astronomiczna suma nie robi na mnie najmniejszego

wrażenia, a panna Hasegawa odchodzi po dokumenty. Żegnaj, piękna supro! Nie mam złej pensji jak na tutejsze realia, ale trudno oczekiwać zarabiania kokosów dwa lata po studiach.

Tymczasem Akira zachęca mnie do obejrzenia innego samochodu, który według niego byłby świetnym następcą dziesięcioletniego już pancernika. Śmieszne, wczoraj jeszcze uważałem go za najpiękniejszy samochód w Tokio, a teraz myślę o nim: dziesięcioletni... Wszystko się zmienia, jak mawia mój ulubiony restaurator, Tarei-san.

Samochód nazywa się corona²¹ i faktycznie wygląda wspaniale. Pięciodrzwiowy *hatchback* – trochę mniej sportowy od pancernika, ale za to z klasą. Kosztuje połowę tego co supra. Hmm...

Wraca panna Hasegawa i widząc moje zainteresowanie coroną, przystępuje do demonstracji.

Największe wrażenie robi na mnie schowek na dwie puszkę z napojami (chłodzony w lecie, a podgrzewany zimą)²² i cyfrowy wyświetlacz prędkości z wbudowanym elektronicznym kompasem. Wreszcie gwóźdź programu: demonstracja lusterek bocznych z wbudowanymi wibratorami ultradźwiękowymi do strząsania kropelek deszczu. Dziewczyna spryskuje lusterko wodą i włącza system. Krople eksplodują, lusterko jest suche, a moja szczęka leży na podłodze.

W końcu biorę katalogi, żegnam się z przesympatyczną sprzedawczynią. Pytam jeszcze o autoalarm, ale ani ona, ani jej szef nie wiedzą, o co chodzi – koncepcja chyba w Japonii nieznana. Owszem, drzwi otwierają się przyciskiem na kluczyku, natomiast żadnych zabezpieczeń przed kradzieżą nie ma ani nie można zamówić.

Wychodzimy.

– No i co? – pyta Akira.

– Stary, nie wiem, nigdy nie interesowałem się cenami nowych aut. Pamiętasz, ile kosztował pancernik, prawda? Pomagałeś mi go kupić.

– Tak, ale na nowy samochód możesz wziąć korzystny kredyt! I nie będziesz go musiał zmieniać po roku, a to też kosztowna zabawa!

– Korzystny, to znaczy ile? Nie znam znaku na „kredyt”.

Akira pokazuje w cenniku: 13,5% rocznie. To ma być korzystne? No nic, trzeba przemyśleć. I poprosić szefa o podwyżkę.

Przez resztę drogi dyskutuję z Akirą o wadach i zaletach kupna nowego *versus* używanego samochodu. Mój przyjaciel ma na ten temat niezłą wiedzę, bo jako student pracował w salonie samochodowym. W ogóle ilość fachów, jaką zdobył, zarabiając na studia, przechodzi ludzkie pojęcie. Sam Akira uważa, że to bardzo niejapońskie, i bagatelizuje swoje umiejętności.

Ale *ad rem* samochodem. Według Akiry, dni pancernika są już policzone. Na liczniku bardzo wysoka liczba: 79 000 km.auta z takim przebiegiem uważa się za kandydatów na złomowanie. Co prawda od roku (no, dziesięciu miesięcy, tyle czasu mam pancernika) nic się nie zepsuło, ale (według Akiry) jak zacznie się psuć, to już wszystko poleci od razu. Lepiej zacząć rozglądać się za czymś nowym. Przebąkuję coś o dwukrotnie wyższych przebiegach samochodów sprzedawanych i kupowanych jako całkiem jeszcze dobre w mojej ojczyźnie – chłopak jest jednak nieugięty. Japońscy fachowcy mówią: sto tysięcy to maksymalny dystans, jaki może bezpiecznie przejechać pojazd mechaniczny. Tak. Trudno dyskutować z japońskimi fachowcami...

W końcu wysadzamy Akirę w Ikebukuro, gdzie korzystając z dnia urlopu, idzie na zakupy, a po piętnastu minutach dojeżdżamy do Higashi Nagasaki. Godzina jeszcze młoda, choć czuję, że po tym wstawaniu o wpół do piątej należy mi się mała drzemka po obiedzie. Temat obiadu z kolei przypomina o pustym stanie gajdzińskich żołądków i ruszamy z Seanem „za rzekę”.

Znajome rodzeństwo na miejscu – jak zawsze wesoła siostra (czy ona miała choć raz w życiu chandrę?) przyjmuje zamówienia, brat rusza do roboty przy kuchni.

– Sean?

– No?

– Coś taki ponury?

– Eee, tak mi się jakoś zrobiło.

– Jak?

– Filozoficznie.

– Tobie?

– Zaraz cię strzelę. Jestem bardzo subtelnym i wyrafinowanym człowiekiem.

Sean przerywa, żeby zawołać do kelnerki o piwo.

– No to co żeś wyfilozofował?

– Wszystko płynie.

– Eee, nieoryginalne. Ukradłeś z baru *okonomiyaki*.

– Znaczy, Mike odleciał... Mnie rzuciła dziewczyna...

– Która?

– Oj, bo cię... A zresztą sam popatrz na siebie. Kobiety nawet nie masz, a jak ci się jakaś podoba, nie umiesz się z nią umówić!

Atakuję stek z ryżem i warzywami. W ramach warzyw dostałem dziś ziemniaka, troskliwie upieczonego w metalowej folii.

– Wypraszam sobie. Jestem mistrzem świata w umawianiu się z kobietami.

– Tak, szkoda, że nie miałem kamery. Wytrzeszczałeś oczy na tę sprzedawczynię – notabene zupełnie nie w moim typie – jakby była ósmym cudem świata, a wiesz przynajmniej, kiedy kończy pracę? Czy jest zamężna? Ile ma lat? Czy ma chłopaka? (Nie, to najmniej ważne, to się zawsze da zmienić). Czy daleko mieszka?

– Ej, zaraz, a co to ostatnie ma do rzeczy...?

– A chcesz jeździć na randki do Yokohamy?

– Noo... fakt.

Wracamy do swoich talerzy. Po raz trzeci w dniu dzisiejszym rozmowa przestaje się kleić.

W końcu wychodzimy i wracamy do swoich mieszkań. Chyba wyjazd Mike'a popsuł wszystkim humory. Kładę się na obiecaną (sobie) drzemkę poobiednią. Dobrze mówi stary Tarei. Coś się kończy...

... coś się zaczyna?

Wstaję i chwytam za słuchawkę.

– Czy mogę prosić panią Hasegawa?

...

– Dzień dobry, jestem klientem, który z panią dziś rozmawiał...

...

– Tak, właśnie, chciałbym się z panią umówić i pogadać o warunkach kredytu.

...

– Nie, nie supry! Chodzi mi o coronę.

...

– Dziękuję bardzo. Tak, może być jutro. Siedemnasta?

...

– No to do zobaczenia! Aha, przepraszam, chciałem jeszcze o coś zapytać... O której kończy pani pracę?

– Niech ja to jeszcze raz ogarnę – mruczę do siebie, studiując rozciągniętą na stole długą listę notatek. – Zaświadczenie o zatrudnieniu. Osobne zaświadczenie o zarobkach, w duplikacie. Zaświadczenie z gminy Toshima, że jestem tam zarejestrowany. Zaświadczenie, że płacę podatki. Zaświadczenie z policji, że jestem niekarany. Pogięło ich, czy co? Zaświadczenie, że mam *inkan*, czyli oficjalną pieczętkę osobistą. Aha, muszę najpierw zarejestrować w urzędzie gminy pieczętkę osobistą. Dalej, kopia paszportu. Kopia gajdzin-karty. Zaświadczenie z urzędu imigracyjnego (a co oni tam napiszą, czego i tak nie ma na gajdzin-karcie?). Zaświadczenie z banku. Zaświadczenie o parkingu... O czym?



Oficjalna pieczęć osobista – japoński odpowiednik podpisu.

– Władze Tokio wymagają zaświadczenia, że ma pan gdzie parkować – wyjaśnia cierpliwie Hasegawa-san. – Proszę, tutaj jest formularz. W tym miejscu naszkicuje pan mapkę z zaznaczonym pana domem i parkingiem.

– Aaa... jeśli mieszkam w domu z garażem...?

– To będzie najprostsza mapka świata! – śmieje się panna Hasegawa, przy czym robią jej się dołeczki. Jak ślicznie...

– No dobrze. Będę to musiał przetrawić. *A propos* trawienia, czy nie pora już na naszą kolację?

Hasegawa-san patrzy na zegar i idzie zapytać szefa, czy może wyjść z pracy. Co prawda oficjalnie pracuje do 19.00, a jest dwadzieścia pięć po, ale szef zawsze mógłby mieć w zanadrzu jakieś zadanie ponadprogramowe.

Wraca i kiwa głową – możemy iść. Ja zaczekam w samochodzie, ona się przebierze, żeby z *office lady* zamienić się w *lady* wieczorową...

Wsiadam do wozu. Oj, późno. Kupę czasu zajęło nam studiowanie listy opcji. Ilość gadżetów w japońskich samochodach przechodzi pojęcie Europejczyka, który na własnym rynku widzi te same modele odarte ze wszystkiego, co podniecające.

Weźmy takie zegary – szybkościomierz, obrotomierz i reszta. W modelu eksportowym mają one jedną opcję, mianowicie: że są.

W modelu na rynek domowy Toyota oferuje zegary analogowe albo cyfrowe. Z

wbudowanym kompasem elektronicznym (dla tych, którzy nie chcą inwestować w cały system nawigacyjny) albo bez. W co lepszych modelach za dopłatą można mieć HUD – cyfrowy wyświetlacz szybkości na przedniej szybie.

Potem audio: nie jakieś tam – kaseta, CD albo zmieniaarka. Tutaj systemów audio jest do wyboru siedem, najwyższy z *subwooferem* w bocznej ścianie bagażnika i cyfrowym procesorem, który zmienia charakterystykę dźwięku na podstawie danych z czujników w siedzeniach, mówiących mu, ile osób siedzi w aucie. I na których miejscach.

Nawet tablica rejestracyjna może być w wersji standardowej albo *de luxe*: litery i cyfry są wtedy z zielonego, półprzezroczystego plastiku, a za nimi żarówki... szpan nieziemski.

Są też opcje wspomagające bezpieczeństwo. I tutaj opada mi szczęka, bowiem tylne światło przeciwmgielne – w Europie standard – wyraźnie figuruje jako osobna opcja, za dopłatą. Podobnie z poduszką powietrzną kierowcy. Dziwne. Jest za to ciekawe pokrętko, na którym ustawia się ręcznie liczbę kilometrów na godzinę zauważoną na pobliskim znaku. Można wtedy zapomnieć o pilnowaniu szybkościomierza: jeśli przekroczymy prędkość ustawioną na pokrętle, włącza się brzęczyk. Śmieszne, ale praktyczne. Oczywiście za jeszcze większą dopłatą można po prostu wybrać tempomat; wtedy wyżej wymienione pokrętko nie będzie brzęczało, ale po prostu utrzyma szybkość samochodu zgodnie z ustawioną wielkością, podczas kiedy kierowca może zdjąć nogę z gazu. I... iść spać?

Śmieszne też są wszystkie te oznaczenia pomagające kierowcy zrozumieć, gdzie się kończy jego samochód – przyczepione na krawędziach maski małe, zielone światełka albo zamocowane na zderzakach pionowe antenki z zieloną żaróweczką na końcu. Prostsze mocowane są na stałe, bardziej zaawansowane chowają się teleskopowo do zderzaka za naciśnięciem guzika. Jest opcja automatycznego wysuwania tylnych przy włączeniu wstecznego biegu. Jest nawet opcja radarowego czujnika parkowania wmontowanego w podstawę antenki. Moim skromnym zdaniem kierowca powinien czuć długość i szerokość swojego samochodu bez żadnych antenek. Nie wiadomo, dlaczego moje zdanie nie jest brane pod uwagę przez Toyota Motor Corporation.

Jest już za dziesięć ósma, kiedy panna Hasegawa wsiada do pancernika – w bardzo ładnej sukience i narzuconym tylko na ramiona zimowym płaszczu. Zauważam, że poprawiła makijaż.

– Uuu, jaki stary model!

– Wypraszam sobie...

– Nie chciałam pana urazić! Po prostu rzadko ktoś do nas przyjeżdża dziesięcioletnim samochodem... Ale jaki czyściutki! I pięknie utrzymany! W ogóle carina SE to znakomity samochód, miał duże wzięcie...

– No, to już lepiej!

Śmiejemy się.

Trochę na północ i bliżej Minato-ku skręcamy do restauracji Red Lobster.

Na szczęście nie musimy czekać i po chwili siedzimy przy stoliku.

– No i jak, kupi pan tę coronę?

– Chyba kupię... a w jakim ma być kolorze?

– To chyba pan musi zdecydować, nie ja!

– Ale na wypadek, gdyby pani dała się odwieźć czasem do domu, to jaki kolor najbardziej by pani odpowiadał...?

Dziewczyna się śmieje, a ja wyciągam z nesesera katalog i pochylamy się nad zdjęciami. Mnie najbardziej podoba się granatowy, jej – szarzielony, chociaż do granatowego też daje się przekonać.

– A w salonie polecała mi pani biały...

– Bo tak nam każe szef.

– ???

– No... bo jeśli pan wybierze inny kolor, to będziemy musieli zamawiać z fabryki Toyoty. A kilka białych zawsze mamy gotowych na sprzedaż. Tak robią wszystkie salony, bo biały jest taki... najbardziej uniwersalny. Więc potem zachęcają klientów do białego.

– Niesamowite... a ja zawsze się zastanawiałem, dlaczego połowa wszystkich samochodów w Japonii ma biały lakier.

– Kiedyś może rzeczywiście klienci woleli biały, ale od wielu lat modne są ciemne. Ja

uwielbiam perłowowiśniową toyotę exiv, ale za droga na moją pensję...

Pojawia się kelner ze wspaniałym homarem i przystępujemy do absorbujących operacji z użyciem szczypiec, miseczek roztopionego masła i karafki całkiem zacnego wina.

W końcu, po niełatwej bitwie, ogłaszam zwycięstwo żywego człowieka nad martwym homarem i rozsiadamy się nad menu deserowym.

Zamawiamy lody i kawę. Hasegawa-san dziękuje pięknie za kolację i pyta, kiedy przyjdę załatwiać formalności.

– W przyszłym tygodniu, wcześniej będę miał sporo biegania z zaświadczeniami. W ogóle przeraża mnie ta ilość biurokracji. Mapkę do parkingu to jeszcze mogę narysować, gorzej będzie z oficjalną pieczętą. Ja rozumiem, że ona funkcjonuje w Japonii zamiast podpisu, ale chyba dla gajdzina mogliby zrobić wyjątek? No tak, zapomniałem, słowo wyjątek nie istnieje w tym języku... Wie pani, kiedy ostatni raz pytałem, pieczętkarz odmówił rycia siedmiu znaków na kółku o średnicy centymetra!

– Siedmiu? Ach tak, pan ma takie długie nazwisko...

ブルチコフスキ,

prawda? Bu-ru-ci-ko-fu-su-ki. Fakt, siedem. Chyba najdłuższe japońskie nazwisko składa się z czterech. Ale na pewno ktoś panu to zrobi! Mogę zapytać u mnie w miasteczku.

– Z góry wielkie dzięki... A mówiąc o nazwiskach, to może byśmy się zdeformalizowali? O, zostało jeszcze trochę wina. Przy okazji wyjaśnię, co to jest brudzio...

– Marcin, czy jesteś pewny, że dobrze robisz?

– He?

– Naprawdę, wystarczy, że mnie podwiesz na stację, jeszcze spokojnie złapię pociąg do Saitamy.

– Rika-chan, mężczyzna, który porzuca na stacji tak piękną kobietę jak ty, jest może mężczyzną, ale na pewno nie gentlemanem.

Rika się śmieje, a ja skręcam w Kampachi-dōri, na północ.

Rozmawiamy o Saitama – jest to prefektura sąsiadująca z Tokio od zachodu i składająca się głównie z pól, podobnie jak Chiba. Różnica polega na tym, że mieszkańcy Saitama uważani są powszechnie za buraki, a mieszkańcy Chiba – nie. Dlaczego, Rika-chan wyjaśnić nie umie. Opowiada mi natomiast, jak w szkole średniej (w Tokio) starała się ukryć swoje saitamskie pochodzenie. Nie cierpiała pogardliwego określenia *dasaitama*, skrót od *Dasai Saitama*, czyli okropna Saitama.



Pierwszy wypad poza Tokio w mojej nowej toyocie coronie. Dwie ogromne anteny na bagażniku trzeba było składać, wjeżdżając do podziemnych garaży.

Z Kampachi-dōri skręcamy w lewo, w Mejiro-dōri, i za chwilę pojawiają się zielone tablice – autostrada Kan-Etsu prowadząca wprost do Saitama i dalej, w przepiękne góry prefektury Gunma.

Nie ma większej przyjemności, niż mknąć nocą po gładkiej nawierzchni z oszołamiającą szybkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę przy boku uroczej dziewczyny. Autostrada wiję się leniwie między łagodnymi wzgórzami, kończy się morze domów i zakłady przemysłowe, zaczynają pola, gdzieś tam ciemne zagajniki. Niesamowite – miniwakacje w środku tygodnia!

Silnik mruczy spokojnie w nadsiegu, deska rozdzielcza jarzy się dziesiątkami światełek wskaźników (których brak w opcji eksportowej, jak twierdzi Rika). Ach, jak ja lubię jeździć samochodem. Co prawda przepaliła się ostatnio żaróweczka na przełączniku do wybierania trybu pracy silnika (sport – normal – economy), a automatyczna blokada drzwi przy przekroczeniu dwudziestu kilometrów na godzinę chyba wczoraj nie zadziałała. Taaak, pora

na odświeżenie floty...

– Rika-chan?

– Tak?

– Co robisz, kiedy musisz do późna pracować i nie możesz już złapać ostatniego pociągu? Przecież taksówka do Saitamy musi kosztować tyle, co nowy samochód...

– Dzwonię po tatę, żeby po mnie przyjechał. Raz zostałam na noc w *love hotelu*... Bardzo się bałam, żeby ktoś mnie nie rozpoznał, gdy rano wychodziłam! Potem musiałam iść i kupić sobie nową bluzkę, bo co by powiedzieli w pracy? Wiesz, ja dlatego pracuję w Tokyo Toyopetto, że prawie nigdy nie trzeba brać nadgodzin. Zaraz po studiach zatrudnili mnie w małej firmie graficznej w Akihabara. Robiłam projekty w AutoCADzie i japońskim PageMakerze. Co tydzień był problem z powrotem po ostatnim pociągu... Ale wtedy podwoził mnie chłopak.

– ...?

– Rozstaliśmy się.

– Aaa.

Znikają ostatnie światła podtokijskich osad, autostrada wpada w czarną ścianę lasów. Otacza nas całkowita ciemność, rozcinana tylko snopem długich światel pancernika.

Spoglądam na wyświetlacz – jesteśmy trzydzieści siedem kilometrów od domu. I cóż z tego? Sean przestrzegał mnie ostatnio przed dziewczynami z dalekiej Yokohamy, ale Sean nie zna rozkoszy motoryzacji...

Zjeżdżamy na Kumagaya. Mimo późnej pory Rika pokazuje mi drogę ciut dłuższą, za to widokową. Nic co prawda po ciemku nie widzę, ale... O, już wiem, co mi chciała pokazać. Z oddala migoczą światła buddyjskiej świątyni, dalej na drzewach mnisi porozwieszali lampy – aż do szczytu góry. Matsuri, czyli miejscowe święto. Wszystko to na tle nocnego nieba, dużo tutaj czystsze niż w Tokio. Widok rzeczywiście obłędny.

Parę kilometrów dalej przejeżdżamy przez tory. Rika koniecznie chce zadzwonić sprzed swojej stacji kolejowej po ojca, żeby po nią podjechał. Może krępuje się pokazywać w domu z gajdzinem...? Trudno, damę za wygraną. Stajemy na pustym, wysypanym żwirem placyku

przed stacją. Dziewczyna dziękuje po raz trzeci za podwiezienie i zabiera się do wysiadania.

– Rika-*chan*?

– Co tam, Maru-*chan*?

– Zapomniałaś się ze mną pożegnać.

Rika zamyka na powrót drzwi i żegna się bardzo ładnie.

Z pełnym zaangażowaniem.

Ja też.

Rozdział 11



森へ行きましょう
娘さん（アハハ）。

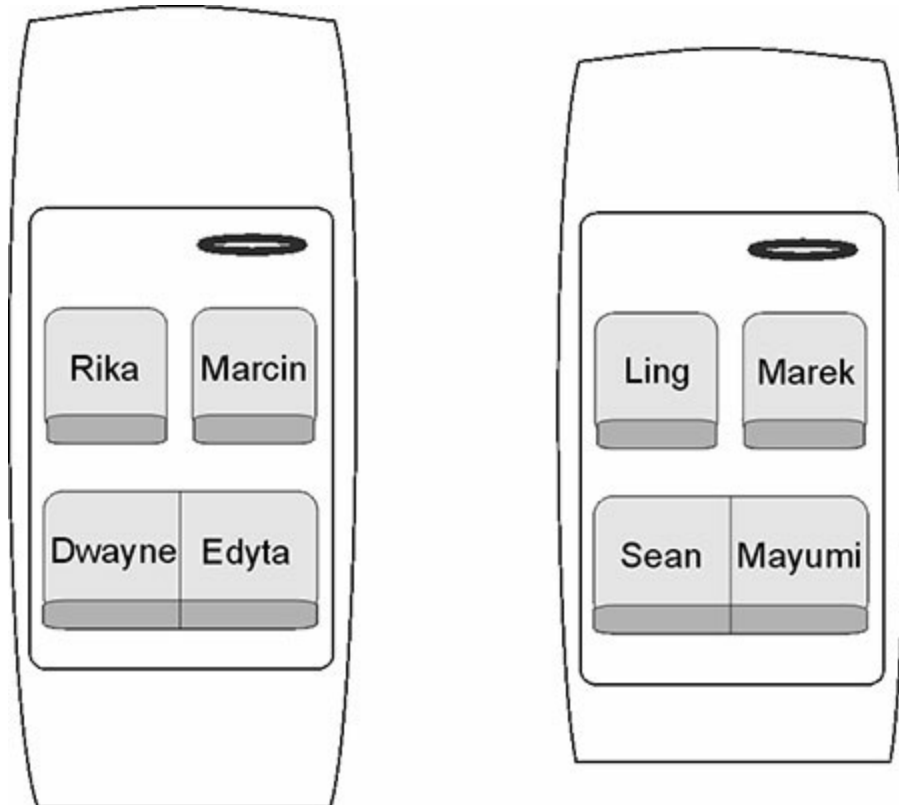
Przejdźmy się do lasu,
panno moja.

Japońska wersja „Szła dziewczeczka do laseczka” w interpretacji autora.

Oko Tuńczyka

– Załogi, do wozów!

Towarzystwo wygrzebuje się z parterowego mieszkania wprost na wysypany żwirem parking, ziewając, przeciągając się, drapiąc tu i tam. Podbiegam do Marka na ostatnią konsultację list kontrolnych i – co najważniejsze – alokacji miejsc w samochodach.



Toyota corona SF 2,0 i Mazda 323F 1,3 turbo

Wszystko się zgadza. Marek idzie dyrygować pakowaniem plecaków, śpiworów i namiotów do bagażnika.

W tym czasie ja perswaduję Edycie, że nie zamienię miejscami Dwayne'a i Ling, bo Marek, człowiek cokolwiek nieśmiały, ma skrytą ochotę zapoznać się ciut bliżej z koleżanką z pracy. Poza tym Dwayne jest przesympatycznym człowiekiem, znam go od dwóch lat i rękę za niego głową. Edyta ma lekkie wątpliwości, ale się zgadza.

Wszyscy już są poza Ling – o, właśnie zbiega do nas na parking z piętra, gdzie, podobnie jak Marek, zajmuje jedno z mieszkań służbowych Grafiki. Marek pracuje w Grafice od prawie

roku, Ling jest nową stażystką w firmie, przyleciała z Hongkongu zaledwie trzy tygodnie temu.

Sean i Dwayne trącają mnie łokciami i domagają się przedstawienia im dwudziestoletniej Chinki, co robię. Kątem oka widzę mało zadowoloną minę Mayumi. Oj, dostanie się Seanowi... Na razie dostaje się mnie, od Riki. Nie wiem, o co tym naszym kobietom chodzi, bo Ling jest urody dość pospolitej, a poza tym ciut przy kości. Za to miła. Zawsze troszczy się o innych.

Zarządzamy z Markiem zajmowanie miejsc, zgodnie z planem alokacji i bez dyskusji. Towarzystwo wsiada potulnie, a Marek biegnie do mnie ustalić częstotliwości. Będziemy się wywoływać na 433.50 MHz, jakby były problemy, to na sześciu metrach:

51.75 MHz.

Wskakuję do samochodu, włączam radiostację i chwytam za mikrofon:

– 7J1ALJ do 7J1AKO, słyszysz mnie? Odbiór.

– Słyszę cię 7J1ALJ, chociaż głównie przez okno...

– OK. Panie i panowie! Wyprawę wakacyjną na Kiusiu ogłaszam za rozpoczętą! Mamy niedzielę, drugiego sierpnia, godzina szósta dwadzieścia rano (a miała być punkt szósta, grzebały jedne), pogoda przepiękna. Ruszamy!

Opony chrzęszczą na żwirze parkingu. Przed nami dwa tysiące kilometrów, całe DWA TYGODNIE wakacji. Grafika jest firmą japońską, ale zatrudnia ponad pięćdziesięciu programistów gajdzinów, głównie z Europy Wschodniej, musiała więc dostosować się do naszych potrzeb urlopowych. Gorzej było z Riką i Mayumi, którym dwa tygodnie będą pewnie przysługiwać dopiero za jakieś czterdzieści lat. W sprawie Riki sam musiałem wstawiać się u jej szefa, grożąc półzartem (ale tylko pół), że nigdy więcej nie kupię u niego samochodu, jeśli nie da jej podwójnego urlopu. Jak się udało Mayumi (pracuje w banku inwestycyjnym), nie mam pojęcia.

Potem była jeszcze zabawa z rodzicami Riki. Noclegi w namiocie? Z mężczyznami? Nie do pomyslenia! Co oni by tam wyrabiali...? (Mama Riki wyprodukowała ją pewnie przez zapatrzenie). Oficjalnie Rika jest więc na wyjeździe do źródeł z... koleżankami.

Dwa tygodnie! Dwa samochody, cztery piękne kobiety i czterech przystojnych młodzińców, wspólnie reprezentujących pięć stron świata, cztery języki, trzy kontynenty i osiem kolorów skóry. Wyprawa, czwarta, jaką urządzamy z Markiem, ale pierwsza zakrojona na tak ambitną skalę, zapowiada się bardzo obiecująco.

Pierwszy przystanek – dzień w Seabonia. Drugi – gorące źródła w Izu. Trzeci i czwarty – Kioto. A potem już prosto na Kiusiu (gdzie można oczywiście dojechać w jeden dzień, ale co to za zabawa).

Jedziemy do wjazdu na autostradę Chuō. Trochę głupio – Tama jest na południe od Tokio, a my musimy jechać na północ tylko po to, żeby zmienić autostradę i wracać na południe. Alternatywą byłoby jednak pchanie się po wąskich, bezimiennych ulicach ze światłami co sto metrów.



Tarkowski zrobił z Shuto symbol futurystyczny. Dla mnie to tylko droga do pracy.

Jest wjazd. Wyprzedzam i wysuwam się na czoło, macham załozce drugiego wozu. Marek ma samochód dopiero od kilku miesięcy i nie zna zbyt dobrze labiryntu, jaki stanowi Shuto – dwanaście połączonych autostrad biegnących w większej części nad ziemią – na betonowych słupach (stojąc w korkach, można obserwować życie prywatne i zawodowe w budynkach oddalonych kilka metrów od jezdni). Andriej Tarkowski zrobił z Shuto symbol futurystyczny w klasycznej ekranizacji „Solaris” Lema – fantastyczna płatanina ramp, rozjazdów i tuneli wywierała dwadzieścia lat temu piorunujące wrażenie na widzu. Na mnie robi tylko

piorunujące wrażenie, kiedy w środku rosyjskiego filmu z innej epoki widzę kawałek mojej codziennej drogi do pracy...

Zjeżdżamy na krótki sprint po Kampachi-dōri, bo autostrada Daisan Keihin nie jest połączona z żadną inną i zaczyna się nagle w środku miasta. Dwayne chce wiedzieć dlaczego.

– Były kiedyś plany – tłumaczę – ale jak to często bywa, ktoś nie zgodził się odsprzedać rządowi ziemi i robota stanęła. Popatrz na Kampachi-dōri, to obwodnica Tokio, ale ciut wadliwa: niezamknięte kółko. Brakuje dosłownie kilometra. Niestety na tym kilometrze mieszka jakaś babcia, której wnuczek jest kimś tam w rządzie. A babci tam dobrze i nie sprzeda domu. Jej przodkowie mieszkali tu, jak Nerima-ku była jeszcze jednym wielkim polem ryżowym. Niestety – prawo własności jest w Japonii bardzo silne. Babcia to potęga. Rezultat: wszystkie ciężarówki muszą się pchać przez środek miasta.

Wjazd Tamagawa. Odbieramy bilety na bramce i wyrywamy do przodu. Zaczęły się wakacje.

– 7J1AKO do 7J1ALJ!

Chwytam za mikrofon. Jak miło mieć automatyczną skrzynię biegów – lewa ręka zawsze wolna, żeby się zająć radiostacją. Albo Riką...

– 7J1ALJ odbiór.

– Raport sprawozdawczy. Ling jest głodna, Mayumi chce siusiu, a Sean marudzi, że mu niewygodnie z tyłu. Odbiór.

– Roger, 7J1ALJ. Rika też jest głodna, ale ta autostrada ma już tylko czterdzieści kilometrów. Na razie przyłóż Seanowi, żeby nie marudził, i zapytaj Mayumi, czy wytrzyma dwadzieścia minut. Odbiór.

– Zrozumiałem. Bez odbioru.

Odwieszam mikrofon, dumny ze swoich wyjątkowych zdolności organizacyjnych.

Rika nie podziela mojej dumy, tylko zdziela mnie w głowę poduszką za mówienie z Markiem o niej po polsku, czego zobowiązałem się nie robić. Wykazuję skruchę i obiecuję poprawę. Rika jest nadąsana. Ranki nie są porą dnia, którą Riki lubią najbardziej.

Na tylnym siedzeniu Dwayne zabawia rozmową Edytę i idzie mu chyba dobrze. Uff. Bałem się, że będzie problem. Na szczęście Dwayne potrafi być perfekcyjnym gentlemanem.

Rika wskazuje tablicę – *resto eria* za pięćset metrów. Nie miałem pojęcia, że tutaj jest parking, to chyba najkrótsza autostrada w Japonii, służąca wyłącznie do weekendowych wycieczek tokijczyków na półwysep Miura.

Daję Markowi sygnał przez radio i zjeżdżamy.

Załoganci rozpełzają nam się po parkingu. Jestem zaniepokojony, bo ledwie nadrobiłem połowę opóźnienia, a zaraz zacznie narastać. Sean mówi, że bym nie był jak brytyjski kapral (JA???), i zaciaga nas na śniadanie.

W *resto eria* jedzenie nie jest może klasy *gourmet*, ale za to smakuje wakacjami. Suszone ośmiornice (pycha), smażone tofu na patyku (doskonałe), hamburger i hot dog (obrzydliwe, o konsystencji uszczelki silikonowej) – tak, to jest smak lata. Jakże mi go brakowało!

Siadamy przy długim, kamiennym stole. Słońce wychodzi zza chmur i robi się naprawdę wakacyjnie. Pełne żołądki dokonują rewolucyjnej przemiany w nastrojach załóg.

– Czy ktoś mógłby mi przypomnieć, gdzie my jedziemy i po co? – pyta Dwayne.

– Jezu, Dwayne, przez dwa tygodnie wszystkim tłumaczyłem...

– Nie mnie, tylko Akirze. To on miał jechać.

– Naprawdę? – interesuje się Edyta. – Nie wiedziałam. Akira jest miły.

– Dwayne też jest miły, a poza tym to kawał równego gościa – odpowiada Dwayne. – Akira nie mógł pojechać, bo mu nie dali oszołamiającej liczby dziesięciu dni urlopu, więc jestem ostatniochwilowym zastępstwem.

– No, dobra – przerywam – jedziemy do Seabonia. Ekskluzywna marina, port jachtowy dla superbogatych ludzi. Będziemy żeglować.

– A potem gorące źródła? – pyta Dwayne. – Obiecałeś gorące źródła!

– Tak, tak, potem *onsen*.

– Koedukacyjny?

– Jak znajdziemy, to koedukacyjny.

Edyta patrzy na Dwayne'a cokolwiek nieufnie i zadaje mi szeptem pytanie (po polsku), czy będzie musiała siedzieć z nami w wielkiej wannie.

Zapewniam, że przymusu nie ma.

Edyta jest w ogóle biedna, bo ją niedawno rzucił ten bydlak. A może ona jego, nie wiem, ale bydlak i tak, bo ludzi tak dobrych jak Edyta już nie robią. Mam nadzieję tymi wakacjami trochę rozweselić starą koleżankę z liceum. Oby się udało. Boję się tylko, że Dwayne zrazi się lekką rezerwą Edyty, że potraktuje to jako oziębłość w stosunku do własnej osoby. Z drugiej strony Kalifornijczyków niełatwo jest w ogóle czymkolwiek zrazić.

Marek przysiada się na chwilę, porównujemy mapy, harmonogramy i kosztorysy.

Zarządzam zbiórkę, co daje niewielki efekt – towarzystwo znowu się rozbiegło. Uzbrojeni w ręczne krótkofalówki idziemy z Markiem zaganiać załogi do wozów.

Sean się rozdokazywał, więc każę mu surowo stawić się za maksimum pięć minut w mazdzie, inaczej odjeżdżamy bez niego.

Rika się przejęła, bo nie zawsze rozumie specyficzny typ komunikacji, jaki uprawiamy od lat z Seanem:

– Znowu się pokłóciliście?

– Rika-*chan*, słoneczko moje, my się NIGDY nie kłócimy!

– Ci gajdzini są zwariowani – wzdycha moja pani i idzie sprawdzić poziom ciśnienia w oponach toyoty (według niej na autostradę powinno być 10% więcej). Czy to nie jest cud, a nie dziewczyna?

Wreszcie wszyscy siedzimy na swoich miejscach. Ruszamy. Słońce przygrzewa coraz mocniej i zapowiada się wspaniały dzień.

9.07. Nie spóźniliśmy się za bardzo, choć trochę zgubiłem drogę po zjeździe z autostrady. Parkujemy przed wejściem do mariny. Załogi wyciągają bagaże podręczne, a ja idę szukać Okudy. Parking jest długi, wąski i wygląda jak pokaz mody niemieckiej: audi, mercedesy,

porsche. W Japonii nawet volkswagen jest większym szpanem niż topowy model hondy. Jedyne produkty rodzimego przemysłu samochodowego to nasza toyota i mazda, które wyglądają tutaj jak coś z innej bajki.

Jest też kilka bardzo w Japonii rzadkich aut amerykańskich.

Szukam właśnie takiego – ekstrawaganckiej, starej, wspaniale dopieszczonej, czerwonej corvetty pana Okudy, mojego dawnego szefa w McKinsey&Co. Człowieka mocno ekscentrycznego (jak na Japończyka), ale przesympatycznego.

Właśnie nadjeżdża, sądząc po ochrypłym basie silnika. Za kierownicą niskiego wzrostu gentleman z wąsikami, w prążkowanej, biało-granatowej koszuli, fantazyjnej apaszcze i ciemnych okularach à la Sylvester Stalone.

Okuda parkuje swój muzealny kabriolet koło nas. Następuje ogólne ściskanie prawic gajdzinów oraz ukłony dla Azjatów (razem z Dwayne'em, bo kalifornijskiego potomka samurajów Okuda bierze oczywiście za rodaka).

– Oj, dużo was... – martwi się Okuda-san.

– Przecież mówiłem ci, że będą dwa pełne samochody! – bronię się, zaniepokojony.

– Tak, ale dwa samochody to dla mnie cztery osoby – odpiera Okuda, patrząc wymownie na swoją corvette, snob stary.

– Dobra, dobra, wszyscy doceniamy, że masz najbardziej szpanerski samochód w Tokio. I że jesteś dobry jak przedwojenny Chrystus. O ile nie zmieniłeś od tamtej pory²³ jachtu, wszyscy się zmieścimy.

Udobruchany Okuda prowadzi nas do mariny. Byłem już tutaj trzy razy w życiu, ale zawsze robi na mnie niesamowite wrażenie. Setki, dosłownie setki jachtów, wszystkie na ogromnych łóżach na nadbrzeżu i w monstrualnym, piętrowym hangarze, a każdy wart pewnie więcej, niż zarobię do końca życia.

– Słuchaj – mruczy do mnie Dwayne, który wie co nieco o żeglarsztwie, a jeszcze więcej o łodziach motorowych. – Przecież one wszystkie są nowe! Nie uwierzę, żeby ten kadłub dotknął wody...

– Stary, ludzie, którzy w Japonii mają pieniądze na takie jachty, nie mają czasu, żeby na

nich pływać. To oznaka statusu i nic więcej.

Usłyszał to Okuda, do tej pory szarmancko bawiący rozmową Edytę, i dodaje:

– Mój stary przyjaciel i najlepszy pracownik, jakiego miałem, Marcin-*san*, jak zawsze pełne mądrości słowa wypowiada. Ja natomiast lubię żeglować, jak najbardziej! Szczególnie, kiedy Marcin-*san* prowadzi moją łódkę...

– Oj, wiem coś o tym, wilku morski, założę się, że tym razem zaśniesz w kabinie, zanim zdążę odbić od nadbrzeża, a jak powieje czwórka, każesz mi się refować...

Okuda obraża się z wielką godnością, żeby zrobić wrażenie na Edycie. Jeszcze mi tego brakuje, żeby ją zaczął podrywać, przecież jest od niej starszy o dobre dwadzieścia lat.

Idziemy się przebrać do klubu. Stwierdzam z satysfakcją (nie po raz pierwszy), że Rika wygląda obłądnie w bikini. Mayumi też, jest nawet szczuplejsza od Riki i trochę wyższa. Napatrzwszy się, idę dziewczynom uświadomić, że koszulka i szorty to lepszy pomysł na jacht. Kostiumy kąpielowe mogą zostać pod spodem, bo do pływania w Pacyfiku pewnie będzie okazja albo dwie.

Ling i Edyta już przebrane, od razu włożyły coś sensownego.

Jacht czeka na nas, w pełni gotowy do drogi. W takiej marinie nikt nie wymaga, żeby właściciel sam takłował łódź. Od tego jest obsługa portu. Panisko ma tylko przyjść i łaskawie zająć miejsce za sterem. Bo już żagiel wciągnie mu na maszt elektryczny silnik... Nie żeby jacht Okudy był wyposażony w aż takie luksusy...



Ciągniemy na morze. Na horyzoncie Fuji-san. Niestety, jest on zwykle schowany za mgłą albo chmurami.

Wyjaśniam załogantom, co wolno, a czego nie wolno. Na jachcie, ma się rozumieć. Sean chce wiedzieć, czy jest dość kamizelek ratunkowych, więc go uspokajam i po uzyskaniu zezwolenia armatora Okudy wchodzimy na pokład.

Odbijam od brzegu na silniku (inaczej tutaj nie wolno, więc popisowe odejście na żaglach odpada) i ciągniemy na morze. Właściwie na zatokę Sagami. Przed nami intensywnie niebieska przestrzeń Pacyfiku.

– Okuda-san!

– Tak, panie kapitanie?

– Gdzie mam płynąć?

– Tamuj.

– Okuda-san?

– Taaak...?

– Czy byłbyś tak miły i w imię starej znajomości nie robił sobie jaj?

– He, he. No dobrze. Trzymaj kurs na cypel, potem zwrot i Nord-Nord-West aż do skałek, na skałki się nie wpakuj, na wysokości Eno-shima możemy rzucić kotwicę i popływać, a jak ktoś chce i umie – nurkować. Maski są w skrzyni rufowej, tam gdzie zawsze.

I tak robię. Wieje równa, lekka bryza, jak to zwykle wokół Miura. Bogom dzięki, że lekka, bo z mało karnym towarzystwem, trochę przeładowanym jachtem i brakiem pomocy (z wyjątkiem Dwayne'a) miałbym problemy z czymkolwiek powyżej czwórki.

– Podział ról! – zarządza Okuda. – Kto się chce opalać – na dziób! Kto nie chce – do kokpitu i siedzieć tam, gdzie każe Marcin, ciągnąć za to, za co każe Marcin! Ja – do kabiny, robić wam lunch.

Co za złoty człowiek. Najbogatszy Japończyk, jakiego znam, partner w niesłychanie tutaj szanowanej firmie konsultingowej McKinsey będzie nam robił lunch. To jest życie!

Po pół godzinie zdaję ster Dwayne'owi i zabieram się do jedzenia. Marek, Mayumi i Rika prażą się na przednim pokładzie, Edyta pomagała przygotować lunch, a teraz robi herbatę. Jest cicho, spokojnie i wspaniale. Siada koło mnie Ling, pyta, czy zobaczymy górę Fuji.

– Teraz jeszcze nie. Fuji jest gdzieś... o, tam... teraz zasłania ją półwysep Izu. Jeszcze się napatrzysz, spokojna głowa.

– Byłeś na szczycie?

– Eee... nie. To rozrywki dla turystów, a ja jestem... gajdzin.

Pora zrobić zwrot. Przejmuję ster i intonuję:

– Do zwrotu przez sztag!

– Ciiicho, przeszkadzasz mi marzyć – zachnął się Sean, błogo wyciągnięty na poduszkach wzdłuż sterburty.

– Prawyfokaszotwybierajlewyfokaszotluz!

– Że co?

Wzdycham i wyjaśniam:

– Sean, braciszku, zrób mi przysługę i pociągnij tamten sznurek do góry... mocniej... świetnie, teraz odwiń z kabestanu. No, z tego... garnuszka. Ooo, tak.

– Rika, aniołku mój, bądź tak dobra i weź tę linkę, nie, nie tę w ciapki, to jest fał, tylko tę koło twojej ślicznej nóżki, tak jest, brawo! A teraz przełóż ją.. Nie, nie tędy, bo mi cię zmiecie za burzę, utoniesz i wszystkim będzie przykro, tylko ZA sobą, ooo, bardzo ładnie. Dziękuję ci

stokrotnie.

Oddam sto beczek rumu za normalną, karną załogę jak w starym, kochanym, warszawskim AKŻ...

Uff. Zwrot trwał chyba minutę, oczywiście utknąłem w martwym kącie i musiałem kończyć na wstecznym. Może w ogóle zrzucić foka? Ale ta łajba, a zrobiłem na niej z tysiąc mil morskich, okropnie ostrzy na samym grocie. Może przy następnym zwrocie poproszę Edytę o pomoc, chyba pływała w szkole?

– Marcin?

– Tak, Rika?

– Dlaczego nie możemy się opalać?

– Hę? No bo... zwrot zrobiłem, kwiatuszku mój poranny, i jesteście w cieniu foka.

– A możesz zrobić tak, żebyśmy nie byli?

– Mogę, ale w tym celu musiałbym zatrzymać ziemię i ruszyć słońce, a potem wszyscy wytykaliby mnie palcami i wołaliby za mną „antykopernik”...

– Hm! – Rika się obraża i obraca do mnie pupą, głęboko przekonana, że gdybym chciał, tak naprawdę chciał, tobym jej zapewnił odpowiednie naświetlenie na każdym kursie.

Mayumi idzie poskarżyć się Seanowi, że Marcin zabrał im słońce z pokładu.

– Marcin! Natychmiast zainstalować na dziobie kwarcówkę dla Mayu-*chan*! – rozkazuje Sean, za co dostaje kapokiem w plecy od Mayumi.

Skaranie boskie z tą płcią piękną.

W końcu towarzystwo zbiera się w kokpicie, z wyjątkiem Okudy, który słodko chrapie na swojej koi. Dzień robi się coraz gorętszy; Ling przynosi z lodówki oszronione puszki. Rozsiadamy się na gumowych poduszkach.

Patrzę na małą jakoś rozmowną Chinę.

– No i jak ci się tutaj podoba? – pytam.

– Właśnie, jakie wrażenia po trzech tygodniach w kraju wschodzącego gajdzina? – dodaje

Marek.

– Wiecie, na razie to jest jak jeden wielki sen... Czy tutaj zawsze tak dużo się dzieje?

– Nieee, tylko w towarzystwie zwariowanych gajdzinów – rzuca Mayumi i wszyscy się śmieją.

– A co ci się najbardziej podoba? – chce wiedzieć Marek.

– No... właśnie to, że cały czas coś się dzieje. I jedzenie... Co jeszcze? Na każdym rogu automaty z napojami w puszkach. No i ludzie w Grafice, wszyscy byli bardzo pomocni, a szczególnie Marek.

– Taak, wszyscy wiedzą, że jestem dobry jak przedwojenny Chrystus – zapewnia Marek i znowu rechocemy.

– A co ci się najmniej podoba? – pytam.

– Bo ja wiem...? Kiedy idziemy po pracy na sushi, to kelnerka nie może zrozumieć, że ja nie mówię po japońsku. Obok siedzą dwie Rosjanki, programistki z Grafiki, obie po dwóch latach w Japonii mówią świetnie, a kelnerka w ogóle nie chce z nimi rozmawiać... Aha, jeszcze jedno: tytuły całej dokumentacji w pracy są napisane, przez wzgląd na cudzoziemców, hiraganą, ja już bym wolała, żeby były normalnie, to znaczy chińskimi znakami, albo po angielsku...

Dwayne natychmiast identyfikuje się z problemem gajdzinów o wyglądzie azjatyckim i opowiada o swoich doświadczeniach. Ja relacjonuję moją pierwszą wpadkę z wyjściem na pokoje w kapciach do ubikacji, a Sean – jak jeździł linią Yamanote z Ikebukuro do Harajuku na lekcje, ale w złą stronę, to znaczy objeżdżał całe Tokio zgodnie z ruchem wskazówek zegara (23 stacje), zamiast wsiąść do pociągu jadącego w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara (6 stacji). Po prostu nikt mu nie powiedział, że można inaczej, a z krzaków wypisanych na ścianach wcale to nie wynikało.

Każdy początkujący gajdzin przeżywa w Japonii swoją porcję przygód, ucząc się na nowo jeść, mówić, czytać, pisać, myśleć, żyć...

Rika słucha zafascynowana. Zawsze chce wiedzieć, co cudzoziemcy myślą o Japonii, jak odbierają jej kulturę. Mówi o Japończykach:

– My sami nie wiemy, co o sobie myśleć. Uczymy się od was.

To chyba działa w dwie strony, myślę.

Dwayne wypatruje czegoś za burcią.

– Ludzie! Widać dno! – krzyczy.

Patrzę z niepokojem, ale pod stępką mamy dobre dziesięć metrów – woda jest po prostu niesamowicie przezroczysta. Każdą kolorową gąbkę czy inne żyjątko na dnie widać w pełnej krasie.

Rzucamy kotwicę, pora na pływanie. Okuda wygrzebuje się z kajuty ze zmierzwionym włosiem, ubrany w białą-granatową koszulkę, ogromne bermudy i nienagannie białe tenisówki. Zapala fajkę (naprawdę, brak mu tylko czapki kapitańskiej) i siada pilnować łodzi, bo pływać mu się dziś nie chce.

CHLUP!

To nie pierwsza w życiu kąpiel w Pacyfiku, ale za każdym razem na nowo przeżywam szok – ależ ta woda jest SŁONA! W porównaniu z Bałtykiem – nasycony roztwór soli. Za to łatwiej się utrzymać na powierzchni, co wykorzystuję, zakładając maskę i leżąc prawie bez ruchu, obserwując fascynujące życie morskiego dna. Wrażenie, że można wyciągnąć rękę i podnieść falujący tam organizm gąbkopodobny, jest mocne, ale widzę tylko moje wyciągnięte palce i nieudane wysiłki Dwayne'a próbującego zanurkować do samego dna. Jest głębiej, niż myślałem, co zresztą widać po linii kotwicznej.

Towarzystwo trochę się rozproszyło, a ja leżę na plecach w pełnym błogostanie, unoszony drobnymi falami, gdy nagle słyszę krzyki Okudy. Krzyki zupełnie poważne. Mam wodę w uszach i nie rozumiem, co woła, ale gwałtowne gesty nie budzą wątpliwości: Wszyscy na pokład!

Po chwili rozlega się kolejny plusk! – i Okuda-san, w koszulce i bermudach, znika w wodzie, nurkuje.

– Co jest? – wołam do Marka, który zawzięcie płynie w stronę drabinki rufowej.

– Nie wiem! – krzyczy Marek.

– *Kurage!* – krzyczy za mną Rika. Krzyczy dziarsko, więc chyba nic jej nie jest.

Kurage to parzące meduzy, plaga wybrzeży Japonii. Największy problem – w wodzie ich praktycznie nie widać. Kontakt z nimi jest cholernie bolesny, ale chyba niegroźny?

Usiłuję ogarnąć sytuację. Marek i Dwayne na jachcie, wspólnie wciągają Ling. Sean? Jest – eskortuje Rikę, już są przy rufie.

– EDYTAAA! – wrzeszczę, ale już ją widzę – była po drugiej stronie jachtu. Zostaje... tak, Mayumi. Rozumiem, dlaczego jest ostatnia – nie rusza się, ciągnięta w chwycie ratowniczym przez Okudę. Podpływam i eskortuję ich do samej łodzi, na wypadek gdyby Okuda dostał od meduzy i puścił dziewczynę.

Nie dostał – dostałem ja. Paskudny ból, jakby ktoś mnie poraził paroma setkami woltów.

Jesteśmy wszyscy na pokładzie. Zliczam towarzystwo nerwowo po raz chyba czwarty.

Na koi Okudy leży Mayumi, naga do pasa, z paskudnymi, czerwonymi pręgami na ramionach, brzuchu, piersiach. Okuda czymś ją smaruje.

– Wpadła w sam środek stada tych świństw – tłumaczy straszliwie zdenerwowany Sean. – Byłem pięćdziesiąt metrów dalej, nic nie mogłem zrobić! Jedna dostała jej się za kostium...

– Sean, uspokój się. Od tego jeszcze nikt nie umarł. Niebezpiecznie jest wtedy, gdy się pływa samemu. Boli, ale przejdzie. Okuda zaraz jej coś da. Pewnie jest bardziej zaszokowana niż poważnie uszkodzona. Może dostała skurczu pod wodą, każdy by się najadł strachu.

Zostajemy wyrzuceni z kabiny, żeby dać Mayumi trochę prywatności.

W końcu wychodzi Okuda i oznajmia:

– Nic jej nie będzie! Myślałem, że to coś poważniejszego, w wodzie zupełnie opadła z sił. Ale nie takich pływaków jak ona pokonały *kurage*. Ciekawe, nigdy ich tutaj nie było w takich ilościach.

Smarujemy maścią Okudy poparzone kończyny, chociaż nikt nie jest tak poszkodowany jak Mayumi.

Po piętnastu minutach pora na odwiedzin u chorej. Dziewczyna wygląda już różnie, leży przykryta ręcznikami, a przy niej Sean, trzyma ją za rękę i wygląda jak obraz nędzy i

rozpaczy.

– Mayumi! Strasznie się cieszę, że cię widzę – zaczynam – bo gdyby nie bohaterska akcja Seana, już nigdy bym cię nie widział, ani ja, ani nikt inny...

Mayumi patrzy w Seana jak w obrazek, a Sean we mnie. Yes! – zarobiłem na duże piwo.

Wypadek z meduzami, o dziwo, nie popsuł humorów załogi, a wprost przeciwnie. Okuda zarządza jednak powrót, co wszyscy przyjmują z jękami rozczarowania.

– To przez meduzy? – pyta Edyta.

– Nieee, i tak mieliśmy wracać – odpowiadam – idziemy do klubu Okudy na obiad, a potem gnamy na Izu, zanim się zrobi zupełnie ciemno. Izu? O kurczę, co będzie z gorącymi źródłami?

Robimy z Markiem i Edytą (reszta znowu się opala) naradę bojową. Mayumi na pewno nie będzie w stanie moczyć się w gorącej wodzie. Decyzja: w imię solidarności odpuszczamy sobie dzisiejszy *onsen*. Może jutro wieczorem? Zobaczymy, jak szybko się z tego wyliże. Postanawiamy jechać na naszą ulubioną plażę i tam postawić namioty.

Jest kilka minut po trzeciej. Słońce powoli zniża się w kierunku brzegu, nadeszło trochę chmur, wzmacnia się wiatr. Droga powrotna wymaga halsowania, więc obsadzam Dwayne'em i Edytą stanowiska na szotach foka. Pokład dziobowy pustoszeje, bo zaczyna chlapać. Nareszcie można pożeglować!

Opinię tę nie do końca podziela reszta grupy, która woli, kiedy nic się nie rusza i nie pluska. Każda komenda: „Do zwrotu przez sztag!” witana jest zbiorowym narzekaniem, że trzęsie, kołysze, mokro i zimno.

– No to idźcie pod pokład do Okudy, szczury lądowe jedne!

Idą i nawet się mieszczą, to jest w końcu jacht morski ze stałymi miejscami do spania dla sześciu osób. Okuda wyciąga gitarę i traktuje towarzystwo jakimś japońskim odpowiednikiem „Morskich opowieści”.

Edyta chce posterować, więc się zmieniamy.

– Żeglarstwo jest u was popularne? – pyta Dwayne pełen podziwu. – Przecież wy tam

żadnej wody nie macie!

Edyta tłumaczy mu jak dziecku, że w Polsce, owszem, mamy trochę mokrego. Przy okazji zachodzi potrzeba uściślenia, że nasza ojczyzna leży nad Bałtykiem, o istnieniu którego to akwenu Dwayne ma dość mgliste pojęcie.

Z kajuty dobiegają dźwięki ludowej piosenki japońskiej „Morie ikimasho” z akompaniamentem gitary w wykonaniu... Marka. Jakbym znał te jego talenty, wziąłbym gitarę. Chociaż pewnie już by się nie zmieściła ani do toyoty, ani do mazdy.

Wieje piątka, ale fala nie za wysoka, to jest jednak zatoka, a nie otwarty ocean. Zbliżamy się do półwyspu Miura i siła wiatru opada. Port już blisko. Zmieniam się z Edytą, bo wejście znam na pamięć, a jest tutaj sporo zacumowanych jachtów, na które lepiej nie wpaść, jeśli się nie chce płacić odszkodowania do końca życia. Za falochronem zrzucamy żagle, odpalamy silnik i powoli podchodzimy do nadbrzeża.

Zarządzam klar na pokładzie.

Towarzystwo, zręcząc tylko nieznacznie, wrzuca śmieci do plastikowych toreb, zanoszą pod pokład gumowe poduszki z kokpitu i generalnie przywraca jednostkę do stanu w miarę przyzwoitego. Żagli nie trzeba składać, bo się pięknie same nawijają na bom i sztag. Za moich czasów takich zabawek nie było...

– Kapral... – dyszy Sean, taszcząc na nadbrzeże torbę pełną puszek po piwie.

Żegnamy jacht i maszerujemy do klubu.

Kolacja składa się głównie ze świeżych owoców morza i budzi powszechny entuzjazm. Marek entuzjazmu nie podziela, bo studiuje rachunek. Kasa na podróż jest wspólna i właśnie wydaliśmy niepokojąco dużą jej część na jeden posiłek. Marek myślał, że Okuda, zapraszając nas do swojego klubu, funduje też kolację.

Fundowanie nie jest zwyczajem, który zakorzenił się na Wyspach Japońskich.

– Słuchaj, mieliśmy wspaniały dzień na morzu, myślisz, że on nie płaci za usługi portowe i utrzymanie jachtu? – usprawiedliwiam eks-szefa.

– Jasne, nie wygłupiaj się, przecież ja nie mam mu za złe, po prostu nie spodziewałem się wydać tyle na żarcie już pierwszego dnia... Będziemy musieli uważać, na przykład u tego

twojego profesora w Kioto.

Nadchodzi czas pożegnań.

Okuda serdecznie zaprasza wszystkich na powtórzenie tej przygody (minus meduzy) za rok. Mayumi kłania mu się nisko i dziękuje za pielęgnowanie oparzeń. Edyta całuje go w policzek, na co Okuda robi się czerwony i promienieje z zadowolenia.

Zmęczeni, objedzeni i śpiący wlecemy się do samochodów.

Droga na Izu zajmie tylko godzinę, bo jedziemy na wschodnią stronę półwyspu (i ze wschodu właśnie nadjeżdżamy), nie musimy więc wspinać się po górskich drogach prowadzących do gorących źródeł.

Przejeżdżamy przez miejsce widokowe, gdzie droga biegnie kilkadziesiąt metrów nad spienionym morzem. Rika pyta, czy może powiedzieć coś przez radio.

– Teoretycznie nie, bo nie masz licencji, ale co tam...

– Rika do Marka, Rika do Marka! Odbiór!

– Co tam, Rikacianie? Odbiór.

– Widzicie morze po lewej? Tu kiedyś wrzucano samochody! Odbiór!

– Masz na myśli, że wpadały?

– Nie, ludzie wrzucali, jak były stare! Żeby nie płacić za... no...

– Złomowanie – podpowiadam szeptem.

– Złomowanie!

– I co, zaczęły w końcu wystawać z wody? – to głos Seana przez radio.

– Pewnie tak! Bez odbioru! – chichocze Rika i wyjaśnia, już nie przez mikrofon, że złomowanie kosztuje sporo. Co sprytniejsi tokijczycy znaleźli tu właśnie miejsce, gdzie można było zepchnąć samochód ze skał, a potem przejść piechotą do pobliskiej stacji kolejowej.

Wyobrażam sobie stertę wraków wystających z morza w czasie odpływu i też dostaję ataku chichotów. Chyba ze zmęczenia.

Lądujemy na plaży parę minut przed dziesiątą, dziękując opatrności, że znamy każde

drzewo w tej zatoczce – jest bowiem zupełnie ciemno. Zupełnie. Własną rękę widzę (a może tylko mi się wydaje), ale nic poza tym.

– *AUCH! Damn! This f.....g tree attacked me!*

Sean, jak widać, nie zna każdego drzewa, a w każdym razie nie palmę, na którą właśnie wpadł.

– Nie macie więcej latarek?

– Tylko dwie... Czekaj, poproszę Marka, żeby wjechał na plażę i poświecił reflektorami.

Chwytam krótkofalówkę.

– 7J1ALJ do 7J1AKO, gdzie jesteś? Odbiór.

– Stawiamy pierwszy namiot, a co? Odbiór.

– To już nic, stawiajcie. Pamiętaj włożyć piwo do oceanu. Bez odbioru.

Trudno, zrobię to sam.

Idę przez zagajnik na parking, wsiadam do toyoty i ostrożnie wjeżdżam między drzewa. Kilkaset metrów dalej światła samochodu wyłaniają z mroku koleiny, pewnie jacyś miłośnicy jazdy terenowej wjeżdżali jeepami na plażę. Jadę ostrożnie, chwilami nie widząc zupełnie nic, kiedy nagle moje reflektory celują w niebo.

Oj, niedobrze. Przełączam bieg, koła buksują... nic.

Zakopałem się.

– 7J1ALJ do 7J1AKO.

– Tu 7J1AKO. Gdzieś ty pojechał? Odbiór.

– Eee... chciałem wam poświecić... zakopałem się przy wjeździe na plażę, z dwieście metrów na prawo, patrząc w stronę zatoki... odbiór.

– Ja cię... No dobra, jadę. Bez odbioru.

Po chwili słyszę silnik i w lesie robi się jasno. Mazda zbliża się na długich światłach i wyłania z mroku obraz mojej porażki. Lewe tylne koło toyoty wisi metr nad ścieżką, przód zakopany jest w wydmię... Jak ja to zrobiłem?



Wiszący samochód.

- Jakżeś ty to zrobił?– To głos Dwayne'a.
- Właśnie sobie zadawałem to pytanie... no... ciemno było...
- Tak się traktuje samochód, który ci sprzedałam??? – Głos Riki.
- *Sorry*, Rika, następnym razem wezmę mazdę Marka...

Dwayne i Rika oglądają samochód. Werdykt: nic się nie stało, może poczekać do rana. Wyciągamy bagaże i przeładowujemy je do mazdy. Samochód mały i zwinny, a prowadzony ręką prawie równie dobrą jak moja (no, OK, ciut lepszą), wjeżdża na brzeg plaży i robi się jasno. Szybko kończymy rozbijanie namiotów.

Dwayne:

- A teraz najstarsze pytanie świata: kto z kim będzie spał?
- Nie z kim, Dwayne, tylko gdzie! – odpowiada stanowczo Edyta.

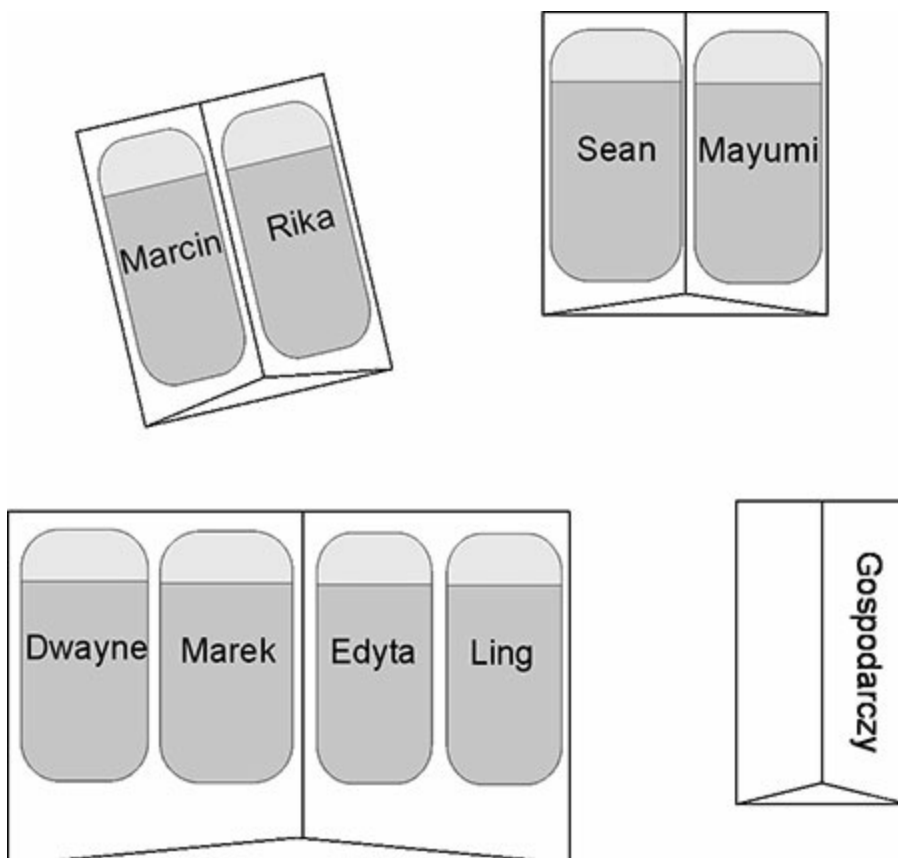
Mamy dwie dwójki, czwórkę i namiot gospodarczy, czyli mojego pomarańczowego dunlopa (dwójka, ale japońska, czyli tak naprawdę półtorówka), wstawionego parę lat temu wzbudzaniem sensacji na peronach malutkich stacji wiejskich w rejonie Chūgoku.

Powstają dwie koncepcje:

1. Panie na prawo, panowie na lewo.
2. Pary sparowane w dwójkach, a pary niesparowane w czwórce.

Wygrywa druga koncepcja, mimo obiekcji Dwayne'a, że świat i tak jest już przeludniony.

Wygląda to mniej więcej tak:



Pora na ognisko.

Panowie ruszają po drzewo, a panie po spray przeciw komarom.

W końcu siedzimy wokół ognia. Jest byczo.

Marek przynosi schłodzone w oceanie piwo i robi się jeszcze byczej.

Kiedy rum zaszumi w głowie, cały świat nabiera treści...

POBUDKA! Patrę wkoło nieprzytomnym wzrokiem i widzę... niebo. Niebo nie jest normalnym składnikiem otoczenia w namiocie. Siadam i stwierdzam, że leżę na środku plaży w śpiworze, namioty znikły. Została kupa śmieci.

Blizsza inspekcja pozwala zidentyfikować ślady po akcji wytrząsania mnie z namiotu razem ze śpiworem.

Czyżby mnie zostawili? Bez radia?

Nie, jest – na drzewie wisi moja nieśmiertelna kamizelka, przyjaciółka radioamatora, z dwunastoma kieszeniami na zamienne anteny, zapasowe baterie i inne drobiazgi.

– 7J1ALJ do 7J1AKO, odbiór.

Nic.

Mocniejszą radiostację mam zainstalowaną na stałe w samochodzie... auć, samochód wisi pewnie nadal na wydmie. Co jest grane?

Ktoś idzie... Ling!

– Hej, Marcin, wysłali mnie, żebym sprawdziła, czy przypływ cię nie zabrał...

– Ling! Strasznie się cieszę, że cię widzę o poranku! Myślałem, że mnie opuściliście.

– Marek pojechał z Edytą, Riką i Mayumi po śniadanie. Też miałam jechać, ale znalazłam Fuji.

– A reszta?

– Leniuchują. Po drugiej stronie cypla, bo tam jest słońce. Chodź, pokażę ci.

Ling biegnie w podskokach przez las, ja trochę mniej entuzjastycznie podążam za nią, bo gajdzin bez śniadania to gajdzin zły. Szczególnie gdy go wytrząsają z namiotu i zostawiają samego.

Fuji-san faktycznie prezentuje się pięknie. Tutaj często jest mgła albo niskie chmury i wulkanu nie widać albo tylko sam szczyt. Teraz – jak z pocztówki. Szkoda, że nigdy nie kupiłem aparatu.

Ale aparaty są dla turystów, a ja jestem gajdzin, czyli miejscowy, tylko... obcy.

Sean i Dwayne leżą na karimatach na betonowym nadbrzeżu.

– Oj, lenie, co robicie?

– Byczymy się – odpowiada Dwayne, otwierając jedno oko.

Po angielsku brzmi to: *I'm byczing* – nauczył się ode mnie, bestia.

Słońce już dość wysoko – patrzę na zegarek: dziewiąta.

– Ludzie! Przecież według planu mieliśmy być o tej porze w połowie drogi do *onsenu*! Gdzie mój samochód?! Co się dzieje?! Aaa!

– Oj, kapral! Wyluzuj się... – rzuca Sean, nie otwierając nawet jednego oka.

Na szczęście widzę nad krzakami wierzchołek półtorametrowej anteny, a po chwili całą resztę mazdy. Śniadanie!

Marek znalazł Seven Eleven. Po dwóch *onigiri* i puszce kawy świat wraca do normy.

Idziemy odkopywać mój samochód.

Pracami dyrygują certyfikowani eksperci od spraw motoryzacyjnych: Dwayne (z racji bycia Amerykaninem) i Rika (z racji bycia specjalistką od toyot). Mazda spisuje się na piątkę, wyciągając z piachu dużo od niej większą i cięższą toyotę.

Pora się zbierać.

Idziemy nad naszą zatokę na ostatni sprawdzian, czy czegoś nie zapomnieliśmy.

– Te wszystkie śmieci to chyba nie po nas...? – pyta Ling.

Plaża, faktycznie, nie należy do najczystszych.

– Nie, po prostu... ten kraj tak ma – tłumaczy Edyta – im ładniejsze miejsce, tym więcej śmieci.

– Dlatego przyjeżdżamy w nocy – dodaje – śmieci nie widać...

Fakt, o poranku nasza zatoczka traci część swojego czaru. Na plaży walają się jakieś pudła, kartony po papierosach, plastikowe torby, trochę szmat, stara opona i duże ilości puszek po budwiserze. Nie naszych! Tylko Japończycy piją amerykańskie piwo, pewnie dla szpanu, bo w porównaniu z kirin ichiban shibori jest to paskudztwo nie do opisania.

Rika, filozof w zakresie *res japonica*, tłumaczy:

– Japończycy mają umiejętność patrzenia na piękno natury, nie widząc śmieci i innych brzydkich rzeczy. To tak, jak oglądasz film w języku, który rozumiesz, ale na dole ekranu są napisy w języku, którego nie znasz. Żeby mieć przyjemność z oglądania filmu, musisz się

nauczyć nie patrzeć na napisy.

Wsiadamy do samochodów. Dwayne trenuje umiejętność zachwycania się Fuji-san, nie widząc odpadków walających się wokół parkingu, gdzie paru poprzednich amatorów plaży zostawiło torby ze śmieciami. Torby rozpadły się chyba gdzieś pod koniec ery Meiji. Kosz na śmieci nie został tu jeszcze wynaleziony.

Ruszamy. Zaczyna się wspinaczka po krętych, górskich drogach. Izu to jedyne miejsce w Japonii, gdzie nęka mnie choroba morska, nawet kiedy jestem za kierownicą. Na razie jest w porządku, ale żałuję, że zapomniałem kupić przed wyjazdem aviomarin albo jakiś miejscowy odpowiednik.

Wspinamy się tak od pół godziny, gdy nagle pod nami ukazuje się wspaniały widok – nasza zatoka, ale z dużej wysokości.

– 7J1AKO do 7J1ALJ, zatrzymuję się!

– Tu 7J1ALJ, co się stało? Odbiór.

– Nic, tylko Ling chce zrobić zdjęcie.

Ach, ci turyści... Zwalniam, cofam się i wychodzę rozprostować kości. Ling dokonuje skomplikowanych akrobacji, by uchwycić obiektywem zatokę bez wszechobecnych kabli wysokiego napięcia. Ale poza kablami, których zgodnie z naukami Riki staram się nie dostrzegać, widok ze szczytu jest rzeczywiście obłędny.

Niestety, szczyt ma to do siebie, że trzeba z niego potem zjechać, a zjazdy po górskich serpentynach to nie to, co mój błędnik lubi najbardziej. Za to można zaoszczędzić paliwo. Zakładamy się z Markiem, jak daleko zajadę, nie dotknąwszy hamulców, czyli kontrolując szybkość wyłącznie skrzynią biegów. Ruszamy.

Pierwsze hamowanie dopiero po piętnastu minutach. Po następnych dwudziestu zaczyna mi się robić niedobrze. Chwytam za mikrofon, żeby ostrzec Marka i poprosić o wolniejszą jazdę, kiedy nagle robi się płasko i wjeżdżamy do wsi. Po lewej rzeka, po prawej masyw skalny, parę domów i... sklep! Może będą mieli coś aviomarinopodobnego?

– Rika, jak jest po japońsku choroba morska?

– *Norimonoyoi*. Pójdę ci pomóc.

– Mnie? Wypraszam sobie! Ja się doskonale dogaduję. Jakbym nie miał kogo zapytać o to norimonocoś, tobym po prostu zademonstrował...

– Tak, a biedna sprzedawczyni zadzwoniłaby od razu po karetkę! Nie marudź, idziemy.

Sklep okazuje się również apteką, jest to po prostu jedyny sklep we wsi, ma na stanie szwarc, mydło i powidło. Rika wyjaśnia, dostajemy pudełko pigułek.

– Czy po tym można prowadzić samochód? – pytam.

– Eee... tak... ale... trzeba mieć prawo jazdy! – mówi sprzedawczyni, patrząc na mnie podejrzliwie.

Wznoszę oczy do nieba i wychodzę, kupuję w automacie przed sklepem puszkę mrożonej herbaty z cytryną do popicia pigułki.

Jedziemy. Po kolejnych dwudziestu minutach widzimy *onsen* – tutaj jeszcze nie byliśmy. Marek idzie spytać, czy koedukacyjny i ile kosztuje.

Czekam na niego w samochodzie, bo jakoś nic mi się nie chce, a najmniej wysiadać.

Po chwili podjeżdża granatowy lexus (tutaj nazywa się toyota celsior), kierowca opuszcza szybę. Okazuje się, że jest Francuzem, ale mówi dobrze po angielsku. Pyta o drogę, wyjaśniam.

Kierowca dziękuje mi po angielsku, a Rice, która pokazywała mapę, nienaganną japońszczyzną.

Odjeżdża.

Jest smutno. Patrzę ponuro na znikające za zakrętem obfite kształty lexusa. Co ja w życiu osiągnąłem? Nic. Po japońsku mówię niegramatycznie, nawet w połowie nie tak dobrze jak ten Francuz. Na lexusa jeszcze dwadzieścia lat nie będzie mnie stać. A może nigdy. Czy takie życie ma sens? Chyba nie. Czy w ogóle warto je kontynuować? Ależ skąd.

Dociera do mnie jak przez mgłę, że Mike wrócił i że idziemy do *onsenu*. Trzeba zaparkować samochód, więc ruszam.

Smutno.

Ktoś tam krzyczy, że jadę z otwartymi drzwiami, więc posłusznie stoję i daję je sobie

zamknąć. Jakby to miało jakieś znaczenie.

Potem coś się dzieje, nie bardzo wiem co, a potem siedzę w restauracji i patrzę w talerz spaghetti z sosem bolońskim. Spaghetti patrzy na mnie. Złośliwie.

I co z tego?

Henna sito znowu próbuje do mnie hanasić, ale to nie mieć znaczenia. Robi się różowo, a potem... czarno.

Otwieram oczy i usiłuję przypomnieć sobie, co się dzieje, gdzie jesteśmy, czy już byliśmy w *onsenie*? Siedzę na tylnym siedzeniu mojego samochodu (ciekawe, nigdy tutaj nie siedziałem, to znaczy nigdy w charakterze pasażera), a prowadzi... Mała? Yumi-chan???

Nie...

Zatrułem się czymś?

Szukam wzrokiem mazdy – jest, przed nami. Mam dziwne wrażenie, że lecimy metr nad szosą. Wszystko dookoła płynie łagodnie. Cofam się do środka, żeby nie wypaść. Mazda pochyla się na lewe skrzydło, a nasz samochód wpada w ogromny wir powietrzny i nurkuje pod chmurami. Zamykam oczy.

Budzę się znowu, kiedy już jest ciemno. Stoimy. Jestem na tylnym siedzeniu mojego samochodu (ciekawe, nigdy tutaj nie siedziałem, to znaczy nigdy w charakterze pasażera). Właściwie nie siedzę, tylko leżę na czyichś udach. Damskich. Nade mną ładny biust. I zatroskane oblicze – Riki. Coś mówi.

– ... Możesz powtórzyć?

– Pytałam, jak się czujesz.

– Nie wiem... chyba dobrze. – Podnoszę się. – Co jest grane?

Rika wydaje oddech ulgi.

– Miałeś odlot stulecia po zażyciu pigułki przeciw nudnościom! – oznajmia Dwayne z przedniego siedzenia. – Ale czad! Legalny odlot! Od pięciu godzin tłumaczę im, że TEŻ cierpię na chorobę morską, ale nie chcą dać...

Wychodzę z samochodu, mam zdrętwiałe mięśnie. I kaca. Stoimy na parkingu jakiegoś *ryokanu*. O, właśnie wychodzi Marek z Edytą.

– Marcin! Żyjesz? Pojęcia nie masz, jak smuciłeś... Rika nalegała, żeby cię wieźć do szpitala! Ale Dwayne jako specjalista od odlotów zapewniał, że musisz to tylko odespać, i...

– Taaak... pogadajmy o tym inną razą, OK? I przejdźmy na angielski, bo zaraz dostanę od Riki. A w ogóle czy ktoś mi wreszcie powie, gdzie jesteśmy i co robimy?

Wszyscy zbierają się na naradę bojową.

Ryokan jest przepiękny, bardzo tradycyjny, z własnym, prywatnym *onsenem*. Niestety nie ma miejsc. Edyta twierdzi, że miejsca na pewno są, tylko nie dla tak mieszanego tłumu.

– To bardzo ekskluzywne miejsce – mówi przejęta – tutaj oni decydują, kto będzie ich klientem, a nie na odwrót! Tylko dla ludzi z wyższych sfer, rozumiecie?

Dziewczyny się naradzają, czy warto zrobić drugie podejście. Okazuje się, że Mayumi umie mówić z wytwornym akcentem z Kioto, bo mieszkała tam w dzieciństwie (choć jest z Kiusiu). Wysyłamy delegację:

Dwayne – ma stać, nic nie mówić i udawać Japończyka.

Mayumi – będzie się kłaniać i prosić o przyjęcie najwykwintniejszym kiotyjskim.

Rika – też będzie się kłaniać, bo ładnie wygląda, ale nic nie będzie mówić, bo ma akcent z Saitama.

Cała reszta – ma stać z tyłu, patrzeć w podłogę i wyglądać niewinnie oraz niegroźnie.

Stoję z pochyloną skromnie głową i słucham szczebiotu Mayumi. Połowy nie rozumiem, bo to uprzejma forma języka, pełna zawijasów gramatycznych. Mój podziw dla Mayumi wzrasta.

W końcu starsza pani kłania się i zaprasza do środka. Sukces!

Ryokan jest przepiękny. Dostajemy cztery pokoje poprzdzielane suwanymi drzwiami z drewna i papieru. Pokojów na osiem osób (bo chcieliśmy mieszkać solidarnie i kupą) tutaj nie ma. Nie szkodzi, myślę, patrząc na Rikę przebierającą się w *yukatę*.

Co kilka minut ktoś puka, drzwi się rozsuwają, po czym pani z obsługi pojawia się w

progu (na klęczkach) i z niskim ukłonem ofiarowuje kolejną tacę z herbatą, przekąskami, gorącymi ręcznikami do twarzy, zimnym piwem. Aaach, żyć, nie umierać...

W końcu drepczemy do łaźni w tradycyjnych drewnianych klapkach i pięknych *yukatach*. Gorące źródło jest w przepięknym ogrodzie otoczonym gęstą roślinnością. Siedzimy całą ósemką po szyje w bulgocącej, gorącej wodzie, wśród malowniczych skał. Jest cudownie. Niestety wszyscy upierają się, żeby omawiać reakcję gajdzińskiego organizmu na środki przeciw chorobie morskiej, o czym wolałbym szybko zapomnieć...

Późno w nocy kończymy z Riką w pokoju ostatnią czarę gorącej sake, kiedy przychodzi mi coś do głowy:

– Rika, kiciu moja puszysta, daj no to lekarstwo. Powiedz, co tu jest napisane...

Rika zagłębia się w ulotkę, a po chwili czyta:

– Po zażyciu pod żadnym pozorem nie prowadzić pojazdów mechanicznych!

Droga jest dość nudna, jak to japońska autostrada. Wszystkie są płatne, więc aby uniemożliwić co sprytniejszym kierowcom wyniesienie samochodu na plecach bez zapłaty, po obu stronach drogi stoją metrowej wysokości betonowe bariery i trochę psują widok.

Góry za nami. Większa część autostrady Tomei biegnie wzdłuż wybrzeża, w ten sposób omijając Alpy Japońskie łukiem od południa. Nie znam tej trasy, bo poprzednim razem jechałem autostopem i wybrałem drogę omijającą je łukiem od północy.

– Oj, Marcin! – odzywa się radiostacja głosem Seana.

– Nie mówi się „oj”, tylko wzywa mój znak wywoławczy, małego jedna, odbiór.

– No dobra, dobra. Seven Japan One Alpha cośćamcośćam! Mayumi zapomniała u was płyt i...

SSSSSsssss NAN DA, KONO YARO!!! szszszszSSSSS...

Ochryple zniekształcony głos dobywający się z mojego głośnika niewątpliwie nie należy już do Seana. Szybko zmieniam częstotliwość, zgodnie z planem wypisanym na przyklepionej do deski rozdzielczej kartce, nasłuchuję. Zajęta – ktoś tutaj rozmawia. Następne pasmo...

Cisza. Wywołuję Marka – jest wreszcie, potwierdza łączność. No to OK. Do następnego razu...

– Co to było? – dopytuje się Dwayne.

– Jakiś radioamator mało przyjazny gajdzinom. Albo kierowca ciężarówki bez licencji krótkofalarskiej; to jeszcze bardziej prawdopodobne. Normalka.

– I co, zakłócał cię?

– Noo, jakby to powiedzieć... – Kątem oka patrzę na Rikę. – Wszędzie się znajdzie paru buraków.

– O co chodzi? – pyta niewinnie Rika. Widzę, że bez wyjaśnień się nie obejdzie.

– Waląc prosto z mostu: nie wszyscy tutaj lubią gajdzinów. Tak, wszyscy się nam kłaniają w pas, ale to nie znaczy, że nas lubią. Jest masa ludzi, którzy prosto w twarz nic złego ci nie powiedzą, wprost przeciwnie. Ale posadź ich przy radiostacji w ich własnym pokoju, to gdy tylko usłyszą w eterze gajdzina, zaraz kombinują, jak mu tu życie zepsuć. Jest na przykład w Tokio przemiennik²⁴ klubu gajdzinów krótkofalowców: TIARA²⁵. Od lat praktycznie się nie zdarza, żeby działał. Zawsze się znajdzie jakiś kretyń, który zaparkuje w pobliżu samochód i przywiąże gumką swój przycisk nadawania... Sygnał takiego drania zagłusza przemiennik i już nikt inny z niego nie skorzysta. Takie chamskie złośliwości... – Patrzę znowu z ukosa na Rikę, ale nie przejmuję się.

– Pełno jest złych ludzi – mówi. ż.

Oddycham z ulgą. Głupio mówić o takich aspektach przesympatycznego (poza tym) narodu w obecności jego przedstawiciela. Od dalszych pytań wybawia mnie Marek:

– 7J1ALJ, masz te płyty czy nie? Załoga ma nastrój na „Sultans of Swing”. Odbiór.

– Chwilunia, spokojnie, trwają poszukiwania...

Edycie udaje się położyć oparcie tylnego siedzenia i wpełznąć do bagażnika na tyle, żeby poszperać między torbami. Marek właśnie mnie wyprzedza i widzę cztery twarze z ogromną radością obserwujące sterczące w powietrzu nogi Edyty.

Sukces! Jest folder z płytami. Następuje przygotowanie do przerzutu. Można by się co

prawda zatrzymać na pasie policyjnym, ale:

1. Co to za przyjemność.
2. Czas pogania, spędziliśmy na Izu o dzień (i sporo kasy) więcej, niż mieliśmy w planie.

Mazda ma otwierany dach, co ułatwia przerzut. Zrównujemy się, jadąc o metr od siebie. Nasz pokładowy Kalifornijczyk, który uprawiał oczywiście w college'u amerykański futbol, doprasza się o rolę podającego. Edyta i Rika trzymają go za nogi, a Dwayne wychyla się do połowy przez otwarte okno i w przepięknym stylu rzuca prosto w środek dziury w dachu Marka. GOL!

Załogi biją brawo, dziewczyny wciągają Dwayne'a do środka, bo trochę się zaklinował w oknie, a ja ocieram pot z czoła – jechanie metr od drugiego samochodu z prędkością 100 km/godz. po niezbyt tutaj równej autostradzie nie należy do rozrywek relaksujących. Na szczęście droga prosta jak strzelił, płasko, zupełnie nie jak w Japonii. Jesteśmy chyba na nizinie Heiya, w środku której króluje Nagoja.

Kioto! Jedyne miejsce w Japonii, gdzie nie mam nic przeciwko byciu regularnym turystą. No, może nie do końca, bo moje ulubione świątynie wcale nie są najślawniejsze. Pierwsza, na północno-wschodnich krańcach miasta, prawie w górach, to Ninna-ji. U jej stóp, w dzielnicy Omuro, mieszka mój *sponsā*, profesor fizyki na Kyoto University.



Jedyne miejsce w Japonii, gdzie nie mam nic przeciwko byciu regularnym turystą.

Zostajemy zaproszeni do zwiedzania domu, gdzie będziemy mieszkać przez dwa dni i trzy noce. Na dole długi korytarz, po lewej apartamenty bardzo już starej matki profesora, po prawej kuchnia i łazienka.

– Jeszcze parę lat temu nie mieliśmy nowoczesnej łazienki, z kanalizacją – wyjaśnia profesor. – W końcu zmobilizowałem się i dokończyłem przebudowę na przyjazd Marcina z Polski. Nie chciałem pokazywać mu WC z deską i dziurą...

Wchodzimy na górę. Tutaj są dwa pokoje synów profesora, którzy rozjechali się po świecie. Jednego zagnało nawet do Polski, stąd też znajomość z profesorem. Dzisiaj będziemy tutaj spać – zwalamy bagaże na podłogę.

Przekonujemy profesora, że naprawdę nie jesteśmy głodni, zmęczeni ani nie mamy żadnej innej potrzeby cielesnej ani duchowej, z wyjątkiem zwiedzania. Jakoś się udaje. Profesor jest zaambarasowany, bo żona nie mogła należycie powitać gości – odwiedza kogoś w szpitalu. Zapewniamy go po raz kolejny, że nie ma się czym przejmować.

Odjazd! Kręcimy po wąskich uliczkach, wyraźnie niezaprojektowanych do ruchu zmotoryzowanego, ale innych niż w Tokio, bo tutaj – dziw nad dziwy – prawie wszystkie krzyżują się pod kątem prostym. Kioto zostało zaprojektowane z jakąś myślą przewodnią. Tokio w ogóle nie zostało zaprojektowane. Tokio się zdarzyło...

Najpierw pobliska Ninna-ji. Wielka, wspaniała świątynia, z ogrodem wielkości małego miasteczka, zupełnie niedoceniona przez turystów. Sean medytuje nad ogródkiem zen i pyta po angielsku przechodzącego mnicha, czy może pożyczyć grabie. Mnich się śmieje i odpowiada, łamaną angielszczyzną, że nie, grabi nie da.



Mnich odpowiada, że nie, grabi nie da.



Japońskie dzwony są bez serca.

Pokazuję wszystkim gigantyczny dzwon. Pół godziny stałem tu kiedyś w noworoczną noc w kolejce do rozbijania ogromnej, poziomej belki... Pamiętam wspaniały, głęboki ton. To było... sporo lat temu.

Dalej, już samochodami, do Ryoan-ji.

Daleko nie zajechaliśmy – zatrzymuje mnie policja. Co ja znowu zrobiłem?

– Dzień dobry. Czy mówi pan po japońsku?

– Niestety, bardzo mi przykro, ale ani słowa – odpowiadam (po japońsku), za co dostaję klapsa w udo od Riki.

– Proszę o prawo jazdy – policjant nie wykazuje się poczuciem humoru. – Dlaczego ma pan zasłoniętą tablicę rejestracyjną?

Aj! Zapomniałem zdjąć po zjeździe z autostrady. Gliniarz jakiś mało sympatyczny, więc odpalam:

– Bo prawo japońskie nic nie mówi o obowiązku posiadania przednich tablic!

(Wiedza zdobyta od mojego dawnego kolegi z kendo, prawnika. Umożliwia przejechanie pod automatycznym radarem na autostradzie z dowolną szybkością – ustawiona zawsze kilkadziesiąt metrów dalej kamera robi zdjęcie PRZODU auta...).

Policjant się marszczy. Albo nie zna prawa (tego pisanego, bo niepisane zna bezbłędnie każdy), albo zna i wie, że mam rację. W końcu oddaje dokumenty i mówi:

– Tak, ale lepiej mieć tablice.

– Komu lepiej? – odpowiadam złośliwie.

– Po prostu lepiej. Proszę je odsłonić.

Odwraca się i odchodzi. Co za paskudny typ.

Rika jest na mnie wściekła za kłócenie się z policjantem i każe natychmiast zdjąć z przedniej tablicy biały ręczniczek z wszytą (przez nią zresztą) wokół brzegu gumką. Marek swoją po prostu odkręca przed autostradą, ale moja jest ze świecącymi na zielono cyframi (szpan!), wiodą do nich kabelki, które niełatwo się podłącza. A jeździć po mieście ze zdjętą nie ma sensu, bo policjanci zatrzymują. Tylko zazwyczaj nie robią z tego takiej afery.

Jedziemy dalej.

Przed nami – kolejna nieduża i nieturystyczna świątynia. O... teraz za nami. Nie było się gdzie zatrzymać.

Zawrót i drugi najazd. Świątynia nie jest, niestety, wyposażona w parking. Czy Japończycy epoki Heian nie mieli, kurza mordą, w pysk, jakichś pojazdów, bo ja wiem, lektyk? Riksz?

– Znalazłem! – woła radio.

Znalazł. Parking na tyłach świątyni. Nie jesteśmy pewni, czy do niej należy, ale dwa samochody się zmieszczą, od biedy. Przytulamy mazdę do toyoty i idziemy zwiedzać.

Jak zawsze jestem pod wrażeniem. Dotykam historii. Są tu rzeźby, które mógłbym oglądać godzinami. Niesamowicie dynamiczne, realistyczne, prawie współczesne. A przecież zrobione prawie tysiąc lat temu. W Sanjūsangen-dō jest figura jakiegoś boga grającego na flecie. Każdy miesiąc idealnie odwzorowany, jakby coś z naszego renesansu. Widać, jak bóg przytupuje sobie do taktu lewą nogą!



Każdy miesiąc idealnie odwzorowany.

Dwie świątynie później burczące żołądki burzą poczucie historii i sprowadzają nas do

brutalnej rzeczywistości.

Wsiadamy do wozów. Pierwszy rusza Marek. Jest już przy wjeździe na ulicę, kilkadziesiąt metrów ode mnie, kiedy nagle staje. Widzę, jak wybiega z samochodu i pochyla się, po chwili prostuje i podnosi do ust krótkofalówkę.

– Złapałem gumę!

– OK, cofnij się do mnie, żeby nie zagrażać wjazdu, zmienimy szybko koło i jedziemy szukać wulkanizacji. Bez odbioru.

Włączam wsteczny, żeby zrobić miejsce dla mazdy.

Dzieje się coś dziwnego.

O, kurczę.

Ja też złapałem gumę?

Siedzimy w kucki z Markiem przy naszych samochodach i patrzymy w niemym osłupieniu na cztery, CZTERY, sflaczałe opony. Wszystkie zewnętrzne (bo staliśmy dosłownie kilka centymetrów od siebie), do wewnętrznych nie mogli się, dranie, dostać...

ZA CO?

– Może tutaj nie wolno stawać? – zastanawia się Rika. – Ojej, to może być prywatny parking! Powinnam była zapytać...

– No dobrze, ale od razu przekłuć ludziom wszystkie koła?

Wysyłamy całe towarzystwo do restauracji, na szczęście jest niedaleko, mijaliśmy ją po drodze. Daję Rice, jako najbardziej odpowiedzialnej, jedną z krótkofalówek. Pokazuję, jak wywoływać, odpowiadać i zmieniać częstotliwości. Dwayne też słucha, żeby w razie czego pomóc.

Potem Marek i ja siadamy na brzegu parkingu.

– Trzeba będzie jakoś tak oporządzić jeden z samochodów, żeby zabrał wszystkie przebite opony do warsztatu.

W końcu siedzimy w toyocie sunącej na bardzo dziwnym zestawie kół o różnych

wielkościach. Na szczęście dobiegowe Marka okazało się pasować do rozstawu śrub u mnie.

W warsztacie kolejna zła wiadomość: wulkanizować się nie da, opony zostały mocno nacięte z boków, pewnie nożem. Nie ma wyjścia – kupujemy nowe. Bankructwo blisko.

Jest już dobrze po południu, kiedy oba samochody stają znów na czterech kołach.

– Marcin do Riki, odbiór.

– Tu Rika, skończyliście? Zjedliśmy i poszliśmy zwiedzić jeszcze jedną świątynię... I mamy dla was prowiant! Pyszny! Odbiór!

Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Kasa, niestety, też się niedługo skończy. No nic, przed nami słynna Kinkaku-ji. Strasznie turystyczna, ale co tam.

– *Tadaima!*

– *Okaerinasai!*²⁶

Pani profesorowa zbiega ze schodów nas witać; nie było jej rano, bo odwiedzała w szpitalu chorego sąsiada. Jest bardzo pulchna i wesoła, zupełne przeciwieństwo chudego jak szczapa i zazwyczaj poważnego Adamiry.

Postanawiamy nie przyznawać się do wypadku z przebitymi oponami, nie chcemy robić im przykrości, że coś takiego zdarzyło nam się w ich mieście.

Zostajemy zaprowadzeni do salonu stanowiącego część apartamentów babci. Babci nie widać, ale widać ogromny, suto zastawiony stół. Na nic się zdają protesty, że jedliśmy już w mieście. Protesty są zresztą *pro forma*, dziesiątki miseczek miejscowych wspaniałości wywołują u nas zbiorowy ślinotok.

Kolacja jest fenomenalna. Co za świetni ludzie.

Relaksujemy się teraz przy zielonej herbacie. Ling i Edyta siedzą po bokach profesora i zasypują pytaniami o historię Kioto, świątyń, pałacu cesarskiego.

– No, a wy? – zwraca się profesor do reszty. – Jak wam się podobało? I co się podobało?

Dwayne: To, że wszystkie ulice mają nazwy, a ich przecznice numery, jak pan Bóg przykazał.

Sean: Kawaramachi Sanjō. Taka miejscowa Akihabara. Odtwarzacze CD tańsze niż w Tokio! Chyba chciałbym się tam wybrać w nocy... (Mayumi kopie Seana pod stołem).

Rika: Tyle miejsc znajomych z „Genji Monogatari”²⁷...

Mayumi: Sklepek, gdzie robiłam zakupy, gdy miałam dziesięć lat, nadal tam jest!

Marek: *Maiko-san*²⁸ na ulicy, w pięknych kimonach. Kumple w Polsce kazali mi zrobić zdjęcia gejsz, jestem tu od roku, a gejszy nie widziałem! Ale oni nie są japonistami, więc nie odróżnią *maiko* od gejszy...

Ling: Gościnność pana i żony. Przygarnęli nas państwo jak rodzinę... (Profesor protestuje, ale jest cały rumiany z zadowolenia, a wszystkim jest głupio, że sami o tym nie pomyśleli).

Edyta: To samo co Rice – w dziesiątym wieku Murasaki Shikibu wchodziła do świątyni na ulicy Kujo, a dziś stoję na tej samej ulicy i wchodzę do tej samej świątyni... Niesamowite.

Zaczyna się rozmowa o historii. Jestem ciekaw, czy Japończycy znają pochodzenie swoich rodzin.

– Na przykład rodzina pana profesora – po której stronie walczyła w wojnach Heiji? – pytam dla żartu, bo „Heike Monogatari” to rodzaj japońskiej „Iliady”, narodowa epopeja traktująca o wojnie między dwoma klanami w drugiej połowie XII wieku.

– Po stronie Genji, oczywiście – odpowiada poważnie profesor (a mnie opada szczęka). – Taka jest przynajmniej tradycja w mojej rodzinie. Resztki armii Genji zostały tutaj w górach, na północ od Kioto. Ale, prawdę mówiąc, większość Japończyków nie zna pochodzenia swoich rodzin ani nazwisk, losy historii wszystko pomieszały...



Kinkaku-ji. Cud świata dla turystów, a nie dla hardcorowego gajdzina.

Dwayne i Sean proszą o pokazanie miecza rodowego.

Profesor biegnie po schodach na górę i zdejmuje go ze ściany w swojej pracowni.

– Właściwie powinien być na specjalnej podstawce, ale mam tyle książek, nie było miejsca
– wyjaśnia przepraszająco. – Uważajcie, jest bardzo ostry. Kiedy byłem mały i rodzice wychodzili z domu, wyciągaliśmy go ukradkiem z moim bratem i testowaliśmy, przecinając...

– Snopki trzciny? – chwale się wiedzą z zakresu japońskiej sztuki szermierczej.

– Nie... rolki papieru toaletowego...



Ginkaku-ji. Nie tak sławna jak Kinkaku-ji i dlatego jedna z moich ulubionych.

Korek na autostradzie do Osaki. Stoimy tak od pół godziny. Koszmar.

Po pasie policyjnym zaczynają sunąć pierwsi odważni. Wywołuję przez radio mazdę.

– Spróbujemy...?

– Raz kozie śmierć! Bez odbioru.

Pierwszy rusza Marek, zgodnie z umową, że kosztami mandatu się podzielimy, ale jemu sześć punktów karnych na japońskim prawie jazdy mniej zaszkodzi, bo i tak wraca do Polski

za niecałe pół roku.

Jakiś bałwan w czerwonym nissanie otwiera drzwi po stronie pasażera, blokując naszą drogę. O co mu chodzi? Po chwili mi jamy kilka ciężarówek i znowu ktoś otwiera drzwi. Syndrom psa ogrodnika?

Głośnik trzeszczy. Po chwili:

– Marek do Marcina, szybko, chowaj się, gliny!

– OK, zmykam. Bez odbioru!

Sygnalizuję skręt w prawo, z pasa policyjnego na normalny... Nie wpuszczają mnie! Jadę do przodu, próbuję wcisnąć się między kolejne samochody, proszę, błagam, ale reakcją jest tylko gwałtowne przyspieszenie i zamknięcie dystansu do poprzedniego samochodu, żeby mnie nie wypuścić. Szukam kontaktu wzrokowego z kierowcami, ale widzę tylko kamienne twarze, oczy wlepione w dal.

– Marcin, ręka! – To Rika, przypomina mi o naszej ulubionej technice z rąsą, ostatniej desce ratunku, kiedy nie chcą nas wypuścić na inny pas ruchu. W Tokio to potrzebne mniej więcej w połowie przypadków, w okolicach Osaki, z jakiś dziwnych przyczyn, cały czas. Otwieram szybę i wystawiam rękę – nadjeżdżający samochód musi zahamować, żeby mi jej nie obciąć.

Udało się, jestem na normalnym pasie ruchu. Kierowca za mną trąbi, wściekły.

– Marcin do Marka, jak jest? Odbiór!

– OK, spoko.

Mijam radiowóz i jego ofiarę: jakuzowato wyglądający kierowca perłowszarej toyoty mark II negocjuje właśnie z policjantami, jego wystrojona jak do dyskoteki panna siedzi w samochodzie i pali papierosa.

– Marcin, jest u ciebie ktoś z Osaki? – odzywa się radio głosem Seana.

– Eee... nie. Mamy Saitamę, Orange County, Ochotę i Mokotów. Osaki brak. A co? Odbiór.

– Bo nie chciałem obrazić niczyich uczuć, mówiąc: Ale chamy w tej Osace!!!

– Ej, nie klnij w eterze. Pamiętaj, że może nas w tej chwili słuchać ze sto osób. Ale masz rację... zaraz zapytam moich specjalistek od kultury japońskiej. Bez odbioru.

Edyta i Rika już dyskutują zawzięcie nad profilem psychologicznym mieszkańca rejonu Kansai. Nic nie rozumiem, łapię tylko, że osakijczycy mają obsesję robienia pieniędzy. Miasto handlowe.

Korek się przerzedza.

Za Osaką ruszamy z kopyta, trzeba nadgonić stratę czasu.

Dwupasmowa autostrada Chūgoku jest równa, prosta i prawie pusta, do Kiusiu 227 kilometrów. Postanawiamy trzymać szybkość przelotową 130 km/godz. Jedyne problem: to 50 km/godz. ponad prędkość dozwoloną. Takie przekroczenie szybkości nie jest nawet karane mandatem, tylko aresztowaniem na miejscu. Konsultuję z Riką wszystkie metody łapania samochodów przekraczających limit. Potem chwytam za mikrofon.

– 7J1ALJ do 7J1AKO, zgłoś się.

– Tu 7J1AKO, odbiór.

– Pamiętałeś, żeby zdjąć tablice? Odbiór.

– Jasne. A ręcznych radarów tutaj nie stosują?

– Rika mówi, że nie. A w każdym razie nie na autostradach. Pamiętaj tylko, żeby nie dać żadnemu dużemu, białemu samochodowi z dwoma smutnymi facetami w garniturach wisieć ci na ogonie. Bez odbioru.

Pędzimy z szybkością prawie ponaddźwiękową i czuję się dobrze, dopóki nie wyprzedza mnie jadąca chyba dwa razy szybciej mazda RX-8. Niektórym to dobrze...

Cały czas kontroluję wsteczne lusterko. Coś właśnie za mną jedzie, zwalniam. Samochód się zbliża i widzę w środku chłopaka z dziewczyną. Wydech ulgi, można znowu dodać gazu.

Gdzieś za Miyoshi wyjeżdżam zza zakrętu i widzę, jak przede mną kilka samochodów zwalnia i włącza światła awaryjne. Robię to samo. Korek.

Stoimy już pół godziny. Niedobrze, bo nie mam za dużo benzyny, chciałem zatankować na następnym *resto eria*, w Yoshiwa. Silnika nie wyłączę, bo po pierwsze: cały czas jednak

suniemy (z prędkością galopującego żółwia), a po drugie: umrzemy tutaj bez klimatyzacji.

Gorzej, że Edyta chce siusiu.

Edyta już nie chce, tylko musi.

Jedynym wyjściem jest jednorazowa toaleta samochodowa, których kilka zawsze wożę w bagażniku. Rika demonstruje Edycie rodzaj torebki z plastikowym, sztywnym kołnierzem, dostosowanym do anatomii obu płci. W torebce – kulki substancji dezynfekującej i pochłaniającej zapach. Całość się po użyciu szczelnie zamyka, potem wrzuca do drugiej torebki, zawiązuje, i gotowe. Autostrada, jak to w górach, biegnie po betonowym wiadukcie, zejść nie ma jak, a gigantyczny sznur samochodów rozciąga się jak okiem sięgnąć przed i za nami.



Autostrada, jak to w górach, biegnie po betonowym wiadukcie, zejść nie ma jak.

Otwieramy okna, puszczamy na pełen regulator Basię Trzetrzelewską (ostatnio supermodna w Japonii) i zapewniwszy w ten sposób Edycie pewien poziom prywatności zapachowo-dźwiękowej, oddajemy się z Dwayne'em i Riką zawziętej dyskusji na temat pogody.

– 7J1AKO do 7J1ALJ, co wy tam wyrabiacie? Odbiór.

– Eee... robimy siusiu. To znaczy Edyta robi. Dwayne mówi, że też chce, ale nie wierzę mu, po prostu chce wypróbować toaletę samochodową...

Na tę wieść Sean zgłasza tę samą potrzebę, już na poważnie, i Dwayne idzie zanieść drugą toaletę do mazdy. Suniemy tak wolno, że spokojnie przechodzi między samochodami.

Korek skończył się równie niespodzianie, jak zaczął. Pędzimy dalej, a ja rozmawiam przez radio z Markiem o genezie korków. Sprawa nie jest prosta. Potrafią powstać nie wiadomo dlaczego i skąd na środku dwustukilometrowego odcinka bez przeszkód czy rozjazdów. Umawiamy się zrobić w Tokio symulację komputerową, żeby to wyjaśnić.

Kiusiu! Most łączący wyspy witam jak starego przyjaciela.

Następny przystanek: Beppu. Teraz będziemy ciągnąć drogami lokalnymi. W Beppu mam sprawdzone pole namiotowe różniące się od innych tym, że jest. A przynajmniej było – cztery lata temu.

Jesteśmy już blisko, twierdzą nasze pilotki: Rika i Mayumi, która na ten odcinek zamieniła się miejscami z Ling. Mayumi jest jedyną rodowitą Kiusianką w grupie. Ling na tylnym siedzeniu mazdy uczy teraz Seana, jak powiedzieć po mandaryńsku: Twe oczy są piękne jak gwiazdy nad zatoką Hangzhou.

Według mapy jest tu jakaś wioska rybacka nad zatoką Beppu. Załogi zapowiadają bunt, jeśli nie zatrzymamy się na popas. Trudno, najwyżej znowu będziemy rozstawiać namioty po ciemku.

Sygnalizuję skręt w lewo i, jak zawsze na Kiusiu, wszyscy kierowcy natychmiast wałą nogami w hamulce, żeby mnie wpuścić na odpowiedni pas ruchu. Trudno uwierzyć, że to ten sam naród, co w Osace.

Mała, miejscowa knajpka przywodzi mi na myśl pamiętne chwile sprzed czterech lat, kiedy złośliwie zamawiałem jajecznicę na bekonie, a potem było mi głupio, bo ją dostałem bez mrugnięcia okiem.

Studiujemy kartę. O ileż łatwiej, gdy ma się autochtonów czytających krzaki! Nie zliczę potraw, jakie w życiu zamówiłem, a zjeść nie mogłem, bo patrzyły na mnie z wyrzutem albo uciekały z talerza przed moimi pałeczkami.

Rika i Mayumi czytają nam kartę pozycja po pozycji. Ich tłumaczenia nie zawsze są zrozumiałe – nazwa potrawy bywa bardzo romantyczna i zupełnie niewskazująca na jej

pochodzenie oraz stan ruchliwości. Płatki Kwiatu Wiśni to na przykład plasterki surowej koniny, bardzo na Kiusiu cenionej. Odmawiam jeść coś, na czym jeżdżę – to tak, jakby dawano mi kotlety z toyoty.

Pod koniec czytania karty słyszymy:

– Oko Tuńczyka!

– Ja chcę! – woła Dwayne, który ma zasadę: Wszystkiego w życiu spróbować, przynajmniej raz.

Kelner stwierdza, że to danie dla czterech.

Dwayne się upiera, więc zamawiamy Oko Tuńczyka. Pozostaje wybór innych dań, głównie morskich, dla następnych czterech osób. Sean narzeka, bo lubi japońską kuchnię, ale bez przesady.

– Ja poproszę jakieś danie, które jest zupełnie martwe i ani trochę się nie rusza!



– Ja też – popieram Seana – a poza tym proszę, żeby moje danie na mnie nie patrzyło. Nazwijcie mnie dziwakiem, ale lubię tylko takie sytuacje, kiedy to ja patrzę na jedzenie, a nie *vice versa*.

W końcu zamówienia dokonane, a pierwsze zimne piwa wychylone.

– Dwayne, czy to prawda, że w Stanach nie wolno pić i prowadzić?

– Prawda. Ja nigdy nie piję i nie prowadzę. Zdarza mi się natomiast najpierw wypić, a potem prowadzić...

Wszyscy się śmieją. Sean opisuje specyfikę prawa brytyjskiego, gdzie jeszcze do niedawna wolno było pić, ile wlezie, i siadać za kierownicę, pod warunkiem, że nie spowodowało się wypadku. W Stanach jest różnie, zależy od przepisów stanowych. Kalifornia jest dość liberalna i wymaga tylko, żeby kierowca umiał prosto chodzić. W Japonii podobnie – standardowym testem jest spacer po linii prostej.

To już postęp – kilkanaście lat temu wysoki poziom promili był w sądzie czynnikiem łagodzącym, jeśli doszło do poważnego wypadku! Uznawano wtedy, że kierowca, jako pijany, nie wiedział, co robi, a więc zwalniało go to od podejrzenia o umyślność czynu.

Dyskusję przerywa pojawienie się kelnera z pierwszymi tacami.

W końcu wjeżdża specjalność zakładu: Oko Tuńczyka.

Patrzę z rosnącą podejrzliwością na kulę wielkości piłki do szczypiorniaka, zawiniętą w srebrną folię do pieczenia. Kelner z dumą rozwija folię i okazuje się, że Oko Tuńczyka jest... okiem tuńczyka. Prawdziwym.

Specjalność zakładu patrzy w sufit z niemym oskarżeniem.

– Jezu, jakiego rozmiaru był cały ten tuńczyk?

Kelner się śmieje i pokazuje: jak nasz stół. Ze dwa metry. Bogowie...

Towarzystwo dzieli się na tych, którzy odważą się spróbować oka, i tych, którym już robi się słabo. W grupie pierwszej: nieustraszony Dwayne, Sean, Ling i Edyta. W drugiej: ja, Marek i... obie Japonki!

– Na pewno nie dacie się namówić? – pyta radośnie Dwayne, zając się galaretką wypełniającą gałkę oczną.

Rika mamrocze grzeczną odmowę, a Mayumi nic nie mówi, tylko jest już zielona na twarzy. Za to Edyta dzielnie atakuje kawałki co bardziej mięsne, czyli – jeszcze parę godzin temu – mięśnie poruszające okiem ogromnej ryby.

Na koniec Dwayne zachęca wszystkich do spróbowania soczewki ocznej, która według

niego jest „ciągnąca, ale niezła”, ale ja już wsunąłem moje *gyōza* i kulki z kalmara, wypilem dla odwagi drugie piwo i wybiegam na parking, żeby nie być świadkiem dalszego pokazu chirurgii okulistycznej.

Mayumi i Rika szybko do mnie dołączają. Siadamy w trójkę na kamiennym murku odgradzającym parking od plaży.

– W Japonii są różne kuchnie i różne zwyczaje – tłumaczy mi Rika. Ja na przykład nie znoszę *dojō nabe*. No, tych ryb, które się połyka na żywo; wyglądają jak wesoło wijące się wężyki.

– O, a ja je bardzo lubię! – mówi Mayumi. – Tata często je jadł, kiedy byłem mała. One są bogate w wapno, powinnaś się przekonać!

Uciekam chyłkiem do samochodu. W środku knajpy sekcja zwłok, na zewnątrz rozmowa o zaletach łykania żywych, wijących się rybek... Nie będę jadł przez tydzień!

Na kemping docieramy jak zwykle po ciemku, ale na miejscu jest kilka innych namiotów i światła. Pole namiotowe to piękny wąwóz, na którego dnie płynie górską rzeką. I wszędzie ta niesamowita, kiusiańska roślinność, tysiące odcieni zielonego... Strasznie się stęskniłem za Kiusiu. Nie wiem, dlaczego tak długo tu nie przyjeżdżałem. A może wiem, ale nie chcę o tym myśleć. Jutro – wulkan Aso. Dziś – ognisko z kiełbaskami, które Marek kupił w przypływie geniuszu, widząc kilka mocno głodnych osób po przygodzie z Okiem Tuńczyka.

Żeby być nie mniej genialnym, ja kupiłem piwo.

Znowu jest byczo.

Jadę samochodem, zupełnie sam. Dziwnie. Przyzwyczailem się do ciągłego gwaru... i do innej drogi hamowania niż ta, którą odkrywam, prawie stając dęba w miejscu – lekką teraz i pustą toyotą.

Jestem w Kumamoto.

Jadę do... Małej.

Nie, nie powinienem tak o niej nawet myśleć. Do Yumiko... jak ona się teraz nazywa? Aha, mam: Asahizaki.

Załogi pojechały oglądać jakiś ósmy cud świata w postaci kilku gorących jezior, każde o innym kolorze wody. Ja zaprosiłem się na herbatę do Asahizakich, potencjalnie całą gromadą (Yumi-*chan* zna przecież świetnie Seana, o innych nieraz słyszała). Ale Rika, wyczuwając coś kobiecym zmysłem, wmówiła gromadzie, że ich życie będzie niepełne, dopóki nie zobaczą kolorowych źródełek.

Trzymam na ręku dwumiesięczne *baby*, starając się nie myśleć, że w innym świecie i innej rzeczywistości mogłoby być moje. Mąż, sympatyczny i bystry (Yumiko ma za dużo jaja, żeby wyjść za jakiegoś smutasa), krząta się w kuchni. Yumi-*chan* podnosi na mnie te swoje obłądne oczy i pyta:

- Ale... stało się OK, prawda?

Nie odpowiadam. Nie umiem zmyślać przed Yumiko. Nie wiem, czy stało się OK. Nie wiem, co by mogło być, gdyby. Nie wiem, czy sztuczne: „Ależ oczywiście moja droga, jest stuprocentowo OK” nie doprowadziłoby do czegoś niedobrego.

Baby jest świetne. Chłopak, nazywa się Maruo.

Nie będę pytał, jakimi się pisze znakami.

Leżę nad jakąś piękną rzeką, świeci słońce i jest mi dobrze. Załogi rozbiegły się podziwiać naturę, mnie wystarczy, jak natura mnie otacza. I grzeje. Dobre były wakacje. Jutro wracamy. Jestem zmęczony. Trudno, odpocznę w pracy, na wakacjach szkoda czasu na odpoczywanie.



Ale jeszcze sobie poleżę...

Prujemy autostradą Chūgoku z mocno nielegalną szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę. Powrót został zaplanowany na sobotę, bo żaden rozsądny tokijczyk nie wraca do miasta w połowie weekendu, więc może unikniemy korków. Osakę mamy zamiar okrążyć wielkim łukiem...

Czas na lunch. Jesteśmy na jakimś dużym *resto eria* – nie do wiary, już za Nagoja! Szybko poszło.

Sean i Mayumi wygłupiają się na placu gimnastycznym dla kierowców ciężarówek. Stoi tam kilka drabinek, pręty do podciągania, ławki gimnastyczne różnych wysokości i specjalne

urządzenia do rozciągania i rozluźniania kręgosłupów i karków zdrętwiałych po długich godzinach za kierownicą. W sumie skrzyżowanie ogródka jordanowskiego z siłownią.

– Sean, jak będziesz się bawił na tym w Tarzana, to się urwie. To nie jest dla stuosiemdziesięciofuntowych Irlandczyków! Zmiataj stąd!

Dwóch zaszokowanych japońskich kierowców pośpiesznie wycofuje się z placyku i ogląda nerwowo dookoła.

Brzuchy pełne i nastroje dobre. Pędzę po autostradzie Chuō; tym razem okrążamy Alpy od północy. Dla odmiany. Właściwie nie pędzę, tylko wlokę się 70 km/godz., żeby Marek mógł mnie dogonić. Marek dostał przed chwilą mandat, niby za jazdę po prawym pasie (prawy pas jest teoretycznie tylko do wyprzedzania), a tak naprawdę za przekroczenie limitu o 18 km/godz. Złapali go techniką „od tyłu”, ze zmęczenia nie zauważył białej limuzyny z dwoma smutnymi panami... Mayumi wynegocjowała tę jazdę prawym pasem, bo to dużo tańszy mandat. Teraz mnie gonią po krętej w tych górach drodze, zaraz powinienem ich zobaczyć we wstecznym lusterku.

Wyjeżdżam zza długiego, łagodnego zakrętu i widzę coś białego na jezdni. Odruchowo skręcam, nie, to jest wszędzie! Walę nogą w hamulec, włącza się ABS... wstrząs. Wpadłem na jakieś pudła, ale już powoli, nie więcej niż 30 km/godz. Skręcam na pas policyjny, auto telepie się na pękniętej oponie.

Chwytam za mikrofon.

– Marek, HAMUJ!!!

Po dłuższej chwili z głośnika wydobywa się trzask i słyszę:

– Co się dzieje? Stanąłem. Odbiór.

– OK, jedź, ale powolutku. Cała autostrada zasłana jest pudłami z elektroniką. Musiały pospadać z jakiejś ciężarówki. Rozerwało mi przednią oponę, a wjechałem na nie ledwie trzydziestką.

Marek jest już za mną, wysiada z samochodu dość blady.

– Wiesz, ile ja prulem przed tym zakrętem? Sto czterdzieści, może sto czterdzieści pięć. Żeby cię dogonić. Jakbyś mnie nie ostrzegł...

– Tu się zaraz ktoś zabije! Leć, postaw świecę!

Przestawiam trzęsącymi się lekko rękami radio na częstotliwość wywoławczą.

– *Mayday, mayday, mayday. Kochira wa seven juliet one alpha lima juliet. Mayday, mayday, mayday.*



Kochira wa 7J1ALJ. Mayday, mayday, mayday.

Nie zdążyłem powtórzyć wywołania, a już jest odpowiedź. Jakiś radioamator z Nagoja (musi mieć niezłą antenę, że go tutaj słyszymy). Proszę go o zaalarmowanie służb drogowych.

Po dwóch minutach mam raport, że zadzwonił do drogówki, jadą. Zapisuję znak wywoławczy, trzeba będzie człowiekowi wysłać moją QSL-kartę, podziękować. Może go kiedyś odwiedzę? Tak się zaczęła niejedna przyjaźń między radioamatorami.

Marek odpalił swoją świecę sygnalizacyjną i ustawił przed zakrętem, na samym środku autostrady. Jak zgaśnie, zapalimy moją. Oby wystarczyły do czasu przyjazdu drogowców.

Pojawiają się zaledwie dziesięć minut po wezwaniu. Zdejmują wielkie, migające światła i ustawiają przed zakrętem, zamykając oba pasy ruchu. Coś tam spisują, fotografują, nie wiedzieć czemu nie zaczynają oczyszczać jezdni – będzie korek jak złoto. Na szczęście za, a nie przed nami.

Na twarzach robotników nie widać żadnych emocji, zdają sobie sprawę, że dla nich to chleb codzienny. A dla mnie? Mało się tutaj nie pozabijaliśmy, kurza mordą, w pysk.

Siedzę w trawie na brzegu autostrady. Obok siada Rika, obejmuje mnie i mówi głosem melodramatycznym:

– Mój ty bohaterze... – wybuchamy śmiechem.

Jest dobrze.

Mam zmienione koło – rękami Seana i Dwayne'a. W drogę.

Leżę w śpiworze, na *tatami*, w mieszkaniu Ling. Obok Rika. Po tym, jak ze zmęczenia przejechałem w Tama dwa czerwone światła, w ogóle tego faktu nie zauważając, zabronili mi jechać do domu.

Jestem tak zmordowany, że nie mogę zasnąć. Co jakiś czas odpływam, ale wtedy prawa stopa nerwowym wzdrygnięciem depcze śpiwór – odruch hamulcowy kierowcy zasypiającego nad kierownicą po dwunastu godzinach na drodze.

Trochę głupio, że się uwziąłem i nie dałem zmienić, Rika twierdzi, że jestem osioł. Niech sobie twierdzi. Było ekstra.

Za rok – Hokkaido. Ale już nie w tym składzie – Marek wraca do Polski, Ling też jest tylko na rocznym stażu. Dwayne? Kto go wie. Szkoda, że jakoś się bardziej nie zgrali z Edytą. Cóż, jako swat nie odniosłem spektakularnego sukcesu... Czy Sean i Mayumi się utrzymają? Oby. Mayumi jest najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła się Seanowi. Pozostaje... Rika. I ja.

...?

Eee tam, nadmiar myślenia szkodzi. Póki jest fajnie, jest fajnie... A jest fajnie – myślę coraz sennie.

Prawa stopa już się uspokoiła. Przerzucam wirtualny bieg na luz i wyłączam mentalnie silnik.

Rozdział 12



不景気で困ります。

Martwi mnie kryzys ekonomiczny.

Cytat z piosenki „Traveling” japońskiej gwiazdy pop, Utada Hikaru.

Kapusta na wagę złota

Jest chyba czwartek, trzydziestego pierwszego grudnia.

Siedzę na podłodze zawinięty w dwie kołdry i jest mi prawie ciepło.

Siedzę tak już od wtorku.

Gapię się w ścianę.

Po kilku godzinach patrzenia na chropowatą, kremową, cętkowaną, papierową tapetę zaczynam dostrzegać jakieś obrazy. Różowawa plama przyjmuje kształt świątyni generała Nogi w Nogizaka. Szedłem tam... na przyjęcie u lotników? To było chyba we wrześniu?

Trzeba myśleć... odzwyczailem się od myślenia. Dziś koniec roku. Czy przesiedziałem go w tym pokoju? Pod stertą kołder?

Myśl na tyle absurdalna, że się uśmiecham. Czyli nie jest ze mną jeszcze aż tak źle. Ale będzie, jeśli nie wezmę się w garść.

Wyrzebuję się z kołder, podchodzę do drzwi balkonowych. Za oknem – pola kapusty ciągną się mgliście w szarą dal zimowego poranka. Heiwadai. Idę zrobić herbatę z dużą ilością cukru. Cukier jest tani.

Zawinięty znowu w swój kokon zasiadam wygodniej i pociągam gorącą herbatę. Trzeba myśleć... wspomnienia leczą. Jak to się zaczęło...?

Nawet nie zauważyłem, jak wcześniej przyszła wiosna w tym roku. Wiśnie zakwitły na początku trzeciego tygodnia marca, a ja po raz pierwszy nie poszedłem na żadne Sakura Party, bo nie byłem już *salarymanem*, tylko biznesmenem konsultantem. Konsultantów nikt nie zaprasza na Sakura Party. Nie żebym narzekał, bo konsultantom nikt też nie zabrania robić sobie weekendu w środku tygodnia i jechać na narty w środę i czwartek, kiedy wyciągi są puste, a hotele w górach za pół ceny. Więcej się najeździłem tej zimy na nartach niż przez wszystkie poprzednie razem wzięte (nie licząc bardzo młodych lat w Polsce, oczywiście).



Shōyama Heights w szary, zimowy poranek. Za budynkiem (w lewej części zdjęcia) widać pola kapusty, teraz przykryte bardzo rzadkim w Tokio zjawiskiem – śniegiem.

Poza tym wokół mojego nowego mieszkania w Heiwadai nie było ani jednej *sakury*. Była za to kapusta, i to w imponujących ilościach. Zaraz na prawo od mojego wspaniałego *mansionu* – dwa duże pola, po przeciwnej stronie ulicy i ciut na prawo – następne.

Na spóźnioną o parę miesięcy parapetówkę przyszedł Sean ze swoją świeżo zaślubioną żoną, David Connelly z dziewczyną, Thomas i Mariko, Natasza Okuyama, Miyake-san, Allan Lindman z jakąś nieznaną mi (ale bardzo dekoracyjną) Japonką, Akira z małżonką, Stasiiek Modrzejewski z biura radcy handlowego i połowa załogi ambasady niemieckiej w Tokio. Tłum był gęsty.

Pokazywanie domu zaczynałem od mojej największej dumy: łazienki.

– Panie i panowie! Oto... WANNA!

– O, a ja myślałem, że to bidet – rzucił Stasiek.

– Pewnie musisz się składać w harmonijkę i smarować olejkami, żeby się do niej wcisnąć, biedaku? – troszczył się Sean.

– Śmiecie się, śmiecie, to jest moja pierwsza wanna od siedmiu lat i jestem z niej BARDZO dumny!

– A tu, moi kochani... sedes! Prawdziwy, to jest europejski! Z klapą! Po siedmiu latach kucania można usiąść! Czy to nie cudowne?

– Ludzie! Tu jest instrukcja obsługi! – zachwycił się Allan, pokazując obecnym nalepkę na ścianie opisującą (z ilustracjami w stylu *mangi*) metodologię używania sedesu dla dwóch sytuacji życiowych: krótszej i dłuższej.

Moi goście bardzo się tym wszystkim przejęli i poszli wychylić kielicha za niedolę gajdzina. Siedem lat bez łazienki!

– Wszystko przez to, że się zasiedziałem w Higashi Nagasaki – wyjaśniałem. – Miałem tam wielu przyjaciół, Sean, ten Irlandczyk, który właśnie zagląda do lodówki, mieszkał kilka przecznic dalej, Akira też niedaleko. No i dojazd do miasta był świetny. Pięć minut na stację, potem pięć pociągiem do Ikebukuro.

– No to co cię w końcu ruszyło? – chciała wiedzieć Natasza, nalewając sobie czwarty kieliszek „soku z żubra” (co nie robiło na mnie wrażenia, bo dziewczyna jest nie do spicia).

– Noo... chodźcie na pokoje, to dłuższa historia, a pizza stygnie. Drinki są na balkonie, bo już się nie zmieściły w kuchni. Częstujcie się. Było tak:

Najpierw obecny tu Sean mnie zdradził i ożenił się ze swoją perkusistką. Przeprowadzili się na jakieś straszne zadupie w Adachi-ku. Wkrótce potem zdezerterował Akira, wchodząc w związki małżeńskie z tą oto czarującą damą.

– Zdrowie młodych par! – zakrzyknął Allan. Wszyscy spełnili kielichy, a ja kontynuowałem:

– W Higashi Nagasaki zrobiło się pusto i cicho. Nawet piękna Eriko, córka właścicieli

sklepu monopolowego, wyjechała do Stanów. Na dodatek, jak wiecie, rzuciłem w zeszłym roku karierę salarymańską i zacząłem pracować dla siebie. Oznaczało to dojazdy do klientów samochodem, a nie do pracy pociągiem. Nagle bliskość stacji kolejowej przestała być atutem, stała się tylko przeszkodą – wokół stacji nie ma parkingów... Ruszyłem więc na łowy, koncentrując się na rejonach dalszych trochę od centrum, ale w tej samej części świata: Nerima-ku.

Nie będę was zanudzał przygodami w kolejnych *fudosanach*, bo nikt w tym pokoju nie jest początkującym gajdzinem; wiecie doskonale, czym to pachnie. Mogą was natomiast zainteresować zmiany, jakie tu zaszły na przestrzeni pięciu lat. Pierwsza sprawa: coraz więcej mieszkań oferowanych jest z jednomiesięcznym *reikinem* i takim samym *shikikinem*. Czasami nawet *reikin* wynosi zero! Pięć lat temu zawsze trzeba było zapłacić dwumiesięczny *reikin* i dwumiesięczny *shikikin*. Coś dziwnego dzieje się ostatnio na rynku.

Sprawa druga: historyczna niechęć gospodarzy do wynajmowania mieszkań gajdzinom. Owszem, nadal w paru miejscach usłyszałem, że nic nie mają, podczas gdy na szybie pełno było ogłoszeń. Ale znalazłem też sklepik w Shakujī Kōen (*kita-guchi*, jakby ktoś z was był zainteresowany) z napisem: „Cudzoziemcy mile widziani”. Szczeka opadła mi na ten widok i ze stukiem uderzyła o bruk. Wziąłem urzędującego tam agenta na spytki.

– Wielu gospodarzy twierdzi, że gajdzini są dużo czystszy niż Japończyków – tłumaczył. – Zostawiają mieszkania w lepszym stanie, bardziej zadbane, czysta kuchnia, czyściutka łazienka.

– Przecież my mamy skandaliczny zwyczaj zapominania o zmianie kapci po wyjściu z WC! – zażartowałem.

Agent się roześmiał i stwierdził, że od tego jeszcze nikt nie umarł. Jak to nie umarł? Czy żadne świętości nie są już w tym społeczeństwie szanowane? *O tempura*, *o mores*, jak mawiał mój znajomy restaurator z Chihaya-chō.

Zacząłem przeglądać oferty. Było ich w bród. Agent zapytał o mój budżet, po czym oczywiście wymanewrował mnie z zawodowym sprytem w kierunku mieszkania o dobre dwadzieścia procent droższego. Pojechaliśmy oglądać.

Wiecie, co mnie tutaj urzekło? Nie, Sean, nie żadna sąsiadka. (Mayumi, kochanie,

myślałem, że po ślubie przestaniesz bić Seana. On nie miał nic nieprzyzwoitego na myśli. Wyjątkowo). Gdzie ja skończyłem...? Dzięki, Stasiu. A więc urzekła mnie kapusta. Jak zdążyliście pewnie zauważyć w czasie wycieczek na balkon po piwo, posiadam mieszkanie z widokiem. Rzecz w Tokio niespotykana. Kto jeszcze nie widział, zapraszam. Proszę: hen, po horyzont ciągną się pola kapusty. OK, trochę może przesadziłem z tym horyzontem, ale przez siedem lat miałem przed nosem czyjś dom, a tutaj – przestrzeń. Zapytałem agenta, skąd, na Boga, wzięły się pola kapusty w Tokio, kilkanaście minut metrem od Ikebukuro. Do spotkania z właścicielem mieszkania, które mieliśmy oglądać, było jeszcze piętnaście minut, poszliśmy więc na spacer wokół pola kapusty i agent zaczął tłumaczyć:

– Proszę sobie wyobrazić rolnika, który ma tutaj dom, malutką zagrodę, trochę kur, no i to poletko. Żyje tak, jak żyli jego przodkowie, w tym samym miejscu od trzystu lat. Pewnego dnia zaczęło wokół wyrastać Tokio. Ziemia zdrożała. Jeden sąsiad wysypał skraj pola żwirkiem i zrobił parking dla samochodów. Po chwili dostawał więcej miesięcznie od kierowców wynajmujących tam miejsca, niż zarobił przez całe swoje życie. Widzi pan? To właśnie ten parking. Drugi zbudował na swoim polu *mansion* (do którego idziemy – Shōyama Heights) i wynajmuje go za jeszcze większe pieniądze. Ale nasz staruszek (tak jak setki innych) nie buduje parkingu ani *mansionu*, bo to wymagałoby odrolnienia ziemi. A wtedy jego synowie, dziedzicząc ją, musieliby oddać pokaźny procent państwu w ramach podatku. Natomiast ziemię rolną dziedziczy się z podatkiem bliskim zeru. Kapustę sadzą więc tu po to, żeby utrzymać rolny status ziemi. Ot, cała tajemnica.

W tym momencie przyjechał pan Shōyama i poszliśmy się witać. Mieszkanie było ładne, czyste, jasne, na parterze, z własnym balkonem. Przed nim – wymarzony własny parking. Dobiliśmy targu w pięć minut. Dwa tygodnie później już tutaj mieszkałem.

– I dopiero teraz nas parapetujesz? – oburzył się Stasiek.

– Nooo... masa śniegu była tej zimy... każdą wolną chwilę spędzałem na stoku. Stąd jest dziesięć minut do wjazdu na Kan-Etsu, a potem to już wicie – półtorej godziny do Iwappara!

Goście spełnili kielichy za bliskość gór i wyciągów.

W kuchni zwałił się pod stół młodszy sekretarz ambasady niemieckiej, który próbował pić równo z Nataszą.

Impreza trwała do wczesnych godzin rannych, a jej skutkiem był telefon z Kioto, bo sąsiedzi poskarżyli się na hałasy właścicielowi, właściciel agentowi, a agent mojemu opiekunowi, profesorowi Adamirze. Wyraziłem skruchę i obiecałem poprawę.

Nadeszły ciepłe, wiosenne dni, wypełnione wirem pracy.

Codziennie wstawałem z łóżka o drakońsko wczesnej porze – między dziesiątą a jedenastą rano – i po szybkiej kawie maszerowałem do samochodu. Witał mnie czasem kluczyk dyndający w drzwiach albo stacyjce, jeśli poprzedniego wieczoru, zmordowany, zapomniałem go wyciągnąć.

Przeszło mi kiedyś przez myśl, że jak wrócę do Polski, to szybko będę musiał nauczyć się zamykać auto. I nie zostawiać na tylnym siedzeniu laptopa, stosu dyskietek, stacji dysków magneto-optycznych do robienia klientom kopii zapasowych przed poważniejszymi modyfikacjami systemów i ogromnej torby ze wszystkimi możliwymi kablami i przejściówkami, jakie stworzyła historia firm IBM, DEC, Xerox i Cisco.

Ale tutaj, na wsi, było spokojnie i bezpiecznie.

O jedenastej jadłem zazwyczaj szybkie śniadanie na stojąco w pobliskim Family Mart albo Seven Eleven i jechałem do pierwszego klienta. Tokio jest całkiem znośne po jedenastej, godzina szczytu dawno minęła. Czasem tylko wpadnie się na konwój ciężarówek, ale są metody ich uniknięcia. Dojeżdżałem więc w godzinę. Pociągami byłoby dłużej, nie mówiąc o konieczności dźwigania dwudziestu kilogramów sprzętu. Nigdy nie wiadomo, co może być potrzebne w pracy konsultanta.

Klientów stałych miałem czterech czy pięciu, reszta to drobne płotki. Zaczynałem zwykle od Hugo Bossa, zrobiłem im dostęp do bazy danych na *mainframie* w Berlinie, z użyciem AS400 i paru terminali po tej stronie. Przyjemni ludzie i dobrze płacili.

Potem Société Générale du Québec, czasem Ambasada Finlandii albo jeden z zagranicznych banków, zwykle Jardine Fleming Securities; u tych zawsze było coś do roboty na WAN-ie.

Późnym popołudniem jechałem do IPS, mojej dawnej firmy, w której byłem kiedyś młodym *salarymanem*. Niewiele się zmieniło, tylko narastające trudności ekonomiczne kazały zrezygnować z pełnego etatu informatyka i zamienić go na usługi konsultingowe firmy

zewnątrznej. Które pilnie wykonywałem.

Pewnego wieczoru biegłem na dół do samochodu, kiedy na klatce schodowej dogonił mnie Dwayne:

– Ej, konsultant, jak byłeś u nas na etacie, nie wychodziłeś co pół godziny!

– A teraz wychodzę. Jedyłą stałą jest zmiana...

– Lepiej zdradź tajemnicę, co cię tak periodicznie wygania z biura. Zaprzyjaźniłeś się z jedną z tych pań, do których chodzą politycy?

– Neeee, niestety... Sprawdzam opony. Chodź, pokażę ci. Nie prowadzisz, to nie wiesz. O KURRR...

No tak, spóźniłem się kilka minut i na prawym lusterku mojej toyoty wisiała wielka, pomarańczowa etykieta, prezent od policji za parkowanie w niedozwolonym miejscu. Nie żeby w tej okolicy istniało coś takiego jak miejsce dozwolone. Dobrze, że nie odholowali. Z etykietką zawsze można pojeździć parę tygodni, aż któryś klient zapłaci i będzie gotówka na mandat.

Westchnąłem i poszedłem pokazać Dwayne'owi biały krzyż wymalowany na asfalcie czymś kredopodobnym. Pionowa kreska wchodziła na moją lewą, tylną oponę. Poniżej poziomej kreski – godzina i minuta, nasmarowane na asfalcie krzywymi cyframi.

– Widzisz? Policjant wraca po trzydziestu minutach i sprawdza, czy pionowa kreska na asfalcie jest zrównana z tą na oponie. Jeśli jest, to znaczy, że ktoś tu stał od pół godziny i można mu wlepić mandat.

– A co, jeśli pada deszcz...?

– To rodzaj wodoodpornej kredy. Daje się zmyć odrobiną benzyny. Co właśnie robię przy okazji moich copółgodzinnych wizyt na ulicy...

Drugi mandat w miesiącu, kurza twarz. Pierwszy raz jeździłem z pomarańczową etykietą na lusterku przez tydzień, w końcu pojechałem na komendę. Po uiszczeniu przeze mnie siedmiu tysięcy jenów pani funkcjonariuszka przyszła i otworzyła kluczykiem wbudowany w pomarańczowe świństwo zamek.

- Hej, to można łatwo odciąć! – Dwayne studiował budowę policyjnego ustrojstwa.
- Nie tak łatwo, niby plastik, ale w środku stalowa linka.
- To brzmi, jakbyś już kiedyś próbował, he, he... Nic to, zaraz przyniosę szczypce do cięcia stalowego drutu.

Nie wiem, dlaczego się zgodziłem, może z wściekłości na Tokyo Metropolitan Police, która mnie karze za nielegalne parkowanie, a nie umie pokazać, gdzie mógłbym zaparkować legalnie. Skorumpowany i zepchnięty na ścieżkę zbrodni przez Dwayne'a wróciłem do biura kontynuować pracę. Zastanawiałem się, czy policja nie zapisuje, komu przyczepiła na lusterku prezent. Okazało się później, że nie – gdyby zapisywali, nie musieliby tego przykuwać stalową linką, wystarczyłaby karteczka za wycieraczką, jak w Europie. System działa, bo nikt (poza chytrym gajdzinem) nie wpadł na pomysł przecięcia linki.

W IPS spędzałem miło czas do dziewiątej, czasem dziesiątej wieczorem. Taka dola konsultanta. Wszelką konserwację systemów mogłem zacząć dopiero po godzinach pracy. O tak późnej porze zwykle już nikogo nie było, czasem tylko Kenji siedział nad stosem papierów albo jeden z tłumaczy nadrabiał zaległości po mało produktywnym poranku. Kenji się postarzał, ale gadatliwy był jak dawniej. Trochę tylko częściej się mylił, które to pomyłki skrętnie ukrywaliśmy przed szefem.

Piękna Yanagida-san opuściła nas w styczniu, bo wyszła za mąż. Jej miejsce nie zostało już zastąpione nowym narybkiem, bo ekonomia ostatnio słabnie (a przepotężny jen drożeje – to nóż w plecy takich firm jak IPS, żyjących z eksportu swoich usług do USA).

Powrót do domu był najprzyjemniejszą częścią moich konsultingowych dni. O dziesiątej w nocy po Tokio pomykało się jak po pustej autostradzie (pod warunkiem szczegółowej znajomości rozmieszczenia wszystkich radarów i kamer). Czasem wpadałem do wypożyczalni wideo Ichi-man (czyli 10 000 – bo tyle mieli kaset) na Kampachi-dōri albo do jakiejś knajpy – zjeść, odpocząć, poczytać książkę.

Późną nocą w domu pisałem jeszcze maile i wystawiałem faktury klientom.

Ot, zwyczajne życie konsultanta.

W kwietniu... tak, pamiętam, to był kwiecień, bo jechałem do Tokyo Toyopetto

naprawiać telefon w samochodzie. Jako pionier najnowszych technologii miałem już od roku słuchawkę pod deską rozdzielczą (pod, ale nie tak, żeby jej nie było widać, he, he), połączoną kablami z nadajnikiem w bagażniku i anteną na tylnej klapie. Dla konsultanta spędzającego trzy do czterech godzin dziennie w samochodzie ogromna wygoda. Niestety, telefon się zepsuł, może w wyniku samodzielnego podłączenia trzeciej radiostacji krótkofalarskiej. Pojechałem do Toyoty.

Oczywiście, natknąłem się tam od razu na Rikę.

Spotkanie było pełne niezręczności.

Zupełnie nie wiadomo, po co zadałem pytanie:

- Rika, właściwie... co się stało?
- Nie wiem, może brak kontaktu?
- Myślisz...?
- Na pewno stwierdzi to dopiero mechanik...
- ... Rika, ja mówię o nas, a nie o głupim telefonie!

Niestety, w tym momencie przyszedł młodzieniec o mało rozgarniętej twarzy i poinformował, że samochód jest gotowy (rozłączył się kabelek zasilania telefonu). Uff, a już podejrzewałem, że to pierwsza usterka. Do tej pory nawet żaróweczka mi się nie przepaliła.

Nie będę tu wracał, pomyślałem sobie, wyjeżdżając na ulicę. Znajdę inny oddział Tokyo Toyopetto.

Pięć minut później byłem już z powrotem, bo genialny mechanik podłączył telefon tak, że nie świeciły światła stopu, co bardzo uprzejmie i z niskimi ukłonami wskazał mi policjant na skrzyżowaniu z Yamanotedōri.

Decyzja jednak zapadła i był to ostatni raz, kiedy widziałem Rikę. O ile wiem, nie pracuje już w salonie. Ma chłopaka. Z Saitama.

Później w życiu młodego konsultanta niewiele działało się na polu prywatnym, chociaż wiele na zawodowym.

W końcu pojawił się ten artykuł... kiedy to było? Trudno sobie przypomnieć...

Artykuł donosił o oficjalnym rozpoznaniu nowego zjawiska, jakim jest kryzys gospodarczy, czyli *fukeiki*.

Nie pamiętam, żebym przywiązywał do tego specjalną wagę. Oznaki spowolnienia ekonomicznego pojawiały się od dawna, i co z tego? Rozpędzonego pociągu byle *fukeiki* nie powstrzyma. To, że się nieco myliłem, wyszło na jaw z zatrważającą szybkością.

Następnego dnia Nokia Japan (niesłuchanie obiecujący klient, zostałem tam polecony przez Ambasadę Finlandii) zawiesiła projekt budowy sieci i zrezygnowała z moich usług.

Tydzień później – to samo w Jardine Flaming. Mieli otworzyć nowe biuro maklerskie w Osace i rozbudować *trading floor* w Tokio. Oba projekty zawisły na kołku. A z nimi – moje spodziewane zarobki.

Po miesiącu zostały mi tylko drobne płotki – *backup* serwera tu, naprawa drobnego błędu tam.

O ile pamiętam, na początku wkurzałem się tylko na nagłą stratę paru obiecujących kontraktów. W sumie nic nadzwyczajnego w życiu konsultanta. Po jakimś czasie jednak przyszedł dzień płacenia czynszu i wpadłem do banku sprawdzić stan mojego konta.

Sprawy nie rysowały się zbyt różowo.

Przez kolejnych kilka tygodni wykonałem pewnie ze sto telefonów.

Skutki nie były oszołamiające. Jeden były klient chciał użyć mnie do dwugodzinnego szkolenia z MS Office, drugi do przeglądu i czyszczenia drukarek laserowych. Odmówiłem grzecznie, choć potem trochę żałowałem.

Dziękowałem bogom, że przynajmniej Hugo Boss ciągle dawał mi robotę, no i IPS, chociaż oni też ograniczyli moje godziny z dwudziestu do piętnastu tygodniowo.

Oszczędności topniały. Pewnego wieczoru siedziałem nad listą zawodów, jakie w tym kraju wykonywałem, zastanawiając się, czy nie wrócić choć częściowo do szlachetnej funkcji akustyka, czyli dźwiękowca w studiu nagrań. Moje rozważania przerwał dzwonek. Podniosłem słuchawkę:

– *Moshi moshi?*

– Czy to pan... Bu...Buro... Borsuki?

– Mniej więcej... Czym mogę służyć?

– Moje nazwisko Miyake. Dostałem pana telefon od brata. Ponoć zdawał pan kiedyś u niego egzamin na prawo jazdy?

Gdybym akurat nie siedział, to z wrażenia pewnie bym usiadł. Doskonale pamiętałem supergadatliwego egzaminatora. Nie przypominałem sobie aktu wręczania mu mojego telefonu, ale pewnie mógł gdzieś sprawdzić, skoro miał dostęp do papierów egzaminacyjnych.

Pan Miyake wyraził chęć pobierania u mnie lekcji języka polskiego. Języków obcych nie uczyłem od dobrych kilku lat, polskiego nigdy. Lecz kiedy dzwoni obietnica natychmiastowego, solidnego zarobku, nie dyskutuje się z nią o swoich potencjalnych niedociągnięciach. Miyake-san proponował półroczny intensywny kurs, dwa razy w tygodniu po półtorej godziny, u mnie w domu; połowa płatna z góry, połowa po zakończeniu kursu.

Lekcje z panem Miyake właściwie utrzymywały mnie przy życiu przez całe lato. Bardzo go zresztą polubiłem. Lotnik, oficer i człowiek z klasą. Doskonale przy tym mówił po angielsku. W sierpniu zostałem przez niego zaproszony na przyjęcie do bazy w Nogizaka. Było ekstra. Lotnicy to świetni ludzie.

Okazją były osiemdziesiąte urodziny pewnej bardzo wesołej i energicznej pani – pierwszej kobiety w Japonii, która dostała licencję pilota (jeszcze przed wojną, o ile pamiętam).

Przy nieodłącznych na japońskich przyjęciach szklankach z whisky (jeśli tym słowem można opisać ciecz złożoną z dwóch centymetrów whisky i pięciu centymetrów wody) rozmawialiśmy o gospodarce. Dowódca szwadronu przekonywał:

– Wszystko przez nadmuchane ceny ziemi. Banki udzielały gigantycznych pożyczek pod zastaw małej działki w Shinjuku. Kiedy pewnego dnia biznes zaczął mieć kłopoty i przestał spłacać kredyt, bank odkrył, że tej działki nikt nie kupi, nawet za połowę ceny...

Jakiś młody oficer (z bardzo ładną żoną) zaczął mówić, że ma zupełnie inne zdanie, ale nie pamiętam już, na czym ta inność polegała, a potem Miyake-san poszedł przedstawić mnie generałowi. Jako nauczyciel przyszłego attaché wojskowego Ambasady Japonii w Warszawie

dostałem od generała czapkę baseballówkę z logo Japońskich Sił Obrony Powietrznej.

Tak, przyjęcie było najlepszym wydarzeniem tego lata.

Poza tym działo się niedobrze. Kryzys się pogłębiał.

We wrześniu Hugo Boss oznajmił, że może mi zapłacić za dwa ostatnie miesiące tylko w naturze, czyli krawatami, koszulami i spodniami. Negocjacje nie pomogły – firma przynosiła potężne straty i po prostu nie miała pieniędzy. Wkrótce zostanę najlepiej ubranym bezrobotnym, myślałem, wybierając sobie z magazynu koszulę w różowo-szare paski i ciemnoczerwony krawat do szarego, kaszmirowego garnituru.

W październiku IPS ograniczył moje godziny pracy do dziesięciu, czyli dwóch dni w tygodniu.

Przyszedł czas oszczędzania.

Na pierwszy ogień poszło jedzenie. Nie dla mnie już nowobogacka rozpusta chleba z masłem i (o luksusie nieprzyzwoity!) serem. Czas na powrót do skromnych, ale godnych początków: ryż, ryba, „zupa z misia”, przy niedzieli i od święta – *onigiri*. I Przyjaciel Kalorii.

Z braku pracy spędzałem wiele godzin przed komputerem, licząc w Excelu, na czym by tu jeszcze można zaoszczędzić.

Wyliczyłem na przykład, że jeden kilometr jazdy samochodem kosztuje ¥38,57. Była to bardzo skomplikowana kalkulacja uwzględniająca amortyzację samochodu, koszt benzyny, wymiany oleju, opon i tak dalej.

Od tej pory do wypożyczalni wideo chodziłem piechotą.

Śmieszne, ale z tego jednego – oglądania wieczorami filmów – nie umiałem zrezygnować.

Przestałem za to chodzić na lekcje perkusji. Uczyłem się już od półtora roku, najwyższa pora przejść na samokształcenie, z pomocą pary pałeczek i umiejętnie ukształtowanego, zrolowanego *futonu* rozwieszonego na paru krzesłach.

Z moich drastycznych oszczędności byłem nawet dumny. Pamiętam, jak przyszedł po prośbie pan zbierający pieniądze za abonament telewizyjny. Z wyższością strzeliłem mu wykład o tym, że opłaty za NHK są w Japonii dobrowolne!

– Tak, oczywiście, ma pan rację – tłumaczył przestraszony domokrażca – ale... wszyscy płacimy... tak trzeba...

– A właśnie, że nie trzeba! Zamydlacie oczy społeczeństwu i wszyscy myślą, że to jest opłata obowiązkowa. A nie jest! Ja wiem, bo miałem kiedyś kumpla prawnika! Jestem człowiekiem oszczędnym i nie nabierzecie mnie na te swoje sztuczki, krwiopijcy jedni!

Biedny pan kolektor opłat, mrużąc przeprosiny, wycofał się szybko i więcej nie wrócił.

Pod koniec października praca dla IPS ograniczyła się do symbolicznych pięciu godzin w tygodniu.

Stało się jasne, że oszczędności muszą sięgnąć głębiej. Przeanalizowałem domowe rachunki i odkryłem, że płacę horrendalne ilości pieniędzy za wodę i elektryczność. Natychmiast przestałem korzystać z toalety, zastępując ją wizytami w pobliskich kawiarniach lub sklepach, a rytm życia uzależniłem od wschodów i zachodów słońca, żeby nie włączać niepotrzebnie światła.

Od listopada zrezygnowałem z prenumeraty „The Daily Yomiuri”. Gazetę można w końcu przeczytać w Seven Eleven.

Oglądanie telewizji ograniczyłem do minimum (prąd). Od czasu do czasu zacząłem się łapać na tym, że oglądam pusty ekran.

Albo ścianę.

W tym właśnie czasie, wiedzona nieomylnym instynktem, zadzwoniła Mała.

– Yumi-*chan*? Jak się cieszę, że cię słyszę! Wszystko w porządku?

– U mnie tak, ale nie jestem pewna, czy u ciebie też...

– Eee... Ja...? U mnie...? Ależ skąd, wszystko świetnie, cudownie, wspaniale!

– Na pewno...?

– Yumi-*chan*, dobrze wiesz, że nie umiem i nigdy nie umiałem cię okłamać. Jest kiepsko, bo nie mam pracy, nie mam co robić, nie mam za co żyć i powoli popadam w depresję. Ale poza tym wszystko jest OK, naprawdę.

Yumiko westchnęła i zaczęła badać, w czym i jak można by mi pomóc. W końcu spytała:

– A nie myślałeś o powrocie do Polski? Przynajmniej na jakiś czas?

– Ja... nie mogę wrócić. Mam do spłacenia samochód – jeszcze trzy lata. Wziąłem kredyt na pięć lat, wtedy wydawało się to błahostką, kto mógł przypuszczać... pieprzony *fukeiki*. Nie mogę wyjeżdżać z gigantycznym, jak na polskie realia, długiem. A mam już tyle kilometrów na liczniku, że auto jest mniej warte niż kredyt, który trzeba jeszcze spłacić – nawet sprzedaż nie miałaby sensu.

– Ojej, to niedobrze. Masz jakiś pomysł?

– Słuchaj, kryzysy gospodarcze mają to do siebie, że przychodzą i odchodzą. Ekonomia jest jak fala, raz idzie w górę, raz w dół. Naprawdę, jakoś przetrwam, a jak *fukeiki* się skończy (mówią, że na wiosnę), wrócą do mnie klienci i wszystko potoczy się z górki!

– Tak trzymaj! To jest duch mojego autostopowicza! No, już się zaczęłam martwić...

Pożegnaliśmy się jak starzy przyjaciele. Kim w końcu jesteśmy?

Po tym pamiętnym telefonie na jakiś czas nowa energia zawitała w moim życiu. Zakończenie lekcji z panem Miyake spowodowało, zgodnie z warunkami umowy, wypłatę drugiej połowy honorarium. Byłem bogaty.

Niestety wkrótce uświadomiłem sobie, że toyota lada chwila skończy trzeci rok. Pora na *shaken*, czyli przegląd obowiązkowy, który kosztuje w Japonii czternaście *manów* – ponad tysiąc dolarów!

Mogłem, oczywiście, wyrejestrować samochód. Albo nawet sprzedać... Ale jakbym wtedy dojechał do klienta? A jeśli kryzys się skończy i nadejdzie robota, jak będę pracował bez samochodu?

Wróciła WIELKA BIEDA.

Dalsze oszczędności na wszystkim – poza ryżem i Przyjacielem Kalorii – doprowadziły mnie w końcu do stanu upadłości psychicznej i moralnej wyrażonego w wyłączeniu ogrzewania. Ubrany w zabójczo elegancki, kaszmirowy garnitur Bossa i zawinięty we wszystkie stare kołdry, trwałem nieruchomo, patrząc na przyprószone śniegiem pola kapusty.

Albo na ścianę.

W sumie było mi to bez różnicy.

Wspomnienia leczą...

Wspomnienia przywołały obraz Allana Lindmana zachęcającego mnie w lutym, na parapetówie, do pracy dla CS First Boston. Oferty nie przyjąłem wtedy zbyt entuzjastycznie:

– Cooo? Zrezygnować ze słodkiej wolności konsultanta? Z narciarskich weekendów w środku tygodnia? Chyba żartujesz!

To było wtedy, teraz jest teraz...

Chwytam za słuchawkę.

– Allan?



Wiosna i zaraz weselej. Moje mieszkanie jest na parterze, widać suszące się na balkonie koszule.

– Marcin? Myślałem, że wyjechałeś z Japonii, nic się nie odzywasz!

– Nie, taki miałem okres, trochę przerąbany... Słuchaj, czy wy jeszcze potrzebujecie sieciowca?

– Sieciowca to już nie, ale dziś jest ostatni dzień pracy naszego administratora sieci novellowej. Nie możemy nikogo znaleźć, bo, rozumiesz, musi dobrze mówić po angielsku, spory procent użytkowników to cudzoziemcy.

– Widzisz, ja...

– Wziąłbyś tę posadę?

– Noo, jeszcze nie wiem, ale... może...? Trzeba by pogadać o warunkach...

– Bomba! Zaraz przekręcę do Numana! Możesz być u niego na rozmowie w pierwszym tygodniu stycznia? Podeślij od razu cefalkę faksem. No to do zobaczenia i szczęśliwego Nowego Roku!

To chyba było za łatwe. Kij wie, czy dostanę tę robotę. Ale ważne, że pierwszy krok zrobiony. Niejeden jest bank w Tokio, a anglojęzycznych informatyków niewielu.

Jezu, czy ja jestem gotów wrócić do salarymanstwa? Dojazdy pociągiem do pracy? Godzinę w jedną stronę?

Zrzucam z siebie stertę kołder i idę się ogolić. Przy goleniu zawsze dobrze mi się myśli. Zmarnuję trochę wody i prądu w łazience, ale co tam.

Trzeba żyć.

Rozdział 13



弱り目にたたり目。

Nieszczęścia chodzą... stadami.

Przysłowie japońskie.

Życie i inne sporty ekstremalne

Ciekawe, co by się stało, gdybym podciągnął nogi do góry? Czy bym zawisł utrzymywany ciśnieniem tłumu?

Okazja do sprawdzenia tej teorii zdarza się niespodziewanie, bo pociąg nagle hamuje i ciśnienie tłuszczy wzrasta. Udało się! Sąsiedzi, między których jestem wprasowany, nic nawet nie zauważyli.

Gorzej, że pociąg staje – i stoi. Między stacjami. A właściwie wcale nie gorzej, bo jeśli tak postoi dłużej niż pięć minut, to będę miał usprawiedliwienie na spóźnienie do pracy!

Chyba się uda... Stoimy już dość długo. Nie wiem, ile minut – podniesienie do oczu lewego przegubu byłoby sprzeczne z prawami fizyki.

Z głośników powtarzany jest komunikat:

– Wielce szanowni podróżni, z głębokim żalem zawiadamiamy, że pociąg się zatrzymał. Jest nam niezwykle przykro i zapewniamy o naszej woli ruszenia, kiedy tylko będzie to możliwe. Jesteśmy pełni wdzięczności za korzystanie z naszych usług i życzymy wielce szanownym podróżnym miłego dnia.

Na chwilę gasną światła, ale zaraz znowu rozbłyskują.

Patrzę w dół na twarze wokół mnie – wszystkie mają wyraz dzielnych cierpiętników, zmarszczone czoła, zamknięte oczy.

W takich chwilach uświadamiam sobie, że nade mną jednak jest dobre kilkanaście metrów ziemi, ziemi mocno czasami ruchliwej...

Jedziemy. Pasażerowie nadal cierpią, ale z pewnym wyrazem ulgi.

W Ōtemachi sporo ludzi wysiada i zanim nowy tłum rozpląszczy mnie na ścianie, zerkam na zegarek. Hurra! Staliśmy siedem minut!

I rzeczywiście – przy bramce biletowej w Kamiyachō jest już młody człowiek w mundurze kolejowym i rozdaje zaświadczenia o spóźnieniu pociągu. Mijający go *salarymani*

chwytają świstki i biegną przedstawić je swoim szefom.

Znowu mi się upiekło.

Jutro muszę wstać wcześniej, nie ma bata.

Dzień w banku zaczyna się jak każdy inny. Sprawdzam logi systemowe, przeglądam pocztę.

Kwadrans po dziewiątej przychodzi mój szef, czarnoskóry Amerykanin o tuszy zawodnika sumo.

– Cześć, Marcin, jak się masz? Jak nowy serwer? Terminale Bloomberga działają?

– Spokoooojnie, powoooooli! Też się cieszę, że cię widzę, Jeff. A tak przy okazji – czy nie widzisz, która godzina? Każdy porządny *salaryman* czyta o tej porze gazetę, a nie stawia nowy serwer! Poza tym nie mam kim go stawiać. Gazet nie czytasz? Epidemia grypy.

– Tak, tak, bardzo śmieszne. Wyślij kogoś gazem na salę giełdową i sprawdź, czy użytkownicy we Front Office mają dostęp do nowych terminali Bloomberga. Ktoś tam się pieklił, że nie ciągną danych.

Łatwo powiedzieć „wyślij kogoś”, połowa moich ludzi na chorobowym, a druga biega gdzieś po piętrach. Będę musiał zaprowadzić tu jakiś porządek, słowo honoru, w pysk. Jęczę i wlokę się do wind. Jesteśmy na dwudziestym, maklerzy dwa piętra nad nami. Po drodze mijam kuchnię i stawiam sobie puszkę gorącej kawy z mlekiem.

Kawa czyni cuda. W dużo lepszym nastroju sprawdzam rzędy terminali nad stanowiskami maklerów. Akcja wrze, co drugi rozmawia już przez trzy telefony naraz.

Zatrzymuje mnie Stephen.

– Marcin? Potrzebuję nowej klawiatury. Te nowe, plastikowe badziewia tygodnia nie wytrzymują.

– Zaraz, chwilunia, przecież to jest w kawałkach! Przyznaj się, znowu w kogoś rzuciłeś?

– Noo... jakby to powiedzieć...

– W kogo?

– W Taro...

– W mojego pracownika?!

– Ja strasznie przepraszam, słuchaj, przepadł mi taki *deal*, straciłem w minutę pół miliona... ja mu postawię po pracy piwo...

– Żeby mi to było ostatni raz! A tak poważnie, Bloomberg'a chyba pogięło, że zaczął robić klawiaturki z plastiku. Wymieniamy ich z dziesięć miesięcznie... Twój szef trzasnął wczoraj pięścią w jedną, klawisze poleciały jak deszcz i obsypały pannę Ikuno! Mówili potem, że mamy w tym roku wczesną *sakurę*...



Chwileczkę, przecież to jest w kawałkach!

Rechocemy przez chwilę, po czym idę, bo Stephenowi zaraz zaczyna się zmiana i znowu będzie przepuszczał firmowe miliony z obłędem w oku i parą buchającą z uszu.

Ot, dzień w banku jak każdy inny.

Czyli długi.

Jest już prawie dziewiąta i patrzę tęsknie na zegarek. Zaczynam zebranie zespołu na podsumowanie dnia; spóźnione, bo mieliśmy kłopoty z serwerami w Singapurze. Niby je było widać i pingowały bezbłędnie, wszystko chodziło po tcp/ip, ale aplikacje IPX-owe – jak krew z nosa. Pewnie Shang, singapurski administrator, znowu załadował jakieś nieautoryzowane NLM-y na serwer. Kiedyś tam polecę i wytargam go za uszy.

Patrzę na moją załogę, kolorową zbieraninę wszystkich możliwych ras, kolorów, płci, pochodzenia i wykształcenia. Kundle jak ja. Czyli psy bystre i entuzjastyczne... Niestety, dziś stado jest zdziesiątkowane epidemią grypy. Nawet Amira wyrzuciłem właśnie do domu, bo mi kichał i zarażał ostatnią garstkę ludzi, jaka została przy armatach. Ciężkie jest życie dowódcy...

Taro skończył raport o liczbie problemów zgłoszonych na HelpDesk. Dziś 17% ponad normę (którą stale zresztą obniżam).

– Taaak... A co zrobisz, żeby ta liczba spadła?

– Ale szefie, to może być wahanie dzienne, poza tym mamy nowe terminale, lekki wzrost problemów, normalka...

– No, niech ci będzie. Jak jutro liczba zgłoszeń nie zmaleje, zrobisz szczegółową statystykę rodzajów problemów i będziemy myśleć, gdzie leży pies pogrzebany.

Teraz raport panny Misako, mistrzyni SYSCON-u, o zakładaniu kont i uprawnień nowym użytkownikom. Wszystko zrobione na czas, wydruki potwierdzają zero błędów. Dzielna dziewczyna.

W końcu – koniec. Uroczyście zmieniamy na ścianie wielkie cyfry: 387 staje się 388. Trzysta osiemdziesiąt osiem dni bezawaryjnej pracy sieci novellowej. Oby tak dalej, bo Jeff obiecał nam wyjazd integracyjny na narty, kiedy dojdziemy do czterystu, a to już bardzo niedługo!

Idę jeszcze z Sergiejem i Numanem do serwerowni.

– Ёмаё, мне эта работа уже надоела выше крыши! – zagaja Sergiej.

– А что ты, офигел? Лучшей сейчас не найдёшь... – odpowiadam.

– Znowu mnie obmawiacie, słowiańskie psy? – wścieka się na niby Numan.

Oooooops – trzęsie.

Nie jest przyjemnie być na dwudziestym pierwszym piętrze biurowca w czasie trzęsienia ziemi. Nic nie pomaga rozglądanie się dookoła, tutaj nie ma drzwi wejściowych i okien, które można by otworzyć.

Na szczęście już po wszystkim.

Idziemy dalej długim korytarzem do serwerowni.

Niewidzialna ręka rzuca mnie na lewą ścianę.

Wracamy na środek korytarza i kontynuujemy marsz.

Po paru sekundach rzuca nas na ścianę prawą.

To już nie trzęsienie ziemi, tylko rozkołysanie budynku. Żeby się nie rozpaść przy trzęsieniu, biurowce muszą mieć sporą elastyczność, a my jesteśmy mniej więcej w połowie trzydziestosześcioletniego drapacza chmur, który zachowuje się jak struna – właśnie w połowie drgania ma największą amplitudę.

Nareszcie wszystko się uspokoiło. Serwery stoją grzecznie na swoich miejscach, trzymane śrubami w szafkach przytwierdzonych śrubami do podłogi. Jeff był kiedyś administratorem Novella na amerykańskim lotniskowcu. Opowiadał, jak przytwierdzali wtedy serwery, żeby nie pospadały z szafek w czasie sztormu. Okazuje się, że wystarczyło je odrutować. Czyli Japonia trzęsie gorzej niż statek na morzu... nieprzyjemna myśl.

Przyszedłem ze sprawą do Adachi-san, mojego odpowiednika w zespole unixowców. Niezbyt lubię drania, bo patrzy z góry na nas, dosowco-novellowców.

Niestety, nic nie załatwię – Adachi wyślizgnął się do domu tylnymi schodami. Włączony komputer, marynarka wisząca na oparciu krzesła i otwarta teczka na biurku może oszukają jego szefa, ale nie mnie... Sam byłem w tej dziedzinie mistrzem świata i okolic. Teraz nie

miałbym przed kim robić przedstawienia (poza samym sobą).

No nic, pora wracać.

Godzinę i dwie przesiadki później wysiadam w Hikawadai.

Przed stacją rozciąga się ogromny parking dla rowerów i gdzieś tutaj stoi mój... Rano tak pędziłem, że zapomniałem zapamiętać gdzie.

Rower udaje się zidentyfikować już po kilku minutach, bo zabójczo przystojnych kolarzówek firmy Bridgestone nie ma w okolicy wiele. Płacę ¥100 za przywilej wyprowadzenia roweru z parkingu i zaczynam mozolne wspinanie się w stronę Shōyama Heights. Cała droga prowadzi pod górkę, niestety. A może „stety” – rano mam z górki.



Gdzieś tu jest mój... Widoczne tutaj rowery zaparkowane są nielegalnie, właściwy parking dla rowerów (płatny) jest za siatką po lewej.

W pobliżu domu robi się płasko. Wpadam do Seven Eleven po parę kanapek. Znowu nie miałem czasu zrobić zakupów i poza żelaznymi racjami spaghetti z sosem bolońskim lodówka pusta.

W końcu, po trzynastu godzinach w biurze i trzech w dojazdach, widzę mój dom. Posyłam tęskne spojrzenie zakurzonej toyocie. Miesiąc temu spróbowałem raz pojechać do pracy samochodem. Po dwóch i pół godzinie w porannym korku umieściłem go na płatnym parkingu (takim z windą dla samochodów) w sąsiedztwie i grzecznie uiściłem sumę, za którą w czasach biedy jadłem przez miesiąc. Paranoja.

Samochodu używam więc tylko w weekendy jak każdy przyzwoity *salaryman*.

W domu czeka sterta niezmytych naczyń zatopionych w wodzie z japońską wersją ludwika. Doskonale odmoczone, myją się w pięć sekund. Nie wiem, dlaczego żadna kobieta nie stosuje tego systemu.

Szybki prysznic i zwałam się przed telewizorem. Jestem zmordowany. Przemyka mi przez głowę myśl, że od trzech miesięcy obiecuję sobie zadzwonić do Seana, ale przecież nie o tej porze. Jestem zresztą zbyt zmęczony, żeby myśleć, a co dopiero mówić.

Na NHK1 materac, na NHK3 powiewa japońska flaga i płyną dźwięki Kamigayo, najstarszej pieśni świata, na NTV *pro-wrestling*, na TBS program dokumentalny o *fukeiki*. Jezu, ten kryzys nigdy się nie skończy. A rok temu, w czasie Wielkiej Depresji, mówili, że ma potrwać tylko do wiosny.

Na Fuji durnowaty *reality show*, na Asahi program o gotowaniu.

Na TV Tokyo film samurajski.

Samuraj wychodzi kaczkowatym krokiem zza kołyszących się trzin, a ja odpływam, ostatnim wysiłkiem świadomości naciskając przycisk „wyłącz” na pilocie.

Pip pip. Pip pip! Pip PIP!! PIP PIP!!!

Klepiąca po omacku ręka trafia w końcu na budzik i zapada cisza.

Po chwili otwieram oczy.

O, pokój. Ciekawe. Coś tam wisi na ścianie? A, zegar.

Która?!

Wyskakuję z *futon* i zaczynam bieg wahadłowy między pokojami, po drodze myjąc zęby, kompletując części garderoby, doprowadzając pokój do stanu dziennego za pomocą mocnego kopniaka gromadzącego moje legowisko w kącie.

Gaz, światło, klucze, zamek i hop na rower.

Zjeżdżam na złamanie karku po łagodnym stoku ulicy prowadzącej na stację. Bogu

dzięki, że zima typowo tokijska, a więc plus siedem, żadnego śniegu ani lodu, ale i tak zimny wiatr wyciska mi łzy z oczu, kiedy przypinam bridgestone'a do stojaka i galopuję pod ziemię do pociągu.

Jest! Prawie się nie spóźniłem.

Szturm, zderzenie z masą, kilka sekund utrzymywania się na granicy cudu (i wagonu), po czym dobija mnie jeszcze kilku pasażerów i wiszę, utrzymywany ciśnieniem dyszących po ataku *salarymanów*.

Udało się.

Zamykam oczy, żeby dospać jeszcze parę minut, ale to już Ikebukuro.

Jakoś dzisiaj spokojniej, a może mi się tylko wydaje?

Nie – w wagonie trochę mniejszy tłok. Wyciągam z teczki gazetę i składam ją japońską modłą na osiem części, żeby nie wchodziła w oczy i uszy sąsiadów.

Nic ciekawego. Jest artykuł o nowym kulcie religijnym, któremu przewodzi Ryūichi Okazawa. Kult nazywa się „Instytut ludzkiej szczęśliwości” i miał ostatnio wielki zlot wiernych w Tokyo Dome. Nad miastem krążyły ogromne sterowce z symbolem nowej religii: „R” wpisane w „O”, czyli inicjały lidera.

Rozmawialiśmy o tym niedawno w pracy, bo jeden z managerów znał Okazawę, kiedy ten był jeszcze młodym handlowcem w Nissho Iwai. Pewnie w handlu niezbyt mu szło, bo pewnego dnia odkrył, że jest następcą Buddy, Chrystusa oraz paru innych postaci historycznych, z Isaakiem Newtonem i Johnem Lennonem łącznie.

Kultów religijnych jest w Japonii mnóstwo, ale ten rośnie wyjątkowo szybko. Ciekawe, czy osiągnie rozmiary Soka Gakkai.

Kasumigaseki – tutaj przesiadam się do Hibiya-sen.

Jeszcze tylko jedna stacja i jestem w Kamiyachō.

Wbiegam do Shiroyama Towers. Te dojazdy zapewniają mi lepszy trening niż godzina na siłowni.

Coś się dzieje. W biurze pustawo, maklerzy stoją zgromadzeni wokół podwieszonych pod

sufitem telewizorów i rozmawiają szeptem. Podchodzę, stukam w ramię Adele:

– Co się stało?

– Nie wiesz? Trzęsienie ziemi w Kobe. Sześć stopni. Ponoć było jeszcze silniejsze, tylko zaniżają, żeby nie wprowadzać paniki.

Skupiam się na monitorze. Obraz jest zamglony, widać wielkie miasto spowite chmurą kurzu i dymu. O kurczę.

Dzień upływa powoli, znaczony wycieczkami do telewizorów.

Pojawiają się pierwsze szacunki liczby zmarłych, na razie bardzo ostrożne.

W anglojęzycznych wiadomościach słyszę też niepokojące wzmianki o zablokowanych sekcjach miasta, do których nie może się dostać ani straż pożarna, ani karetki pogotowia.

Lunch. Dzwonię do mojego profesora w Kioto, które jest niepokojąco blisko Kobe. Zamiast połączenia dostaję komunikat NTT o niedostępności linii. Nic dziwnego, połowa Japonii musi teraz dzwonić do swoich bliskich.

Dziś nie ma mowy o pracy po godzinach. Wychodzę o wpół do szóstej, co nie zdarzyło mi się chyba od miesiąca. Kupuję anglojęzyczne wydanie „Asahi Shinbun”, na pierwszej stronie znany z telewizji obraz miasta spowitego dymem.

Trzęsienie uderzyło o piątą czterdzieści siedem rano. Podobno dawało się poczuć nawet w Tokio, ale słabiutko: dwójka. O piątą rano i czwórka by mnie nie obudziła – myślę z niepokojem.

W domu robię porządek, siadam i zastanawiam się, co dalej. Odwykłem od samotnych wieczorów, zwykle wracam dużo później i po prostu idę spać. Komputera nie chce mi się włączać, maile wysyłam i odbieram w pracy.

Wzrok pada na nieużywaną od dawna radiostację.

Włączam kenwooda TS-690S i nastrajam na pasmo 21 MHz.

Eter aż gotuje się od nerwowych rozmów. Słyszę jakieś krzyki, gorączkowe wołania.

Chwytam za telefon.

– Dan? Niesiemy pomoc?

– Tak. Możesz?

– Jasne. Mów, co mam robić.

Dan przekazuje mi plan komunikacji i listę częstotliwości.

Będę odbierał zapytania o zaginionych i spisywał je do późniejszego przekazania odpowiednim władzom lokalnym.

Bardziej doświadczeni radioamatorzy z TIARY, przeważnie Japończycy, nasłuchują w tym czasie wołania o pomoc z Kobe i przekazują komunikaty japońskim służbom ratowniczym.

Większość linii telefonicznych w rejonie Hanshin jest martwa, stacje bazowe telefonii komórkowej też. Ale krótkofalowców jest w tym kraju jak mrówek – wszystkich anten na dachach, wszystkich radiostacji, nieraz malutkich, zasilanych bateriami (albo ogniwami słonecznymi, co jest teraz bardzo modne) żadne nieszczęście nie powali. Kilkuset takich operatorów, nieraz odciętych od świata, bez telefonu, prądu i wody, wysyła teraz non stop komunikaty o sytuacji w mieście, o rejonach wymagających najszybszej pomocy, o krzykach wydobywających się spod zwałonych domów.

O pierwszej nad ranem robię przerwę i ściągam z uszu słuchawki. Kręgosłup mam zdrętwiały, boli mnie głowa i jestem na granicy wytrzymałości nerwowej po pięciu godzinach bezpośredniego kontaktu z ludzką tragedią.

Idę zrobić kawę.

Mam jeszcze do wstukania w komputer i wysłania faksem ponad pięćdziesiąt raportów i zapytań.

To będzie długa noc.

Czwartek, dziewiętnastego stycznia. Wkładam rano krawat przed telewizorem. Dwa dni po trzęsieniu ziemi nadal o niczym innym w telewizji nie mówią. Liczba zmarłych dzisiaj gwałtownie wzrosła, dochodzi już do tysiąca.

Służby ratownicze ciągle nie mogą dotrzeć do dużej części miasta.

Wczorajszej nocy przekazywałem komunikaty z sieci TIARA do japońskiego klubu krótkofalarskiego w Osace. Bardzo się staram robić to mechanicznie i nie przyjmować do świadomości treści tych przekazów, ale nie bardzo mi to wychodzi.

W pracy CNN pokazuje obozy jednostek ratowniczych z całego świata rozstawionych wokół Kobe. Jest tam nawet polska grupa z psami ratowniczymi. Niestety, nikt nie może wkroczyć do akcji, bo nie ma pozwolenia rządowego. Ratownicy czekają.

W Kobe umierają ludzie. CNN mówi o dwóch tysiącach²⁹ rannych.

Przychodzi Jeff, by wyrzucić mnie do domu.

– Masz podkrążone oczy, jesteś blady i ledwo stoisz na nogach. Zmiataj, już!

Nie trzeba mi tego dwa razy powtarzać.

W domu dzwonię do Dana:

– Hej, Dan, wyszedłem dziś wcześniej z pracy, trzeba coś robić?

– Nie, daj spokój, sieć obsadzona. A w ogóle nie chwal się za bardzo tym, co robiliśmy, bo dostaliśmy delikatne ostrzeżenie z Ministerstwa Komunikacji.

– CO?

– Przyszedł faks przypominający klubowi, że „przekazywanie wiadomości od osób trzecich” jest sprzeczne z prawem telekomunikacyjnym.

– A że niesienie pomocy w czasie nieszczęść naturalnych jest istotą istnienia krótkofalarstwa, zapomnieli?

– Wiedzą, wiedzą i dlatego trochę patrzą na nas przez palce, ale musimy być dyskretni, bo nam zamkną klub i poodbierają licencje.

Życie wraca do normy. Japonia leczy rany. W gazetach króluje zdjęcie zawałonej autostrady pod Kobe (jechaliśmy nią z przyjaciółmi dwa i pół roku temu na Kiusiu) – zbliżenie desek wystających ze środka złamanej betonowej podpory jezdni. Deski zostały tam, ponieważ dziesięć lat temu jakiś nieuczciwy podwykonawca zaoszczędził na kosztach, nie usuwając drewnianego rusztowania przed waniem betonu. W efekcie całość była słabsza, niż obliczyli inżynierowie, i w czasie trzęsienia pękła jak zapalka.

Podwykonawcę zidentyfikowano – nieduża firma budowlana z Osaki. Jej właściciel przeprosił naród (w telewizji), po czym popełnił samobójstwo (w domu).

Nareszcie weekend!

W pracy coraz więcej pracy. Zaczynam odczuwać zmęczenie materiału. Nadchodzi wiosna, a ja myślę tylko o jakimś małym urlopie. Może wsiadę dziś do samochodu i pojadę na weekend w góry, do Jacka i Agaty w Tsumagoi? Nie widziałem ich od sierpnia. Ale się człowiek zrobił zajęty; żyję jak pustelnik.

Dziś sobota i do dziesiątej byczę się w łóżku. Nie, do Tsumagoi nie pojadę, przecież wieczorem idę na koncert Masako w prestiżowym Suntory Hall (sala kameralna). Moja mała Masako, którą zdaje się zaledwie wczoraj uczyłem piosenki „Bingo” w szkole angielskiego, skończyła konserwatorium i ma swój pierwszy recital fortepianowy w Tokio! Wielkie wydarzenie w życiu pianistki. Od recenzji będzie zależała jej kariera (a na zaszczytne miejsce jednej z około dwustu solistek czeka następne kilka tysięcy, którym solo grać nie dają, nie mówiąc o kilkunastu tysiącach takich, których w ogóle słuchać nikt nie chce, no bo ile można...). Tak, ten kraj obfituje w młode pianistki. Powinni je zacząć eksportować, a skończyłby się *fukeiki*.



Tylko najlepsze pianistki kończą Tokyo University of Fine Arts

Dzień płynie leniwie. O piętnastej zaczynam się stroić i gotować do wyjścia.

Pojadę sobie samochodem, raz się żyje. Czasem trzeba dać silnikowi popracować.

Kochana toyota – myślę, skręcając płynnie w Mejiro-dōri. A jeszcze rok temu była mi kulą u nogi, nie mogłem przez nią wyjechać z Japonii. Teraz, dzięki dobrej pensji w banku, kredyt spłacony. Jestem wolny. Czyli mógłbym, na przykład, wrócić...? Jestem tu od prawie dziesięciu lat. Tylko szkoda takiej świetnej pracy. No i niewiele udało się odłożyć. Wrócić do Polski po dziesięciu latach w Japonii i nie móc sobie kupić nawet kawalerki? Bez sensu.

Rozważania przerywam, bo jestem na miejscu.

Parkuję i idę wmieszać się w elegancko ubrany tłum.

Koncert udał się znakomicie, biłem brawo, aż mi ręce spuchły. Mam nadzieję, że krytycy to usłyszeli, bestie paskudne. Jeden taki może stworzyć albo zniszczyć pianistkę.

Po koncercie idę z kwiatami do Masako.

Na zapleczu tłum, wszyscy gratulują, tylko jakiś obleśny typek monopolizuje artystkę, mówiąc:

– Cóż, w drugiej części słyszałem trochę niedojrzałe frazowanie w scherzo... wielka szkoda, bo sonata zagrana zadziwiająco dobrze jak na pani skromne doświadczenie!

Masako oczywiście uśmiecha się, kiwa głową i serdecznie mu dziękuje, chociaż znam ją za dobrze – na pewno ma ochotę przywalić mu parę prostych w mordę, tylko szkoda jej delikatnych dłoni.

Całuję Masako ze wszystkich jej ślicznych stron, co wywołuje lekki szok i chichoty wśród zgromadzonych, ale taki już przywilej starego nauczyciela. Wszystkie moje dzieci wychowałem prawidłowo, to znaczy po europejsku.

Podchodzi do mnie mama artystki.

– Panie Marcinie, idziemy do hotelu Ōkura na skromną kolację... Zrobi nam pan ogromny zaszczyt... Chętnie pana podwieziemy!

To faktycznie jest zaszczyt i jakbym wiedział, pewnie bym przyjechał metrem. Ostatnio w Japonii zaostrzono przepisy dotyczące alkoholu – policjanci zaczęli marszczyć się na widok gajdzina z puszką piwa w jednej ręce, a kierownicą w drugiej. Trudno, będę się ograniczał.

Jedziemy do bardzo eleganckiej restauracji hotelowej. Zostaję usadzony na honorowym miejscu. Obok mnie – starsza pani, która okazuje się profesorką Masako z Tokyo University of Fine Arts and Music (najbardziej prestiżowej szkoły artystycznej w Japonii mieszczącej się w Ueno, koło zoo). Z drugiej strony młodsza siostra Masako, *Mi-chan*, też pianistka. Jestem więc zaliczony do rodziny.

Czekamy jeszcze na sponsorów koncertu, którzy zaraz dojadą. *Mi-chan* tłumaczy:

– To starsze małżeństwo, prowadzą jakiś mały biznes w Nagano-ken. Częściowo

sfinansowali wynajęcie sali w Suntory Hall, żeby pomóc mojej siostrze na początku kariery.

Sponsorzy docierają i witają się ze wszystkimi. Kiedy nadchodzi kolej na mnie, dziwnie jakoś patrzą i coś do siebie szepczą, ale w końcu podchodzą, kłaniają się, wręczają wizytówki. Wizytówki nic mi nie mówią, są nietypowe – zadrukowane po jednej stronie, czyli tylko po japońsku. Pewnie w górach Kiso-sanmyaku³⁰, gdzie gajdzina nie widziano od dwustu lat, i tak nie miałby kto przeczytać anglojęzycznego rewersu.

Zaczyna się biesiada. Kelnerzy wnoszą coraz to nowe dania. Gawędzę z *Mi-chan* o ostatnim przypadku zamordowania młodej pianistki przez sąsiadów, mało wyrozumiałych dla potrzeby codziennego ćwiczenia. Na szczęście tata Masako jest dość zamożny, ma dom ze specjalnym, izolowanym akustycznie pokojem muzycznym dla córek.

Potem nawiązuję znajomość ze starszą panią po lewej. Myślałem, że skończy się na paru uprzejmościach; zamiast tego szacowna dama raczy mnie znakomitą historią o swoim pierwszym recitalu fortepianowym na Hokkaido, jeszcze przed drugą wojną światową.

Yamaha wysłała z Tokio fortepian w kontenerze, oczywiście odpowiednio zabezpieczony i z odkręconymi nogami.

Nadszedł dzień recitalu. Fortepian został rozpakowany poprzedniej nocy. Kiedy młoda wówczas pianistka wkroczyła do sali na poranną próbę, zastała instrument leżący na macie, na środku estrady, bez nóg! Przed klawiaturą – haftowana poduszka. Organizatorzy mieli bardzo mętne pojęcie o tym, jak wygląda gra na fortepianie, a na wszystkich tradycyjnych instrumentach japońskich gra się, klęcząc na podłodze...

Śmieję się razem ze starszą panią i nawet nie zauważam, że podeszła mama Masako i o coś mnie pyta.

– Przepraszam bardzo, nie usłyszałem...

– Państwo Matsunaga uprzejmie pytają, czy nie jechał pan przypadkiem na Kiusiu autostopem w roku... osiemdziesiątym ósmym?

Podnoszę wzrok – sponsorzy przyglądają mi się z wyczekiwaniem.

– Biała toyota crown...? – pytam niepewnie. – Kolacja z babcią...?

Widzę dwa ogromne uśmiechy i entuzjastycznie kiwające głowy.

Niesamowite! W kraju, który ma sto trzydzieści milionów mieszkańców...

Zrywam się, ściskamy sobie ręce, zaczynają się wspomnienia.

Wiadomość obiega błyskawicznie stół, rozlega się zadziwione cmokanie, okrzyki niedowierzania.

– Cud! – woła lekko już nawalony tata Masako i zarządza butelkę najlepszego szampana dla uczczenia tej niesamowitej okazji.

W miarę rozmowy coraz więcej mi się przypomina. To była moja pierwsza podwózka podczas pierwszego autostopu po Japonii, siedem lat temu. Pamiętam babcię, która przyrządziła dla mnie specjalność domu: tempurę z liści rosnących w ogrodzie drzew. Babcia, okazuje się, nadal żyje i jest w świetnym zdrowiu, a ma dziewięćdziesiąt cztery lata.

Przyjęcie przeciąga się do jedenastej trzydzieści, czyli ponad plan, ale cudowne zejście się znajomych po tylu latach nie zdarza się co dzień.

Na koniec dostaję od sponsorów *purezento* (butelkę miejscowego *shōchū* z tradycyjnej, górskiej gorzelni) i wracam taksówką do Suntory Hall, gdzie przesiadam się do toyoty. Wypiłem bardzo niewiele, a zjadłem przerażające ilości, więc nie powinno być problemów.

Co za dzień, myślę, zjeżdżając z Kampachi-dōri w gąszcz uliczek znany jako Hikawadai. Z tego wszystkiego znowu nie zrobiłem zakupów i jutro będę cierpieł bez śniadania. Przede mną Family Mart, podjeżdżam na malutki parking położony nieco ponad poziomem ulicy. Zatraskuję drzwi samochodu i...

Świat obsuwa mi się spod nóg.

Skruszała, betonowa krawędź parkingu spada z hukiem na ulicę. A ja z nią.

Leżę, zaciskając zęby, bo prawa pięta, na którą spadłem z wysokości metra, jest jednym, wielkim, pulsującym ogniskiem bólu.

Zamykam na chwilę oczy, a kiedy je otwieram, widzę nad sobą anioła, który prosi:

– Daj dziobu...

– Z rozkoszą, tylko nie mogę się podnieść – cedzę przez zęby, dopiero po chwili zdając sobie sprawę, że mówię po polsku. Japonka w fartuszkach firmowym Family Mart otwiera

szerzej oczy i powtarza:

– *Daijōbu*³¹?

– Tak, to znaczy nie... chyba coś złamałem... – odpowiadam już w jedynie słusznym języku.

– Czy mam zadzwonić po karetkę?

– Nie, pięknie dziękuję, mój samochód jest tutaj na górze, jakoś doskaczę na jednej nodze...

Skakanie na lewej nodze nie jest takie łatwe, jak mi się wydawało – przy każdym wstrząsie prawa odzywa się nową eksplozją bólu. Po chwili siedzę jednak na brzegu fotela kierowcy i zaciskając zęby, ściagam but. W samą porę, bo pięta puchnie szybko, za pół godziny pewnie trzeba by go rozcinać.

Łykam parę aspiryn i popijam puszką gorącej herbaty.

No ekstra, i co dalej? Dom czy szpital?

Wybieram szpital. Niestety, najbliższy jest wślawiony, a raczej zniesławiony przepisywaniem mi czerwonych, żółtych i niebieskich pigułek. Ale rentgen chyba potrafią zrobić, myślę, trenując wycofywanie się z parkingu bez użycia prawej stopy. Bogu dzięki, że mam automatyczną skrzynię biegów, ale i tak nie jest łatwo operować gazem i hamulcem za pomocą lewej nogi.

Jakoś docieram do szpitala. Jest parę minut po pierwszej nad ranem.

Siedzę w kolejce. Żałuję, że nie wziąłem telefonu tej pięknej pani, która chciała mi dać dziobu przed Family Mart. Ale moje serce należy do innej, która to inna jest teraz na studiach jedenaście tysięcy kilometrów stąd, w Północnej Irlandii. Muszę wiernie czekać.

Pół godziny i dwie aspiryny później zostaję wezwany przed oblicze jego świątobliwości. Pielęgniarka wręcza mi ankietę dotyczącą historii mojego życia, chorób oraz rodziny.

Super, szpital przeszedł na samoobsługę, ale nie mogli mi dać tego w czasie, kiedy siedziałem w kolejce?

Na nic się zdają protesty, że cztery czy pięć lat temu już się rejestrowałem – tamten doktor

przyjmował na innym oddziale, a tutaj jest ostry dyżur (czy coś takiego, nie zrozumiałem za dobrze), w każdym razie wspólnej kartoteki nie ma i trzeba wypełnić raz jeszcze. *Rūlu...*

W końcu zostaje prześwietlony. Werdykt:

– Stopa w gips.

– A co mi jest? – pytam z typową, gajdzińską bezczelnością.

Doktor patrzy na mnie chwilę z podniesioną brwią, jakby czekając, aż się opamiętam, ale w końcu wyjawia:

– Złamanie kości piętowej.

Po gipsowaniu dostaję dwie archaicznie wyglądające kule, za które uiszczam ¥5000 kaucji i kuśtykam do samochodu.

Leżę na *futonie* i ostrożnie sięgam po pilota, żeby nie poruszyć nogi. W Fuji pokazują mapę Japonii z przewidywanymi datami zakwitnięcia *sakury*. Na Kiusiu zaczną kwitnąć lada chwila, do Tokio dojdą za dwa tygodnie. Nie dla mnie w tym roku Sakura Party...

Wziąłem kilka dni urlopu, ale jutro już pora do pracy, o ile noga nie będzie za bardzo bolała. Planuję dojazdy taksówką na stację, przejazdy stąd do Kanamechō by mnie zrujnowały. Za samo trzaśnięcie drzwiami płaci się odpowiednik siedmiu dolarów.

Udało się. Taksówka, o dziwo, znalazła mój *mansion* za pierwszym podejściem. Ostrożnie wysiadam i kuśtykam pod ziemię. Ruchomych schodów ani windy na tej stacji nie ma, to nie Zachód. Tutaj o niepełnosprawnych troszczy się inaczej, zachęcając ich na przykład do niewychylania nosa z domu.

Operacja wsadzenia biletu do maszyny i przeciśnięcia się o kulach przez wąską bramkę okazuje się nadzwyczaj skomplikowana, ale nikt z obsługi stacji nie wpadł na pomysł, żeby otworzyć dla mnie drzwi dla wózków towarowych, a nie chce mi się wracać i prosić.

Po dotarciu na peron boli mnie już wszystko, a najbardziej zdrowa noga i oparte na kulach pachy.

Przyjmuję pozycję strategiczną. Tutaj stanie wagon, który ma „srebrne siedzenie” (*silva sito*) dla osób starszych i niepełnosprawnych. W tej chwili czuję się reprezentantem obu tych

kategorii.

Wsiadam i kuśtykam do *silva sito*. Pociąg nie jest zatłoczony – wyszedłem sporo wcześniej, w pełnej godzinie szczytu nigdy nie dałbym sobie rady. Oczy sześciu osób zajmujących srebrne (właściwie szare) ławki wbite są w podłogę.

Pociąg rusza. Odkrywam, że utrzymanie równowagi na jednej nodze i jednej kuli (druga ręka potrzebna jest do trzymania się) graniczy z akrobatycznym aktem cyrkowym.

– Hm! – chrząkam groźnie w stronę młodzieńca okupującego *silva sito* najbliżej mnie. W końcu podnosi oczy. I patrzy.

Nie wytrzymuję i mówię.

– To miejsce jest dla inwalidów!

Młodzieniec stęka i z pełną niechęci miną podnosi się.

Padam na siedzenie z ulgą, bo dojeżdżamy już do Ikebukuro, a ja ledwie żyję.

Co za przemiły młody człowiek.

W pracy jestem witany z ulgą, bo chociaż grypa się skończyła, zaległości nadal nieodrobione.

Wychodzę też wcześniej; trudno, mam totalnie obolałe ramiona od kul.

W pociągu do domu scena się powtarza. Czekam dla przyzwoitości minutę, a kiedy pociąg porządnie się rozpędza, stukam jakieś uczennice w ramiona i pokazuję palcem na wielki napis za ich plecami: „To miejsce jest dla osób starszych i inwalidów”. Dziewczęta, spłoszone, zmykają, a ja opadam z ulgą na szarą ławkę.

Następują męczące dni, wypełnione kuśtykaniem, zrastaniem się stopy i nadrabianiem zaległości w biurze. W ciągu tygodnia ktoś mi raz ustąpił miejsca bez proszenia.

RAZ.

Chyba zaczynam mieć dość tego miasta. A może tego kraju.

Jest poniedziałek, dwudziestego. W piątek umówiłem się z Jeffem, że do końca marca będę zaczynał i kończył pracę wcześniej. W ten sposób uniknę pór szczytu i będzie szansa na

znalezienie wolnego miejsca w pociągu.

Łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić – przespałem dzisiaj budzik o pół godziny, a panienka z firmy taksówkarskiej właśnie dzwoniła, że kierowca nie mógł znaleźć adresu, więc sobie pojechał do innego klienta.

Z nogą ciut lepiej, wczoraj trenowałem jazdę na rowerze napędzanym jedną nogą – od biedy ujdzie. Postanawiam stoczyć się na rowerze pochyłą ulicą do stacji. Jeśli po południu nie uda się wjechać – trudno, najwyżej zostawię rower na parkingu i wezmę taryfę.

Zjeżdżam ostrożnie, w jednej ręce trzymając kule, z drugą ręką na hamulcu.

Zaspałem, ale i tak jestem prawie godzinę przed szczytem. Dostrzegam w wagonie ostatnie wolne miejsce (*silva sito* nie próbuję nawet atakować) i rzucam się w jego stronę, wygrywając mimo kul z jakimś młodym *salarymanem*.

Czy mi się wydaje, czy zaczynam mieć dość?

Zaraz za Toranomom pociąg staje.

Wiele mi dzisiaj da zaświadczenie o spóźnieniu...

Pociąg zaczyna się cofać. Tego jeszcze nie było.

Wjeżdżamy tyłem na peron w Toranomom i zaczynam przysłuchiwać się komunikatom z głośników. Zamiast nagranego słodkiego głosu niewieściego słyszę lekko jękającego się maszynistę:

– Bardzo proszę... opuścić pociąg. Proszę opuścić stację!

I coś tam jeszcze, co mi umyka. Widzę ludzi biegnących po peronie. Coś się musiało stać.

Stają mi w oczach wizje osnutego dymami pożarów Kobe, zawalonych autostrad i wiaduktów kolejowych. Gnam o kulach na górę nieczynnymi schodami ruchomymi. Wszystkie bramki biletowe są szeroko otwarte, nieliczni jeszcze o tej porze ludzie biegną, wpadają na siebie, biegną dalej.

Na pewno trzęsienie ziemi, w ruchomym pociągu nie sposób tego poczuć, ale mogło być całkiem silne. Takiej paniki jeszcze nie widziałem.



Prosimy opuścić stację.

W końcu jestem na powierzchni. Nie wiem, co to było, ale nie pozostaje mi nic innego, jak szukać taksówki do Kamiyachō.

Guzik znajduję, a nie taksówkę.

Zaczynam mozolnie kuśtykać kilometr, który przechodziłem kiedyś w pięć minut; teraz idę już piętnaście, a końca nie widać.

Czekam na skrzyżowaniu jedyńki z ulicą bezimienną biegnącą do Ark Hills. Nadjeżdża pogotowie, zwalnia, bo nikomu nie chce się go przepuścić. Z megafonu na dachu karetki rozlega się:

– Uprzejmie proszę wielce szanownych kierowców o łaskawe zrobienie miejsca dla karetki... dziękuję uniżenie!

Kierowcy niechętnie się usuwają, karetka rusza dalej, wyjąc niemiłosiernie.

Idę dalej.

Słyszę coraz więcej syren. Tak, coś się musiało zawalić.

Kamiyachō. Tutaj muszę skręcić pod górkę do Shiroyama Towers, ale stoję, przerażony, patrzę na trzy ciała leżące na ziemi przed schodami w dół. Wokół gromadzą się ludzie, ale wyraźnie nikt nie wie, co robić. Kuśtykam zapytać, czy mogę pomóc. Mężczyzna leżący najbliżej jest bardzo blady, charczy. Obok leży drugi, z zamkniętymi oczami, na ziemi

wymioty.

Za mną hamuje karetka pogotowia, więc się usuwam; lepiej nie przeszkadzać. Sanitariusze rozstawiają błyskawicznie białe parawany i nic więcej nie widzę.

Docieram jakoś do pustawego jeszcze biura i padam wycieńczony na krzesło. Zaczynam szukać wiadomości w internecie. Na razie nic nie ma.

Po pół godzinie w biurze wzmaga się szum głosów i komputerów, zaczyna się dzień pracy. Dzwonię na wewnętrzny Numana, zapytać, co się stało, czy oglądał wiadomości na piętrze giełdowym, kiedy ze wszystkich głośników na suficie słychać:

– Uwaga. Wszystkie osoby, które czują się niedobrze, prosimy o zgłoszenie się do wydziału HR na dwudziestym piętrze. Powtarzam. Wszystkie osoby...

Co jest grane?

Przychodzi Jeff i wzywa swoich kierowników sekcji na zebranie. On też nic nie wie, ale wiadomości wspominają o możliwości masowego zatrucia gazem w tokijskim metro.

Po południu drzemię w kącie mojego kubikła, kiedy dzwoni telefon.

– Marcin?

– Sean? Kopę lat? Wszystko w porządku...?

– Jasne, ale co z tobą? Jedno z centrów ataku było w Kamiyachō, niepokoiłem się...

– Tak... ja... przespałem budzik.

– A co to ma do...

– Gdybym był w pracy na czas (ostatnio pracuję na ranną zmianę, żeby uniknąć godzin szczytu), wysiadłbym na stacji dokładnie w momencie ataku i nawdychał się gazu, tego, jak go tam zwa.

– Sarin. Właśnie podali, że podejrzewany jest jeden z kultów religijnych, Aum Shinrikyo. Kojarzysz? Asahara, taki niewidomy z rozwianą czupryną, przemawia słodkim głosem skowronka? Mają z dziesięć tysięcy wiernych i ponoć przygotowują się na przyjście apokalipsy. Chyba się doczekali... albo ją cokolwiek przyśpieszyli za pomocą gazu bojowego.

– Nic mi to nie mówi, sarin ani Asahara ani Aum Cośtamtam. W każdym razie mój pociąg został wycofany do Toranomon i drałowałem kilometr piechotą o kulach. Widziałem umierających ludzi przed Kamiyachō. Pewnie sam bym tam leżał, gdyby nie ten cholerny budzik.

– O, kurwa.

– Dokładnie.

– Co się porobiło z tą naszą Japonią, Sean?

– Też się zastanawiam.

– Może pora wracać?

– Gdzie tam, Mayumi jest w ciąży...

– Wow! Gratulacje!!!

Nagle wszystkie trzęsienia ziemi i ataki sarinowe stają się nieistotne.

Zupełnie tylko nie mogę sobie wyobrazić Seana w roli tatusia.

Umawiamy się na przyszły tydzień. Na razie żaden z nas nie chce jeździć po Tokio, dopóki nie wyjaśni się, co się właściwie stało i czy trzeba już kupować maski gazowe i budować schrony pod domami.

Najlepsze decyzje to szybkie decyzje.

Utykając lekko (już bez gipsu, ale jeszcze o lasce), idę do Jeffa i wypalam:

– Jeff? Chcę się przenieść do Singapuru.

– ???

– Nooo... w czwartek mówiłeś, że Shang złożył wymówienie. Chcę przejąć jego miejsce. Nie rób takich oczu, przynajmniej WAN do Azji Południowo-Wschodniej zacznie działać bez problemów, już ja o to zadbam...

Idziemy z Jeffem na obiad. Wcześniej dziś skończył, bo chce obgadać mój szalony (według niego) pomysł.

– Ale dlaczego Singapur?

– Słuchaj, mieszkam tutaj od dziesięciu lat. I ostatnio coraz częściej czuję, że to za długo. Za dużo rzeczy zaczyna mnie wkurzać. Tydzień temu mało mnie nie zabili... Tak, ja po prostu mam już dość Japonii. Miłe miejsce, nie powiem, ale wszystko dobre, co w umiarze.

Pod koniec dnia Jeff obiecuje zadzwonić do szefa IT w Singapurze i negocjować. Pyta, czy jestem gotów na lekką obniżkę pensji, bo w biurze singapurskim nie ma budżetu na ekspata, tylko miejscowego.

– Całe moje japońskie życie byłem biednym gajdzinem, a nie ekspatem. To nie problem. A pensję wynegocjuj mi tak dobrą, jak dobrze działające serwery chcesz tam mieć...

Decyzja nadeszła po tygodniu.

Siedzę w domu i patrzę na ścianę.

Tę samą ścianę, która zastępowała mi telewizor w czasie Wielkiej Depresji.

Teraz patrzę, bo myślę. Myślę, jak można spakować swoje życie, dziesięć lat życia, w sześć tygodni.

Tyle mi dali. Jeśli chcę być szefem PC Supportu w biurze singapurskim. A chcę.

Pora zabierać się do roboty...

Firma wysłała mi łaskawie kontener, ale zapakować chcę się sam. Nie będą mi jacyś brutalni pakowacze wrzucać do pudeł moich najdroższych dzbanuszków, czyli kolekcji japońskiej porcelany przywiezionej z Shikoku. Wara im od sprzętu krótkofalarskiego i lekko ekstrawaganckich, ale pełnych wspomnień garniturów Hugo Bossa!

Jest trzecia nad ranem, a ja ze śpiewem na ustach zawijam kolejny dzbanuszek w folię bąbelkową. Przed chwilą ze zmęczenia zawinąłem przez pomyłkę jajko, które zapomniałem schować do lodówki. Ale nic to.

U mych stóp skrzynka „soku z żubra”. Kilka telefonów do odchodzącego za parę tygodni z pracy Shanga w Singapurze pozwoliło ustalić, że jedzenie jest tam tanie, ale alkohol koszar nie drogi, a żubrówki (musałem mu to literować) ani żadnego innego rodzimego trunku nie ma w ogóle. To jest więc ostatnia szansa, myślę, obserwując sufit kuchni przez dno pierwszej butelki.

Wielkie Pakowanie trwa nocami. W ciągu dnia biegam, załatwiając tysiące spraw. Trzeba sprzedać samochód. Sprzedać dwie linie telefoniczne³² – głosową i modemowo-faksową. Zamknąć cztery konta bankowe. Wyprowadzić się z mieszkania i odebrać *shikikin*. Rozliczyć wcześniej niż normalnie podatek dochodowy. I podatek gminny. I kilka innych podatków. Pożegnać przyjaciół. Za wiele ich nie zostało – rozpełzło się towarzystwo po świecie...



Wielkie Pakowanie. W lewym rogu pokoju słynny plecak na kółkach kupiony siedem lat wcześniej na autostop na Kiusiu.

Na ścianie ogromna lista rzeczy do zrobienia, które są wykreślane w niepokojąco wolnym tempie. Obok – kalendarz z zaznaczoną na czerwono datą. Ta zbliża się w tempie niepokojąco szybkim.

Co teraz? Aha, ogłoszenie. Dzwonię do sekcji darmowych ogłoszeń „Daily Yomiuri”:

– Sekcja Sayonara Sales. Tak, dziękuję bardzo. Dyktuję: „Wyprzedaż domu. Meble, futony, naczynia, rower, linia telefoniczna. Tanio! Hikawadai, tel. 3559-3497”.

Dwa tygodnie i dziesięć butelek żubrówki później przychodzą pakowacze. Cmokają z niechęcią na widok spakowanych już pudeł. Zostawiłem im tylko książki, płyty kompaktowe i kilka mebli, które w przypływie sentymentu postanowiłem wieźć ze sobą w tropiki.

Osobiście nadzoruję wynoszenie kartonów do ciężarówki.

W mieszkaniu robi się nagle bardzo pusto.

Siedzę na podłodze, a obok mnie śpi na brzuszku malutki Seanek.

Jego (dużo) większa wersja promienieje ojcowską dumą.

Mayumi wygląda ślicznie, ciąża i poród jakby ją odmłodziły. Jak te Japonki to robią?

Żegnam się, obiecujemy sobie utrzymywać kontakt.

W drzwiach Sean pyta mnie jeszcze:

– Z Akirą się pożegnałeś?

– Jasne. I to chyba wszystko, nikt inny ze starej gwardii nie został tutaj...

– No, JA zostałem.

– I tak trzymaj!

Jadę do domu. To ostatnia podróż moją toyotą, dziś wieczorem zabiera ją nowy właściciel, Filipińczyk, inżynier pracujący tutaj dla Matsushity. Fantastycznie, że udało się sprzedać auto, i to za normalną cenę. Na liczniku siedemdziesiąt sześć tysięcy kilometrów, więc Japończyk dałby grosze, jeśli w ogóle.

W ogóle wszystko poszło świetnie. Podatki zapłacone, konta zamknięte, domostwo spakowane i wysłane. Żubrówki mam dość chyba na resztę życia. I o to właśnie chodziło...

Jutro rano – pociąg na Narita. Z jednym plecakiem, tym samym, z którym ruszyłem kiedyś autostopem na Kiusiu.

Śmiesznie jest tak leżeć w zupełnie pustym mieszkaniu. Trochę twardo bez *futon*, ale co tam. Patrzę w stary, belkowany sufit i cieszę się, że wyjeżdżam. Dość mam tej komórki, którą tutaj nazywają apartamentem. Dość mam godzin spędzonych w wypchanych do granic praw fizyki metrze. Dość pasażerów udających, że mnie nie ma, kiedy potrzebuję usiąść na miejscu dla inwalidów. Dość ludzi, którzy traktują mnie jak przybysza z innej planety, choć mieszkam wśród nich od dziesięciu lat. Dość...

Zaraz, zaraz, czego to ja jeszcze miałem dość?

Aha – dość zachwytów nad moimi umiejętnościami trzymania pieprzonych pałeczek! Umiałem jeść pałeczkami, ZANIM tutaj przyjechałem dziesięć lat temu, OK?

Sufit patrzy na mnie ze stoicką obojętnością.

Siedzę w wygodnym, szybkim pociągu Ueno – Narita. Jadę do kraju, gdzie pod tropikalnym niebem kołyszą się palmy... Bardzo się z tego cieszę.

Śmieszne, tylu ludzi odwoziłem na lotnisko samochodem, a dziś, kiedy ja sam będę robił *sayonarę*, nie ma mnie kto odwieźć. *C'est la vie*.

Kupiłem sobie bardzo absorbująca książkę Isaaka Asimova i nie mam zamiaru się nudzić ani rozczulać nad pożegnaniem Japonii.

Przy podbijaniu paszportu śliczna i wesoła Japonka patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami i mówi:

– Pan jedzie do Singapuru? Ale fajnie! Też bym chciała polecieć do Singapuru! Zaraz, ale pan zapomniał podbić paszport na wielokrotne przekraczanie granicy! Będzie miał pan kłopoty z powrotem! Zaraz, może ja to spróbuję załatwić na miejscu w urzędzie imigracyjnym?

– Strasznie pani miła, ale... ja już nie wracam. A przynajmniej nie w tak niedalekiej przyszłości, kiedy moja wiza będzie jeszcze ważna. Więc to nie ma znaczenia...

– Ach, rozumiem. Japonia będzie za panem tęskniła! W takim razie życzę bardzo udanej podróży! I proszę nas jeszcze kiedyś odwiedzić! A teraz musi pan jeszcze oddać swoją kartę...

Wręczam moją wysłużoną gajdzin-kartę i nagle robi mi się smutno.

Waham się przez sekundę, czy nie poprosić jednak sympatycznej urzędniczki o zwrot gajdzin-karty i załatwienie w urzędzie pozwolenia na ponowny wjazd.

Nie, czasem trzeba spalić za sobą most. Nie chcę ryzykować, że wrócę za trzy miesiące jak pies z podkulonym ogonem. Czeka na mnie nowe życie, nowe przygody, nowy kawał Azji.

– *Sayōnara!* – wołam do mojego ostatniego kawałka Japonii.

Japonia macha mi wesoło ręką, po czym wzywa następnego pasażera.

Sayōnara.

Warszawa, czerwiec 2004



PS

To jest już koniec. Podobało się?

Zapraszam na moją stronę: www.marcin.bruckowski.com, a szczególnie na zakładkę „Kontakt”.

Na wszystkie maile odpisuję.

Znajdziesz tam również:

- ☯ masę zdjęć (zakładka „Za kulisami”)
- ☯ informacje o spotkaniach autorskich
- ☯ informacje o moich kolejnych książkach.

Dziękuję i pozdrawiam serdecznie!

Marcin Bruckowski

おわりに...

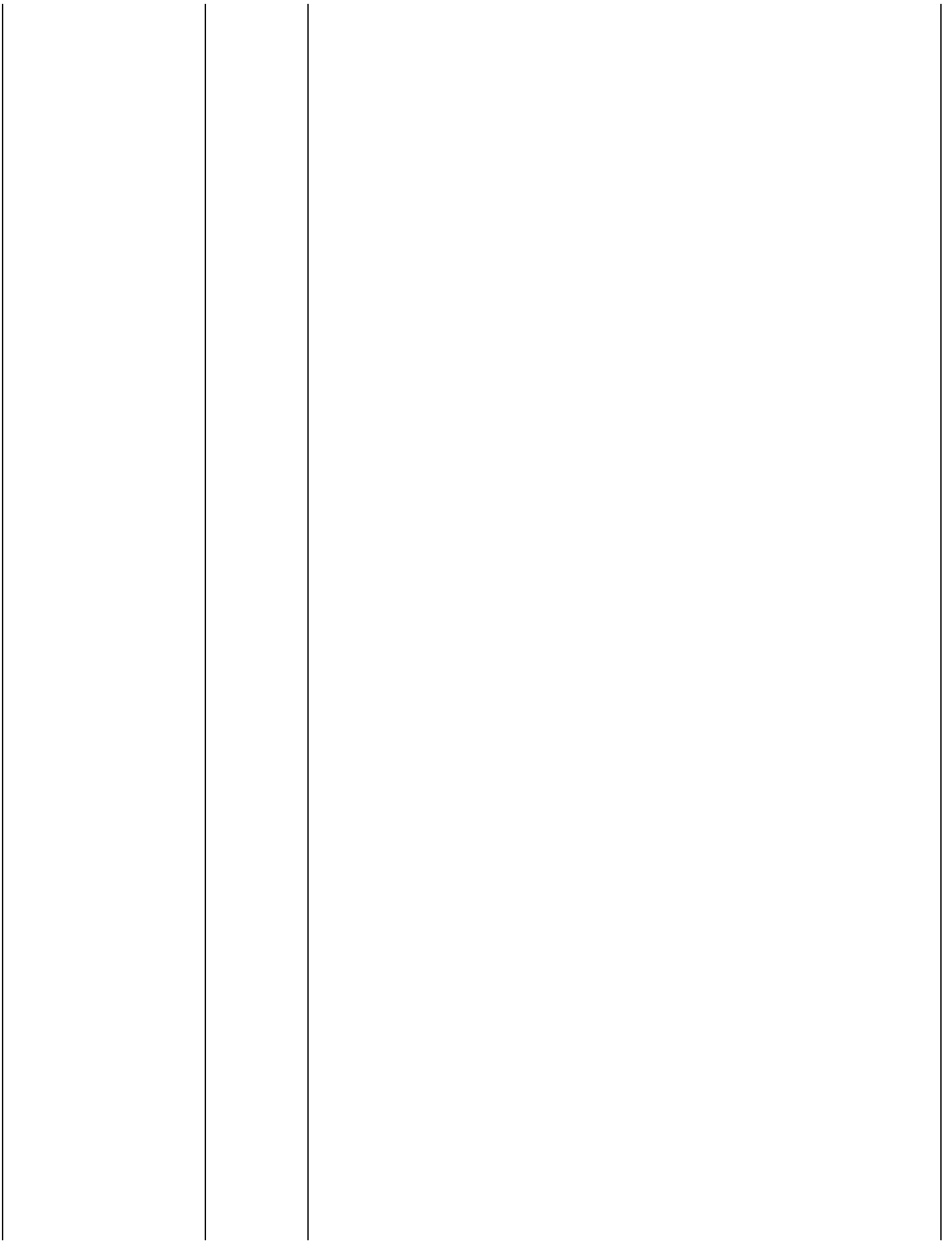
Japońskie (i nie tylko) słowa i zwroty

Romanizacja [wymowa]	Oryginał	Interpretacja autora
1- <i>chōme</i> , 2- <i>chōme</i> ... [ićcioome, nicioome...]	一丁目、 二丁目	Pierwszy rejon dzielnicy, drugi rejon, trzeci... Dzielnice (jap. - <i>ku</i>) podzielone są na rejony (- <i>chō</i>) oznaczone liczbami, zazwyczaj od 1 do 7 (tzn. ja więcej niż 7 nie spotkałem).
anata	貴方	Ty. Klasyczna partia aktorek japońskich melodramatów telewizyjnych brzmi: „ <i>Anata</i> ???!!????” (na widok męża wracającego do domu zazwyczaj w stanie wskazującym).
apāto	アパート	Mieszkanie niższego standardu, w budynku drewnianym (najczęściej dwu-, najwyżej trzypiętrowym), prawie zawsze bez łazienki. Z angielskiego <i>apartment</i> .
Asamayama	浅間山	Góra (właściwie wulkan) w Nagano. 2568 m. Byłem tam!
Aso-san [asozan]	阿蘇	Wulkan Aso i park narodowy na Kiusiu. Gdzie nie stąpnąć, para bucha spod nóg. Cała wyspa jest bardzo wulkaniczna, dlatego też jest taka żyzna i ma tyle niesamowitych odcieni zieleni.
bokutō bokken	木刀 木剣	Drewniany miecz do kendo, dużo cięższy od <i>shinai</i> (miecza bambusowego). Służy do treningu, a nie do walki (bo mógłby uszkodzić przeciwnika).

budō	武道	Sztuki walki. Słynny tokijski Budokan – ogromna sala koncertowa, uwieczniona na licznych płytach live różnych zespołów rockowych, to właśnie sala do sztuk walki (<i>budō</i> + <i>kan</i>, czyli hala), gdzie pomiędzy koncertami zmagają się sumocy.
Buruchikofusuki [burucikofusuki]	ブルチコフスキ	Bruckowski, czyli przyzwoite słowiańskie nazwisko, które w ustach Japończyków rozrasta się z 3 do 7 sylab. Problem w tym, że po japońsku nie da się wymówić dwóch spółgłosek obok siebie, jeśli nie ma między nimi samogłoski.
<i>chūkyō-ma</i> [ciuukioo-ma]	Nie mam pojęcia	Mata podłogowa (<i>tatami</i>) o rozmiarze 180 x 90 cm. Takie maty miały wiedźmy, u których gościłem jako autostopowicz; wiem, bo leżąc na podłodze, nie wystawałem poza matę, a mam 179 cm wzrostu.
<i>chāhan</i> [ciaahan]	炒飯	Smażony ryż z różnymi dobrymi rzeczami.
<i>daijōbu</i> [dajdzioobu]	大丈夫	Wszystko w porządku, nic się nie stało, nic mi nie jest, nie ma sprawy, jest OK.
dame	だめ	Nie trzeba, nie wolno, nie pozwalam, nie waż się, nic z tego nie wyjdzie, porzuć wszelką nadzieję, łapska precz. Patrz: rozmówki Seana, str. 393.
daruma	達磨	Rodzaj tradycyjnej lalki typu wańka-wstańka (przeważnie rozmiaru piłki nożnej). Kiedy się dostanie <i>darumę</i>, należy zamalować jej lewe oko i wypowiedzieć życzenie. Prawe oko zamalowuje się, kiedy życzenie się spełni.

dasaitama (dasai Saitama)	ださい 埼玉	Paskudna Saitama, pogardliwe wyrażenie na sąsiadującą z Tokio prefekturę, która według tokijczyków jest siedliskiem wszelkiego buractwa. Ale właśnie ci, którzy tak mówią, są burakami, bo Saitama jest ekstra.
dōjō [doodzioo]	道場	Miejsce, gdzie się trenuje sztuki walki, np. kendo.
dojō [dodzioo]	泥鰻	Węgorz błotny – nieduże, robakopodobne rybki, które się je na żywo. „Się je” to nie znaczy „ja jem”, więc nie wiem, jak to smakuje i jak długo skacze w żołądku.
ekspat	エクスパ ット	Ktoś, kogo firma wysłała na kilka lat do pracy za granicę. Ekspat to zupełnie inny typ gajdzina niż ja i moi znajomi, bo mieszka w <i>mansionie</i> o gigantycznym metrażu, obiady je w Tokyo American Club i nie bardzo umie trzymać pałeczki.
Family Mart [famiri maato]	フーミリ マート	Sieć sklepów 24-godzinnych, podobna do Seven Eleven.
fudōsan	不動産	Sklep (przeważnie sklepik) z nieruchomościami. W 99% wypadków nic się tam nie kupuje, tylko wynajmuje mieszkania.
fukeiki	不景気	Kryzys ekonomiczny. Inaczej niż w reszcie świata nie jest to zjawisko obserwowane przez ekonomistów, tylko oficjalny stan rzeczy formalnie ogłaszany przez rząd.
futon	蒲団	Rodzaj materaca, na którym się śpi. W dotyku przypomina

twardą kołdrę. Dobrze izoluje od chłodu (ważne, kiedy się śpi na podłodze!). Pod *futon* przeważnie kładzie się jeszcze cienki, gąbkowy materac i komfort jest już pełen, tym bardziej że podłoga też nie jest twarda, tylko przykryta matami tatami.



gaijin
(*gaikokujin*)
[gajdzin

外人
(外国人)

Cudzoziemiec, obcokrajowiec. Pełna nazwa to *gai* (obcy) *koku* (kraj) *jin* (człowiek). Skrót *gaijin* jest odbierany przez wielu gajdzinów jako pejoratywny, Bóg wiedzieć czemu, bo

(gajkokudzin)]		Japończycy nie rozumieją go negatywnie (chyba że jakiś gajdzin właśnie założył im za skórę).
gyōza	餃子	Chińskie pierożki. Ciekawostka: w większości knajp japońskich, kiedy się poprosi PO POLSKU o pierożki, to dostaje się właśnie <i>gyōza</i> . Zachęcam czytelników do przetestowania. Lepiej to wymówić „pierożki”, wtedy sukces prawie murowany. Tajemnicę wyjaśnił mi Tarei-san: tego słowa nauczyli Japończyków rosyjscy marynarze.
hakama	袴	Tradycyjne japońskie ubranie, rodzaj pizamy. Bardzo wygodne i sympatyczne.
<i>hanbaiteishi</i> [hanbaiteisi]	販売停止	Wyłączone, brak, koniec, stop, szukaj innego automatu.

Heiwadai	平和台	Dzielnica w Tokio wyróżniająca się dużą ilością pól kapusty.
<i>hicchi haiku</i> [hićci hajku]	ヒッチハイク	Autostop. Od angielskiego <i>hitch-hiking</i> .
hiragana	平仮名	Jeden z dwóch alfabetów, a właściwie sylabariuszy japońskich. Ma chyba 50 znaków. Da się go nauczyć w tydzień; wiem, bo mnie kiedyś do tego zmusiła jedna bardzo ładna japonistka z UW.
	裕仁 (昭和)	

Hirohito (Shōwa) [hirohito (siooła)]		Cesarz Japonii w latach 1926–1989. Niesłychanie charyzmatyczny starszy pan, którego często pokazywano w telewizji, gdy sadił w swoim przypałacowym ogródku jakieś roślinki. Poza tym uwielbiał oglądać telewizję i miał swoje ulubione <i>TV shows</i> i ulubionych prezenterów. Darzyłem go wielką sympatią. Ponoć rozpętał kiedyś wojnę na Pacyfiku, ale tego tak naprawdę nikt nie wie.
inkan	印鑑	Oficjalnie zarejestrowana mała, okrągła pieczętka osobista, stanowiąca w Japonii odpowiednik podpisu. Znakomity system, nie licząc faktu, że podpisu nie można ukraść. Patrz zdjęcie na str. 267.
ippai	一杯	Pełno, pełny, do pełna.
jishinkansokuten [dzisinkansokuten]	地震観測	Stacja sejsmograficzna. Na Kiusiu jest ich jak „mrówków”.

Jōchi [dziooci] Daigaku	上智大学	Sophia University. Moja <i>alma mater</i> .
Kanamechō-dōri [kanamecioo doori]	要町通り	Ulica Kanamechō (<i>dōri</i> znaczy ulica). Czasem trafiają się napisy dla gajdzinów, czyli „naszymi” literami: Yamatedōri Ave., które cieszą, bo w jednej nazwie mają dwa razy słowo „ulica”.
kantō-ma	Kto wie?	Mata podłogowa (<i>tatami</i>) o rozmiarze 176 x 88 cm. Jedyna znana mi z autopsji w mieszkaniach tokijskich, chyba że właściciel oszukiwał i zamówił jeszcze mniejszy rozmiar.
kara age	唐揚げ	Smażone kulki z kurczaka. Standardowy wikt w pubach, ukochany przez gajdzina, bo jest całkiem martwy i nie patrzy z wyrzutem na jedzącego.

karaoke	カラオケ	Japońska pasja narodowa w postaci zadawania tortur osobom posiadającym resztki słuchu muzycznego. Ostatnio procesory cyfrowe w maszynach do karaoke potrafią „wyczyścić” fałszujące głosy (dawniej dodawały po prostu taką ilość echa, że w powstałej kakofonii fałszowanie stawało się najmniejszym problemem).
<i>karōshi [karoosi]</i>	過労死	Śmierć z przepracowania. Najpoważniejsze ryzyko zawodowe <i>salarymana</i> .
katana	刀	Miecz.
katsu-don	カツ丼	Przepyszna potrawa złożona z miski ryżu, na którym jest coś

		w rodzaju kotleta panierowanego w jajecznicy z warzywami. Dostępna w większości japońskich restauracji w Polsce. Polecam gorąco.
<i>kawai</i> [kałaii]	可愛い	Śliczny, uroczy, słodki, rozkoszny itp. Bliski angielski odpowiednik <i>cute</i> . Tak się określa wszystko, co malutkie albo różowe, a najlepiej jedno i drugie (jeśli jest się japońską nastolatką).
kendō	剣道	Szermierka japońska.
Kinokuniya	紀伊国屋	Sieć księgarń w Japonii (i nie tylko, bo byłem w Kinokuiya w Singapurze i Kuala Lumpur). Kinokuniya jest w Tokio jedyną księgarnią, gdzie gajdzin może zaopatrzyć się w książki anglojęzyczne.
<i>kiri kaishi</i>	切り開始	Ćwiczenie w kendo. Seria cięć w lewą i prawą stronę głowy

[kiri kaji]		wyimaginowanego przeciwnika.
kirin ichiban shibori [kirin iciban sibori]	キリン一 番搾り	Najlepsze japońskie piwo (według Seana. Ja wolę asahi super dry).
kotatsu	炬燵	Niski stolik (tak niski, że trzeba siedzieć na ziemi). W wersji współczesnej pod stolikiem jest lampa, która zimą ogrzewa zziębnięte nogi. Na stoliku kładzie się wielką kołdrę, a na tym drewniany blat, żeby można było postawić herbatę czy pracować. Wszyscy siadają na półkrzesłach (krzesła bez nóg) i wkładają nogi pod <i>kotatsu</i> . W ten sposób od dołu jest ciepło, a od góry wkłada się trzy swetry i szalik.
kote, men, dō	小手 面 胴	Elementy zbroi w kendo i okrzyki wydawane przy cięciach w te elementy. Okrzyki należy wywrzaskiwać głosem ochryplej kury, żeby zrobić lepsze wrażenie na przeciwniku.

krismasu keiki	クリスマス スケーキ	1. Ciasto świąteczne serwowane w Japonii zamiast karpia na Gwiazdkę. Japończycy świętują Boże Narodzenie, bo tak jest weselej (nie przykładając do niego, oczywiście, żadnego znaczenia religijnego). 2. Stara panna w wieku lat 25 (kiedy to wszystkie przyzwoite dziewczęta dawno powinny już mieć męża).
kurage	水母	Meduza. Jej muśnięcie odczuwa się jak 10 000 woltów. Zakała kąpielisk nad Morzem Japońskim.
kurā	クーラー	Tym swojskim terminem określa się w Japonii klimatyzator. Z angielskiego cooler, chociaż żaden Anglik o zdrowych zmysłach nie nazwie tym słowem klimatyzacji.

kyō-ma	Nie wiem	Mata podłogowa (<i>tatami</i>) o rozmiarze 191 x 95,5 cm. Nigdy w życiu takiej nie widziałem w normalnym domu. Luksus niewyobrażalny.
Kōkūjietai	航空自衛隊	Japońskie Siły Obrony Powietrznej. Japonia nie ma armii ani lotnictwa, tylko Siły Obronne. Różnią się one od Sił Zaczepnych tym, że po strzale nisko się kłaniają.
mama	ママ	Właścicielka pubu, pani prowadząca pub.
<i>man</i> <i>ichi man</i> [ici man]	万	Dziesięć tysięcy. Japończycy stosują system dziesiętny, ale z jedną ciekawostką: po tysiącu nie ma miliona, tylko jest właśnie <i>man</i> – 10 000. A potem <i>oku</i> , czyli sto milionów.
manga	漫画	Komiks. Narodowa pasja japońska. Komiksy są na wszystkie możliwe tematy, o grubości od kilkunastu do kilkuset stron. Statystyki wykazują, że Japończycy czytają więcej książek niż jakikolwiek inny naród, a to dlatego, że do kategorii „książki” zaliczają również <i>mangę</i> .

<i>mansion</i> [mansion]	マンション	Mieszkanie wysokiego standardu w budynku z betonu, nieraz wysokim na 10 albo i 15 pięter. Tutaj zawsze jest łazienka. Z angielskiego <i>mansion</i> .
matsuri	祭	Święto, festiwal. Każda osada czy wioska (łącznie z tym wioskami, które nazywają się Tokio) ma raz do roku własne święto.
<i>miso</i> <i>miso-shiru</i> [miso siru]	味噌汁	Beżowa pasta. Nie mam pojęcia z czego, ale dobra do wielu potraw. Można ją kupić w sklepie Asian House, na parterze Galerii Mokotów, chociaż nie jest tu tak znakomita jak świeże <i>miso</i> w Japonii. Zupa z niej nazywa się <i>miso-shiru</i> i jest doskonała, szczególnie z wodorostami (grubszymi i delikatniejszymi niż te, w które zawija się sushi).

<i>modeschi taoru</i> [modesci taoru]	モデスチ タオル	Ręczniczek do skromnego zakrywania obszarów intymnych w łaźni publicznej albo gorących źródłach. Z angielskiego <i>modesty towel</i>, co jest tym śmieszniejsze, że żaden normalny Anglik tak by tego nie nazwał.
mono-oki	物置き	Szafa albo skrzynia z blachy na różne przedmioty, na które nie ma miejsca w domu (a w domu nie ma miejsca na nic), pozwalająca wykorzystać skandalicznie marnujące się 0,1 m² na balkonie albo na brzegu parkingu (jeśli ma się samochód ciut krótszy od długości parkingu).
mori	森	Las. Tak się zaczyna słynna japońska piosenka ludowa „Mori e ikimashō” (czyli: „Szła dziewczeczka do laseczka”).

Musashino [musasino]	武蔵野	Uniwersytet muzyczny (a nawet dwa) w rejonie miasteczka Musashino, na przedmieściach Tokio. Produkuje rocznie kilka tysięcy młodych pianistek, które następnie zostają kurami domowymi.
nattō	納豆	Oryginalna forma tortur japońskich polegająca na jedzeniu fasolek wyglądających i pachnących jak coś, czym można by nawozić pole, ale czego na pewno nie powinno się podawać na stół.
Nerima-ku	練馬区	Gmina Nerima; jap. <i>-ku</i> oznacza gminę.
nidan	二段	Drugi dan (np. w kendo).

<i>nihonshu</i> [nihonsiu]	日本酒	Wino ryżowe, po polsku zwane (niesłusznie) sake.
Nogi	乃木	Generał japoński, którego nazwisko nosi dzielnica w Tokio. A może na odwrót. W każdym razie jest tam świątynia generała, baza Japońskich Sił Obrony Powietrznej i salon firmowy Toto (producenta sedesów).
ōkī gomi	大ゴミ	Duże Śmieci. Tak jest napisane na kartce przyklepianej do przedmiotów wystawianych na brzeg ulicy do zabrania przez śmieciarzy i większych niż standardowa, 40-litrowa torba na śmieci. Wywóz Dużych Śmieci jest odpłatny.
norimonoyoi	乗物酔い	Choroba morska (w moim wypadku – samochodowa). Podróżniku! Weź z Polski aviomarin i nie kupuj japońskich odpowiedników w małych sklepikach wiejskich na Izu!

okonomiyaki	お好み焼き	Japoński odpowiednik pizzy. Genialna rzecz. Po przepis zapraszam na stronę 190. Zachęcam przedsiębiorczych czytelników do otwierania <i>okonomiyaki</i> -barów; na tym się nie da stracić. 1% zysków dla mnie – za pomysł, rzecz jasna.
okusan	奥さん	Gospodyni domowa, kura domowa, żona. Strasznie podoba mi się znak na kurę domową, bo przedstawia człowieka z garnkiem ryżu zamiast głowy.
omiyage	お土産	Prezent, czyli coś, co się dostaje (i daje) w Japonii bez przerwy, przy wielu okazjach, a także bez. <i>Omiyage</i> jest obowiązkowe w przypadku podróży (wyjazdu na, powrotu z, przebywania na, myślenia o itd.).
Oni	鬼	Diabeł. Niezupełnie taki jak nasz, bo z mitologii japońskiej, a

		nie chrześcijańskiej, ale też paskudny.
Oni no Sentakuita	鬼の洗濯板	Diabelska tarka – formacja skał na Kiusiu, kształtu gigantycznych rozmiarów tarki do prania. Bardzo nastrojowe miejsce, jeśli jest się tam nocą, ma się odpowiednią ilość piwa i dobre, piegowate towarzystwo.
onigiri	お握り	Trójkąt z ryżu, rozmiaru kanapki, tylko grubszy, nadziany np. tuńczykiem albo śliwką i zawinięty w wodorosty (takie jak do sushi). Fenomenalna potrawa, trzeba ją upowszechnić w Polsce. Chętnych proszę o e-mail.
onsen	温泉	Gorące źródła. Pławienie się w nich jest narodową pasją Japończyków. I autora. W rozumieniu gajdzińskim <i>onseny</i> dzielą się na koedukacyjne i separatystyczne. Koedukacyjne są fajniejsze, ale jest ich już bardzo mało, tylko w takich

		zabitych dechami dziurach, gdzie psy szczekają niewłaściwym końcem ciała.
otsukaresama	お疲れ様	Zwrot oznaczający coś w rodzaju: głęboko doceniam fakt, że jest pan zmęczony po pracy.
ōzeki	大関	1. Ranga w sumo (rodzaj sportu, a właściwie ceremonia religii sinto, zawierająca elementy zawodów zapaśniczych), druga od góry. Patrz również: <i>yokozuna</i>. 2. Gatunek taniej sake kupowanej w musztardówce na peronach kolei JR, czyli japoński jabol (a raczej ryżol).
<i>pachinko</i> [pacinko]	パチンコ	Narodowy sport japoński – polega on na siedzeniu przed automatem, w którym metalowe kulki spadają między licznymi gwoździami. Kąt wyrzucania kulek można regulować pokręteł. Do gry niezbędne są dwie wykałaczki: jedną blokuje się pokręteł w najbardziej obiecującej pozycji, drugą dłubie w zębach, patrząc w niemym otepieniu na kulki spadające wśród gwoździ, godzina po godzinie. Wygrać

		można jeszcze więcej metalowych kulek. Gra trwa aż do zużycia się wykałaczek.
purezento	プレゼント	Prezent. Patrz <i>omiyage</i> .
rūlu	ルール	Zasada, reguła, pryncypium, święta zasada, co i jak należy robić. Z angielskiego <i>rule</i> , ale z pewną różnicą: od <i>rule</i> są wyjątki, od <i>rūlu</i> – nigdy.
regurā	レギュラー	Benzyna „regularna”, czyli 95 oktanów. Odpowiednik naszej eurosuper, tylko droższa (jak wszystko w kraju wschodzącego jena).

reikin	礼金	Opłata dla właściciela mieszkania, nie wiadomo do końca za co (Akira twierdził, że to „wyraz wdzięczności” wobec wynajmującego). Równa zazwyczaj dwóm czynszom.
resto eria	レストエリア	Parking na autostradzie (z ang. rest area). Z reguły pełno tam sklepów do kupowania <i>purezento</i> z wakacji, których zapomniało się kupić na miejscu.
Rikkyō Daigaku	立教大学	Uniwersytet Rikkyō. Żeński. Ogromne rzesze panienek udają tam, że się czegoś uczą (najczęściej literatury angielskiej, ale chyba w wersji teoretycznej, bo mówić po angielsku to one po tych studiach nie potrafią).
Roppongi	六本木	Tokijska dzielnica dyskotek. Jest ich tam kilkaset (sic!), a w nich niezliczone ilości barów i restauracji.

ryokan	旅館	Tradycyjny hotel japoński, przeważnie w górach.
sake	酒	Alkohol. Każdy, a nie tylko wino ryżowe, które po polsku nazywamy sake. Patrz <i>nihonshu</i> .
sakura	桜	Kwitnąca wiśnia. Drzewko sadzone po to, żeby tłum <i>salarymanów</i> miał pod czym rozkładać ceratowe płachty i siedząc na nich, doprowadzać się do stanu niskiego poziomu promili krwi w alkoholu.
salaryman	サラリーマン	Pracownik firmy, z ang. <i>salary</i> – pensja. Przeważnie pracownik umysłowy. Termin nieprzetłumaczalny, opisujący

		człowieka w garniturze (zawsze, oni chyba idą do łóżka w garniturach), którego życie składa się z pracy, obowiązkowego picia z kolegami po pracy i siusiania na tory (albo pod murem) w drodze do domu o 1.00 nad ranem. Żeńskim odpowiednikiem <i>salarymana</i> jest <i>office lady</i> , ubrana w firmowy mundur i niesiusiająca pod murem.
sayonara sale	さよなら セール	Wyprzedaż domostwa gajdzina opuszczającego Japonię.
Seibu	西武	Gigantyczna firma, dom handlowy i największy sklep w Azji (w Ikebukuro – 9 pięter i kilkaset metrów długości).
Seiyu	西友	Sieć supermarketów.
setto	セット	Zestaw (z ang. <i>set</i>).
Seven Eleven [sebun irebun]	セブン イレブン	Sieć sklepów rodem z USA. Nazwa pochodzi stąd, że kiedyś były otwarte od 7.00 do 23.00, ale teraz są 24-godzinne.

<i>shaken</i> [siaken]	車検	Rozbój w biały dzień, czyli obowiązkowy przegląd samochodu raz na dwa lata. Kosztuje czterdzieści razy więcej niż w Polsce. Uniknąć się go nie da, bo na szybie przylepiają nalepkę, po kolorze której policja z daleka widzi, do którego roku samochód ma shaken (a po cyfrze – do którego miesiąca).
<i>shikikin</i> [sikikin]	敷金	Zastaw, czyli pieniądze wręczane właścicielowi mieszkania. Do odzyskania (choć rzadko w stu procentach) w dniu wyprowadzki, jeśli się w międzyczasie nie spaliło mat tatami i nie wymordowało rodziny gospodarza. Równy zazwyczaj dwóm czynszom.
<i>shinai</i> [sinai]	竹刀	Bambusowy miecz do kendo. Zbudowany z czterech bambusowych deszczulek i pusty w środku, żeby nie uszkodzić przeciwnika, ale narobić hałasu w momencie uderzenia w jego zbroję (m.in. po tym odgłosie sędziowie stwierdzają, czy punkt jest zaliczony).

Shiseido [siseido]	資生堂	Producent kosmetyków. Dezodorant firmy Shiseido nie działa, a w każdym razie nie na gajdzina. Może pocimy się inaczej?
<i>shodan</i> [siodan]	初段	Pierwszy dan (np. w kendo).
shōchū	焼酎	Doskonały alkohol powstający w procesie destylacji <i>nihonshu</i> do mocy 25–40 procent.
sláinte	sláinte	Na zdrowie! (po irlandzku, czyli galicku).
Soka Gakkai	創価学会	Organizacja religijna (buddyjska). Jedna z większych.
sponsā	スポンサー	Obywatel japoński gwarantujący, że gajdzin nie zamorduje wszystkich w okolicy i nie spali domu albo i kilku. Od angielskiego <i>sponsor</i> , z tym że nie jest to sponsoring w tym

		sensie, że ktoś za kogoś za cokolwiek płaci, a tylko system prawny umożliwiający rządowi japońskiemu kontrolę nad rozprzestrzeniającym się jak chwasty gajdziństwem... Jeśli bym na przykład wyjechał z Japonii, nie płacąc podatków, japońska podatkownia zwróciłaby się do mojego sponsy z żądaniem znalezienia mnie i przywleczenia na klęczkach przed oblicze sprawiedliwości.
sui...? den...? damu [sui cośćam den cośćam damu]	水力発電 用 ダム	Chyba hydroelektrownia (mówiłem, że nie jestem japonistą), a na pewno tama (na rzece, a nie dzielnica na przedmieściach Tokio, która również nazywa się Tama).
Sumida	隅田川	Rzeka płynąca przez Tokio. Nie za wielka i w dzisiejszych czasach nie za czysta, ale posiadająca romantyczne powiązania z wiosną dzięki słynnej piosence ludowej: <i>Haru no uraa raa no, Sumida-gawa</i> .
sushi [susi]	寿司	To już jest polskie słowo, więc go nie będę tłumaczył, a jak ktoś nadal nie wie, to ma natychmiast wyjść z domu i iść do najbliższej restauracji i to zjeść (uwaga: sushi bez surowej

		ryby dla tych, co nie bardzo lubią surowiznę).
tatami	畳	Gęsto spleciona mata ze sprasowanej trzciny, o grubości ok. 5 cm, którą wyłożone są podłogi w pokojach. Nowa jest zielonkawa, po paru miesiącach staje się koloru słomy.
tempura	天麩羅	Potrawa składająca się z różnych obiektów, przeważnie jadalnych i zwykle nieruchomych, rzuconych na patelnię z wrzącym olejem.
„The Daily Yomiuri” [za dairii jomiuri]	ザダイリー読売	Gazeta anglojęzyczna. Lektura codzienna gajdzina pospolitego, w odróżnieniu od ekspata (gajdzina zamożnego), którego stać na dwa razy droższy (i grubszy) „The Japan Times”.

Tōdai Tokyo Daigaku	東大 東京大学	Uniwersytet Tokijski. Najbardziej prestiżowa uczelnia w stolicy (a są ich setki). Stąd wywodzi się wielu polityków i naukowców.
tomare	止まれ	Stop, zatrzymać się. Znak wypisany ogromnymi znakami na jezdni przed każdym skrzyżowaniem z ulicą mającą pierwszeństwo (a choć po Japonii przejechałem 140 000 km, nigdy nie znalazłem skrzyżowania równorzędnego), w nadziei, że nadjeżdżający gajdzin już się go nauczył.
tsuru	弦	Rodzaj szpagatu, którym związany jest <i>shinai</i> (bambusowy miecz do kendo). Nigdy nie udało mi się nauczyć tego (ani

		niczego innego, bo w kendo jest masa sznurków) zawiązywać, ale Witek Nowakowski jest w tym mistrzem świata i okolic.
tōfu	豆腐	Rodzaj twarożku z soi o bardzo delikatnym smaku (niektórzy twierdzą, że w ogóle nie ma smaku, ale to są buraki). Dostępny w niektórych polskich sklepach, ale nie tak dobry jak w Japonii, nie wiem dlaczego.
umesu	梅酒	Śliwówka (a może morelowka? <i>Ume</i> to japoński owoc morelopodobny). Słodkie i bardzo uwielbiane przez japońską płęć piękną.

urusai!	煩さい	Za głośno! Nie drzyj mordy! Nie popisuj się! Nie zadawaj niezręcznych pytań! Siedź cicho w kąciku i nie rób z siebie przedstawienia!
uso!	嘘	Nie ściemniaj, chrzaniś, nie mów, to nie może być jogurt, itd. Patrz również rozmówki Seana na str. 393.
Waseda [ɰaseda] Daigaku	早稲田大学	Uniwersytet Waseda, chyba drugi pod względem prestiżu w Tokio (pierwsze miejsce ma: Tokyo Daikgaku).
wāpro [ɰapro]	ワープロ	Inteligentna maszyna do pisania, rodzaj laptopa z wbudowaną drukarką, z jednym programem: edytorem tekstu. Komputeryzacja Japonii, liczona w wāpro, stawia ją na pierwszym miejscu na świecie. Ostatnio widziałem nawet wāpro, które umie się łączyć z internetem i wysyłać maile. Sprzedawca zapytany, kto to kupuje w dobie pecetów, wyjaśnił, że wāpro jest bardziej przyjazne użytkownikowi.

		Jeśli 48 dedykowanych klawiszy funkcyjnych (z których każdy ma 6 różnych funkcji w zależności od trybu pracy) stanowi o przyjazności, to ja wymiękam...
yada	やだ	Nie lubię, nie cierpię, nie chcę, a fe. Patrz: rozmówki Seana (str.393).
yaki-imo [jaki imo]	焼き芋	Prażone pataty. Po Tokio krąży wiele wózków, z których sprzedawane są prażone kasztany jadalne i pataty.
yakuza	やくざ	Mafiozo. Wyróżnia się brakiem małego palca u ręki. Są mafie

[jakuza]		<i>yakuza</i> formalnie zarejestrowane jako organizacje zrzeszające osoby „niedopasowane do życia w społeczeństwie”.
Yamanote-sen Yamate-sen	山手線	Linia kolejki naziemnej. Yamanote jeździ wokół centralnej części Tokio i jej kółko wyznacza rejony ekskluzywne i diabelnie drogie. Mieszkać wewnątrz tego kółka to luksus nie dla gajdzina pospolitego; jap. <i>sen</i> znaczy linia.
Yodogawa Nagaharu	淀川長治	Przesympatyczny starszy pan, który przedstawiał i zapowiadał w telewizji amerykańskie filmy. Miał swoje standardowe pożegnanie widzów: <i>Sayōnara! Sayōnara! Sayōnara!</i> .
yokozuna	横綱	Najwyższa ranga w sumo (ceremonia religii sinto zawierająca elementy zawodów zapaśniczych).

Yu Hayami	早見優	Popularna piosenkarka lat 90. Bardzo ładna.
yukata	浴衣	Tradycyjny szlafrok pełniący czasem rolę piżamy albo płaszcza wyjściowego, w zależności od potrzeb.
zubrówka [dzuburokka]	ズブロッ カ	Wódka z trawką sprowadzana z Polski i dostępna w większości sklepów monopolowych w Japonii.

MINIROZMÓWKI JAPOŃSKIE SEANA
na wszystkie istotne okazje w życiu gajdzina

Romanizacja	Wymowa	Znaczenie
ima hima?	ima hima?	Masz teraz czas?

hima desu	hima desu	Jestem wolna.
ima isogashī	ima isogasii	Teraz jestem zajęta.
shigoto wa nanji-ni owaru?	sigoto ła nandzini owaru?	O której kończysz pracę?
uso...	uso...	Ściemniasz...
baka!	baka!	Idiota!
...suki desuka?	...ski deska?	Lubisz...?
boku no tokoro ni ikimashoka?	boku no tokoro ni ikimasioka?	Pójdziemy do mnie?
ikimasho!	ikimasio!	Chodźmy!
kirei na me	kirei na me	Masz piękne oczy.
kirei katachi no oshiri	kirei kataci no osiri	Ma pani piękny kształt bioder.
damare yo	damare jo	Zamknij się!
isoide	isoide	Pospiesz się!
chotto matte	ciotto matte	Zaczekaj chwilę.
itai!	itai!	Boli!

moo itakunai?	moo itakunai?	Już nie boli?
daij ōbu?	dajdzioobu?	Wszystko w porządku?
chotto kowai	ciotto kowai	Trochę się boję.
kawaisō	kałaisoo	Moje biedactwo.
yokatta, ne?	jokatta, ne?	To dobrze, prawda?
tanoshikatta?	tanosikatta?	Dobrze było?
ai shiteru	ai siteru	Kocham cię.
yada	jada	Nie chcę.
dame	dame	Nie waż się.
asatte denwa shite	asatte denła site	Zadzwoń do mnie pojutrze.

¹ Patrz mapa na stronie 11.

² Gajdzin, właściwie *gaijin* (外人), to po japońsku cudzoziemiec. Jest to skrót od terminu *gaikokujin*, czyli dosłownie obcokrajowiec.

³ *-san* (dodawane do nazwiska) oznacza pan albo pani, z tym że stosuje się nawet do dzieci, czyli praktycznie do każdego, z wyjątkiem psów, kotów i osób najbliższych, dla których zarezerwowane jest pieszczotliwe *-chan* [czyt. cian].

⁴ Tokio nie ma jednego centrum jak każda normalna metropolia na świecie, tylko jest ich pięć, położonych w mniej więcej równych odstępach na okręgu wytyczonym przez linię kolejową Yamanote-sen (coś w rodzaju metra, tylko jeździ po powierzchni). Jednym z tych centrów jest właśnie Ikebukuro.

⁵ *Man* to po japońsku 10 000. Niesłychanie wygodna jednostka miary, do której gajdzini tak się przyzwyczajają, że potem często używają jej po powrocie do ojczyzny. Szczególnie jeśli ich rodzima waluta tak się zdewaluowała, że wszystko liczy się w milionach.

⁶ Każdy gajdzin musi mieć *sponsa* – Japończyka. Osoba ta jest odpowiedzialna za skutki naszych bezceństw i rozbojów, o które społeczeństwo japońskie podejrzewa sekretnie każdego gajdzina. *Sponsa* może być firma, jeśli gajdzin przyjechał tutaj pracować. W przypadku tysięcy gajdzinów na wizach „kulturowych” musi to być po prostu dowolny obywatel japoński, byle pełnoletni i niekarany.

⁷ Patrz zdjęcia na następnej stronie.

⁸ *Kawai* [czyt. kałaii]: śliczne, urocze, słodkie, rozkoszne itp. Trudno mi znaleźć polski odpowiednik, łatwiej już powiedzieć po angielsku: *cute*. W opinii japońskiej nastolatki wszystko, co różowe, jest *kawai*, a najbardziej gajdzin.

⁹ Pracownik firmy, z ang. *salary* – pensja. Przeważnie pracownik umysłowy. Termin nieprzetłumaczalny, opisujący człowieka w garniturze (zawsze; oni chyba idą do łóżka w garniturach), którego życie składa się z pracy, obowiązkowego picia z kolegami po pracy i siusiania na tory (albo pod murem) w drodze do domu o 1.00 nad ranem. Żeńskim odpowiednikiem *salarymana* jest *office lady*, ubrana w firmowy mundurek i niesiusiąjąca pod murem.

¹⁰ To nie jest już prawdą, ale było, kiedy byłem w Japoni. Japonia bardzo się zmieniła przez ostatnie lata, dziesięć lat kryzysu ekonomicznego zebrało swoje żniwa – jedną z bardzo widocznych ofiar tych zmian stało się legendarne kiedyś bezpieczeństwo na ulicach japońskich miast.

¹¹ Działo się to przed głośnym atakiem sekty Aum na tokijskie metro, który otworzył oczy społeczeństwu (i światu) na fakt, że niektóre japońskie sekty religijne wcale nie były tak nieszkodliwe, jak powszechnie uważano.

¹² *Todai* – Tokyo Daigaku, czyli Uniwersytet Tokijski. Jedna z większych i szacowniejszych uczelni wyższych w Tokio, których jest zresztą około stu.

¹³ Meiji – ichni E. Wedel (d. 22 Lipca).

¹⁴ *Dojo* [czyt. doodzioo] – szkoła sztuk walki.

¹⁵ 196 cm.

¹⁶ Pielęgniarka zwracała się do doktora terminem *sensei*, zarezerwowanym dla osób zajmujących w strukturze społeczeństwa japońskiego miejsce pierwsze po Bogu, czyli nauczycieli i lekarzy. *Sensei* tłumaczy się najczęściej właśnie jako „nauczyciel”, ale według mnie najodpowiedniejsze jest słowo „mistrz” czy „maestro”.

¹⁷ *Yokozuna*: najwyższy stopień w sumo.

¹⁸ Chciałabym, ale się boję.

¹⁹ *Regura ippai* znaczy po japońsku: do pełna benzyny zwykłej (95). *Regura* pochodzi od angielskiego *regular*. Benzyna wysookotanowa nazywa się też ładnie: *hi oku*.

²⁰ Japończycy mierzą spalanie samochodu, podając, ile kilometrów można przejechać na jednym litrze paliwa. Oczywiście im wydajniejszy silnik, tym ta liczba jest większa. Tryb dziesiątki mieszanej to nasz odpowiednik testu spalania w jeździe miejskiej.

²¹ W Europie ten model był znany jako *carina E*. No, niezupełnie ten, bo w wersji japońskiej miał on masę ciekawych opcji, niedostępnych w modelach eksportowych.

²² Pomysł w sumie prosty: do niewielkiego pojemnika kierowana jest część powietrza z obiegu wentylacji samochodu. Powietrza zimnego latem (klima), a gorącego zimą

(ogrzewanie). W Europie to by się nie przyjęło, bo jak gdzieś już stoi automat z puszkami, to są one zawsze zimne. W Japonii natomiast zależy to od sezonu – w lecie królują puszki zimne (cola, soki, mrożona kawa i herbata), w zimie gorące (kawa, herbata).

²³ Jacht pana Okudy prowadziłem kiedyś w roli kapitana na trasie Tokio–Shikoku z miłą, ale lekko problematyczną załogą, która nie pozwalała mi płynąć prawym halsem. Ale to inna historia. Może na inną książkę?

²⁴ Rodzaj radiostacji, która odbiera sygnał na jednej częstotliwości, nadając go na drugiej. Przemienniki umożliwiają radioamatorom porozumiewanie się przez małe radiostacje przenośne (krótkofalówki) w mieście, gdzie budynki tłumią sygnał, nie pozwalając na bezpośredni kontakt przy odległościach większych niż kilkaset metrów.

²⁵ Tokyo International Amateur Radio Association.

²⁶ „Jesteśmy! Witajcie!”. Tak jak w naszej części świata mówi się „Smacznego” i „Dziękuję”, tak w Japonii istnieją formułki grzecznościowe na okazję wychodzenia z domu (wychodzący mówią: *ittekimas!* żegnający: *itterasshai!*) oraz powracania do domu (wracający: *tadaima!* witający: *okaerinasai!*).

²⁷ „Genji Monogatari” („Opowieść o Genjim”) to najstarsza powieść świata, napisana przez panią Murasaki Shikibu na początku XI wieku naszej ery. Klasyka literatury japońskiej. Ciekawa, ale za długa i bez dialogów, bo ich wtedy jeszcze nie wymyślono.

²⁸ *Maiko* – dziewczę z żeńskiej szkoły uczącej tradycyjnych sztuk japońskich, jak na przykład ceremonii parzenia herbaty albo chodzenia jak kaczka. Można je tu spotkać, w kimonach i tradycyjnym makijażu, który wygląda, jakby zanurzyły twarz w worku z mąką.

²⁹ W Kobe zginęły 5502 osoby. Trzęsienie ziemi miało siłę 7,2 stopni w skali Richtera.

³⁰ Góry w prefekturze Nagano. Najwyższe szczyty sięgają 3000 m, jak to w Japonii. W większości pokryte lasami, a nie skaliste jak Tatry, bo w Japonii jest cieplej i lasy sięgają wyżej.

³¹ *Daijobu* [czyt. dajdzioobu] – po jap. „wszystko w porządku?”.

³² W Japonii za założenie linii telefonicznej płacono się chore pieniądze (ok. 8 *manów*, czyli prawie 3 tys. zł), ale za to wyjeżdżając, można ją było komukolwiek odsprzedać za

podobną kwotę.

Copyright for the text and photos by Marcin Bruckowski, Warszawa 2004

Projekt okładki

mill studio

Fotografia na stronie okładki

© TommL/iStockphoto.com

© Paweł Bruckowski

Zdjęcia wewnątrz książki z archiwum autora

Marcin Bruckowski, Hanna Gumulińska, Marcin Pabich

Opieka redakcyjna

Jakub Kulasa

Bogna Rosińska

Edytor

Grażyna Szadkowska

Redaktor

Dorota Koman

Korekty

Joanna Zioło

ISBN 978-83-240-2343-1

www.znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four small colored circles: blue, purple, pink, and orange respectively.

www.woblink.com